



furie

Zabiłabyś, aby być jedną z nich...

KATIE LOWE

furie

KATIE LOWE

przełożyła Aga Zano

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Warszawa 2019

Spis treści

Dedykacja

Cytaty

Prolog

JESIEŃ

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

ZIMA

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

WIOSNA

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

LATO

Rozdział 17

JESIEŃ

Rozdział 18

Podziękowania

Przypisy

Dla Marii

Prorok ze mnie jest żaden (nie, żeby mi zależało):
Zdarzały mi się chwile wielkości – lecz zaraz potem
Odwieczny Lokaj płaszcz mi podawał z chichotem

I strach mnie brał. Po prostu.

T.S. Eliot, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*, 1915

(przeł. Stanisław Barańczak)

Obaczcież owo plemię Czarownic, co gdy słowo jakoweś nieprzychylnie a czci
im odejmujące usłyszą, złodziejką albo ladacznicą etc. nazwane czem prędzej
ręce załamują a łzy rzewne ronią i w te pędy ku sprawiedliwości wznoszą
pretensyje żałośliwe, a prędkie są przy tem żale swe podlewać łzami. Głupota
ich jednak większą, niżli by się zdało, a prawdziwa ich natura, to jest żywioły,
co się w nich odbijają, znać o sobie prędko daje, kiedy oskarżyć je
o straszliwy a potępienia godny grzech Czarownictwa, bo lice ich wtedy
niewzruszone, a łza ni jedna nie spłynie.

Matthew Hopkins, *The Discovery of Witches*, 1647

(przeł. Aga Zano)

Najdziwniejsze, mówili, wykręcając dłonie i szepcząc po kątach – jakbyśmy nic nie słyszały, nie podsłuchiwały przez drugi telefon i przez szpary w ścianach – najdziwniejsze, że nikt nie wiedział, co ją zabiło.

Nie udało się ustalić jednoznacznej przyczyny zgonu. Jakby to mogło cokolwiek zmienić. A fakty były takie: martwa szesnastolatka na terenie szkoły i brak jakichkolwiek wskazówek, co i w jaki sposób odebrało jej życie. Żadnych niewyjaśnionych śladów na ciele. Sekcja nie wykazała przemocy ani gwałtu – nie znaleziono choćby jednego pyłku, który nie należałby do dziewczyny, jej koleżanek lub matki, którą objęła na pożegnanie przed wyjściem do szkoły w dniu swojej śmierci. Jak gdyby jej serce po prostu przestało bić, jakby krew zakrzepła jej w żyłach, na zawsze zatapiając ją w tej jednej chwili, wiecznie czujną, jak pierwszy promień świtu.

Gazety pokazały ocenzurowaną wersję wydarzeń. Reporterzy porobili sugestywne zdjęcia zasłony rozstawionej przez policję, zaledwie sugerując, jaki koszmar rozegrał się w środku. Ale ja wszystko widziałam. Ten obraz do dziś staje mi czasem przed oczami, gdy nie mogę zasnąć. Wrył mi się w pamięć nie dlatego, że był tak potworny, ani ze względu na jakąś zastygłą w przeszłości, nieprzepracowaną traumę. Nie, czuję coś wręcz przeciwnego: to wspomnienie wywołuje we mnie zimny, słodki dreszcz.

Przypominam sobie tę scenę ze względu na jej doskonałą kompozycję: jak na renesansowym obrazie. Nieznacznie wygięta szyja dziewczyny – jak *Pietà*, choć wtedy tego nie zauważyłam. Dopiero ponad dekadę później dostrzegłam to podobieństwo podczas zwiedzania Watykanu. Gdy zaczęłam opowiadać uczennicom historię rzeźby, po policzku spłynęła mi samotna łza. Podopieczne z oczywistych powodów uznały to za przejaw wyrafinowanego smaku, za reakcję na piękno dzieła Michała Anioła. Nie próbowałam wyprowadzać ich z błędu.

Była piękna już za życia – jak dziecko dopiero odkrywające swoją władzę. Uczyła się siebie, cała z ostrych kątów obojczyków i rozkwitającego ciała.

Należy jednak przyznać, że śmierć nadała jej urodzie nowy wymiar. Trochę jak w tym wierszu Michaela Fielda, *La Gioconda*: „Bezwieczne spojrzenie, badawcze, z ukosa / Na policzku połysk niczym świeża rosa / Spokojne wargi wygięte ku górze; smukła dłoń spoczywa / Łagodnie i miękko, niespieszna, cierpliwa / W okrucieństwie, co czeka, nie rusza poszukiwać / Zwierzyny...”^[1]. Trzeba przyznać, że śmierć i młodość to niedoceniany mariaż. Nawet teraz uwielbiam te słowa.

Znaleźli ją w takiej właśnie pozie: siedziała wyprostowana na huśtawce, z otwartymi oczami. Nieskazitelna, jak żywa – z wyjątkiem pobłękitniałych nitek odtlenowanej krwi w miejscu młodzieńczego rumieńca. Dłonie miała przywiązane do łańcuchów huśtawki cienkimi srebrnymi łańcuszkami. Kiedy wreszcie ktoś ją dostrzegł, rozkołysaną łagodnie w przód i w tył, plecy miała już sztywne, zmrożone przez *rigor mortis*. Nogi skromnie skrzyżowane w kostkach, choć jeden but spadł na ziemię. Siedziała w zwiewnej białej sukience, niemal przezroczystej od porannej rosy. Współczesne arcydzieło: każdy szczegół pełen głębi i precyzji.

„Tragedia”, mówili. „Niebo zabrało swojego anioła”, pisali na kartkach przyklejonych do bukietów kupionych w supermarketach. Tusz rozplątywał się w deszczu. Rolnicy i rybacy szeptali na bazarach. Lokalne gazety – zazwyczaj zmuszone do pisania o rosnącej populacji mew i argumentach za zniesieniem systemu ulic jednokierunkowych – przez wiele tygodni zapełniały swoje strony jej zdjęciami. Tuż przy logotypie widniała jej szkolna fotografia i napis złożony zgrzytliwą czcionką: „Nigdy Cię nie zapomnimy”. Reporterzy – tacy prawdziwi, z krajowych gazet, a nawet przyciągnięci tematem z zagranicy – tygodniami czaili się wśród mieszkańców miasta, podsłuchiwali przyciszone rozmowy, szukali wskazówek. Hotele zaczęły nagle wynajmować o wiele więcej pokoi niż wcześniej. Restauratorzy żartowali ponuro, że śmierć powinna częściej nas odwiedzać. Według ich księgowych to był bardzo dobry rok.

– Podejmiemy wszystkie możliwe kroki, by rozwiązać tę sprawę. Zrobimy, co w naszej mocy, by coś takiego już nigdy nie wydarzyło się w naszej

społeczności – oznajmił komendant policji, wypinając pierś i puszając się przed kamerami jak paw.

Słuchałam jego wystąpienia razem z matką. Wiele lat później znów natrafiłam na to nagranie, po tym jak anonimowy podglądacz umieścił je w internecie. Tym razem obejrzałam je sama. Ziarno obrazu przywoływało na myśl skojarzenia z wielkimi tragediami epoki telewizji, przypominało mi nagranie z zabójstwa Kennedy’ego. Ten sam pełen powagi ton, nieznaczne odrzucenie głowy w tył.

– Zbadamy sprawę pod każdym kątem. Sprawdzimy każdy trop, przesłuchamy każdego, kto miał kontakt z tą młodą kobietą. Nie spoczniemy, dopóki nie ustalimy dokładnych okoliczności, które doprowadziły do jej tragicznej śmierci – powiedział komendant.

Oczywiście nic z tego nie wyszło. Po kolei wykluczili wszystkich typowych podejrzanych – chłopaków, byłych chłopaków, zwyrodniałych rodziców – i nic nie znaleźli. Nawet teraz, jeśli wpisać jej imię i nazwisko w wyszukiwarce, prędko znajdą się detektywi amatorzy przedstawiający własne teorie na forach internetowych. Niektóre są zupełnie pozbawione sensu, czasem jednak ich wnioski okazują się zaskakująco trafne. Błądzą w te miejsca późną nocą, gdy wszystko otacza gęsty mrok i wzbiera we mnie potrzeba, by na nią popatrzeć. Jestem wdzięczna internetowym podglądaczom i nieznanemu, który umieścił w internecie zdjęcia ze sceny zbrodni dekady po zajściu. Na ich widok przez żyły przebiega mi prąd. Wspomnienie promieniuje żarem, czyste i rozgrzane do białości.

A to dlatego, że pomimo wszystkiego, co wydarzyło się później – mimo dochodzenia, pytań, łez przed kamerą i pustych słów rzucanych w spazmach szloch do zaślinionych reporterów – po tylu latach nadal nie mogę pogodzić się z potworną prawdą: nie żałuję tego, co zrobiłyśmy. Niczego nie żałuję. Oczywiście wiem, że popełniłyśmy przestępstwo. Dręczy mnie lęk przed karą, to naturalne. A jednak nie czuję wyrzutów sumienia, gdy myślę o jej śmierci.

Przez ten rok, kiedy ją znałam, i podczas tych wydarzeń, które doprowadziły do jej śmierci – do jej morderstwa – miałam w sobie więcej

życia niż kiedykolwiek wcześniej lub później. „Płonąć zawsze płomieniem twardym jak szlachetny kamień” [\[2\]](#)... Często powtarzam ten cytat moim uczennicom, choć mam wrażenie, że nie jest w stanie zawładnąć ich wyobraźnią do tego stopnia co naszą. Według Patera właśnie tak powinno wyglądać spełnione życie. Kiedy ją wspominam, czuję ten płomień, mocny i jasny.

Zbliżyłyśmy się do niebiańskiej siły. Dotknęłyśmy bóstw, ich moc popłynęła nam w żyłach. Bicie naszych serc było silniejsze od pożądania, zawiści, chciwości i przez krótki czas byłyśmy prawdziwie, niepowstrzymanie pełne życia. Każda z nas mogła skończyć na rozkołysanej huśtawce, na zawsze zamknięta w łagodnym spokoju Madonny. Tylko łut szczęścia sprawił, że padło na nią zamiast na mnie.

JESIEN

Rozdział 1

Turyści żartowali, że to takie miejsce, do którego przyjeżdża się umrzeć. Miasteczko na końcu świata, tuż przed końcem wieku: dalej nie ma już nic.

Podstarzali mieszkańcy, chorzy i zmęczeni jak opustoszałe ruiny ceglanych domów, w których gwizdże wiatr. Nieco na południe czekało ulubione miejsce samobójców: białe klify, przyciągające ku sobie desperatów, którzy rzucali się z nich w szare, zimne morze. Tory kolejowe urywały się niespodziewanie, drogi prowadziły tutaj i nigdzie dalej... To chyba dość oczywiste znaki: aż prosiły się o szyderstwo. Ale nie tylko stąd wziął się ten żart.

Obrazu dopełniały schłostane deszczem witryny sklepów z łuszczącą się farbą na szyldach. Pawilony upstrzone graffiti i ptasimi odchodami. Szare plaże, wysypane w różnych częściach piaskiem, odłamkami szkła, zgniecionymi puszkami po piwie i foliówkami. Salony z automatami do gier na promenadzie: Caesar's Palace, Golden Ticket, Lucky Strike – wewnątrz dywany zawilgłe od płynu do czyszczenia i rozlanego piwa, groszaki pobrzękujące w metalowych przegródkach. Mężczyźni z papierosami stojący w trupiej poświacie maszyn do gry, zahipnotyzowani terkotem i podzwanianiem jednorękiego bandyty. Blade połacie wypalanej trawy, drut kolczasty, cegły. Stocznie, a w nich statki: potężne stalowe grobowce, budowane przez mechaniczne bestie. Nachalny, mdlący smród rynku rybnego. Pokarbowane bunkry, kamienna syrena o twarzy zeszlifowanej przez wiatr.

To tutaj spędziłam swoją młodość. Utkwiłam tu jak postać na obrazie olejnym. Rozkład postępuje, morze pochłania brzegi. Pewnego dnia to wszystko zniknie, a świat tylko na tym zyska.

Niewiele mogę powiedzieć o latach przed piętnastymi urodzinami. Dzieciństwo miałam ciche i nijakie, dni i lata zlewały się w jedno, do niczego nie prowadząc. Mama nie chodziła do pracy. Uczyła mnie czytać i patrzyła,

jak rosnę. Tata prowadził niewielki sklepik, który – na ile udało mi się zaobserwować – miał w asortymencie wszystko. Często chowałam się w chłodnym, ciemnym magazynie i podbierałam neonowe flamastry i błyszczące temperówki z odrapanych plastikowych tacek i wilgotnych kartonowych pudełek. Testowałam gry planszowe: ja kontra mój cień. Ostrożnie czytałam książki, tak żeby nie powyginać grzbietów. Trzymałam je w koniuszkach palców jak starożytne manuskrypty. To pewnie brzmi, jakbym była samotnym dzieckiem, ale wcale się tak nie czułam.

Kiedy skończyłam osiem lat, mama oznajmiła, że w tym roku dostaniemy na Boże Narodzenie wyjątkowy prezent, po czym pogłaskała się po nabrzmałym brzuchu. Poszłam po encyklopedię. Wyobraziłam sobie, jak jej wnętrzości się rozciągają, drobne piąstki chwytają za sznury ścięgien, woreczek owodniowy pęka, małe palce wypęzają na zewnątrz. To jedno z niewielu świąt, które nadal pamiętam jako dorosła.

Okazało się, że to dziewczynka. Wierzgająca, rozwrzeszczana dziewczynka o czerwonej buzi, z burzą czarnych włosów i zimnymi szarymi oczami. Była opętana od urodzenia – zawsze wyglądała, jakby wiedziała więcej, niż daje po sobie poznać. Mała kolekcjonerka sekretów. Miała siedem lat, kiedy wybraliśmy się na plażę, ale nigdy na nią nie dotarliśmy, bo nasz samochód wpadł pod koła ciężarówki. Tata zginął na miejscu, ona trzymała się jeszcze cztery dni, choć ledwo przypominała samą siebie – nie wyglądała nawet jak człowiek. Skórę miała poznaczoną sinoniebieskimi plamami, mokre szwy wgryzły jej się głęboko w czaszkę.

Ja za to wyczołgałam się z samochodu o własnych siłach. Starłam z ramienia smugę krwi (nie mojej), wyciągnęłam z włosów odprysk kości (też nie mojej). Otrzepałam kurz drobinek szkła, które przykleiły mi się do skóry. Gdy odchodziłam, miałam wrażenie, że właśnie obudziłam się z długiego, pustego snu.

I to chyba był koniec. Albo początek, zależy, jak na to spojrzeć.

Ich życie się skończyło, a życie mamy zatrzymało się w miejscu. Nawet dekady później, kiedy wróciłam, by posprzątać dom po jej śmierci, wszystko

nadal wyglądało dokładnie tak samo jak tamtego dnia. Szarzejąca tapeta, wyslizgane dywany. Te same książki na półkach, te same kasety wideo w pudełkach pod starym telewizorem, który dalej wydawał z siebie niski elektryczny szum. Z kłamki w sypialni rodziców nadal zwisał luźno zawiązany krawat, w koszu leżały te same pogniecione papiery, na pożółkłej kartce wciąż widniały ostatnie słowa, porzucone w połowie zdania.

„Może powinniśmy poszukać innego sposobu na” – ostatnia myśl taty, zapisana rozmazanym czarnym atramentem. Wszystko obrosło warstwą wspomnień. Do każdego skrawka przestrzeni przykleiły się odciski palców ojca i śmiech siostry. Jak stara skóra, która nie daje się zrzucić.

Ja jednak nie czułam nic. Wyszłam ze szpitala: nic. Kiedy rzucałam garść wilgotnej ziemi do dziury, nasłuchiwałam miękkiego kłaśnięcia na lakierowanym sosnowym drewnie: nic. Pamiętam, jak mama szlochała na kanapie, chwyciła mnie za włosy, przyciskała wilgotne, gorące dłonie do mojej twarzy, rozpaczliwie czepiała się mojego życia. Dalej nic.

Kilka tygodni później obudziłam się na kanapie, a ona wpatrywała się we mnie jak w ducha, którego na wpół spodziewała się zobaczyć. Wargi miała pogryzione na miękką papkę.

– Myślałam, że ona... Że ciebie też już nie ma – wyszeptwała. Oczy miała mokre od łez.

Wskazała na twarz na ekranie, podobną do mojej z wyjątkiem szczegółów. Ciemnoblonde włosy – jej lśniące, moje suche, o końcach postrzępionych jak stary sznurek. Oczy niemal czarne, ale w jej lewej tęczówce krył się odłamek bursztynu. Moje okrągłe wargi, zawsze zbyt pełne, by móc używać szminki – przez nią przypominałam klauna. Spękane i pokryte białym nalotem lekarskiego balsamu, bo nie potrafiłam przestać ich skubać. Jej usta, różowe i gładkie, odsłaniały białe, niepołamane zęby. Kiedy zobaczyłam jej twarz migającą na ekranie, pomyślałam, że jest lepszą wersją mnie. Taką, jaką pragnę się stać. Oto ideał artysty. Pędzel łagodzi rysy, gładko ukrywa niedoskonałości, delikatnie poprawia niedociągnięcia między jedną linią a drugą.

– Nastoletnia Emily Frost zniknęła bez wieści dokładnie miesiąc temu. Miejsce jej pobytu pozostaje nieznane. Rodzina ponawia apel o zgłaszanie jakichkolwiek informacji związanych ze zniknięciem Emily.

Wpatrywałam się w przebitki znajomych klifów, ich nazbyt wyraźnie zapamiętaną krawędź. Nikomu nie chciało się wtedy liczyć samobójców. Emily ostatni raz była widziana właśnie tam, na najwyższym punkcie wzniesienia.

– Mamo, jestem tutaj. To nie ja. Jakaś dziewczyna skoczyła z klifu – uspokoilałam ją i sięgnęłam po pilota. – Oni zawsze tak kończą.

– Chcemy tylko, żebyś wróciła do domu – powiedział jej ojciec, wpatrując się prosto w obiektyw. – Tęsknimy za tobą, Emily. Proszę, błagam, wróć do domu.

Zmieniłam kanał i znów poszłam spać.

Jeśli są jakieś dobre strony przeżycia cudem wypadku samochodowego – poza tą najbardziej oczywistą – to jest nią fakt, że nie trzeba chodzić do szkoły.

– Wrócisz, jak będziesz gotowa – powiedziała mama. Terapeuta pokiwał mądrze głową. Płatek śniadaniowy przykleił mu się do wąsów, na okularach miał tłustą smugę po odcisku palca. – Nie musisz robić nic na siłę. Daj sobie czas.

Więc dałam sobie czas: odpuściłam szkołę aż do egzaminów końcoworocznych, wybierając zamiast tego „edukację domową”. Testy odbywały się w wielkiej, cichej sali gimnastycznej. Siedziałam otoczona dawnymi szkolnymi znajomymi, którzy na mój widok zaczęli do siebie szeptać.

– Myślałem, że ona nie żyje – powiedział ktoś, wskazując na mnie palcem. Paznokiec miał obgryziony do krwi.

Już zdążyłam zaplanować sobie przyszłość, a przynajmniej zarysowałam ogólny szkic. Zamierzałam wyjechać, choć nie byłam pewna dokąd. Może zostałamby kelnerką w cichej kawiarni, gdzie interesujący goście opowiadaliby mi zachwycające kłamstwa. Albo znalazłabym pracę

w księgarni i otwierała drzwi do nowych światów przed znudzonymi dziećmi. Mogłabym być asystentką w galerii. Nauczyć się śpiewać albo grać na gitarze. Napisać książkę. Życie tykałoby cicho wokół mnie. Nie byłoby zbyt efektowne, ale nie potrzebowałam nic więcej. Wszędzie byłoby mi lepiej niż tutaj, w tym miasteczku poszarzałym od starych domów, gdzie niebo i morze sączą się człowiekowi prosto w serce, aż nieodwracalnie szernieje.

Kiedy jednak wróciłam do domu w dniu ogłoszenia wyników, mama czekała na mnie przy kuchennym stole. W pobielających dłoniach ścisnęła plik papierów.

– Oni też by tego dla ciebie chcieli – oznajmiła, wręczając mi podanie do Elm Hollow Academy, prywatnej szkoły dla dziewcząt na obrzeżach miasta. –

To prawdziwy przywilej – dodała. Przywilej zapewniony mi przez gigantyczne odszkodowanie zapłacone przez firmę transportową, której tir zmiądzzył nasz samochód.

Szkoła przywoziliła mi na myśl jedynie pozaklejane taśmą okna i przysadziste budynki o kruszejących ścianach, szarych nawet w pełnym słońcu. Prowizoryczne pomieszczenia, w których zawsze panował przenikliwy ziąb. Lustra w łazienkach zamazane sprejem i markerami. Gęsty, szlamowaty smród nastoletniego potu.

– Nie chcę – powiedziałam i wyszłam.

Mama nie próbowała się ze mną sprzeczać, zostawiła jednak papiery na stole. Leżały tam przez kilka tygodni, za każdym razem przyciągając mój wzrok lśniącymi zdjęciami na okładce szkolnej broszury. Widniały na nich potężne budynki z czerwonej cegły na tle nienaturalnie błękitnego nieba. Promienie słońca przebijały się przez perłowe chmury i opadały tuż za gotyckimi łukami. Czuć było w tym obrazku dekadencje, słodkie jak miód bogactwo. Wiedziłam, że to nie dla mnie, ale zerkałam na nie w słabym świetle kuchennej lampy, wciągałam w płuca zatęchłą wilgoć i wyobrażałam sobie, że to zupełnie inny świat.

Aż wreszcie – niechętnie, przynajmniej podczas rozmowy z mamą – zgodziłam się spróbować. Nasze rozklekotane volvo przeturlało się przez

bramy szkoły. Odwróciłam się, żeby pomachać jej na pożegnanie, ale ona – sądząc, że nikt jej nie widzi – wbiła wzrok w kierownicę. Twarz miała rozciągniętą w sztywnym, sztucznym uśmiechu, przetłuszczone włosy opadały jej na twarz. Odwróciłam się z grymasem. Czułam na sobie spojrzenie przechodzącej dziewczyny, zawstydzonej za nas obie.

Prędko ruszyłam w stronę szkoły, spoglądając na wysoką, błyszczącą w słońcu wieżę zegarową – campanilę, jak miałam zostać wkrótce poprawiona – inspirowaną czerwienią i kremową bielą swoich toskańskich kuzynek. Weszłam pod łuki prowadzące do głównego budynku. Uczennice siedziały grupkami na schodach i szeptały do siebie.

Zupełnie niezauważenie minęłam wszystkie dziewczęta i trzy razy powtórzyłam swoje nazwisko przysadzistej siwowłosej kobiecie, która wyglądała, jakby zeszła prosto z obrazu Botera. Przez chwilę przyglądała mi się pustym wzrokiem przez szybkę, mętną od odcisków palców i niepokojących zadrapań. Bez słowa przesunęła przez szparę plik papierów i wskazała na rząd siedzeń. Usiadłam i bezmyślnie zagapiłam się na niekończącą się listę zajęć pozalekcyjnych i programów dla zaawansowanych, które w najmniejszym stopniu mnie nie interesowały. Nagle przeszła obok mnie dziewczyna o rdzawych włosach. Po jej rajstopach pięły się starannie wyszarpane, długie oczka. Pomachała mi dwoma palcami i uśmiechnęła się, nie wyjmując z ust skręconego samodzielnie papierosa. Wpatrywałam się w nią do ostatniej sekundy, aż zniknęła w tłumie. Dopiero wtedy zdołałam przywołać na wargi słaby, zagubiony uśmiech.

Pewnie patrzyła na kogoś innego, pomyślałam. Kiedy jednak rozejrzałam się wokół, uznałam, że to mało prawdopodobne, skoro za mną była tylko ściana. Siedziałam oszołomiona wśród marmurowych popiersi i ponurych portretów dawno zmarłych dyrektorów, aż rozległ się dzwonek. Korytarze w jednej chwili opustoszały. Czekałam dalej, rozglądając się niepewnie. Zastanawiałam się, czy wszyscy o mnie zapomnieli.

Nagle usłyszałam skrzypienie drzwi i ktoś wywołał moje imię. Wstałam. Mężczyzna czekający w progu był wysoki, choć nie aż tak, by mnie

onieśmielić. Sweter pod tweedową marynarką nieco opinał mu się na brzuchu. Spoglądał na mnie zza okularów w rogowej oprawie. Jego skóra była woskowoblada, jak u kogoś, kto spędza za dużo czasu w zamkniętych pomieszczeniach. Przyjrzał mi się, zamrugał, odkaszlnął. Wyciągnął dłoń – palce miał krótkie, poplamione atramentem.

– Proszę, wejdz – powiedział łagodnie.

Przy biurku stał wysłużony szeroki fotel. Mężczyzna zdjął z siedzenia stertę książek i papierów, żeby zrobić mi miejsce. W gabinecie było ciepło, trochę duszno. Książki piętrzyły się wysoko pod grubym osadem kurzu, na ścianach wisiały średniowieczne ryciny w ramkach.

– Może herbaty? – zapytał.

Miałam wrażenie, że przyłapał mnie na gorącym uczynku. Przestałam się rozglądać, potrząsnęłam głową i zaczęłam skubać wystającą nitkę z brzegu płóciennej teczki.

– Dobrze, w takim razie zacznę od standardowego wstępu, a potem będziemy mogli się lepiej poznać – powiedział i usiadł za biurkiem. Nachylił się w przód, opierając łokcie na kolanach. Wziął głęboki oddech: poczułam ciężki, kwaśny zapach porannej kawy.

– Na początek chciałbym w imieniu całej kadry nauczycielskiej powitać cię w gronie uczennic Elm Hollow. – Zamilkł i popatrzył na mnie z zadowoleniem. – Jesteśmy małą szkołą o bogatej, prestiżowej historii. Wśród naszych absolwentek znajdują się liderki wielu różnorodnych dyscyplin świata nauki i sztuki. – Kolejna krótka pauza. Zauważyłam, że czeka na reakcję. Gdy przytaknęłam, podjął wypowiedź. Jego uśmiech wyglądał tak, jakby był skierowany do dobrze wytresowanego psa. – Nasza kadra składa się z wielu takich osób, a dzięki szerokiemu wachlarzowi zajęć teoretycznych i praktycznych nasze uczennice mają szansę podążyć ich śladem. Ja nazywam się Matthew Holmsworth i jestem dziekanem do spraw uczniów. Zajmuję się głównie historią średniowiecza, ale jestem też odpowiedzialny za dbanie o dobro uczennic, i oczywiście za witanie w naszym gronie nowych nabytków, takich jak ty. Możesz mi mówić

Matthew, choć radziłbym zwracać się do innych nauczycieli „panie profesorze” albo „pani profesor”, dopóki nie wejdziecie na pewien poziom zażyłości, choć jeśli mam być szczerzy, nie ze wszystkimi ci się to uda... Ja jednak wolę, żeby zwracano się do mnie po imieniu.

Znów przerwał, wziął wdech i się uśmiechnął. Odwróciłam wzrok. Podczas miesięcy, które nastąpiły po wypadku, przyzwyczałam się do ludzi patrzących na mnie jak na „tragiczny cud”, jakby szczerze zdumiewało ich moje istnienie. Mdlilo mnie od tego.

– Co cię do nas sprowadza, Violet? – zapytał, choć po tym spojrzeniu domyślałam się, że już zna odpowiedź.

– Muszę zdać maturę – odparłam głucho. Mój głos zmienił się w skrzekliwy pisk.

– Wspaniale. Świetnie. Słyszałem, że w zeszłym roku uczyłaś się w domu?
– Nachylił się nieco bliżej. Fotel zaskrzypiał cicho. Podniosłam głowę.

– Tak, ja... Tak.

– To imponujące. Na pewno jesteś z siebie dumna.

Skinęłam głową. Kolejne spojrzenie w moje papiery, ledwo zauważalnie uniesiona brew. Wiedziałam, że mimo nastoletniej apatii poradziłam sobie całkiem dobrze; lepiej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

– Widzę, że interesujesz się sztuką – ciągnął, widocznie postanowiwszy nie komentować ocen. Zarumieniłam się z zażenowania na myśl, że spodziewałam się czegoś więcej. Wstyd owinał mi się wokół żołądka i zacisnął w węzeł. – Mamy tu fenomenalny wydział humanistyczny. Program literatury angielskiej jest fantastyczny, a większość uczennic po kierunkach muzycznych trafia do akademii muzycznych w kraju i w całej Europie, więc jedno i drugie to świetny wybór. Może zainteresują cię też zajęcia z historii sztuki? Annabel prowadzi ostrą selekcję, ale mógłbym zasugerować, żeby spojrzała na twoje wyniki, jeśli jesteś zainteresowana...

Mówiąc to, gładził nieobecny ruchem szybką oprawionej akwaforty leżącej na biurku. Czarny tusz na kremowym papierze przyciągnął moją uwagę. Ilustracja przedstawiała kobietę na stosie, wpatrzoną w oczy wielkiej

przyczajonej bestii o powykręcanych rogach i rozpostartych szeroko skrzydłach. Za nią czyhały trzy gule, wyciągające ramiona ku jej szyi.

Zapadła cisza. Uświadomiłam sobie, że dziekan czeka na odpowiedź.

– To brzmi... świetnie.

– Doskonale – przytaknął z entuzjazmem supermarketowego świętego mikołaja. – Masz do mnie jakieś pytania?

– Mogłabym to obejrzeć? – odparłam natychmiast, sięgając po obrazek. W ostatniej chwili zorientowałam się, co robię, i zabrałam dłoń.

– To? Oczywiście. – Zawahał się. – Dotarł dziś rano. Chciałem zdobyć kopię tej ilustracji, odkąd rozpocząłem pracę w szkole.

Podał mi ramkę. Położyłam ją sobie na kolanach i nachyliłam się, by z bliska obejrzeć pióra i łuski bestii, jej wściekłe, dzikie ślepia, uśmiech sprzedawcy używanych samochodów. Płomienie oblizywały stopy kobiety i wznosiły się ku długim włosom spływającym jej po plecach.

– Margaret Boucher – powiedział po chwili. – Domyślam się, że zdążyłaś już poznać historię Elm Hollow, prawda?

Podniosłam wzrok.

– Czytałam broszurę.

– Nie, nie. Broszura to katalog sprzedażowy. Oczywiście zgodny z prawdą – dodał, uśmiechając się krzywo. – Ale to dość uładzona wersja. Większość nauczycieli dołącza do nas, bo zafascynował ich któryś z aspektów historii szkoły. To bardzo atrakcyjny grunt dla badaczy naukowych. – Dziekan zniżył głos do poufnego szeptu. – Moje zainteresowania na przykład skupiają się wokół procesów czarownic, które odbywały się w naszym mieście w siedemnastym wieku. Niewykluczone, że dokładnie tu, gdzie siedzimy.

– Mówi pan poważnie?

– O, jak najpoważniej. Ten wiąz, który minęłaś po drodze do szkoły, stoi w miejscu, gdzie je palono. – Wlepiłam w niego niedowierzające spojrzenie, ale on ciągnął dalej z nieskrywanym entuzjazmem. – Dawniej wierzono, choć chciałbym podkreślić, że to średniowieczny zabobon, a nie fakt, że ta przestrzeń stanowi żyzny grunt dla wszelkich czarodziejskich praktyk. Wiele

znanych podań ludowych ma swoje źródło właśnie tutaj, choć odwołania do Elm Hollow z czasem się rozmyły. Szkoła odwaliła kawał dobrej roboty, żeby zmienić sobie PR.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Przez kilkanaście lat to było prawdziwe szaleństwo. I co jakiś czas, tak przynajmniej mówią, od kiedy... Ale to nie moja dziedzina, w końcu jestem mediewistką. Zdarza się jednak, że zagląдают do nas różni ciekawscy liczący na audiencję z diabłem – zachichotał pod nosem i oparł się o krzesło. –

Zamiast tego natrafiają na panią Coxon w recepcji i prędko tracą zainteresowanie.

Nagle zakaszał, jakby zauważył, że trochę się zagalopował.

– Mniejsza z tym. Od dawna szukałem tej ilustracji. Owszem, to kopia, ale bardzo dobrej jakości. No, nieważne. Nie masz o co się martwić – dodał z uśmiechem. – Mamy do zaoferowania coś więcej niż tylko diabły i dzikie bestie. Może lepiej zajmijmy się twoim planem lekcji i zobaczmy, czego możesz się spodziewać.

Wysłałam z gabinetu dziekana z dziwnie pustym planem zajęć.

– Oczekujemy od uczennic, że wypełnią wolne godziny zajęciami, które pomogą im stać się wszechstronnie wykształconymi młodymi kobietami – wyjaśnił, dostrzegłszy moje zdumione spojrzenie.

Zapisałam się zarówno na praktykę sztuk wizualnych, jak i na estetyzm – zajęcia bardziej teoretyczne – a do tego na literaturę angielską i klasyczną, której moja poprzednia szkoła nie miała w ofercie. Uwielbiałam ten temat od dzieciństwa, kiedy tata czytał mi do snu opowieści o Meduzach i Minotaurach. Wybrałam maksymalną liczbę czterech przedmiotów – tylko tyle można było podjąć. Zastanawiałam się, co zrobię z całym tym wolnym czasem, który mi pozostawał. Wyobraziłam sobie swoją najbliższą przyszłość: samotną, zakopaną w stosach książek.

Korytarz ciągnący się w stronę wydziału literatury angielskiej – gdzie odbywały się zajęcia, na które byłam już spóźniona dobre dwadzieścia minut –

zdradzał prawdziwy wiek szkoły, choć w ścianach nadal można było doszukać się odrapanej godności, niemal melancholijnej pustki, jakby zostały wyciągnięte z głębokiej szczeliny w czasie.

Ani śladu druczianych koszyczków z broszurkami o edukacji seksualnej i cukierkowych, dzieciennych wycinanek z kolorowego papieru. Żadnych przedziałek z grubego szkła, wystaw modeli z *papier mâché*, porysowanych metalowych szafek i podłóg pokrytych linoleum z czarnymi smugami od podeszew. Zamiast tego szłam przez ciepły korytarz o niskim suficie, wyłożony wyślizganym dywanem. Po obu stronach ciągnęły się rzędy drewnianych drzwi, do których pod nazwiskiem wykładowcy przyklejono godziny dyżurów.

Było o wiele zbyt ciepło jak na wrzesień – wkrótce miałam się dowiedzieć, że ogrzewanie włączano jedynie od września do Bożego Narodzenia, więc przez pierwsze kilka miesięcy roku szkolnego musiałyśmy się pocić, a w drugim semestrze oglądałyśmy nauczycieli przez mgiełkę własnych oddechów.

Gdy stanęłam przed drzwiami, czułam już, że czoło pokrywa mi nieprzyjemna warstewka potu, a sweter klei mi się do skóry pod plecakiem. Zapukałam i zajrzałam do środka.

Wszystkie oczy skierowały się na mnie. Uczennice mierzyły mnie wzrokiem, próbując ocenić moje miejsce w naturalnym szkolnym porządku. Chwyciłam nieco mocniej za klamkę, palce mi poczerwieniały, potem zbieleły. Nauczyciel – profesor Malcolm, jedyny wykładowca, jakiego kiedykolwiek poznałam, który wymagał takiego tytułowania, choć nadal nie wiem, czy miał odpowiednie kwalifikacje – był przysadzistym, łysiejącym mężczyzną o dziwnie drobnych rysach. Miał małe nos, wąskie wargi i czarne ptasie oczy.

– Dzień dobry... Jestem nowa – powiedziałam nieśmiało.

– To siadaj i spróbuj się czegoś nauczyć – odparł, po czym odwrócił się do tablicy i podjął wykład, a ja przecisnęłam się między rzędami do wolnego miejsca. Zerkałam na ławki wokół, by z pootwieranych książek

i nabazgranych pośpiesznie notatek zorientować się, o czym mowa. – Blake mówi: „W ten sposób zapomnieli ludzie, że wszystkie bóstwa zamieszkują człowieka pierś” [3]. Jak nam się wydaje, co to może oznaczać?

Odpowiedziało mu milczenie. Westchnął głęboko. Podniosłam rękę. Kolejne westchnienie.

– Tak?

– Blake uważa moralność i religię za zbyt... zbyt ograniczające. Uważa, że to sprzeciwia się naturze człowieka. – Kiedy tylko zaczęłam mówić, uświadomiłam sobie, co zrobiłam. Zarumieniłam się wściekle. Cisza była chłodna i gęsta. Już wkrótce miałam się przekonać, że to nie jedyna broń w arsenale uczennic Elm Hollow.

Nauczyciel zmierzył mnie wzrokiem.

– A ty jesteś...?

– Violet – wyszeptalam. Moja zdrada zawisła ciężko w powietrzu. Profesor przyłożył dłoń do ucha.

– Co proszę?

– Nazywam się Violet – powtórzyłam nieco głośniej, skrzekliwie. On tylko skinął głową i wrócił do wykładu, a ja skurczyłam się na krześle.

– Człowiek to dziki, nierzadko prymitywny, seksualny twór – oznajmił wykładowca tonem, który brzmiał tak, jakby celowo zaprzeczał treści wypowiedzianych słów. Akcent za każdym razem padał w niewłaściwym miejscu. Rozejrzałam się po klasie, zaskoczona brakiem reakcji na wzmiankę o seksie, ale nikt nie wydawał się zainteresowany. Dopiero wtedy dostrzegłam dziewczynę, która minęła mnie wcześniej na korytarzu, tę o intensywnie rudych włosach. Siedziała trzy ławki dalej i też mi się przyglądała.

Wbiłam wzrok w biurko. Drewno rozcinały niezliczone żłobienia, układające się w imiona i wzorki. Kiedy wreszcie odwzajemniłam jej spojrzenie, uniosła brew i się uśmiechnęła. Poczułam, że za chwilę stanę się ofiarą jakiegoś żartu – kiedy jednak nie zauważyłam, żeby ktoś jeszcze mi się przyglądał, odważyłam się posłać jej niepewny półuśmiech, słabo udający nonszalancję.

Ona wskazała na wykładowcę i przewróciła oczami. „Palant”, powiedziała bezgłośnie i znów odwróciła się do tablicy. Zsunęła się nizej na krzesło i zaczęła skręcać papierosa nad puszką z tytoniem, którą trzymała na kolanach pod ławką. Nie drgnął jej ani jeden mięsień – jeśli nie liczyć zwinnych, prędkich ruchów długich bladych palców. Paznokcie pomalowane czarnym lakierem z widocznymi odpryskami zgrabnie zagarniały drobinki tytoniu.

Zatonęłam w rozmyślaniach. Lekcja była nudna, w powietrzu tężała niecierpliwość. Kiedy rozległ się dzwonek, byłam już prawie w transie. Wsunęłam zeszyt i długopis do plecaka i rozejrzałam się wokół. Miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, ale okazało się, że zostałam już zapomniana – moja obecność przestała wzbudzać zainteresowanie. Rudowłosa dziewczyna zniknęła.

Środowe popołudnia były zarezerwowane na zajęcia pozalekcyjne, a ponieważ ja żadnych nie miałam, spędziłam resztę dnia na odkrywaniu nowego kampusu. Wybrałam się na spacer wokół auli, gdzie chór ćwiczył właśnie jakąś urzekającą żalobną pieśń.

Przeszłam przez długie, wysoko sklepione korytarze wydziału sztuki. Uczennice kryły się w zaroślach i ćwiczyły obszerne monologi, a echa ich głosów krzyżowały się pod sufitem. Z pokoiów ćwiczeń dobiegały dźwięki fortepianów, te same pasaży płynęły wartkimi strumykami raz za razem, podczas gdy ciepły jesienny wiatr mierzwił korony drzew na zewnątrz. Liście spływały leniwymi łukami na trawniki. Dalej mam je przed oczami, sunące w powietrzu niczym wyciągnięte dłonie, słyszę ich chrzęst pod stopami. Ta scena i nastrój nadal są żywe w mojej pamięci. Gdy je wspominam, czuję na języku słodko-gorzki smak młodości, zapach bzów i lawendy. Cały kampus był idylliczny i urzekający.

A raczej prawie cały, z wyjątkiem stołówki. Nie bez powodu ta część szkoły nie pojawia się w broszurach ani w programach oprowadzania podczas wizyt rodziców. To podbrzusze szkoły, obskurne, lecz konieczne – jedno z niewielu miejsc na kampusie, w którym przedkłada się funkcję nad formę.

Zalana fluorescencyjnym światłem stołówka pobrzękiwała i syczała, w powietrzu unosił się mdlący zapaszek mięsa w wytopionym tłuszczu. Maszyny z przekąskami bez przerwy buczały i podzwaniały, wypluwając z przeszklonych trzewi kolejne opakowania słodyczy. Uczennice zbijały się w pęczniące grupki wokół stolików z laminatu, otoczonych tanimi plastikowymi krzeselkami. Wśród nich stała też zupełnie niepasująca do reszty stara drewniana ławka, przytaszczona kilka lat wcześniej z piwnicy na próbę jakiegoś przedstawienia. Teraz, dekady później, nadal tu stoi, tylko trochę bardziej popękana i wysłużona.

Przycupnęłam w kącie i obserwowałam nowe koleżanki z klasy wygłodniałym wzrokiem niczym obiekty badań antropologicznych – wprawdzie w poprzedniej szkole nie byłam zupełnie odizolowana od reszty, ale prawdopodobnie właśnie przez takie podejście trudno mi było zawierać przyjaźnie.

Zwróciłam uwagę na nonszalancję, z jaką poprzerabiały szkolne mundurki – uszyte z materiałów, które chyba zaprojektowano z myślą o tym, by jak najbardziej gryzły i drapały każdy skrawek ciała. Martensy w odcieniach czerni, czerwieni i brązu. Pastelowe spinki przytrzymujące potargane warkocze. Flanelowe koszule w kratę i dżinsowe kurtki zawiązane na biodrach. Aksamitne opaski, kolczyki, sznury koralików, srebrne łańcuszki – wszystko to sygnalizowało ukryte cechy osobowości i najróżniejsze tajemnice, których ja, ubrana zgodnie ze wszystkimi wymogami regulaminu, najwyraźniej w ogóle nie posiadałam. Poczułam się straszliwie nijaka. Ukryłam się jeszcze głębiej za książką (czytałam właśnie powieść, której rozmizdrzona główna bohaterka zaczynała mnie coraz bardziej irytować. Niedługo później porzuciłam lekturę i już nigdy do niej nie wróciłam).

Mimo to jednak nie zostałam zupełnie przeoczona. Czułam na sobie spojrzenia innych dziewcząt, choć za każdym razem, kiedy podnosiłam wzrok, patrzyły w inną stronę. Dosłyszałam też szept, niosący się od jednej grupki do drugiej: „Ona wygląda jak...”. Wyobrażałam sobie, jakie uszczypliwości kryją się na końcu tego zdania. Pewnie jakieś zwierzę z rolniczego inwentarza:

ciele, świnia, pies. Wieża zegarowa powoli przetaczała jedną minutę po drugiej, a szepty wzbierały na sile, stawały się głośniejsze, przechodziły w jadowity syk. Zaczerwieniłam się i zsunęłam niżej na krzesło, marząc, by rozpuścić się w powietrzu.

Zamrugalam gwałtownie, próbując odpędzić łyzy, i wbiłam niewidzące spojrzenie w słowa na kartkach książki. Nagle dostrzegłam trzy postaci przechodzące za wielkim oknem po przeciwnej stronie stołówki. Natychmiast wpadł mi w oczy błysk rudych włosów dziewczyny idącej obok uśmiechniętych koleżanek. Rozmawiały i kopały zasy świeżo spadłych liści.

Wyobraziłam sobie, że zaraz odwróci się i na mnie popatrzą. Miałam nadzieję, że dziewczyna znów pośle mi figlarny uśmiech. Poprawiłam się na siedzeniu, próbując nadać swojej pozie pozory nonszalancji.

Ona jednak się nie odwróciła. Odeszły i zniknęły w słońcu, i jeszcze tylko przez chwilę widziałam ich długie, proste cienie.

Rozdział 2

Studio było zasypane kremowym papierem. Pastelowe rysunki wypełzały z kątów jak snujący się nisko dym. Poczułam chłodny dotyk na łokciu, fioletowa plama wykwitła mi na rękawie.

Przez cały tydzień uczennice zajęć praktycznych wypełniły przestrzeń tak gęsto, że nie dało się przejść przez studio bez umazania mundurków różową i błękitną kredą. Nasze dłonie zostawiały pastelowe ślady po całej szkole: zielone odciski kciuków na książkach z biblioteki, brzoskwiniowe plamki na fiolkach w laboratorium, niebieskie motyle warg na kubkach po kawie i policzkach koleżanek. Płynęła z tego chyba taka lekcja (Annabel, nauczycielka rysunku i malarstwa, rzadko prowadziła nas ku oczywistym wnioskom – albo w ogóle jakimkolwiek wnioskom), że artystka zostawia swój ślad na wszystkim, czego dotknie. Dopiero wiele lat później pojęłam, jak głęboka prawda kryje się w tym stwierdzeniu.

Annabel przysiadła na biurku, machając nogami tuż nad ziemią. Te z nas, które chodziły też na jej zajęcia z historii sztuki, czekały ze wstrzymanym oddechem na pierwsze słowa. Nauczycielka była ubrana cała na czarno, srebrzyste loki spływały jej na ramiona. Wyglądała, jakby została wyciągnięta z innego świata. Nawet we wspomnieniach wydaje mi się pełna niewypowiedzianego autorytetu; władzy pozwalającej na uciszenie całego pomieszczenia jednym oddechem.

– Oscar Wilde – zaczęła wreszcie – opisywał estetyzm jako „poszukiwanie znaków piękna. To nauka o pięknie, przez które człowiek szuka współzależności sztuk. Mówiąc ściślej, to poszukiwanie tajemnicy życia”. I właśnie po to tu jesteśmy. Nie dajcie się zwieść. Może i jesteście młode, wydaje się wam, że macie nieskończenie wiele czasu, ale przekonacie się, oby tylko nie nazbyt późno, że to właśnie dla tych rzadkich chwil olśnienia warto żyć. To wy musicie je znaleźć i dostrzec. Im prędzej zaczniecie, tym bogatsze

będzie wasze życie.

Drzwi otworzyły się z cichym kliknięciem. Do sali weszła niska blondynka w szkolnym sportowym stroju, przeprasząc szeptem za spóźnienie. Zająła puste miejsce obok mnie, rzucając mi nieme „hej”. Bezmyślnie odwzajemniłam uśmiech, zaskoczona, że w ogóle ktoś się ze mną przywitał. Annabel posłała jej zimne spojrzenie, a dziewczyna, zawstydzona, spuściła wzrok.

– Powinnyście rozwijać estetyczny zmysł, uczyć się rozumieć, co jest piękne lub warte uwagi poprzez tworzenie własnej filozofii, własnej historii sztuki, która posłuży wam za wytłumaczenie waszych osobistych gustów i tego, jak przecinają się one z resztą życiowych doświadczeń. – Odchyliła się nieco w tył, wyciągnęła ramiona; jej srebrny wisiołek zamigotał w słońcu. –

To nie są zajęcia dla leniwych uczennic, które liczą na to, że będą sobie siedzieć i przez cztery godziny w tygodniu słuchać mojego gadania. Obawiam się, że będzie zupełnie na odwrót. Oczekuję od was wygłaszania własnych sądów i rozwijania własnego, subiektywnego spojrzenia na sztukę. Te z was, które uczęszczają też na moje zajęcia praktyczne – czyli większość grupy – powinny wykorzystać to jako okazję do rozwijania idei poza „granicami języka”, jak to nazywał Wittgenstein. Spodziewam się, że z biegiem czasu wszystkie zaznajomicie się z tą koncepcją.

Przez pokój przebiegł dreszcz ekscytacji. Nastolatki są cyniczne i mają skłonności do dramatyzmu, ale tylko najlepsi nauczyciele wiedzą też, że to grupa wyjątkowo podatna na ujmującą frazę, na zachętę do rozwijania własnych indywidualnych talentów. Może to banał, ale jestem pewna, że niejeden twórczy duch wyklął się za sprawą jednego przeblýsku inspiracji właśnie w tym wieku.

I rzeczywiście, w tej chwili wszystkie poczułyśmy się wypełnione potencjałem, choć żadna z nas nie wiedziała, kim był Wittgenstein (muszę przyznać, że nawet teraz moja wiedza o nim jest w najlepszym razie podstawowa – jego teorie są nieco zbyt ezoteryczne jak na mój gust) ani dlaczego miałyby istnieć granice języka. Nie przyszło nam też do głowy, że

grupka szesnasto- i siedemnastolatek może nie mieć odpowiednich kwalifikacji (delikatnie rzecz ujmując), by tworzyć własne teorie sztuki. Nie. Po takiej zachęcie ujrzałyśmy się w zupełnie nowym świetle, rozmigotanym od nieskończonych możliwości.

– Marie. – Annabel zwróciła się ku ciemnowłosej dziewczynie o rozpoznawalnym z oddali na stołówce piskliwym głose, w którym zawsze pobrzmiwało echo nerwowego śmiechu. – Podaj mi przykład dzieła, które uważasz za piękne.

– *Dawid* Michała Anioła – odparła pewnie dziewczyna.

– Dlaczego? – Annabel uśmiechnęła się krzywo, odsłaniając niemal białe dziąsła, gładko przechodzące w zęby.

– Bo stanowi symbol siły i piękna ludzkiego ciała.

Annabel nic nie powiedziała, tylko ziewnęła przeciągle w śmiertelnej ciszy.

– Naprawdę tak myślisz czy tylko papugujesz moje własne myśli? – spytała w końcu, nachylając się nad ławką Marie. Zdjęła kartkę, pod którą kryła się otwarta książka jej autorstwa o rzeźbiarstwie renesansowym. Dziewczyna zbladła i wlepiła w nią przerażone spojrzenie. – Może inni wykładowcy lubią, kiedy uczennice bezmyślnie powtarzają treści, w które sami nie wierzą, ale cały sens moich zajęć – oznajmiła, odwracając się plecami do uczennicy – polega na tym, żebyście mówiły to, co naprawdę myślicie, a nie to, co według was chciałabym usłyszeć. Ja już wiem, w co wierzę. Nie musicie mi o tym przypominać. – Annabel rozejrzała się po klasie, przeskakując wzrokiem z jednej twarzy na drugą. Kiedy jej oczy zatrzymały się na mnie, natychmiast poczułam ucisk w żołądku. – Violet.

– Tak, pani profesor?

Z nerwów oddech utkwiał mi czkawką w gardle. Annabel po raz pierwszy odezwała się do mnie wprost. Bił od niej dziwny blask, jakby w jej żyłach płynęło srebro zamiast krwi i rozświetlało ją od środka. Teraz, z perspektywy czasu, zastanawiam się, czy kiedykolwiek rzeczywiście była taka, jaką ją widziałyśmy, czy może same rzucałyśmy na nią ten blask, zmieniając ją w ten na wpół niebiański byt siłą własnego zachwytu. W chłodne dni – pełne

rozsądku, kiedy wszystko przesiąknięte jest cichą jesienną szarością – dzieją się rzeczy oczywiste. Może to zwykłe załamanie promieni gasnącego słońca.

– Violet – powtórzyła bez uśmiechu. – Powiedz: co byś wybrała?

Poczułam na sobie wyczekujące spojrzenia całej grupy. Marie przyglądała mi się nienawistnie, przenosząc na mnie całą złość, którą czuła wobec Annabel. Gorączkowo próbowałam wyłowić z pamięci coś, o czym czytałam, co widziałam, tytuły i nazwiska nagle wyparowały mi z głowy. Wreszcie udało mi się uchwycić obraz: roześmiane kobiety rzucające się wściekle na miasto daleko w dole; szatan o dzikich oczach, rozszarpujący zębami ludzkie kończyny.

– *Czarne obrazy* Goi – odparłam, czując, jak słowa szorstko zahaczają mi o język.

Annabel zakreśliła palcami kilka kółek w powietrzu, próbując wydobyć ze mnie coś więcej.

– Jest w nich coś... Coś takiego, co bardzo mi się podoba.

– Bardzo ci się podoba? – Nauczycielka uniosła brew. – Chyba potrafisz nieco pogłębić tę wypowiedź.

Serce zatłukło mi się w piersi.

Zobaczyłam je w książce, kiedy miałam pięć, może sześć lat, i poczułam dziwny dreszcz przerażenia. Mama niemal natychmiast wyrwała mi książkę z rąk, ale obrazy zapadły mi w pamięć. Lata później ukradłam album z antykwariatu – wstydziłam się przyznać, jak bardzo pociągają mnie okrutne grymasy na potwornej okładce. Trzy dni później, dręczona wyrzutami sumienia, wróciłam z naręczem starych książek ojca. Ten podarunek wielokrotnie przewyższał wartość skradzionego przedmiotu.

– Tu nie chodzi o samą estetykę – odparłam powoli. – On namalował je na ścianach swojego domu, tylko dla siebie. Wprawdzie Goya był znany ze swoich portretów, które są ładne, ale... No, trochę nieciekawe... – Wargi Annabel drgnęły w zachęcającym uśmiechu. – Kiedy był zupełnie sam, chciał malować te przerażające rzeczy, szatana pożerającego człowieka, popadanie w obłąd. To była ulga, której mógł szukać wyłącznie w samotności.

Nauczycielka pokiwała głową i odgarnęła srebrny lok za ucho. Miałam wrażenie, że odwróciła się nieco bardziej w moją stronę, jakby chciała lepiej dosłyszeć coś niedopowiedzianego.

– Zakładam, że znasz *Kiedy rozum śpi, budzą się upiory?*

Zbladłam.

– Słucham?

– Tę rycinę. Prawie z tego samego okresu.

– Och. Nie, nie widziałam jej.

– Poszukaj. Spodoba ci się. – Annabel odwróciła głowę. – Albo przynies reprodukcję na następne zajęcia. Omówimy ją w grupie.

Podjęła wywód, a ja poczułam na sobie czyjś wzrok. Próbowałam powstrzymać pokusę, ale nie dałam rady. Odwróciłam się. Rudowłosa dziewczyna obgryzała w zamyśleniu paznokiec kciuka, krzywiąc się, gdy kredowy pył osiadał jej na języku. Kiedy zorientowała się, że na nią patrzę, zaśmiała się, a ja zawtórowałam jej echem.

Po chwili znów przeniosłyśmy wzrok na nauczycielkę. Wprawdzie reszta zajęć rozpląnęła się we mgle, ale na samą myśl, że udało mi się zdobyć – choćby tylko na chwilę – aprobatę Annabel, czułam niewypowiedzianą ulgę.

Rozbrzmiał dzwonek. Zaczęłam się pakować, a rudowłosa i jej koleżanki otoczyły ciasnym wianuszkiem biurko Annabel, omawiając coś przyciszonymi głosami. Wysoka dziewczyna zerknęła na mnie i wymownie zniżyła głos do szeptu. Kiedy dotarło do mnie, że cała trójka czeka, aż wyjdę (a policzki zapłonęły mi szkarłatem), pośpiesznie zebrałam swoje rzeczy i ruszyłam ku drzwiom.

– Ej, czekaj – odezwał się ktoś. – Chcesz zapalić?

Ruda uśmiechnęła się do mnie przebiegle. Pozostałe dziewczęta – i Annabel – popatrzyły na mnie z kamiennymi twarzami, nieprzeniknionymi jak maski.

Nie paliłam, ale skinęłam głową. Później zarzekałam się, że zgodziłam się z zaskoczenia, a nie dlatego, że desperacko pragnęłam się z kimś zaprzyjaźnić.

Wyszliśmy na korytarz.

– No, to jak ci się podoba w Elm Hollow?

– Wydaje się w porządku. Jak na razie wszyscy są dość mili.

Dziewczyna pchnęła drzwi, wpuszczając orzeźwiający podmuch chłodnego powietrza. Poczułam, jak kropelki potu na moim czole stygną i wysychają. W milczeniu ruszyliśmy w stronę pomazanej graffiti palarni ukrytej za głównym budynkiem. Była oddalona od parkingu i niechętnych spojrzeń. Wiatr niósł echo pokrzykiwań z boiska; jaskółki krążyły nam nad głowami w kapryśnych chmarach, zatrzymując się i podrywając w inną stronę, jakby co chwila zmieniały zdanie.

– To skąd jesteś? – spytała, pstrykając kilka razy zapalniczkę, aż wreszcie potrząsnęła nią stanowczo. W końcu pojawił się płomyk.

– Wcześniej byłam w Kirkwood – wyjaśniłam. – Ale w zeszłym roku zostałam w domu.

– Miałaś edukację domową? – Uniosła wysoko cienką, narysowaną kredką brew. Pod makijażem widać było czerwone kropeczki.

– Tak jakby. W sumie to sama się uczyłam.

– No coś ty. Jak to?

– Bo widzisz... Mój tata zginął. W szkole powiedzieli, żebym dała sobie czas, więc...

– O, popatrz! – powiedziała wesoło. – Mój tata też nie żyje. – Zamilkła. – No wiesz, tak tylko mówię. Żebyś wiedziała, że rozumiem.

– Och, to okropne. Przykro mi.

– Nie, nie, spoko. Praktycznie go nie znałam. Mama mówi, że był trochę dupkiem.

– Och – bąknęłam. – To szkoda.

Ona tylko się uśmiechnęła i odwróciła wzrok. W świetle dziennym dostrzegłam jej piegi i długie rzęsy. Policzki miała oblane ceglastym rumieńcem od chłodu.

– Szlag – wymamrotała i skrzywiła się, widząc, że papieros zetlił się jej aż do koniuszków palców. Rzuciła niedopałek na ziemię i przydeptała go butem ze srebrnym czubkiem. W budynku rozległ się dzwonek. – Masz ochotę

spotkać się kiedyś po szkole? – spytała, zerkając na mnie.

– Spotkać?

– Tak, ciemniaku, spotkać. No wiesz, spędzić razem czas. W towarzystwie. Ze znajomymi.

Milczałam oszołomiona.

– Uznam tę ciszę za zgodę, bo każda inna odpowiedź byłaby niewyobrażalnie nieuprzejma. Widzimy się na przystanku. W piątek. Równy piętnaście po trzeciej. – Odwróciła się na pięcie i odeszła, nie dodając już ani słowa. Z trawnika poderwało się z trzepotem stadko wróbli. Stałam w miejscu, sparaliżowana tą rozmową.

To nie mogło być aż tak proste.

Nigdy tak naprawdę nie miałam przyjaciół, choć nie byłam też kompletnie osamotniona. Dryfowałam gdzieś na uboczu, jak ledwie dostrzegalna zawodniczka z ławki rezerwowych, podczas gdy koleżanki z klasy zmieniały nastoletni bunt w konkurencję olimpijską. Ja byłam zbyt nieśmiała, nerwowa, powolna. Po prostu snułam się za nimi i ścisnęłam mocno swoje książki, czując w kieszeni uspokajające terkotanie walkmana. Udawałam, że wcale mnie to nie obchodzi. Nie chodziło o to, że nie umiałam nawiązać rozmowy ani że byłam otwarcie nielubiana. Po prostu nie wiedziałam, jak się przekracza granicę między szkolną znajomością a przyjaźnią – jakby istniał jakiś sekretny, obcy mi szyfr albo znak, który należało zaprezentować, by dołączyć do wybranej grupki.

A teraz, zaledwie kilka dni po rozpoczęciu nauki w Elm Hollow – ja, nowa dziewczyna, która dołączyła później od reszty, niewyróżniająca się zachowaniem, ekscentrycznymi nawykami czy stylowym ubiorem – znalazłam koleżankę. Taką, która chciała się spotykać po lekcjach. Zastanawiałam się, czy mnie nie nabiera. W ciągu kolejnych kilku godzin zaczęłam w to wierzyć. Następnego dnia, gdy przechodziłam obok studia Annabel, nie zobaczyłam w środku ani nauczycielki, ani żadnej z dziewcząt.

Wreszcie nadszedł piątek. Ruszyłam w stronę przystanku, otoczona hordami uczennic, które skupiły całą uwagę na czymś innym i już zupełnie

mnie nie zauważały. Na pobliskim pagórku majaczyły w popołudniowym słońcu zarysy starego placu zabaw. Młodsze rodzeństwo odbieranych uczennic piszczało i bujało się na huśtawkach, młodsze dzieci biegały wokół zmęczonych rodziców. Wyobraziłam sobie wśród nich białą jak księżyc twarz mojej siostry. Znów stanęła mi przed oczami jej gumowata, spuchnięta buzia. Potrząsnęłam głową i rozejrzałam się w tłumie za Robin.

– Nie byłam pewna, czy przyjdiesz – powiedziała, chwytając mnie od tyłu za ramiona. Jej stwardniałe palce musnęły mi policzek.

– Dlaczego? – Stanęłam jak wryta. Od bardzo dawna nikt mnie nie dotykał, choć aż do teraz nie zdawałam sobie z tego sprawy. Przypomniały mi się obojczyki mamy, przyciśnięte do mojej szyi kilka dni po śmierci taty. To był ostatni raz.

– A nie wiem. Miałam wrażenie, że nie jesteś przekonana do tego pomysłu.

– O nie. Po prostu... – przerwałam z ulgą, słysząc pokrzykiwania grupki oczekującej na przystanku. Jakaś dziewczyna zaczęła tańczyć i wirować tak szybko, że zmieniła się w rozmytą plamę barw.

Wsiadłyśmy z przeredzającym się tłumkiem do ostatniego autobusu. Robin nadal trzymała mnie mocno za nadgarstek. Wsunęła się na siedzenie przy oknie i przycisnęła gitarę do kolan. Opadłam na miejsce obok niej i przysunęłam się blisko, gdy w środku zaczęło się robić ciasno od bladych kończyn i nieświeżych oddechów.

– No – odezwała się Robin, spoglądając na mnie przesadnie szeroko otwartymi oczami. – To skąd do nas przyszłaś?

– Z Kirkwood – powtórzyłam.

– To już wiem. Dobrze, inaczej. Opowiedz mi wszystko. Całą swoją historię.

Popatrzyłam na nią. Umysł miałam pusty, pozbawiony przeszłości, jakby ktoś wymazał mi pamięć.

– Nie... nie wiem – odparłam.

– Ciekawe – uśmiechnęła się. Wargi miała fioletowe od owoców morwy. Zauważyła, że się jej przyglądam, i podniosła dłoń do ust. – Jesteś stąd?

– Aha.

– No, to ma sens. Nuda, nuda, nuda. – Zamilkła i zmrużyła oczy. – Nie mówię o tobie, tylko o tym mieście. Jest nudne do bólu.

– Aha.

– Aha – powtórzyła, opierając się o siedzenie. – Dobra, spróbujmy inaczej. Zrobimy sobie mały test. Violet nic nie mówi, bo a) jest nieśmiała, b) ma mnóstwo niesamowicie interesujących rzeczy do powiedzenia, ale nie chce się nimi ze mną podzielić, albo c) wcale nie jest taką ciekawą osobą, a ja straszliwie pomyliłam się w ocenie. Dawaj.

– Nie c) – zapewniłam, choć natychmiast poczułam ukłucie niepewności. Kłamię, pomyślałam. Nie jestem ani trochę interesująca.

– No, a) i b) nie muszą się wykluczać. Więc jesteś ciekawa, tylko nieśmiała, i nie chcesz mi wyjawić swoich sekretów – stwierdziła Robin i uśmiechnęła się do mnie. – Niech ci będzie.

Gorączkowo rozglądałam się za innym, łatwiejszym kierunkiem rozmowy.

– Może spróbujmy na odwrót. Opowiedz mi o sobie.

– O mnie? Ja jestem szalenie interesująca. Fascynująca. Jak ucieleśnienie puszkii Pandory. Tylko że ja też nie lubię dzielić się informacjami za darmo – odparła, szczerząc zęby. – Więc chyba będziemy musiały trochę zwolnić tempo, co?

– Grasz na gitarze? – uśmiechnęłam się.

– Koszmarnie – przytaknęła, ściskając w palcach szyjkę futerału. – Ale przynajmniej fajnie z nią wyglądam, a to już coś.

– I bez tego jesteś fajna – wyrwało mi się. Zaczerwieniłam się. Nie chciałam wyjść na desperatkę, która ma potrzebę podlizywania się innym.

Ona tylko prychnęła z gorzkim rozbawieniem.

– No, to chyba pozamiatane. Jesteś jedyną osobą w tej szkole, która sądzi, że ja, Robin Adams, jestem fajna. A to bezsprzecznie awansuje cię na moją najlepszą przyjaciółkę. – Podała mi dłoń, a ja uścisnęłam ją w komicznie oficjalnym geście, który w tej zatłoczonej przestrzeni wydał mi się dziwnie intymny. – Oj, węź. – Trąciła mnie łokciem.

Autobus się zatrzymał, a my precyzyjnie się do wyjścia i stanęłyśmy na ulicy. Wiatr hulający wśród budynków niósł zapach morza. Nawet nie zauważyłam, że brakowało go na terenie szkoły. Niebo w ciągu naszej podróży zmieniło barwę z błękitnej na szarą. Zaczął siąpić drobny deszcz – tak delikatny, że nie dostrzegłam go, dopóki Robin nie osłoniła sobie głowy porzuconą gazetą. Wskazała drogę, mamrocząc:

– Nie ma mowy, żeby zepsuło mi fryzurę. – I ruszyła przed siebie.

Poszłam za nią do kawiarni, nieco na wyrost nazwanej International Coffee Company, skoro swój jedyny oddział miała w sypiącym się budynku przy cichej uliczce w zapomnianym przez świat miasteczku.

– Siemano, dziwki – oznajmiła głośno na powitanie.

Baristka – kobieta o czarnych włosach i wargach czerwieńszych niż skrzynka na listy, o skórze opalanej i zniszczonej słońcem jak stara torebka – pomachała w naszą stronę.

– Kawa? – zawołała.

Robin skinęła głową i podniosła w górę dwa palce, po czym zaprowadziła mnie na tył kawiarni, do grupki dziewcząt szepczących do siebie w boksie wyłożonym sprutą skórzaną tapicerką.

– To jest Violet – oznajmiła, mocno przyciskając kciuki do moich łopatek.

Dwie dziewczyny popatrzyły na mnie z obojętną ciekawością. Zachwiałam się, odzyskałam równowagę, uśmiechnęłam. Nic nie powiedziałam. Po chwili ta niższa – zielonooka o bladej, niemal przezroczystej skórze – odwzajemniła uśmiech i niepewnie pomachała papierosem, zachęcając, bym usiadła przy niej. Dzieliły herbatę z imbryka ewidentnie przewidzianego dla jednej osoby. Parował leniwie obok grubej książki w skórzanej oprawie.

– Ta cesarzowa wrednych suk to Alex – wyjaśniła Robin, siadając przy drugiej dziewczynie. Zarzuciła jej rękę na ramiona, a Alex natychmiast ją strząsnęła. Następnie skinęła chłodno głową i wróciła do zaplatania włosów w gruby, ciasny jak sznur warkocz. Przyglądała mi się spod opadających powiek. Oczy miała ciemne, prawie czarne.

– A ten cherubinek... – Robin uszczypnęła jej policzek palcem

wskazującym i kciukiem. Ścisnęła do białości. – To Grace.

Grace przewróciła oczami i podała papierosa Alex. Dym wił się między nimi. Robin przeniosła uwagę na koleżanki, a ja wcisnęłam się na miejsce obok Grace, która przesunęła się bliżej ściany, jakby chciała zachować odpowiednio duży dystans między nami.

Uśmiechnęły się do mnie blado i popatrzyły na Robin.

– Czy ty już... – zaczęła cicho Alex.

– Jeszcze nie. Na niektóre rzeczy warto trochę poczekać, co?

Kelnerka z brzękiem postawiła przed nami dwie duże kawy. Wokół filiżanek wykwitła niewielka kałuża. Płyn zaczął sunąć w moją stronę po prawie niedostrzegalnie przekrzywionym blacie. Prędko wytarła plamę fartuchem. Podniosłam głowę i zobaczyłam dziewczynę o takich samych wyrazistych rysach co kobieta za ladą, tylko dobre dwadzieścia lat młodszą.

– Hej, Dina – odezwała się Robin śpiewnym, kpiącym tonem. – Co słychać?

– Wszystko w porządku – odparła Dina, po czym odwróciła się i ruszyła prędko na zaplecze za barem.

– Walnięta katolka – wyjaśniła Robin, podsuwając mi kawę. – Jestem zaskoczona, że jeszcze nie rzuciła się na nas z różańcem.

– Ani nie zaciągnęła nas na stos – roześmiała się Alex.

– Mocą Jezusa Chrystusa wzywam cię, itepe, itede.

Szyderstwa Robin ściągnęły na nas ostrzegawcze spojrzenie kobiety za barem. Dziewczęta zniżyły głos do szeptu. Popijałam kawę, próbując powstrzymać grymas. Była gorzka i zostawiała suchą, smolistą warstwę na języku. Nie pierwszy raz piłam kawę – naczytałam się dość książek, by wiedzieć, że wszyscy ludzie, których podziwiam, uwielbiają ją i zamawiają wyłącznie czarną – ale podobnie jak przy wcześniejszych próbach, tym razem również smak ustąpił miejsca gorącym, postępującym prędko mdłościom, a serce zatłukło mi w piersi jak królik w pułapce. Mimo to kurczowo ścisnęłam filiżankę, pozwalając, by gorąca porcelana szczypała mnie w palce. Postanowiłam pozbyć się jej, gdy tylko dziewczyny zwrócą uwagę na coś

innego, choć prędko zorientowałam się, że udreńczona roślina stojąca tuż przy boksie jest z plastiku. Wyślizgane skórzane siedzenia, migoczące żarówki i zakurzone, spłowiałe od słońca obrazy na ścianach sugerowały to od samego początku.

– To co jeszcze masz w planie zajęć? – spytała mnie Grace. Alex i Robin zatoneły w jakiejś wielopoziomowej dyskusji, która już dawno przestała mieć dla mnie sens. Grace zdjęła celofan z na wpół zjedzonego lizaka. Jej oddech był słodki jak wata cukrowa.

– Angielski i literaturę klasyczną – odparłam.

Zmierzyła mnie wzrokiem tak prędko, że może tylko to sobie wyobraziłam.

– Annabel spodobało się, co powiedziałaś wczoraj na zajęciach. Ona chyba...

– Ej – przerwała jej Robin, nachylając się między nas. – To ważne.

Grace odsunęła się nieco w tył, jakby próbowała odzyskać zaburzoną równowagę przestrzeni.

– Co?

– Krew czy wiśnia?

Popatrzyłyśmy na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Szminka, tępe krowy. Jezu. Bardzo jesteście pomocne.

Alex trąciła Robin łokciem i wyciągnęła torbę spod stolika.

– Muszę lecieć.

– Ale jeszcze nie zdecydowałyśmy – zajęczała Robin, nie ruszając się z miejsca.

– Wkładasz tę czarną sukienkę? – spytała Alex.

– No.

– To weź czerwoną. Będzie robić wrażenie – odparła Alex, cmokając głośno. – No już, odwal się.

Robin wysunęła się z budki i oparła o stolik, wyciągając za siebie jedną nogę. Zabrała ją dopiero po kopniaku Alex. Dina o mały włos się o nią nie potknęła.

– Miło było... Szlag. – Alex się roześmiała. – Chciałam... Jeszcze raz, jak

ty masz na imię?

– Violet – podsunęła Robin. – To jest Violet.

– Okej. Miło było cię poznać, Violet.

Przytaknęłam, czując lekką urazę. Zapomniała, jak się nazywam.

– Ciebie też – odparłam.

Po jej wyjściu rozmowa toczyła się dalej. Robin z naszą pomocą wybierała kolor paznokci, długość rzęs i szkła kontaktowe w różnych kolorach na weekendową imprezę w akademiku jej chłopaka. Nadal kręciło mi się w głowie od kofeiny i dymu unoszącego się stale nad naszym boksem (dziewczyny bez przerwy dzieliły się jednym papierosem; chyba nie miały też drugiej zapalniczki, tylko tę prawie zużytą należącą do Robin). Postanowiłam uciekać, dopóki miałam wrażenie, że dobrze sobie radzę.

– To widzimy się w przyszłym tygodniu – powiedziały na pożegnanie, jakby moja obecność nie podlegała dyskusji. Na tę sugestię aż zarumieniłam się z wdzięczności.

Wróciłam okrężną drogą. Minęłam plażę, wsłuchując się w równomierny, łagodny morski szum. Z pawilonu na końcu mola niosło się zawrozczenie tenora. Na ulicach prowadzących do mojego domu samotni ludzie wpatrywali się w błękitnawe ekrany telewizorów. Wszystkie zasłony rozświetlał ten sam rozmigotany wzór. Pies sąsiadów zdążył obwąchać mi dłoń przez płot, zanim posiwiła kobieta przywołała go z powrotem.

– Dobry wieczór, pani Mitchell! – krzyknęłam uprzejmym tonem, którego używałam w rozmowach ze starszymi ludźmi.

Jej wnuk – przysadzisty chłopak o fryzurze na pazia i policzkach jak dwa jabłka, może rok starszy ode mnie – siedział przy oświetlonym oknie na piętrze. Białe ściany jego pokoju były oklejone plakatami z wizerunkami smoków i czarodziejów. Podniosłam głowę i uśmiechnęłam się do niego. Zaciągnął zasłonkę w tej samej chwili, kiedy pani Mitchell zatrzasnęła drzwi, nie oglądając się za siebie.

Rozdział 3

Przez cały weekend nie mogłam spać. Snułam się po korytarzach, oglądałam z mamą powtórki *Napisała: Morderstwo* o trzeciej w nocy, wiadomości o szóstej, siódmej, ósmej. Zdrapywałam nożem pleśń z chleba i robiłam nam tosty, jednocześnie ćwicząc w myślach rozmowy, jakie mogłabym prowadzić z dziewczynami (przy założeniu, że jeszcze mnie zaproszą). Wypracowałam sobie teoretyczną płaszczyznę porozumienia, na której nasze osobowości miały szansę się zazębić. Robiłam listy tematów, które mogłabym poruszyć, by sprawić wrażenie interesującej, błyskotliwej, albo jedno i drugie. Zapisywałam w dzienniku zdania, od których mogłabym zacząć rozmowę, i interesujące spostrzeżenia do wplecenia w dyskusję, po czym wyrywałam kartki, zażenowana tak oczywistą manifestacją desperacji.

Pod drzwiami wejściowymi znalazłam stos pleśniejących katalogów. Zrobiłam listę ubrań, które mogłyby upodobnić mnie do nich, i obmyśliłam makijaż, jaki by im się spodobał – zupełnie nie w moim stylu. Kiedy mama zasnęła, wybrałam numer i złożyłam zamówienie, podszywając się pod nią. Przez całą rozmowę nerwowo obdzierałam strzępki tapety przy schodach. Mama nie zauważyła.

W poniedziałek jednak żadnej z nich nie było w szkole. Wędrowałam od klasy do klasy i wyobrażałam sobie, że już za chwilę zobaczę je tuż za rogiem w anonimowym tłumie. Przeszłam przez boisko w nadziei, że dostrzegę Alex – zauważyłam jej imię na listach zawodniczek siatkówki i lacrosse. Zapuściłam się w przepastny labirynt bibliotecznych korytarzy w poszukiwaniu Grace. Zajrzałam też w okolice studia plastycznego, licząc, że może wpadnę tam na Robin. Nie przyznałabym się jednak do tego ani przed sobą, ani przed dziewczynami, które tak zawzięcie śledziłam. Mówiłam sobie, że tylko poznaję nowe miejsce, odkrywam szkolne zakamarki.

Kiedy czekałam przed klasą do angielskiego, zobaczyłam na tablicy cytaty

z Chaucera, zapisany krętymi literami. Do dziś go pamiętam:

„Widzicie, jaka jest siła wrażenia.

Człek nawet może umrzeć z urojenia,

Gdy wyobraźnię zgubna myśl omota” [4].

– Hej, nowa – rozległ się za mną śpiewny głos, ostro rozcinający ciszę.

Odwróciłam się gwałtownie. Ujrzałam przed sobą niską, drobną blondynkę, przyglądającą mi się uważnie. Była ubrana w szkolny strój sportowy. Bawiła się kawałkiem taśmy owiniętym wokół palców. Była ładna, choć wyróżniała się „senną” urodą. Miała ciężkie powieki, jak u lalki. Naszła mnie odruchowa ochota, żeby je zamknąć.

– Co tu robisz? – spytała z półuśmiechem, zdradzającym mieszankę uprzejmości i podejrzliwości.

– Tak tylko... Poznaję szkołę – odparłam, wykręcając palce. Dłonie zaczęły mi się pocić.

– Widziałam cię w zeszłym tygodniu z dziwadłami. To nie moja sprawa, ale... No, wydajesz się miła. Jeśli chcesz znaleźć tu jakichś przyjaciół, lepiej nie trzymaj się ich zbyt blisko.

– Dlaczego? – Byłam bardziej zaskoczona tym, że zostałam dostrzeżona, niż opinią na temat Robin i jej koleżanek. Sądziłam, że jestem niewidzialna, że rozpływam się w tłumie.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Przytaknęłam. Za drzwiami w głębi korytarza rozległ się stłumiony, nieco fałszujący sopran. Dziewczyna się skrzywiła.

– Okej, no dobra. – Przewiesiła plecak z jednego ramienia na drugie. – Kojarzysz Emily Frost?

Obróciłam to imię w myślach, spróbowałam chwycić za nitki wspomnienia. Kojarzyło mi się z czymś, ale nie miałam pojęcia, gdzie je słyszałam. Wzruszyłam ramionami.

– Gdzie wcześniej chodziłaś do szkoły?

– Do Kirkwood.

– Więc jesteś stąd. Musiałaś to widzieć w wiadomościach. To ta, co

odwaliała Richeya.

– Co odwaliała?

– Richeya. Zniknęła bez śladu, jak ten koleś z Manicsów ^[5]. Jezu, czy ty w ogóle coś czytasz? – Jej ton był dziwnie słodki, łagodnie strofujący. Pokiwałam głową. – W zeszłym roku wszystkie gazety o niej pisały. Wyglądała jak ty, tylko była... – Dziewczyna urwała. Zdjęcie Emily stanęło mi przed oczami. Już wiedziałam, co usłyszę. – Ładna. Ładniejsza.

– A, tak. Pamiętam. Ale...

– No. Okej. – Blondynka się ożywiła i podeszła bliżej. Usłyszałam szelest paczki chusteczek, poczułam chemiczny zapach clearasilu i dezodorantu. – Była najlepszą przyjaciółką Robin. Wszystko robiły we czwórkę. Aż wreszcie któregoś dnia się pokłóciły, przez jakiś tydzień nie rozmawiały i nagle: puf! Już jej nie było. Wszyscy mówią, że się zabiła, ale nigdy nie znaleziono ciała. Wiadomo, że kryje się za tym coś więcej. Wystarczy wspomnieć przy nich jej imię, natychmiast wstają i wychodzą. – Zniżyła głos. – No wiesz, gdyby coś takiego przytrafiło się mojej najlepszej przyjaciółce, chyba nie byłabym taka obojętna.

Spróbowałam rozciągnąć wargi w niezobowiązujący półuśmiech.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – spytałam wreszcie.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Trzeba się troszczyć o innych, to wszystko. Idziesz coś zjeść? A właśnie, jestem Nicky.

W ponurym zaduchu stołówki unosiły się chmury dziwacznych, sztucznych zapachów: kokos, lawenda, cytryna – wszystko to zupełnie nie na miejscu – a uczennice o ptasio chudych kończynach i nieskazitelnie białych zębach chichotały i gdakały do siebie. Dziewczyna siedząca obok mnie miała śmiech jak rzenie kucyka i martwe oczy żuka.

Mówiły prędko, rozmowa z łatwością przeskakiwała z tematu na temat. Gorączkowe szepty były pełne nieznanymi mi imionami, ale mimo to przytakiwałam, próbując dotrzymać im kroku. Dziewczyna naprzeciwko mnie malowała paznokcie. Z pędzelka powoli spływały krople barwy indygo. Inna

skrobała coś nieczytelnym pismem w notesie z okładką upstrzoną naklejkami. Nagle pomyślałam, że może byłabym w stanie się do nich dopasować.

Wtedy jednak je zobaczyłam. Robin, Grace i Alex szły powoli przez trawnik, tak samo jak pierwszego dnia. Cała trójka uśmiechała się z cichą satysfakcją. Wydawały się bez troskie i nieco dzikie jednocześnie. Włosy Robin płonęły w słońcu, pogryziony przez mole płaszcz przydawał jej nonszalanckiego szyku. Nienaturalnie blada Grace włożyła wielkie ciemne okulary, kryjąc wieczne cienie pod oczami. Alex szła w sztywno wykrochmalonej koszuli, kątem oka zerkając przez kampus.

– Uch – stęknęła Nicky. Siedziała z ramieniem przyciśniętym do mojego. – Co za dziwadła.

Wymamrotałam coś niezrozumiale, sugerując, że się zgadzam. Poczułam ukłucie zazdrości, gorycz wypełniającą usta. Wstałam, żeby odejść – zmyśliłam naprędce jakąś wymówkę, moje towarzyszki pokiwały głowami i posłały mi kilka obojętnych uśmiechów, po czym wróciły do rozmowy. Nicky ścisnęła mnie kościstymi palcami za nadgarstek.

– Idziemy potem na moło. Chcesz się przyłączyć?

– Nie mogę... Mam pracę domową.

Nicky jęknęła przeciągle.

– Wszystkie mamy pracę domową. No chodź, będzie fajnie.

Poczułam ostrą krawędź jej paznokcia na miękkim zaokrągleniu nadgarstka. Na chwilę ogarnęła mnie irytacja – najpierw wobec niej, potem wobec Robin i jej przyjaciółek za to, że mnie tu zostawiły.

– Okej, zobaczymy. Może. Spotkamy się na miejscu? – odparłam, siląc się na niezobowiązujący ton. Na widok jej uśmiechu ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, lecz zniknęły natychmiast, gdy tylko dziewczyny skrzyły za róg i zniknęły mi z oczu.

Uwolniwszy dłoń z kurczowego uścisku Nicky, spróbowałam jak najszybciej się ulotnić. Przeciskałam się przez grupki dziewcząt, które najwyraźniej nie zamierzały ustąpić mi miejsca (nie byłam nawet pewna, czy robiły to specjalnie, czy może aż tak prędko rozmyłam się w niewidzialnym

tłumie przeciętniaków). Wreszcie wypadłam na dwór. Chłodne powietrze uderzyło mnie w twarz, ale po Robin i jej przyjaciółkach nie pozostał już ślad. Kampus był niemal zupełnie opustoszały – tylko tu i ówdzie snuły się w parach dziewczęta omawiające jakieś wspólne sekrety. Szpaki skakały po wystających architrawach nad otwartymi drzwiami, co chwila śmigając w dół, by wyszarpnąć robaka z ziemi.

Nagle czyjeś dłonie chwyciły mnie od tyłu za twarz, niezgrabne palce zaatakowały oczy i policzki. Krzyknęłam. Po kampusie poniosło się echo rozbawionego rechotu. Odwróciłam się. Robin uśmiechała się przewrotnie, jej oczy były wielkie i lśniące jak u lalki.

– Chodź ze mną – nakazała, po czym odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

Stałam jak wmurowana.

– Mam jeszcze lekcje! – zawołałam za nią.

Spojrzała na mnie przez ramię. Zarumieniłam się gwałtownie. Przechodząca obok para dziewcząt odwróciła się w moją stronę, podchwyciwszy desperacką nutę w moim głosie. Serce tłukło mi w piersi tak gwałtownie, że pewnie nawet one to słyszały. Uśmiechnęłam się do nich, błagając w duchu, żeby przestały się na mnie gapić.

– Robin! – zawołałam, patrząc, jak odchodzi w stronę długiego szkolnego podjazdu. Nie zareagowała. Chyba w ogóle jej nie obchodziło, czy do niej dołączę.

Bez chwili namysłu – bez żadnych pytań, bez wahania, bez choćby najśłabszej iskierki poczucia godności – ruszyłam za nią. Zbiegłam ze wzgórza i wypadłam przez bramę. Campanila rozdzwoniła się ostrzegawczo za moimi plecami.

– No, dawaj. Weź jeden. Jeden. – Robin przycisnęła się do mnie ramieniem. Stałyśmy w jedynym prawdziwym sklepie z ubraniami, takim z muzyką pop sączącą się z niewidzialnych głośników. Gromadki rozchichotanych dziewcząt przebiegały między kabinami w przebieralni, parując po alejkach jak po

wybiegu.

– Nie mogę – syknęłam, zerkając na cukierkowe rzędy lakierów do paznokci. Etykiety pod spodem wydawały się zupełnie bez sensu, jak przeciwieństwo tego, co miały reprezentować: „pączek róży” pod trawiastą zielenią, „morska muszla” przy błękitach, „światło księżycy” na czarnym.

– To nic trudnego – szepnęła. – Pokażę ci.

Przesunęła dłońmi nad półką jak iluzjonistka ćwicząca magiczną sztuczkę. Zatrzymała się, jej palce na chwilę zawisły w powietrzu i chwyciły neonowożółtą buteleczkę. Jeden prędko, zgrabny ruch – i już jej nie było. Cały czas się przyglądałam, a mimo to nie potrafiłam stwierdzić, czy Robin schowała ją do kieszeni czy do rękawa.

– Widzisz? – Przeszła kawałek dalej, by obejrzeć szminki w lśniących opakowaniach, czarnych jak pancerzyki żuków. Stałam oszołomiona, czekając, aż nadejdzie ochroniarz i zaciągnie nas na zaplecze.

Nic się nie stało. Nikt nie przyszedł.

Poszłam za Robin do lady. Znow się zawahała i w zamyśleniu przygryzła wargę.

– W przyszłym tygodniu są moje urodziny – oznajmiła dobitnie. Wzrok miała utkwiony w czerwonej szmince. – Świetnie by wyglądała z moimi włosami, nie sądzisz?

– Kupię ci ją – zaproponowałam. – To żaden kłopot.

Miałam w kieszeni dwadzieścia funtów – całą tygodniówkę – ale znałam też dane do konta mamy i wiedziałam, że odszkodowanie z wypadku nadal tam jest, prawie nietknięte. Rzadko przychodziło nam do głowy, że mogłybyśmy mieć coś nowego, jakoś inaczej żyć. Więc trwałyśmy po staremu, na puszkach z dyskontów i mrożonych obiadach z mikrofalówki. Mamie to wystarczało.

Robin przewróciła oczami.

– Nieważne. Jeśli się boisz, to nic nie rób.

– Wcale się nie boję – odparłam bezradnie.

– No, to proszę – szepnęła, odwracając się, by obejrzeć

landrynkoworóżową koszulkę, której nigdy w życiu by nie włożyła. Rozglądała się czujnie spod opuszczonych powiek.

Położyłam drżącą dłoń na ladzie. Wybrałam jedną szminkę, potem drugą, oglądając je z – jak miałam nadzieję – nonszalancką obojętnością. Zaszczuta ekspedientka była zajęta wyjaśnianiem polityki zwrotów matce rozwrzeszczanego dziewięciolatka. Kiedy spojrzała w innym kierunku, ukryłam szminkę w dłoni i wsunęłam do rękawa.

Nagle poczułam na ramieniu ciężką dłoń. Wzdrygnęłam się gwałtownie.

– Dobra dziewczynka – pochwaliła mnie Robin. – Spadamy.

Z ulgą wciągnęłam chłodne uliczne powietrze. Przełknęłam ślinę, uświadamiając sobie, że wstrzymuję oddech od chwili, kiedy schowałam szminkę pod kurtkę. Kiedy zaczęłyśmy iść, Robin wyciągnęła lakier i podsunęła mi pod nos.

– Ja też mam coś dla ciebie.

Na widok niespodziewanego prezentu poczułam, jak ogarnia mnie fala ciepła.

Wyjęłam szminkę i dałam Robin. Wzięła ją w palce i otworzyła lusterko wyjęte z kieszeni – nie widziałam, żeby zabrała je ze sklepu – i nie zatrzymując się, rozprowadziła ciemną smugę na wargach. Przechodnie musieli wymijać ją w ostatniej chwili. Przechodząc, cmokali z irytacją.

– Jak wyglądam? – spytała i odwróciła się w moją stronę, wydymając usta.

– Olśniewająco – zaśmiałam się. To była prawda, przynajmniej według mnie. Robin chwyciła mnie za ramię i pocałowała w policzek z przesadnym, absurdalnym entuzjazmem.

– Teraz ty też jesteś piękna – powiedziała z szerokim uśmiechem.

Szminka rozmasowała się jej na wargach, drobne płatki czerwieni przyłgnęły do zębów. Czułam, że powinnam się roześmiać, ale nie potrafiłam; byłam zbyt oszołomiona. Maszerowałam obok niej chwiejnym krokiem, oniemiała i zaślepiona, ledwie słysząc, jak trajkocze o lekcjach, pracach domowych, których nie odrabia („dla zasady”, wyjaśniła, nie rozwijając, na czym owa zasada miałyby się opierać), i dziewczynach, których nie znosi. Ich

wykroczenia brzmiały w moich uszach jak instrukcje: oto rzeczy, których odtąd nie będę mówić ani robić.

Z perspektywy czasu to wydaje mi się idiotyczne. A jednak, mimo że kochałam i byłam kochana w ciągu dekad, które nadeszły później, żadne zauroczenie nie mogło się równać tej odurzającej intensywności pierwszych kilku tygodni z Robin.

Chciałam poznać wszystkie jej sekrety, a ona równie mocno pragnęła odkrywać mnie. Każda wspólnie spędzona chwila zostawiała w nas ślad, jakby nasze zakończenia nerwowe ścierały się i przesyłały impulsy między jedną a drugą. Dzieliłyśmy wielkie i małe doświadczenia, godzinami przesiadywałyśmy pod drzewami zrzucającymi czerwone liście, płonące w jesiennym słońcu. Czasami myślałam o Emily Frost. Pytanie podchodziło mi do gardła – czy to dlatego mnie tak polubiłaś? – ale zawsze odpędzałam je od siebie. Świadomie spychałam te słowa w niepamięć i uznawałam zainteresowanie Robin za wyłącznie swoją zasługę. Poruszałam jakiś nowy temat, dzieliłam się jeszcze jedną tajemnicą.

Teraz ta gorączkowa intensywność wydaje mi się niemożliwa – jak można odczuwać tak deliryczny zachwyty drugą osobą? Może to kwestia wieku. Z czasem uczucia przygasają, nie iskrzą już tak jasnym blaskiem jak kiedyś. Gdy jednak myślę o Robin, o tych wczesnych dniach, kiedy nasza przyjaźń była jeszcze świeża i nieznajoma, czuję, jak coś wzbiera mi głęboko w piersi, odległe echo tych odurzających dni, gdy wbiegałyśmy do smaganych deszczem knajpek z rybą i frytkami albo dzieliłyśmy się jednym lodem w wafelku podczas spacerów na promenadzie, śmiejąc się z posiwiałych starych kobiet i wrzeszczących dzieci – wydawały nam się takie głupie, gorsze od nas. Zasługiwały wyłącznie na naszą pogardę. Paliłyśmy samodzielnie skręcane papierosy i gasiłyśmy je w piasku, a odpadki lata – puszki, fałszywe szmaragdy z potłuczonych butelek – chrzęściły nam pod stopami. Piłyśmy słodkie alkoholowe koktajle ze szklanych butelek, podważając kapsle na metalowych, pomazanych graffiti krawędziach siedzeń w autobusach. Każdy oddech, każda chwila miały w sobie iluzję blasku i dekadencji, tylko dlatego,

że były nasze – my dwie w naszym własnym, zradykalizowanym świecie, jak gwiazda zapadająca się w siebie, by eksplodować w ciemności zachwycającym światłem.

Oczywiście wtedy, kiedy szłyśmy przez molo i prowadziłyśmy nieśmiałą rozmowę, nawet nie potrafiłam sobie tego jeszcze wyobrazić. Zachodzące słońce nasączało morską wodę krwawym blaskiem. Nagle usłyszałam znajomy głos i zobaczyłam Nicky, biegnącą w naszą stronę. Robin stęknęła z irytacją, ale ja klepnęłam ją w ramię.

– Ćśśś – syknęłam, przyłapaną na kłamstwie, czując, jak rumieniec wypełza mi na policzki.

Wspomniałam Robin o zaproszeniu Nicky – przyznaję, że chciałam wzbudzić w niej zazdrość, choć wydawało mi się, że odniosłam zupełnie przeciwny skutek. Powiedziała, że mam szczęście, wielkie szczęście, że ktoś postanowił mnie przed nią uratować. Jej nienawiść do Nicky była pełna jadu i przejrzysta jak kryształ.

A przecież – uświadomiłam sobie na widok Nicky – to właśnie Robin zaproponowała, byśmy tu przyszły.

– Co słyhać? – spytała Nicky, podchodząc bliżej.

Trzymała w ramionach ogromnego pluszowego misia (a może kota; był tani i kiepskiej jakości, więc mogłam się pomylić). Zauważyła, że się na niego gapię.

– Ben – odwróciła się i wskazała na wysokiego, opalonego chłopaka w koszulce piłkarskiej, czającego się kilka kroków za nią – wygrał go dla mnie. Słodkie, co?

– Jeśli kręcą cię takie rzeczy – wymamrotała Robin.

Nicky zignorowała ją i popatrzyła na mnie.

– Idziesz na imprezę w piątek?

Posłała Robin niechętnie spojrzenie, odwzajemnione z równą siłą.

– Jaką imprezę? – spytałam.

– Pewnie, że idzie – oznajmiła Robin w tej samej chwili. Roześmiałyśmy się z zakłopotaniem.

– Super – odparła Nicky, udając, że tego nie zauważyła, choć na jej wargach zatańczył cień uśmiešku. – A, jeszcze jedno – dodała, w jednej chwili przybierając poważny wyraz twarzy. Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. – Chciałam zapytać... Z Grace wszystko w porządku?

Poczułam ucisk w żołądku. Zerknęłam na Robin.

– Eee... Nie widziałam jej dzisiaj. A dlaczego pytasz?

– Bo Stacey... Znasz Stacey, tę z drużyny lacrosse? Na meczu w zeszły piątek złamała palec. To okropnie zły moment, bo będziemy jej potrzebować w zespole, kiedy będziemy grać...

Poczułam, że jestem wciągana w długą, złożoną historię szkolnej drużyny lacrosse. Przytaknęłam obojętnie, czekając, aż wróci do tematu.

– Mniejsza z tym – skończyła wreszcie Nicky. – Wylądowała na pogotowiu. I mówi, że widziała Grace w poczekalni razem z Alex. Ponoć Grace wyglądała, jakby uderzył w nią autobus.

– Nic jej nie jest – ucięła Robin. Zapatrzyła się na mewy rozcinające powietrze, nurkujące prosto na niepodświadomym niczego turystów, snujących się po plaży z paczkami i frytkami owiniętymi w gazetę.

– No nie wiem... Zakrwawiony nos, podbite oko... Nie żeby dało się to od razu dostrzec pod taką warstwą makijażu. Wielka szkoda. Ma taką ładną buzię.

Pokręciłam głową.

– Nie rozmawiałam z nią. Nie miałam pojęcia, że coś się stało. A ty? – Odwróciłam się ku Robin.

– Nie – odparła, przenosząc wzrok na szczeliny między szerokimi deskami mola.

– Sądziłam, że może będziecie coś wiedziały. Jodie – ta z klasy wyżej, z krótkimi włosami, co wygląda jak lesbijka – spytała dziś rano Alex, czy Grace dobrze się czuje. Alex odparła, że nie wie, o co jej chodzi. Trochę dziwne, co? To znaczy, o ile w ogóle tam była. A musiała być, bo przecież Stacey nie kłamałaby w takiej sprawie.

Wzruszyłam ramionami, choć krzywe spojrzenie Nicky powiedziało mi, że

moja próba zamarkowania nonszalancji się nie powiodła.

– Dam ci znać, jeśli się czegoś dowiem – powiedziałam w końcu.

To chyba ją zadowoliło. Uśmiechnęła się i podeszła, by pocałować mnie w policzek – gest zapewne podpatrzony u Robin (choć nie mogłam być tego pewna). Jej wargi dotknęły dokładnie tego samego miejsca, które wcześniej znaczyła szminka mojej nowej przyjaciółki, i już jej nie było. Ruszyła w stronę miasteczka, ciągnąc za sobą chłopaka, a my dwie skierowałyśmy się w milczeniu w stronę morza.

Kiedy doszłyśmy do barierki z widokiem na rozległą nicość, Robin wreszcie się odezwała:

– Jej ojciec jest psychiczny.

Chwyciła się barierki i wychyliła na kilka sekund w tył, po czym wróciła do pionu.

– To znaczy ojciec Grace. Dlatego zawsze łązi taka posiniaczona.

Popatrzyłam na nią, czując wzbierające mdłości.

– Bije ją?

– No.

– Och – westchnęłam. – Nie mogłybyśmy...

– Mówi, że to nie nasza sprawa. Nie chce o tym rozmawiać. Nigdy.

– Och – powtórzyłam bezradnie. Zapadła cisza, przełamywana jedynie trzepotem i skrzeczeniem krążących nad nami mew i szumem fal. – Gdzie jest ta impreza? – spytałam w końcu, desperacko pragnąc wypełnić czymś milczenie.

Współczułam Grace, naprawdę, ale nie mogłam przestać myśleć o pierwszym pytaniu Nicky. Robin ani razu o tym nie wspomniała, i gdyby nie Nicky, pewnie tak by zostało.

– Mój chłopak robi przyjęcie halloweenowe – wyjaśniła. – Powinnaś go poznać. – Z zamyśleniem odgryzła skórkę przy paznokciu i wypluła ją do wody. – Będzie mnóstwo chłopaków z jego akademika. Może też sobie jakiegoś znajdziesz.

– Halloween jest za tydzień.

– No i?

– Nie mam kostiumu.

– Nie będzie ci potrzebny. Przyjdź w tym, co masz teraz na sobie. Nikt nie zauważy różnicy.

Rzuciłam w nią kapslem. Wiatr poniósł drobinki piasku.

Nigdy nie miałam chłopaka, nigdy nawet żadnego nie pocałowałam. Nie byłam pewna, czy w ogóle bym chciała. Przypomnieli mi się niechlujni, głośni chłopcy z mojej dawnej szkoły, zawsze chętni szarpać i obmacywać dziewczyny, które im na to pozwalały, które ich zachęcały, które opowiadały sobie nawzajem wielowątkowe historie o tym, kto kogo kocha i jak się rucha. Miałam wrażenie, że to wszystko wymagałoby dużo wysiłku, nawet gdyby któryś z nich zwrócił na mnie uwagę (co oczywiście nigdy się nie wydarzyło).

Mimo to perspektywa nocy z Robin w dojrzałszym – jak sobie wyobrażałam – i bardziej wyrafinowanym towarzystwie studentów z uniwersytetu była zbyt kusząca, żeby odmówić.

– Już nie mogę się doczekać – oznajmiłam, patrząc, jak ostatni odprysk słońca znika za horyzontem. Wiatr niósł ku nam pierwsze smugi nocy.

Uniwersytet znajdował się po drugiej stronie miasta, tylko kilka kilometrów od Kirkwood – i nie miał w sobie nic z przepychu kampusu, do którego zdążyłam już nieco przywyknąć (choć nawet teraz nie jestem całkiem obojętna na rozbłysk wieczornego światła za campanilą czy deszczową mgiełką połyskującą na zaśnieżonej kopule w chłodne wiosenne dni). Ledwo zdawałam sobie sprawę z jego istnienia i nawet nie myślałam o nim jako o uniwersytecie. W miasteczku wszyscy mówili na niego „stara polibuda” albo „college” i ja też nigdy nie odnosiłam się do niego inaczej.

Budynek – cały z gabionów i *béton brut* – na swój sposób robił wrażenie. Jego szarość przechodząca w czerń pasowała do naszego miasteczka; jego brzydota wydawała się intencjonalna, wręcz agresywna. Jego wieża wgrzyzła się na stałe we wspomnienia z mojego dzieciństwa: samotna i wszechobecna, jedyny wysoki budynek w całym mieście. Była szeroka i przysadzista,

z kładkami łączącymi jej dwie połowy jak szczeble drabiny opartej o niebo. Liście smętnie zwisały z drzew lub chrzęściły nam pod nogami, drapiąc chodnikowe płytki. Niebo było szare i nabrzmiałe od mgły, słowa unosiły się w chłodnym nocnym powietrzu.

Kiedy spotkałyśmy się na słabo oświetlonej pętli autobusowej, wśród plastikowych wiat dygoczących na wieczornym wietrze, Robin zarzuciła mi ramiona na szyję w geście przesadnej serdeczności.

– Wyglądasz niesamowicie – powiedziałam z twarzą wciśniętą w jej ramię. Popatrzyła na mnie spod szerokiego czarnego randa kapelusza czarownicy.

– Wiem – odparła, robiąc krok w tył. – A ty... Za co się przebrałaś?

Pociągnęłam za swój jaskrawoczerwony płaszcz.

– Za Czerwonego Kapturka – odparłam, rumieniąc się gwałtownie. Już wiedziałam, że to głupi, dziecinny pomysł.

Robin się roześmiała.

– Okej, zanim dodam coś jeszcze: jesteś urocza. – Każde jej słowo było podszyte sarkazmem. – Ale to impreza dla dorosłych. Musisz się odpowiednio prezentować. – Pociągnęła mnie na zimne metalowe siedzenie obok siebie i zaczęła przetrząsać zawartość torebki, przygryzając w zamyśleniu wargę umazaną czarną szminką.

Przechodzący obok dziadek, śmierdzący potem i na wpół przetrawionym alkoholem, zatrzymał się, żeby popatrzeć. Robin chwyciła mnie pod brodę, nakazała zamknąć oczy i się nie ruszać. Nie wiem, jak długo bezdomny stał przy nas, ale jego zapach unosił się w powietrzu jeszcze przez dobrą chwilę. Siedziałam posłusznie i czekałam, czując, że jestem obserwowana. Wystarczył jej dotyk, pewność, z jaką rozprowadziła mi na twarzy podkład, delikatnie roztarła cień na powiekach. Ten lekki śmiech, z jakim poinstruowała mnie, żebym wydeła wargi, jej oddech na mojej skórze, gdy nachyliła się, by pomalować mi usta... Nieważne, kto mnie widzi, pomyślałam. Nic mnie to nie obchodzi.

– Proszę – oznajmiła wreszcie. – Jak ci się podoba?

Otworzyłam oczy i zamrugałam, oślepiąona światłem. Przejechał autobus.

Dostrzegłam swoje odbicie w szybach przystanku. Oczy miękko obrysowane rozmazaną czarną kredką wydawały się większe i spoglądały z wyrazem, który nie należał już do mnie. Wargi wypełnione soczystą czerwienią. Cień pod kośćmi policzkowymi.

Wyglądałam zupełnie nie jak ja, jakby Robin wciągnęła mnie w nową tożsamość. Zatrzepotałam powiekami, aż nagle przeszedł mnie dreszcz: rozpoznałam tę twarz. Moje rysy wydawały się pełniejsze, żywsze. Wyglądałam jak Emily Frost, spoglądająca z poszarpanych przez wiatr i deszcz zdjęć rozklejonych w całym mieście.

– Podoba ci się? – spytała Robin, też przyglądając mi się w szybie.

– Wow – odparłam tylko. Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym dodać.

Trajkotała przez całą drogę na kampus, ledwo robiąc przerwy na oddech. Przeskakiwała z tematu na temat. Opowiadała mi o swojej młodszej siostrze, której obsesja na punkcie jakiegoś serialu sprawiała, że Robin była zmuszona słuchać dialogów przez ścianę w środku nocy. O tatuażu, który zamierzała sobie zrobić – narysowała go „pięćdziesiąt tysięcy razy”, ale to nadal nie było to. O horrorze, który obejrzała jakiś czas temu – nie pamiętała tytułu, ale zwróciła uwagę na scenę z kobietą rąbaną przez zabójcę na kawałki. Robin uznała ją za „fundamentalnie nierealistyczną”, bo „oczywiście powinno być o wiele więcej krwi”. Rozważałam opowiadanie jej o wypadku i dziwnym braku krwi na miejscu katastrofy (przynajmniej w mojej pamięci), ale nie mogłam znaleźć słów. Wyznałam jej prawie wszystko, ale o tym nigdy nie wspomniałam. Nie chciałam, żeby się nade mną litowała. Zależało mi tylko na tym, by stać się taką dziewczyną, za jaką ona mnie uważała. Nie zniosłabym żadnej alternatywy.

Gdy stanęłyśmy pod wieżą, usłyszałyśmy głosy i muzykę ryczącą z otwartego okna kilka pięter wyżej. Robin chwyciła mnie za rękę i weszłyśmy przez drewniane drzwi do nijakiej recepcji. Za maleńkim okienkiem – otoczonym ze wszystkich stron przez wulgarne graffiti i zbezczeszczone pocztówki – siedział ochroniarz.

– Dobry wieczór paniom – powiedział. – Studiujecie tu?

– Naprawdę nas pan nie kojarzy? To ja! Robin. Dziesiąte piętro.

Mężczyzna wzruszył ramionami i znów przeniósł obojętny wzrok na ekran.

– Nie wierzę, że to zadziałało – wyszeptalam, gdy weszliśmy do windy. Robin zaczęła poprawiać makijaż przed lustrem, brudnym od kurzu i odcisków dłoni. Ktoś napisał na nim szminką „JEBAC TORYSÓW”.

– Nic wielkiego. A gdyby nie chciał nas wpuścić, któryś z chłopaków przyszedłby nam na ratunek – dodała, teatralnie puszczając do mnie oko. Po wszystkim, co usłyszałam przez ten tydzień od Alex i Grace, miałam podstawy wątpić w możliwości Andy’ego, ale postanowiłam trzymać język za zębami.

Winda zadygotała i zatrzymała się z szarpnięciem na ósmym piętrze.

– Dalej nie jedzie. Impreza jest na dziesiątym. – Robin kopnęła drzwi raz, drugi. Wreszcie otworzyły się z jękiem i wyszliśmy na ciemny korytarz. Powietrze było kwaśne od natarczywego zapachu wilgotnych ubrań i rozlanego piwa.

Szłam kilka kroków za nią, zatrzymując się co chwila, by obejrzeć jaskrawe plakaty i zdjęcia poprzyklejane do drzwi. Nagle zauważyłam plakat z Glastonbury sprzed dwóch lat. Lista zespołów była zapisana tak drobnym drukiem, że musiałam się nachylić, by ją przeczytać. W tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie. Odskoczyłam w tył, a Robin natychmiast się odwróciła.

W progu stał wysoki, patykowaty student. Włosy miał rozczochrane, jakby coś właśnie wyrwało go ze snu, choć to nie było zbyt prawdopodobne, wzięwszy pod uwagę huczącą nad nami muzykę (po rozpoczęciu studiów przekonałam się jednak, że człowiek rzeczywiście może zasnąć w każdych warunkach, jeśli tylko ma dość obowiązków do zignorowania).

– Co to ma być? – ziewnął.

– Siemanko – odezwała się natychmiast Robin. Wyciągnęła ku niemu dłoń w geście półironicznej uprzejmości, z którą potrafiła rozładować nawet najbardziej napięte sytuacje. – Robin Adams, bardzo mi miło. To jest Vivi. Idziemy na imprezę, chcesz się przyłączyć?

Chłopak przez chwilę wpatrywał się bezmyślnie w jej dłoń, zamrugał kilka razy, by odpędzić resztki snu.

– Zapraszasz mnie na imprezę w budynku, w którym mieszkam?

– No, mój chłopak ją organizuje, więc technicznie rzecz biorąc, jestem gospodynią. Tak jakby. A to znaczy, że mogę przyprowadzić, kogo chcę. Nawet takich, co mieszkają kilka pięter niżej i gardzą oficjalnym zaproszeniem. I się nie przedstawiają. No wiesz, z imienia.

Student zerknął na mnie, tylko na ułamek sekundy, i znów popatrzył na Robin.

– Jestem Tom – odparł z uśmiechem, nadającym jego twarzy niemal wilczych rysów. Było w nim coś atrakcyjnego, choć nie potrafiłam tego nazwać. Kiedy wreszcie uściśnął dłoń Robin, poczułam ukłucie zazdrości.

– Szalenie mi miło – odparła kokieteryjnie. – No, my idziemy. Jeśli chcesz, możesz się przyłączyć, a jak nie, to nie. Twój wybór. – Odwróciła się i ruszyła przez korytarz. Poszłam za nią. Kiedy zerknęłam za siebie, zobaczyłam, jak Tom opiera się o framugę, nadal lekko oszołomiony po tym spotkaniu. Pomachał; odwróciłam się i pobiegłam za Robin. Policzki miałam czerwone ze wstydu.

– Bajerant, co? – odezwała się, kiedy weszłam na dziesiąte piętro. Siedziała na poręczu. Pod nią zionęła kilkudziesięciometrowa przepaść.

– Wyglądał, jakby dawno się nie kąpał.

– To student. Oni wszyscy tak wyglądają – roześmiała się Robin. – Boże, jeśli on ci się nie podoba, to poczekaj, aż zobaczysz Andy’ego.

Nie pomyliła się. Kiedy wreszcie dotarliśmy na miejsce – po długiej, zapętlonej rozmowie ze studentem o przekrwionych oczach, siedzącym na podłodze przed drzwiami – poznałam Andy’ego. Był chudy i modliszkowaty, niechlujne dredy lepiły mu się do białych, pryszczatych pleców, spoconych od śmierdzącego zaduchu. Siedział na jednoosobowym łóżku w zaskakująco dużym pokoju i moderował dyskusję. Jego głos przewiercał powietrze mimo głośnej muzyki. Otaczało go ze dwadzieścia osób, podających sobie rozżarzone jointy.

– Nie mówię, że Ayn Rand nie jest problematyczna – oznajmił z emfazą. – Ale w niektórych jej ideach kryło się ziarno prawdy. Po prostu trzeba mieć dość otwarty umysł, żeby to zauważyć. – Nagle chwycił go chrapliwy, suchy kaszel. Robin usadowiła się obok i poklepała go łagodnie po plecach. Przyciągnął ją do siebie i zatonęli w odrażająco długim pocałunku. Po chwili Andy przerwał, zaciągnął się jointem i wpuścił dym prosto do otwartych ust Robin, która odwróciła się do grupy i ku mojemu przerażeniu wskazała na mnie palcem.

– To jest Vivi – oznajmiła.

– Cześć, Vivi – odparli jak zahipnotyzowani.

Vivi, pomyślałam, machając do nich niezręcznie, i podeszłam do improwizowanego baru w kącie pokoju. Vivi – brzmi jak fajna dziewczyna. Nalałam sobie podrabianej coli do kubka, który wyglądał na nieużywany. Wyblakły nadruk z dumą prezentował logo uniwersytetu z napisem: „Wyjątkowe kariery dla wyjątkowych młodych ludzi”. Ciepły płyn lepił mi się do gardła. Natarczywy, mdlący smak rozlał mi się na języku.

Przyglądałam się grupce studentów i zastanawiałam, czy tak będzie wyglądać moja własna przyszłość – i co dałoby się o niej powiedzieć, żeby przekonać mnie do tej wizji. Zobaczyłam dziewczynę w obcisłej sukience Audrey Hepburn z tiarą na głowie, kołyszącą się niebezpiecznie blisko otwartego okna, podczas gdy śmiertelnie błądy, upaprany sztuczną krwią chłopak zalewał ją słowotokiem, wpatrując się w przestrzeń szeroko otwartymi oczyma. Kilka kroków dalej na podłodze siedziały po turecku dwie dziewczyny o nienaturalnie kolorowych włosach – turkus i róż lalki Barbie – i prowadziły rozmowę, która ewidentnie zaczynała się psuć. Dziewczyna siedząca przodem do mnie z każdym łykiem wódki coraz mniej nad sobą panowała; piła prosto z na wpół opróżnionej butelki. Zliczyłam jeszcze trzy hausty, po których podniosła się chwiejnie na nogi i ruszyła w stronę korytarza, zalanego białym jarzeniowym światłem. Grupka chłopaków w futrach jaskiniowców przebiegła przez pokój. Z dzikim skowytym wychylili się przez okno i wysypali jakiejś nieszczęsnej ofierze na głowę całe pudełko

proszku do prania. Kiedy zobaczyli, że trafili prosto w cel, ryknęli jeszcze głośniejszym, niczym potworne stworzenia, które widziałam kiedyś w jakimś filmie dokumentalnym.

Robin podeszła do mnie, nalała sobie drinka i chlusnęła szczerze rumem do mojego kubka.

– Podoba się? – spytała z szerokim uśmiechem.

– No, fajnie tu – skłamałam, przykładając kubek do warg. Alkohol parzył i piekł. Odrażający chemiczny zapach wwiercił mi się w nozdrza. Odstawiłam nienaruszonego drinka, zauważając z ulgą, że Robin przeniosła uwagę na coś innego.

– Uwielbiam studenckie imprezy. Może nie jest to szczyt wyrafinowania, ale miło dla odmiany pobyć czasem wśród dorosłych. – Spodziewałam się, że zobaczę na jej twarzy ironię, ale nie doszukawszy się śladów kpiny, pokiwałam poważnie głową, tłumiąc własne przemyślenia na ten temat. – Słuchaj, wiem, że normalnie nie robisz takich rzeczy, ale... Może chcesz jedną? – Na jej otwartej dłoni leżało kilka białych pigułek. Wyglądały jak zrobione z kredy. Na każdej był odcisnięty symbol kwiatu.

– Jeśli to aspiryna, to chętnie – odparłam sucho.

– Nie ma ciśnienia. Po prostu... Pomyślałam, że zaproponuję. Żebyś nie czuła się pominięta.

Chłopcy znów ryknęli i zaczęli wyrzucać na ulicę kostki mydła i mokre kulki z papieru toaletowego. Księżniczka wróciła, postukała koleżankę w ramię i pocałowała ją słabo. Rozkołysana dziewczyna nadal się chwiała, chłopak wciąż do niej mówił.

Wzięłam pigułkę z wyciągniętej dłoni Robin i ścisnęłam ją nerwowo w palcach. Robin objęła mnie ramieniem z niespodziewaną czułością.

– Jeśli ci się nie spodoba, wystarczy, że mi powiesz. To wszystko. Dasz znać, że dziwnie się czujesz, i pójdziemy prosto do domu. – Jej uścisk i obietnica wystarczyły: wzięłam pigułkę i popiłam palącym, kwaśnym drinkiem.

Przez następne piętnaście minut nic nie czułam. Cała dygotałam w reakcji

na choćby najmniejszą falę ciepła, każde uderzenie serca wydawało mi się zapowiedzią zagłady. Nasłuchiwałam się historii o grzecznych uczennicach zabitych przez pierwsze doświadczenie z narkotykami. Już wyobrażałam sobie zimne słowa patologa. Puls przyspieszał i zwalniał, przerażenie wzbierało i opadało, kiedy przypomiinałam sobie, żeby oddychać.

Dalej nic, jedna chwila niczego po drugiej, nic pełne oczekiwania – aż nagle, w jednej chwili, wokół mnie rozkwitła panoramiczna, oślepiająco piękna feeria barw. Powietrze stało się gęste jak syrop, a ludzie przezroczyści, niemal nieprawdziwi. Ogarnęło mnie dziwne wrażenie oderwania. Obserwowałam studentów dookoła, uświadamiając sobie, że każdy z nich ma własne zainteresowania i ideały. Poczułam jedność ze wszystkim wokół siebie, uświadomiłam sobie, że istnieją inne subiektywne wersje rzeczywistości – nie tylko moja własna. Silne związki chemiczne i przesiąknięta potem rozpusta – to bez wątpienia źródło otwartego idealizmu, z którego słyną studenci uniwersytetów.

Popatrzyłam na Robin, pragnąc opowiedzieć jej wszystko – nie tylko o tej chwili, ale też całą historię swojego życia, wyznać każde sekretne uczucie, które kiedykolwiek wykluło się na dnie mojego serca, każdą rzecz, której nigdy dotąd nie potrafiłam nazwać – ale zobaczyłam, że jej krzesło zajął chłopak z ósmego piętra. Nie pamiętałam już, jak ma na imię. Czy się nam przedstawiał? Nie byłam pewna.

– Jak się tu dostałeś? – spytałam, chwytając za podłokietniki fotela, by uspokoić rozdygotany pokój.

– Po schodach – odparł sucho. – Czy ty... jesteś pijana?

– To brzmi adekwatnie do sytuacji – odparłam, ledwie wychwytyując sens własnych słów. Poczułam, że płoną mi dłonie i wypuściłam fotel z kurczowego chwytu.

– Jeśli wierzyć tym źrenicom, to więcej niż pijana – ocenił, nachylając się ku mnie.

– Nie twój interes – uciełam i zrobiłam krok w tył.

– Au – skrzywił się.

– Przepraszam – wymamrotałam.

Rozejrzałam się za Robin, za błyskiem jej rudych włosów. Wreszcie ją zobaczyłam: znów była z Andym. Siedział na podłodze, między jej nogami zwisającymi z łóżka. Ona co jakiś czas nachylała się nad nim do pocałunku, jej włosy spływały mu na pierś, chwycił je zachłannie w palce. Zrobiło mi się niedobrze, wezbrała we mnie fala niedających się powstrzymać mdłości. Wbiłam wzrok między kolana. Wzory na dywanie wiły się i wybrzuszały jak morskie fale.

– Chcesz wody albo coś?

Zapomniałam, że jestem obserwowana. Powoli odwróciłam się ku niemu, czując, jak sztywniejają mi szczęki i szyja. Język pęczniał mi w ustach.

– Proszę. – Wydawało mi się, że jednocześnie kipi we mnie życie i unoszę się przerażająco blisko śmierci. – Strasznie tu gorąco – dodałam, kiedy podsunął mi plastikowy kubeczek pełen brudnego, rozmiękłego lodu.

– Małymi łykami – poinstruował, nie puszczając kubka. – Nie pij gwałtownie, bo się porzygasz.

– Okej – przytaknęłam. Sylaby brzmiały dziwnie, niewłaściwie, prawie jak piosenka. – Okej, okej, okej – powtórzyłam, oszołomiona kadencją liter. On tylko się roześmiał i zrobił krok w tył, jakby stracił całą pewność siebie. Zawahał się i znów usiadł, popijając wolno swojego drinka. Znów ogarnęła mnie otumaniająca miłość do ludzi wokół – a szczególnie do tego nieznanego, który zaoferował mi wodę z lodem i miłe słowa.

– Dziękuję – powiedziałam z uśmiechem, a przynajmniej miałam nadzieję, że moja twarz przybrała właśnie taki wyraz.

– Nie ma za co. Może przydałoby ci się świeże powietrze?

– Nie... Nie zamierzam zbliżyć się do tego okna. – Moje słowa zachodziły jedno na drugie, odbijały się od ścian i wracały do mnie krystalicznie czystym echem.

– Boże, nie. Żadnych okien, ostrych krawędzi ani powierzchni niezabezpieczonych przed dziećmi.

– Nie jes...

– Nie o to mi chodzi – przerwał, domyślając się, co chcę powiedzieć. – Tylko o to, że nie musisz się niepokoić. Nie wpakujesz się w jeszcze większe kłopoty niż te, w jakich już jesteś.

Wziął mnie za rękę i podciągnął ku sobie. Chwiejnym krokiem ruszyłam za nim na zalany światłem korytarz, wdzięczna za szansę na ucieczkę. Krzykliwe plakaty porozklejane na odrapanych szarych ścianach pływały jak w kalejdoskopie nad poplamionym burym dywanem. Schodziłam niezgrabnie po schodach, czując na sobie fluorescencyjny blask lamp, zapalających się i gasnących rytmicznie, jakby czas zwolnił i wydłużył ich zwykle niedostrzegalne mruganie do kilkunastosekundowych interwałów.

Słowa z plakatów sunęły razem ze mną z piętra na piętro:

Spotkanie zespołu tanecznego w przyszłym tygodniu w Mason Hall, 17:00 – Rekrutacja do drużyny koszykówki we wtorek. Niskim dziękujemy! – „Metamorfoza” Kafki: casting w poniedziałek!!!

Co jakiś czas przechodził mnie dreszcz zwątpienia, gorąca panika wzbierała we mnie od stóp aż do piersi, ale kiedy tylko zwracałam na nią uwagę, natychmiast umykała, pozostawiając po sobie jedynie ulotne, gorączkowe wspomnienie.

Gdy dotarliśmy na parter, echo muzyki dobiegające z góry wydawało mi się równie głośne jak tuż za drzwiami. Dźwięki huczały mi w głowie; przycisnęłam dłoń do uszu. Kiedy mieliśmy skręcić za róg, Tom zatrzymał mnie, chwycił za rękę i zmusił, żebym je opuściła.

– Zachowuj się normalnie – nakazał szeptem i przeprowadził mnie obok strażnika (zbędna ostrożność: mężczyzna był zajęty czytaniem wymiętoszonego powieścidla i nie okazywał najmniejszego zainteresowania studentami, którzy od czasu do czasu przerywali mu lekturę). Wychodząc z budynku, pomyślałam o Robin. Nic jej nie będzie, powiedziałam sobie. Po chwili przez głowę przemknęła mi jeszcze jedna, gorzka myśl: powiedziała, że ze mną zostanie, a potem o mnie zapomniała. Więc to chyba bez znaczenia, gdzie jestem.

W stanie odurzenia czyste powietrze jest czymś niemal magicznym. Nawet

teraz trudno mi się kontrolować, gdy wychodzę na dwór po butelce mocnego wina, czasami w towarzystwie najróżniejszych kombinacji pigułek i proszków. Snuję się wtedy po tych starych ulicach, niewidzialna i niesłyszalna, pozwalając ponieść się nastrojowi. Teraz oczywiście zażywane substancje ograniczają się zazwyczaj do opiatów lub leków na uspokojenie, przepisywanych przez lojalnego, współczującego lekarza rodzinnego. Chłodny powiew nocy zawsze jednak przypomina mi o tamtym wieczorze, kiedy powietrze było mgliste i niemal migoczące od jakiejś dziwnej magii.

Chmury ustąpiły miejsca czerni nieba. Kiedy podniosłam głowę, Tom pokierował mną, bym nie poślizgnęła się w kałuży mydlin i proszku do prania. W milczeniu ruszyliśmy w stronę jeziora, wokół którego stały budynki akademika. Z perspektywy czasu muszę przyznać, że „jezioro” to przesadne określenie: w świetle dnia okazało się zaledwie dużym stawem, ze wszystkich stron otoczonym betonowym murkiem. Podeszliśmy bliżej. Stado ptaków zerwało się do lotu i zniknęło w przepastnym mroku nad naszymi głowami.

Tom schował dłonie do kieszeni. Po sekundzie wyjął je z powrotem, jakby został na czymś przyłapany.

– Nie jesteś zbyt rozmowna, co?

Zrobiło mi się go trochę żal; poczułam coś w rodzaju bolesnego zrozumienia. Ja też nie wiedziałam, co zrobić. Wzruszyłam ramionami.

– O czym chciałbyś porozmawiać?

Nie odpowiedział. Odwrócił się i usiadł na pokrytej graffiti parkowej ławce. Zajęłam miejsce obok, zastanawiając się, co właściwie wyprawiam – dlaczego tak chętnie poszłam z tym nieznajomym w ciemną noc.

Pochylił się i oparł łokcie na kolanach.

– Ile masz lat?

– Siedemnaście – odparłam. Gdy tylko wypowiedziałam to słowo, poczułam wstyd. Co właściwie próbowałam osiągnąć?

Przyjrzał mi się z powątpiewaniem. Z wieży wyrwał się roziskrzony fajerwerk. Wybuchł w powietrzu, pozostawiając na niebie żółte smugi. Patrzyłam, jak wiruje i opada. Pusta łuska wylądowała z chłupotem w czarnej

wodzie. Tom wziął oddech, zawahał się.

– Moja dziewczyna... – zaczął.

Natychmiast poczułam bolesne uczucie straty oczekiwania, z których nawet nie zdawałam sobie sprawy, albo przynajmniej nie chciałam się do nich przed sobą przyznać. Dziecinne wyobrażenie romansu, jakiś pocałunek o północy.

– Jest w Cambridge.

Zerknęłam na niego. Nie byłam pewna, czy w jego głosie rzeczywiście pobrzmiwała przepraszająca nuta, czy tylko mi się wydawało.

– Jak się poznaliście? – spytałam z fałszywą beztroską. Byliśmy jak dwoje amatorów, niezdarnie odczytujących swoje kwestie drewnianymi głosami.

– Zwyczajnie. Ta sama szkoła, wspólni znajomi... No wiesz.

Pokiwałam głową z udawaną powagą, choć oczywiście nie miałam pojęcia, jak coś takiego wygląda.

– Chyba już poznała kogoś innego – westchnął.

Wydałam z siebie niezobowiązujący pomruk, a on po chwili znów zaczął mówić, choć teraz – nocny chłód wgrzyzał mi się w skórę, tęsknota za Robin zmieniała się w fizyczny ból – chciałam wrócić do środka. Czekałam przez chwilę, słuchając jego wyводу: przestała pisać listy, oddzwaniała późno albo wcale. Wreszcie zadygotałam teatralnie.

– Zimno mi.

Przez kilka sekund milczał, jakby zaskoczyło go, że mu przerwałam. Że w ogóle przy nim siedzę. Zatrzepotał powiekami i wstał, a ja ruszyłam za nim. Co jakiś czas zatrzymywał się, by obejrzeć porzuconą butelkę po piwie albo jedną z wielu lalek, które – dopiero teraz to zauważyłam – zwiisały z rzadkich gałęzi drzew, trzeszczących na wietrze. Za każdym razem, kiedy odwracałam się za siebie, posyłał mi uśmiech. Nie wiedziałam, jak zareagować, więc robiłam to samo. Miałam wrażenie, że gramy w grę, której zasad nie jestem w stanie zrozumieć przez mgiełkę odurzenia.

– Gdzie ty się, kurwa, podziewałaś? – wysyczała Robin, kiedy weszliśmy do budynku.

Siedziała przycupnięta przed recepcją. Kiedy strażnik zorientował się, że

nie jest już jej potrzebny, jakby uszło z niego powietrze. Robin podeszła tak blisko, że jej oddech zmieszał się z moim. Żrenice miała wielkie i głębokie, oczy wilgotne, z okrucami maskary w załamaniach powiek, jakby płakała. Dostrzegłam Nicky, przyczajoną kilka kroków dalej. Przyglądała się nam z zainteresowaniem. Pomachałam jej obojętnie. Posłała mi uśmiech i zniknęła na piętrze.

– Nic jej nie jest – odparł ze znużeniem Tom. – Musiała tylko odetchnąć świeżym powietrzem.

– Czyżby? – spytała, nie kryjąc sarkazmu. Popatrzyła na mnie. – Świeżym powietrzem?

Pokiwałam głową. Czułam się dziwnie zawstydzona; nagle ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Próbowałam przypomnieć sobie powody, dla których ją zostawiłam.

– Chcesz iść do domu? – spytała po chwili milczenia Robin. Świat nagle szarpnął do przodu i kolejna fala mdłości uderzyła mnie jak cios pięścią w brzuch.

– Dobry pomysł.

– Okej. – Robin znów odwróciła się do Toma, który szedł już w stronę schodów. – Dzięki, że się nią zająłeś – rzuciła w jego stronę, choć znów wydało mi się, że słyszę w jej głosie sarkastyczną nutę.

– Nie ma za co – odparł, nie spoglądając za siebie.

Ruszyliśmy ku wyjściu, nadal słysząc cichnące echo jego kroków. Po chwili spędzonej w ciepłej recepcji chłód stał się jeszcze bardziej dotkliwy, ostry i wściekły. W milczeniu dotarliśmy na skraj kampusu i wyszliśmy na zewnątrz po ciemnej ścieżce otoczonej siatką ogrodzenia zwieńczonego drutem kolczastym, znad którego wychylały się przerośnięte gałęzie drzew, splecione w gęsty baldachim nad naszymi głowami.

– Przepraszam, że wyszłam – powiedziałam. Słyszając dźwięk swojego głosu, poczułam ulgę. Po raz pierwszy od wielu godzin brzmiał znajomo.

– W porządku – odparła Robin. Szła kilka kroków przede mną. Milczaliśmy przez chwilę. – Pokłóciłam się z Andym. To chyba koniec

między nami – dodała wreszcie.

Słyszając to, poczułam ulgę: może to nie ja doprowadziłam ją do łez, tylko on.

– Na pewno nie będzie aż tak źle – bąknęłam niepewnie.

– A skąd możesz wiedzieć? – Odwróciła się. W jej oczach płonęła złość.

– Nie mogę, oczywiście. Chodziło mi tylko o to, że... – Rozpaczliwie szukałam jakichś niezobowiązujących słów, które mogłyby ją zadowolić. – Nie wiem. Może rano będzie lepiej. Musisz się z tym przespać.

Robin westchnęła.

– Nie chcę być niemila – wycedziła powoli – ale jakie właściwie masz doświadczenie, by udzielać mi rad?

W pomarańczowym świetle lampy jej oczy były niemal czarne. Długi, zdeformowany cień jej sylwetki wyciągał się daleko do przodu. Poczułam, że zalewam się rumieńcem. Opuściłam nisko głowę, wdzięczna za osłonę nocy. Wpatrywałam się w migający mi przed oczami materiał tenisówek. Nasze kroki odbijały się miękkim echem od chodnikowych płytek.

Gdy dotarliśmy do syreny, podeszła i pocałowała mnie sztywno w policzek, nieco zbyt mocno chwytając za włosy. Odwróciła się na pięcie i odeszła bez słowa. Jej długi cień majaczył jeszcze przez chwilę na asfalcie, aż wreszcie znikł w mroku. Dotarłam do domu jak w transie. Dopiero po wejściu do środka przypomniałam sobie, że powiedziałam mamie, iż zostanę na noc u Robin (spodziewałam się, że zostaniemy na imprezie do rana, więc ta wymówka miała uchronić mnie przed ewentualnymi konsekwencjami). Weszłam po schodach i z bijącym sercem zagrzebałam się w pościeli. Rozpaczliwie szukałam odpowiedzi na kłębiące mi się w głowie pytania, aż wreszcie zapadłam w zimny sen bez snów.

Rozdział 4

Robin obgryzała ołówek i postukiwała głucho drewnikiem o zęby. Wstałam z krzesła, udając, że idę tylko po temperówkę. W rzeczywistości jednak nie miałam żadnych pomysłów i chciałam rozejrzeć się za czymś, co mogłabym podkraść. Enigmatyczny temat podsunęty przez Annabel: „Podróż” niewiele mi mówił. Powietrze było mleczone, lekko różowe, okna przysłonięte tiulem i gazą rozpraszały światło. Słaby aromat gnijących powoli kwiatów mieszał się z gliną i ostrym zapachem terpentyny. Zerknęłam na Annabel. Jej pomarszczona skóra napinała się na ostro zarysowanych kościach policzkowych, a białe włosy spływały na plecy ciężkimi, luźnymi falami. Co tydzień zmieniała wystrój studia według jakiegoś znanego tylko sobie porządku. Czasami dekoracje były spartańskie, podkreślające surową, czystą biel ścian. Innym razem niebo przysłaniały zwoje rozgwieżdżonego batiku, a przestrzeń tonęła w bladym, niemal księżycowym świetle. Bez przerwy podważała to, jak patrzemy na swoje otoczenie.

Przez kilka tygodni Annabel ani razu nie odezwała się bezpośrednio do mnie. Nawet na mnie nie popatrzyła, choć czasami miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, kiedy siedziałam w studiu, próbując rozwikłać splątane wątki wykładu albo tematu pracy. Kiedy jednak spoglądałam w jej stronę, okazywało się, że siedzi pogrążona w lekturze i z zamyśleniem obgryza skórkę przy paznokciu albo szkicuje coś gwałtownymi ruchami w spryskanym farbą szkicowniku, jakby zupełnie zapomniała o naszym istnieniu.

Poplątane szkice lotnisk i samochodów, pastelowe nadmorskie widoczki i plażowicze. Tu realizm, tam symboliczna stylizacja, idealizm albo groteska. Moje koleżanki – podobnie jak ja – podeszły do zadania bez cienia wyobraźni, z mniejszym lub większym sukcesem. Wszystkie z wyjątkiem Robin. Jej szkic węglem był mroczny i ponury, palce i nadgarstki miała umazane czarnym

pyłem. Drzewa wyciągały powykręcane szpony nad wyboistą drogą. W rozświetlonej przestrzeni na jej końcu stały dwie postaci o potwornie cienkich kończynach. Ledwo dotykały się wierzchami opuszczonych dłoni.

Jej praca była jedyną, na którą Annabel zerknęła z góry, kiedy krążyła pośpiesznie po klasie (zazwyczaj tylko wtedy, gdy koło studia przechodził dyrektor – Annabel dość dosłownie traktowała jego zalecenie „aktywnego nauczania”). Inne dziewczęta popatrzyły na Robin z zawiścią, utrzymując się zaledwie kilka sekund, jak cień w kącie oka. Żadna z nas nie przyznałaby się, jak bardzo zależało nam na uwadze Annabel. Ja też to czułam – mglista świadomość tego uczucia wystarczyła, by przyprawić mnie o zażenowanie. Kiedy jednak Annabel mijiała moje stanowisko, nachyliłam się i zakryłam rysunek ramionami, zawstydzona własnymi dziecinnymi bazgrołami.

Annabel podniosła głowę, jakby chciała się odezwać, ale przerwał jej wiercący w uszach dźwięk dzwonka. Wyrwane z ciszy uczennice zaczęły się pakować.

– Dokończcie w wolnym czasie, a na następnych zajęciach omówimy gotowe prace – oznajmiła Annabel, przekrzykując gwar. – I postarajcie się nie być nadmiernie banalne, jeśli to w ogóle możliwe. – Zamilkła na chwilę, po czym spojrzała prosto na mnie. – Violet, proszę na słówko.

Zamarłam. Robin posłała mi szeroki uśmiech i niedbale wepchnęła rysunek do torby.

– Pogadamy później – rzuciła mi bezgłośnie. Uśmiechnęłam się słabo w odpowiedzi. Żołądek skręcał mi się ze strachu.

Kiedy studio opustoszało, Annabel zaczęła kartkować stos papierów, nie podnosząc głowy. Stałam bez ruchu, oniemiała ze zdenerwowania. Plastikowa wskazówka zegara odliczyła pełne sześćdziesiąt sekund.

– No, mam – powiedziała w końcu nauczycielka i podsunęła mi pognieciony wydruk. – Ty to napisałaś?

Wstyd ścisnął mi gardło. Wiedziałam już, czego się spodziewać. Annabel trzymała w dłoni mój agresywny, bezmyślnie sklecony esej, który miał zagwarantować, że moja aplikacja o przyjęcie do szkoły zostanie odrzucona –

napisany jeszcze zanim skusiły mnie fotografie starych korytarzy o łukowatych sklepieniach i campanili skąpanej w wieczornym słońcu. Dotąd udawało mi się robić dobre wrażenie na Annabel – a przynajmniej unikać jej lodowatego spojrzenia – ale gdzieś w duszy od początku wiedziałam, że to wypracowanie jeszcze się na mnie zemści.

– „Celem sztuki – zaczęła czytać nauczycielka – jest przerazić idiotów, którzy twierdzą, że mają gust. To nic nie znaczy. Jebać gust. Sama idea dobrego smaku to relikwyt pewnej wersji historii, która nie dotyczy ani mnie, ani nikogo, kto nie stoi jedną nogą w grobie”. – Annabel popatrzyła na mnie, unosząc gwałtownie brwi. – Ty to napisałaś?

– Tak – odparłam, gapiąc się na kartkę.

– I wierzysz w to?

Podniosłam głowę. Annabel przyglądała mi się zimno, przetaczając w palcach srebrne pióro.

– No... Tak jakby.

Pióro znieruchomiało.

– Tak jakby?

– Tak.

– To wierzysz czy nie?

– Tak, wierzę – odparłam wreszcie, choć tak naprawdę nie byłam pewna. Te słowa wydawały mi się nieco zbyt intensywne, a teraz wręcz absurdalne. To był krok w ciemność: rozpaczliwie próbowałam chwycić się odpowiedzi, która mogłaby ją zadowolić.

– To dobrze – odparła cicho. – Bardzo dobrze. Violet, prowadzę zaawansowane zajęcia dla uczennic, które według mnie dobrze się zapowiadają. – Nastąpiła nieskończenie długa pauza. Nie byłam w stanie dłużej wytrzymać jej spojrzenia; odwróciłam wzrok. – Chciałabym zaprosić cię do naszej małej grupy, jeśli jesteś zainteresowana.

Żaluzje zatrzepotały wściekle na wietrze.

– Tak, pani profesor. Annabel. Przepraszam.

– Świetnie. Cieszę się – odparła, podnosząc się z krzesła. Podeszła do okna.

– Ale chciałabym cię prosić, żeby to zostało między nami. Wyłącznie zaproszone osoby o tym wiedzą. To takie nieoficjalne spotkania. – Zatrzasnęła okno. – Znasz panią Adams?

– Nie wydaje mi się.

– Robin – wyjaśniła, odwracając się ku mnie. – Ta z rudymi włosami. Widziałam, jak podziwiasz jej pracę. Jest bardzo utalentowana.

Zarumieniłam się.

– Tak, to prawda.

– Robin spotka się z tobą przed zajęciami i przyprowadzi na miejsce. – Annabel usiadła za biurkiem i podniosła pióro. Jej dłoń zawisła nad kartką. Stałam w miejscu, czekając na jakieś szczegóły, godzinę albo chociaż dzień, ale ona się nie odezwała. Po chwili podniosła wzrok, jakby była zaskoczona, że mnie widzi. – To wszystko, Violet.

Kiedy wyszłam na korytarz, świeże chłodne powietrze sprawiło, że studio nagle wydało mi się duszne. Poczulałam terpentynę i farbę zalegającą mi w płucach, oczy potrzebowały chwili na przywyknięcie do światła dziennego. Niska dziewczyna o okrągłej twarzy i z ciemnym meszkiem na górnej wardze czekała pod ścianą. Popatrzyła na mnie nerwowo. Odwzajemniłam spojrzenie, zażenowana za nas obie, i odeszłam w pośpiechu, choć nie byłam pewna dokąd.

Podeszwy moich butów klaskały na marmurowej podłodze, serce dudniło mi w piersi. Byłam zupełnie sama na opustoszałym korytarzu, zupełnie cichym, jeśli nie liczyć szumu skanerów piętro niżej. Wyjrzałam przez poręcz antresoli okalającej hol przy wejściu. Doryckie kolumny i złote poręcze, za którymi stały mahoniowe szafki. Za szkłem kryły się wypchane polne myszy o wyszczerzonych zębach, maski pośmiertne i cukierkowe kamienie szlachetne.

Po południu siedziałam nad piekielnie nudnym (choć używanym po dzień dzień) podręcznikiem do historii realizmu, aż usnęłam na biurku, ukołysana otepiającym ciepłem starych kaloryferów i złotym popołudniowym słońcem,

wlewającym się przez okna na ostatnim piętrze. Kiedy się obudziłam, zobaczyłam na książce delikatnego ptaszka, złożonego precyzyjnie z kawałka błękitnego papieru. Otworzyłam go ostrożnie. Na kartce widniało tylko kilka słów. „Witamy w klubie. Campanila, równo o 18:00. Przygotuj się. R”. Wyjrzałam przez okno. Czarne wskazówki zegara wskazywały za dziesięć szóstą. Wrzuciłam książki do torby i pobiegłam.

Nagle usłyszałam za sobą kroki i cichy głos, mamroczący przekleństwa. Zobaczyłam dziekana do spraw uczniów wychodzącego na antresolę po przeciwnej stronie korytarza. Trzymał pod pachą naręczne ślizgających się niebezpiecznie książek.

– Violet – powiedział, kiedy mnie zauważył. – Co ty tu robisz o takiej godzinie? – Jego głos odbił się echem pod sufitem. Nie zamierzałam odkrzykiwać (mój głos był cienki i piskliwy), więc odczekałam, aż spotkamy się pośrodku, przy schodach.

– Uczyłam się, panie profesorze. Straciłam poczucie czasu.

– Zauważyłem – roześmiał się. – Biblioteka jest zamykana dla uczennic o szesnastej, z wyjątkiem okresu przed egzaminami.

– Nie wiedziałam – odparłam. – Już uciekam.

Nauczyciel wziął oddech, jakby zamierzał coś powiedzieć – ale się zawahał. Oparł książki na poręczu. Na różnobarwnych, oprawionych w wyblakłą skórę grzbietach widniały tytuły z jednej dziedziny. *Prześladowania czarownic na przestrzeni dziejów; Ciemność i demony: studia nad okultyzmem; Współczesne teorie magii*. Wyobraziłam sobie, jak spadają z traskiem, próbowałam wręcz zepchnąć je na dół siłą woli, byle tylko przerwać nadchodzącą rozmowę, na którą nie miałam ochoty.

– Violet – zaczął, kołysząc szyją w przód i w tył (wyobraziłam sobie, jak rozluźniają mu się mięśnie: płątowate, czworoboczny, dźwigacz...) – jeśli masz trudności z nawiązywaniem przyjaźni... – Położył mi dłoń na ramieniu. Palce miał tępo zakończone, stwardniałe od skaleczeń.

– Nie mam – odparłam prędko i zrobiłam krok w tył.

Jego dłoń na chwilę zawisała w powietrzu. Następnie, jakby dopiero sobie

o niej przypomniał, włożył dłoń z powrotem do kieszeni i zaczął się bawić czymś schowanym w środku.

– Po prostu... Sama rozumiesz, siedzisz tu do późna. Oczywiście zachęcamy do poświęcania się nauce, ale...

– Przyjaźnię się z Robin. I z Grace i Alex – odparłam z lekkim drżeniem w głosie, który mógł być równie dobrze wywołany sugestią, że jestem samotna i nielubiana, jak i faktem, że byłam już prawie spóźniona. Po jego twarzy przebiegła jakaś myśl, cień zwątpienia.

– No, to dobrze – powiedział w końcu. – Ale postaraj się też znaleźć koleżanki w innych grupach. Chyba nie chcesz utkwąć w jednej kłicie, prawda?

– Nie, panie profesorze – skłamałam. Nie wyobrażałam sobie niczego lepszego.

– Świetnie, świetnie. Będę się zbierać – przytaknął z szerokim uśmiechem, znów biorąc książki w ramiona. – Mogłabyś otworzyć mi drzwi?

Odczekałam, aż zniknie po drugiej stronie, po czym zbiegłam po schodach. Dwa razy musiałam złapać się poręczy, kiedy potknęłam się na trzecim i na pierwszym piętrze. Pchnęłam ciężkie drzwi wejściowe, zimny powiew uderzył mnie w twarz. Popędziłam ku campanili.

Stałam pod łukiem w tej samej chwili, kiedy rozległo się pierwsze uderzenie dzwonu. Ogłuszający hałas wibrował w powietrzu, ziemia zadrżała mi pod stopami. Robin nigdzie nie było.

Znów rozłożyłam ptaszka (teraz zgniecionego w kulkę, bo nie potrafiłam nadać mu dawnego kształtu) i jeszcze raz odczytałam wiadomość. Równie o 18:00. Wyjrzałam za łuki, ale na kampusie nie było żywej duszy. Między długimi uderzeniami zegara słychać było tylko szelest liści. Po chwili weszłam z powrotem w cień i podniosłam głowę, by popatrzeć na złote podbrzusze wieży. Następnie rozejrzałam się dookoła. Przebiegłam wzrokiem po rzeźbionym wężu oplatającym framugę. Dostrzegłam błysk koloru. Kolejna wiadomość, tym razem ukryta w szczelinie między prętami kratki w drewnianych drzwiczkach. Nowy ptaszek był szkarłatny i bardziej

skomplikowany niż poprzedni. Wspierałam się na palce i wyjęłam go z kratki. Kiedy umilkło ostatnie uderzenie dzwonu, na podłogę upadł z głośnym brzękiem mały klucz. Podniosłam go i włożyłam do zamka.

Drzwiczki zachrobotyły i zgrzytnęły, po czym mechanizm ustąpił i otworzyły się szeroko. Weszłam w czarną pustkę. Wejście zatrzasnęło się gwałtownie. Nieprzeniknioną ciemność wypełniało kwaśne, kamienne powietrze.

– Halo? – wyszeptałam. Mój głos wrócił do mnie echem.

Wyciągnęłam ręce przed siebie. Zaszorowałam knykiami po kamiennych ścianach. Niemo uderzyłam otwartą dłoń w drzwiczki. Cisza wpełzała w każdy kąt, wylewała się ze szpar między cegłami, oplatała sęki w drewnianych drzwiach. Zatkaną dziurkę od klucza palcem, chwyciłam mocno za klamkę i stałam bez ruchu, aż powietrze znieruchomiło. Panika opadała wokół mnie jak ciężki osad. Wzięłam głęboki wdech. Czy to jakiś rytuał inicjacyjny? Albo może – wnętrzości podchodziły mi już do gardła – tylko okrutny żart?

A jeśli tak, to... Jak długo będą mnie tu trzymać? Godzinę? Całą noc? Serce zatłukło mi w piersi jeszcze gwałtowniej. Znów obróciłam się dookoła własnej osi w wąskiej przestrzeni, przesuając dłońmi po ścianach. Po prawej stronie wyczułam skalną półkę. Podeszłam bliżej, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu ognia (palenie nadal było dla mnie bardziej pozą niż nałogiem, stanowiło jedynie wymówkę do przebywania w miejscach, gdzie mogłabym wpaść na dziewczyny). Wolną rękę wyciągnęłam przed siebie, przycisnęłam dłoń do wilgotnych, niebezpiecznie bliskich sobie ścian. W idiotycznej chwili pretensjonalnej próżności – uważając się chyba za przedstawicielkę jakiejś wiktoriańskiej bohemy – kupiłam zapalniczki zamiast zapalniczki. Złamałam dwie, za wcześnie zjeżdżając z draski, aż wreszcie trzecia chwyciła i całe pomieszczenie wypełniło się krótkotrwałym, ciepłym światłem.

– Gdyby to był horror, właśnie by cię zabili – odezwała się nagle Robin. Poczulałam jej gorący oddech na policzku.

– Ty suko – stęknęłam. Serce waliło mi jak oszalałe. Robin aż zgięła się wpół ze śmiechu.

– Co to miało być? – Zapałka wypaliła się, parząc mi palce. Znowy stałyśmy w ciemnościach. Robin wcisnęła guzik i mrok rozstał się przed jasnym, mocnym światłem latarni.

Kiedy mnie zobaczyła, oparła się o ścianę i znowy wybuchnęła histerycznym chichotem.

– Przepraszam – powiedziała, kiedy ja też zaczęłam się śmiać (choć bardziej z ulgi niż z rozbawienia tą sytuacją). – Nie mogłam się powstrzymać.

– No, wielkie dzięki. Odjęłaś mi co najmniej dziesięć lat życia.

– O, tak lepiej. Widzisz, wyświadczyłam ci przysługę. Umrzeć młodo, zostawić piękne zwłoki, bla, bla, bla. – Zmierzyła mnie wzrokiem. To trwało zaledwie ułamek sekundy, ale natychmiast poczułam się świadoma całego swojego ciała, wypełniającego wąską przestrzeń. – Dobra, idź za mną. – Zamilkła. – Winda nie działa, więc zostają nam schody.

Omiotła korytarz światłem latarki, wydobywając z mroku schody prowadzące do góry. Ściany i sufit zdobiła gęstwina dziwnych wyblakłych znaków zapisanych kredą. Ruszyłyśmy w górę. Mrok za Robin wykrzywił się i drgał, wypaczany światłem. Na drugim piętrze podłoga zmieniła się z kamiennej w drewnianą; nasze kroki odbijały się głośnym, głuchym echem. Co jakiś czas poluzowana deska kołysała się albo skrzypiała nam ostrzegawczo pod stopami. Robin prędko zniknęła na przedzie. Wymacywałam sobie drogę w ciemności, ślepo podążając za ciężkimi krokami przyjaciółki. Kamienne ściany zapewniały oparcie i uprzedzały o zakrętach. Zapaliłam jeszcze jedną zapałkę i zadarłam głowę. Czekало mnie jeszcze pięć albo sześć pięter. Po kilku sekundach przeciąg zdmuchnął niespokojny płomień.

– Violet? – Głos Robin odbił się śpiewnym echem po schodach, wyminął mnie i spłynął dalej, w ciemność poniżej.

– No? – odkrzyknęłam, zatrzymując się na chwilę, by uspokoić oddech.

– Szybciej, grubasku. Nie wlecz się tak. – Aż skrzywiłam się ze wstydu, ale

posłusznie przyspieszyłam kroku, wdzięczna za ciemność kryjącą mój rumieniec.

Kiedy dotarłam na górę, byłam cała rozdygotana i zdyszana. Dotkliwie uświadamiałam sobie wysokość, na jakiej się znalazłyśmy, i mój własny przerażający brak równowagi. Poręcz zniknęła dwa piętra wcześniej. W centrum wieży ziała straszliwa pustka, prowadząca w mrok. Dopiero później odkryłam, że to stary szyb windy. Upadek zapowiadał pewną śmierć.

Przez chwilę stałam wykończona, nasłuchując skrobania i popiskiwanie szczurów kilka pięter niżej (i, jak miałam się wkrótce przekonać, trzepotu nietoperzy pod sufitem). Oparłam się o ścianę – co okazało się właściwą decyzją, bo w tej samej chwili drzwi otworzyły się ze zgrzytem i na klatkę schodową wydostał się powiew ciepłego powietrza.

– Ruszaj się, kobieto – nakazała Robin z szerokim uśmiechem. Wyciągnęła ku mnie dłoń. Chwyciłam ją, starając się powstrzymać zawroty głowy na widok bezdennej ciemności poniżej.

Weszłam do przestronnego pomieszczenia wypełnionego niespodziewanie jasnym światłem. Srebrne światło księżycy wlewało się do środka przez jedną z czterech ogromnych białych tarczy zegara – każda z nich zajmowała większą część ściany. Usłyszałam swoje własne westchnienie zachwytu, odbijające się echem od ścian niczym monotonny zaśpiew. Nad naszymi głowami wibrował cichy pomruk dzwonu, potrąconego lekko przez nagły powiew wiatru.

Z zachwytu niemal zapomniałam oddychać. Detale jeden po drugim przykuwały moją uwagę: wiktoriańskie szeszlongi obite spłóviałym brokatem, zasypane potężnymi stosami kartek i rulonów z obrazami i szkicami ołówkiem i piórkiem. Marmurowy ptak siedzący na szerokim mahoniowym biurku, otoczony świecami i dziwacznymi laleczkami o zimnych spojrzeniach. Nawet teraz, dekady później, wzdłuż ścian ciągną się rzędy tych samych drobiazgów. Z roku na rok przybywa ich coraz więcej: zagubione piękne przedmioty, odnajdujące w wieży swój nowy dom.

– Hej, Violet – odezwała się Grace, nie podnosząc wzroku znad rozłożonej

książki. Obok niej siedziała Alex: posłała mi przelotny półuśmiech, czekając, aż złapię oddech. Podeszłam do najdalszej tarczy zegara i wyjrzałam na zewnątrz. Okrąg zaczynał się na wysokości moich ramion.

Kampus aż lśnił, skąpany w świetle księżyca wyglądającego znad drzew. Miasto mrugało słabo pomarańczowymi latarniami, a jeszcze dalej nieskończony przestwór czarnego morza migotał pod nocnym niebem. Kilka metrów pod nami przeleciał kruk i natychmiast zniknął w leśnej gęstwinie tuż za szkolną bramą.

Kiedy popatrzyłam w dół, znów dopadły mnie zawroty głowy. Odwróciłam się i powoli obesłam pomieszczenie dookoła. Czułam, że pozostałe dziewczęta mnie obserwują – czekają, aż się odezwę. Brałam w dłonie jeden przedmiot po drugim, jakby tylko poprzez dotyk mogły stać się rzeczywiste. Bezoka szmaciana lalka w przybrudzonej sukience w kratkę, usadzona w groteskowej pozie na wieży z książek. Wazon z dawno uschłymi kwiatami, które jednak mimo to jakimś cudem nadal roztaczały słodki zapach.

Komiczna maska i sukienka dla niemowlęcia, która zostawiła mi na palcach biały pudrowy osad, kiedy dotknęłam jedwabiu i koronek. Skrzydlata figura z mosiądzu, zbyt ciężka, by ją podnieść, choć podstawa była nie większa od mojej dłoni. Szklany wazon, poszarzały i matowy od leżenia w ziemi. Cztery jelenie czaszki o szerokich, szponiastych porożach, rozcapierzonych jak wyciągnięte ręce.

– Pewnie, czuj się jak u siebie w domu – odezwała się w końcu Robin.

Opadła na szeszlony, opierając nogi w podartych rajstopach na stole, i pociągnęła łyk z butelki whisky, przemyconej w podszewce szkolnej marynarki. Podsunęła mi alkohol.

– Chcesz trochę?

– Nie, dzięki – odparłam z bladym uśmiechem. Droga na górę wystarczająco wytrąciła mnie z równowagi. Zejście wydawało się poza zasięgiem moich możliwości nawet na trzeźwo, a co dopiero pod wpływem.

Nagle mechanizm na parterze szarpnął i zatrząsł się gwałtownie, a winda z kłopotem obudziła się do życia. Zerknęłam na Robin. Wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że się zepsuła. Trochę ruchu nie zaszkodzi, co?

Policzki zapłonęły mi okrutnie. Odwróciłam się z powrotem do półek i pogładziłam palcami posiniaczoną białą twarzyczkę porcelanowej lalki.

Za drzwiami rozległo się stukanie obcasów. Drzwi jeszcze raz otworzyły się, szurając po podłodze i do pomieszczenia wpadł chłodny powiew z klatki schodowej, pogwizdując w szczelinach między cegłami, poluzowanymi od nieprzerwanego tykania zegara. W progu pojawiła się Annabel, wysoka i onieśmielająca. Pod pachą trzymała dwie książki. Popatrzyła na każdą z nas po kolei, jakby oceniała nas jedną po drugiej. Czułam się dziwnie naga pod jej spojrzeniem. Na ułamek sekundy zmarszczyła brwi. Wreszcie się uśmiechnęła, choć jej oczy nadal były puste i zimne.

– No, wreszcie znów jest nas pięć – powiedziała cicho. – Ktoś ma ochotę na herbatę?

– Mam nadzieję, że mi wybaczycie – zaczęła, siadając na fotelu. Podsunęła skrzyżowane nogi pod siebie. – Ale zanim zaczniemy, chciałabym omówić kilka rzeczy, które już przerabialiśmy, żeby nasza nowa uczestniczka była na bieżąco ze wszystkimi informacjami. Czy nikt nie ma nic przeciwko?

Robin, Alex i Grace w milczeniu pokręciły głowami.

Annabel zwróciła się ku mnie. Wbiła we mnie przenikliwe spojrzenie czarnych, ptasich oczu.

– Violet, witamy w naszej grupce. – Uśmiechnęła się, odsłaniając ledwie dostrzegalną szparę między przednimi zębami. Przypominały nagrobki na cmentarzu. Ciepło sączyło mi się przez skórę, jakbym patrzyła na porcelanową lalkę budzącą się do życia. – Ile przekazały ci dotąd dziewczęta?

– Nic. Jak na razie – odparłam, zerkając na Robin. Ona tylko pstryknęła długopisem i zaczęła szkicować coś na marginesie rozłożonej książki.

– Świetnie – stwierdziła Annabel. Zamilkła, podmuchała lekko na zawartość kubka i wzięła łyk herbaty, rozglądając się jednocześnie po naszych twarzach. – Spotykamy się w każdy czwartek, na dwie godziny od osiemnastej piętnaście. Jeśli nie będziesz nadążać z materiałem, możesz przyjść do mnie

na dyżur, ale nie wolno ci wspominać nikomu o naszych zajęciach ani omawiać lekcji poza tymi czterema ścianami. Czy to jasne?

Przytaknęłam. Annabel znów się uśmiechnęła, przyglądając mi się martwymi, pozbawionymi emocji oczyma.

– Zakładam, że zapoznałaś się z historią szkoły?

Nie rozumiałam, dlaczego wykładowcy bez przerwy o to pytali – i dlaczego każdy zakładał, że już wiem coś na ten temat.

– Częściowo – odparłam słabo.

– W takim razie chyba najlepiej będzie zacząć od początku – stwierdziła Annabel, odstawiając parujący kubek na biurko. – Ta instytucja została założona w 1604 roku przez panią Margaret Boucher. Początkowo uczęszczały do niej tylko cztery uczennice, sieroty lub dziewczęta odebrane rodzicom, którzy nie byli w stanie zapewnić im opieki. Ustawa o prawie ubogich ułatwiła pani Boucher pracę, bo pozwalała zatrudniać dzieci biedoty na praktykę. Oczywiście założenie oficjalnej szkoły dla dziewcząt byłoby dość trudne, bo w całej okolicy nie było prawie żadnych szkół, nawet dla chłopców, ale pani Boucher zdołała przekonać wszystkich zainteresowanych, że oferuje młodym kobietom po prostu coś w rodzaju kursu przygotowującego do pracy: naukę etykiety, dobrych manier i tym podobnych.

Wyciągnęła z włosów szpilkę i zaczęła obracać ją w palcach. Na boku jej dłoni dostrzegłam cienką białą smugę zaschniętej gliny.

– Rzeczywistość oczywiście wyglądała inaczej. Pani Boucher była kimś w rodzaju naukowczyni, choć oczywiście w tamtych czasach młode kobiety nie miały wielu okazji do wykorzystania swojej wiedzy w praktyce. Ona jednak zaczytywała się w greckich i rzymskich tragediach. Uwielbiała podania ludowe i analizowała je z niemal antropologiczną wnikliwością. Zgłębiała sztuki teatralne i poezję, wszystko, co wpadło jej w ręce, i regularnie podróżowała do Londynu, gdzie oglądała sztuki Szekspira, Marlowe’a i innych twórców, o których od tamtego czasu świat zdążył zapomnieć. Spędziła trzy miesiące we Włoszech. Zupełnie sama zwiedziła Florencję i Rzym, tylko po to, żeby zobaczyć dzieła Michała Anioła i innych

wielkich artystów renesansu. Pewnie więc już się domyślasz, że nie czuła wielkiej potrzeby uczenia podopiecznych właściwego układania sreber do posiłku. – Annabel uśmiechnęła się kwaśno. Przygryzła wargę, jakby dała się przyłapać na chwili słabości. – Wkrótce szkoła miała już sześćdziesiąt uczennic, potem sto. Matki wysyłały tu córki, dając im na drogę sfalszowane akty zgonu rodziców w nadziei, że dziewczęta znajdą tu lepsze życie niż to, jakie czekało je w domu.

Chmury nad wieżą się rozproszyły; światło księżyca zaczęło wędrować od wschodniej tarczy zegara ku północnej.

– W 1615 roku dotarła tu jednak moda na poszukiwanie czarownic. Kobiety wywlekano nocami z łóżek i palono na stosie albo obciążano kamieniami i wrzucano do morza. Sąsiedzi zdradzali się nawzajem za złoto oferowane tym, którzy doniosą na czarownicę. Społeczeństwo na straży tak zwanej moralności wpadło w amok, bezpodstawne oskarżenia sypały się ze wszystkich stron. Niech Bóg strzeże kobiety uznanej za niedoskonałą albo o nietypowym charakterze. Pewnie bez trudu już sobie wyobraziłaś, jak ta historia skończyła się dla pani Boucher. Jej szkoła zdążyła do tego czasu stać się cierniem w oku wszystkich tych, którzy uważali, że kobiety powinno się widzieć, a nie słyszeć. Oskarżono ją o uprawianie czarnej magii, wywoływanie demonów z podziemi i uczenie podopiecznych czarownictwa, a następnie skazano na śmierć.

Znów podniosła kubek. Herbata zdążyła nieco ostygnąć. Między nami zawisła gęsta cisza.

– To straszne – powiedziałam wreszcie, próbując zachęcić Annabel, by kontynuowała.

– Tylko poczekaj – wtrąciła Robin.

Nauczycielka posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Wiemy jednak, że jej oskarżyciele, mimo swoich licznych przewinień, nie mylili się w stu procentach, choć oczywiście nie mogli tego wiedzieć. W tamtych czasach oskarżenie o czarownictwo mogło opierać się na dowolnych przesłankach. Pani Boucher po prostu miała pecha. Miejscowy

rolnik powiedział, że przeklęła jego zbiory i że po jego polach zaczęły snuć się duchy, wyrrywające rośliny z ziemi. To było jego słowo przeciwko jej, i oczywiście to on wygrał. Ale pani Boucher rzeczywiście była dość żywo zainteresowana okultyzmem. Znała mity, starożytne rytuały, greckie misteria i celtyckie zaklęcia, głównie z naukowego punktu widzenia, ale z taką wiedzą wiążą się też pewne pokusy. Dlaczego poprzestawać na czytaniu, kiedy można przeżyć coś na własnej skórze? Czasami więc pani Boucher podejmowała próby odprawiania tych rytuałów. Podobnie jak w przypadku sztuki, jej zainteresowanie okultyzmem przybrało formę akademickiej ciekawości. Z tego, co wiemy, nie miała zbyt wiele szczęścia przed procesem. Dalsza część tej historii wygląda następująco: na noc przed egzekucją pani Boucher zaprosiła swoje cztery szesnastoletnie uczennice na ostatnią wieczerzę. Spotkanie odbyło się tutaj, w tym pomieszczeniu.

Przebiegł mnie nagły dreszcz. Zerknęłam na Grace, która posłała mi słaby uśmiech – widocznie też poczuła na karku zimny podmuch przeszłości.

– Zjadły kolację, popijały wino, rozmawiały o swojej pracy naukowej. Jakby wszystko było po staremu, z tym jednym wyjątkiem, że pani Boucher miała następnego dnia umrzeć. Aż wreszcie o dziewiątej wieczorem pani Boucher przeprowadziła rytuał, w wyniku którego przywołała Erynie: mityczne Furie. Stały przed trzęsącymi się ze strachu dziewczętami, wysokie i majestatyczne, całe w czarnych sobolach. We włosach miały węże i płomienie, z palców spływała im krew. W ich oczach odbijały się najgłębsze pokłady ludzkiej duszy. Patrzący mógł dostrzec w nich swoje najmroczniejsze pragnienia, najbardziej odrażające myśli. „Erynie!”, odezwała się pani Boucher. „Weźcie dusze tych dziewcząt w swoje ręce i pomóżcie im chronić to miejsce. Niech staną się naczyniami waszej woli. O, boginie! One zniszczą zepsutych i zamordują nikczemników, jeśli tylko otrzymają wasze dary”. Erynie posłuchały jej prośby. Furie wzięły się za ręce i skierowały się ku dziewczętom, które podały im drżące dłonie, ani na chwilę nie tracąc zaufania do nauczycielki, choć, co rozumiały, były przerażone widokiem upiornych postaci. Gdybym tylko mogła wygegzekwować taki szacunek od własnych

uczennic – dodała Annabel z krzywym uśmiechem.

Zaśmiałyśmy się krótko, nerwowo. Alex i Grace popatrzyły po sobie, a Robin wbiła uważne spojrzenie w Annabel, zatrzymując długopis tuż nad kartką.

– Następnego dnia straciła życie. Spłonęła na stosie ustawionym pośrodku kampusu, tam gdzie dziś rośnie wiąz. Ale kiedy zapalono ogień, świadkowie zarzekali się, że widzieli trzy otaczające ją postaci, chroniące kobietę przed płomieniami. Większość dzieci pozamykano w pokojach, by nie mogły zobaczyć horroru rozgrywającego się na terenie ich szkoły. Nie zapominajmy, że dla wielu z nich to był jedyny dom, a pani Boucher wzięła na siebie rolę ich matki. To ona uratowała je od okrutnego przeznaczenia. Cztery uczennice siedziały jednak w tej wieży i patrzyły, jak ich nauczycielka płonie. Wtedy przysięgły zemstę za zło wyrządzone mentorce przez mężczyzn. Moc Eryinii wypełniła ich dusze. – Annabel przerwała i nachyliła się powoli, patrząc mi głęboko w oczy. Nie odrywała wzroku, dopóki się nie odwróciłam. Wtedy zaśmiała się cicho, nisko. – To oczywiście tylko mit, ale też świetna historia. Podstawowe fakty są prawdziwe.

Podniosłam głowę.

– Które fakty?

Annabel znów się uśmiechnęła i oplotła palcami czarny wisiołek na szyi.

– Że na noc przed egzekucją pani Boucher zawiązano tajne stowarzyszenie. Istnieje ono do dziś, a wy jesteście naszymi najmłodszymi członkiniami. Ja też nią byłam, podobnie jak matka Alex. Mogłabym podać inne imiona, które z pewnością byście rozpoznały, ale nie będę zdradzać niczyich sekretów. Jeśli będzie taka potrzeba, informacje zostaną ujawnione naturalną kolejną rzeczą.

– Czyli zajmujecie się... magią.

Annabel się roześmiała.

– Boże drogi, nic z tych rzeczy. Niektóre członkinie lubią od czasu do czasu praktykować stare rytuały dla przyjemności, ale to tylko mitologia naszego stowarzyszenia. Szczegół, który dodaje całej historii kolorytu. – Nauczycielka złożyła dłonie na kolanach, wbijając paznokcie w knykcie. –

Na tych zajęciach omawiamy historie wielkich kobiet sztuki i literatury, dzielimy się radością estetycznego doświadczenia: w dzisiejszych czasach nie ma na to miejsca w programie nauczania. Krótko mówiąc, uczymy rzeczy, jakie chciałaby przekazywać swoim podopiecznym pani Boucher, z szacunku dla jej wiedzy i miłości do jej zdobywania.

Poczułam tępe ukłucie rozczarowania w żołądku.

– Dobrze – odparłam. – Ale dlaczego akurat my?

Jej oczy były ciemne jak dwie studnie.

– A dlaczego nie?

– Nie... nie wiem. – Czułam, że pozostałe dziewczyny mi się przyglądają. Nagle poczułam, jak powietrze między nami gęstnieje. Po ciągnącej się w nieskończoność ciszy Annabel wychyliła się z fotela i wzięła ze stolika książkę.

– Czy możemy zacząć tam, gdzie ostatnio skończyłyśmy? – spytała, zwracając się ku pozostałym.

Jakby w ogóle mnie tu nie było, jakbym nie istniała. Robin posłała mi współczujące spojrzenie i rozłożyła przed sobą książkę, a Annabel zaczęła czytać. Czarne wskazówki zegara tykały miarowo.

„Kobiety zdobyły wielką władzę”, zapisałam niedbale w notesie, nie wiedząc nawet, do jakich kobiet i którego tekstu odwołuje się nauczycielka. „Ale to miało swoją cenę”.

Była cicha, spokojna pora, jakiej można doświadczyć tylko w jesienne wieczory, kiedy zapach dymu z ognisk miesza się ze słonym oddechem morza, a liście na chwilę przestają opadać z gałęzi, jakby coś je przestraszyło. Słupy energetyczne wyciągały się ku niebu daleko na polach. W ciszy słychać było tylko chrzęst liści na asfalcie pod naszymi stopami. Ziemia była jeszcze wilgotna po krótkim deszczu, który grzechotał przez chwilę o tarcze zegara, kiedy wychodziłyśmy z wieży.

Już na dole Robin zapaliła papierosa i mi go podała. Stałyśmy pod łukami i paliłyśmy w milczeniu, czekając, aż Alex i Grace do nas dołączą. Zataczały

kolejne koła na schodach, ich kroki niosły się słabym echem wysoko w górze. Gdy wreszcie wyłoniły się z ciemności, poszłam za całą trójką po długim podejździe, w stronę (jak mi się wydawało) przystanku autobusowego. Zatrzymałam się, by spojrzeć na spłowieły rozkład jazdy. Robin odwróciła się, unosząc brwi z zaskoczeniem.

– Nie idziesz? – spytała, zerkając na Alex i Grace, stojące tuż za nią.

– Dokąd? – Poczułam wzbierającą falę radości. Spokojnie, powiedziałam sobie, jakbym rzeczywiście umiała zachować spokój.

– Do kościoła – odparła, rozkładając dłonie, jakby to było oczywiste.

Ruszyliśmy więc przez opustoszałe pola; przemaszerowałyśmy pod starym mostem; przeskoczyłyśmy zardzewiałe tory kolejowe i borsucze nory. Wreszcie weszłyśmy do lasu. Zarośla chwyciły nas za nagie kostki i nadgarstki, niewidzialne stworzenia pełzały nam nad głowami i szeleściły w martwych liściach. Robin prowadziła nasz mały pochód, pogwizdując jakąś melodię, która wydawała mi się znajoma, choć nie potrafiłam jej nazwać. Alex i Grace szeptały coś do siebie, trzymając się mocno za ręce.

Na skraju lasu zatrzymałyśmy się gwałtownie. Porośnięte trawą zbocze prowadziło w dół ku torowisku, nad którym ciągnęły się napięte kable. To była główna trasa prowadząca z miasta do Londynu, a potem ku reszcie świata. Za torami zobaczyłam druciane ogrodzenie, do którego ktoś przywiązał spłowiełe sztuczne kwiaty dla kogoś, kogo imię już dawno zmył deszcz. Za płotem stał stary kościół. Ciemna sylwetka odcinała się ostro od nieba w jasnym świetle księżyca. Robin kopnęła trawę i usiadła z twarzą zwróconą ku torom. Podniosła głowę i poklepała miejsce koło siebie.

– Jesteśmy za wcześnie – wyjaśniła, gdy przycupnęłam obok.

Wyjęła z torby butelkę wina. Rozpoznałam etykietę: było tanie i mocne. W kuchni stały rzędy takich samych pustych butelek. Zostawiały na blacie czerwone okręgi, których ani mamie, ani mnie nigdy nie chciało się wytrzeć. Robin z trzaskiem odkręciła wino, wzięła długi łyk i podała butelkę za moimi plecami do Grace, która się napiła i podała butelkę dalej. Alex też się napiła, a potem włożyła mi wino w dłoń.

– No, pij – powiedziała.

– Będzie ci potrzebne – dodała Robin.

Wzięłam butelkę, czując chlupot płynu w środku. Ze szkła unosił się mocny, miedziany zapach. Poczułam się postawiona pod ścianą, jakby ktoś rzucił mi wyzwanie. Wzięłam łyk, skrzywiłam się. Pociągnęłam jeszcze jeden. Strużka ciepła spłynęła mi przez pierś.

Robin uśmiechnęła się i zabrała mi butelkę. Poczułam, że policzki mi płoną, jakbym została otulona gorącym podmuchem, jakby niewidzialne dłonie rozcierały mi całe ciało. Zrozumiałam, dlaczego mama tak to lubi.

– No... to jak? Dołączasz? – spytała Robin.

– Do czego? – Spojrzałam na nią niepewnie.

– Do klubu, idiotko – wyjaśniła, trącając mnie lekko pięścią. – Już się obawiałam, że stara Annabel cię odstraszyła. Jeśli poczuje choć cień słabości, to rozerwie cię na strzępy.

– Coś ty – odparłam, czerwieniąc się na samą myśl. Nie jestem słaba, pomyślałam, jakby słowa mogły zmienić rzeczywistość. – Dołączam.

Tak naprawdę sama nie wiedziałam, jak się czuję. Nie byłam pewna, czy uwierzyłam w cokolwiek z tej opowieści, choć Annabel przedstawiła ją tak przekonująco, że trudno było ją podważyć. Ale tak czy inaczej, stwierdziłam, co mi szkodzi? Lepiej być jedną z nich niż zupełnie samą. A mimo to, kiedy wypowiedziałam te słowa, poczułam dreszcz zwątpienia, którego nie potrafiłam wytłumaczyć – teraz mogłabym nazwać to intuicją, choć wtedy bardziej przypominał strach.

Robin uniosła brew.

– Obiecujesz?

– ...serio?

– Dawaj. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

– Obiecuję.

Gdzieś za moimi plecami rozległ się trzask zapalniczki. Powietrze wypełnił charakterystyczny, słodkawy zapach marihuany. Robin odchyliła się w tył, wzięła jointa od Alex i znów zwróciła się w moją stronę.

– Jeszcze dużo nauki przed tobą.

Zaśmiałam się.

– Na przykład?

– Wszystko w swoim czasie – odparła Robin, potrząsając głową. Zaciągnęła się głęboko, jakby w zamyśleniu. W oddali lśniła mglista pomarańczowa łuna miejskich świateł. Gasły jedno po drugim. Grace nieobecny gestem bawiła się włosami, szukając w półmroku rozdwojonych końcówek. Alex nachyliła się, by złapać butelkę wina, potrąconą silnym podmuchem wiatru.

– Zimno się robi – powiedziała do nikogo w szczególności.

Od wschodu nadchodził narastający pomruk. Robin przetoczyła się na kolana.

– W samą porę – stwierdziła.

Popatrzyłam w niebo, czekając na błysk pioruna, ale niebo było spokojne. Dźwięk wzmagął się z każdą chwilą, drżący, miarowy. Robin chwyciła mnie za rękę i podciągnęła na nogi.

– Gotowa?

– Na co?

– Przygotuj się.

Popatrzyła prosto na mnie. Jej twarz zalało białe światło, coraz jaśniejsze z każdą chwilą narastającego hurgotu, teraz już niemożliwego do pomylenia z czymkolwiek innym: grzmot nadjeżdżającego pociągu. Odwróciłam się ku Alex i Grace. Stały w czujnych pozach obok mnie. Twarze miały puste, wpatrzone w światło. Serce zaczęło walić mi w piersi, puls rozsadzał skronie. Poczułam żar na karku, śliski pot na dłoniach, paznokcie Robin wbijające mi się w skórę. Przez sekundę pomyślałam, że zamierzają zrzucić mnie na tory – ta perspektywa nagle wydała mi się równie rzeczywista co najbardziej realistyczny koszmar.

– Nie możemy... – zaczęłam, ale moje słowa utonęły w mechanicznym ryku pociągu. Nagle przed oczami stanęły mi mroczne błyski wspomnień, odpryski przeszłości. Makabryczne wizje wypalonych oczodołów

i oderwanych paznokci. Dziewczyny pociągnęły mnie za sobą i pobiegłyśmy przed siebie, świst powietrza pchnął nas na pagórek po przeciwnej stronie. Odwróciłam się. Zobaczyłam przez szybę cztery martwe twarze, każdą wyszczerzoną w takim samym zaskoczonym uśmiechu jak mój własny.

– Widzisz? – wydyszała ze śmiechem Robin. – Teraz czujesz, że żyjesz, co?

Przytaknęłam. Oddech nadal grzął mi w gardle. Robin podała mi prawie wypalonego jointa, jakimś cudem nadal rozżarzonego na końcu. Zaciągnęłam się, czując, jak serce obija mi się o płuca. To przyjemne uczucie, gdy jest się dość młodym, by nie wyobrażać sobie, jak serce zapada się w siebie po ostatnim wycieńczającym uderzeniu.

– Kurwa. – Zakaszlałam.

– No – zaśmiała się Alex.

Kiedy znów zapadła cisza, miałam wrażenie, że dokonał się jakiś rytuał przemienienia – w powietrzu czuć było czyjąś fizyczną obecność. Przeszłam za dziewczynami przez dziurę w płocie, uważając, by nie potrącić zszarganej kartki ze zdjęciem, przywiązanej do słupa. Pod rozmytą twarzą widniał napis: „ZBYT WCZEŚNIE NAM CIĘ ZABRANO”. Szłyśmy między grobami i ich czarnymi jak atrament cieniami. Mijałyśmy jeden rząd za drugim. Grace popatrzyła na mnie. Jej oczy w ciemności wydawały się zupełnie puste.

– Już prawie jesteśmy – powiedziała z uśmiechem.

Zatrzymały się na końcu cmentarza, tak daleko od kościoła, jak tylko się dało. Zobaczyłam rząd przysadzistych, zarośniętych nagrobków. Gęsty mech i wysokie trawy zakrywały imiona wyryte w kamieniu. Robin wzięła łyk wina i wylała kilka kropel na ziemię.

– Toast – oznajmiła. Dziewczęta uśmiechnęły się, jakby ich twarze nawiedził duch dawnej beztroski. Robin zwróciła się w moją stronę. – Porozmawiajmy o historii Annabel. Co myślisz o zakończeniu?

– Było dobre – wyszeptalam. – To znaczy... Podobało mi się.

– Możesz mówić normalnie – wtrąciła Alex. – Nie usłyszają cię.

– Jasne – odkaszlnęłam.

– Mam do ciebie pytanie – odezwała się znowu Robin, kołysząc się w przód i w tył na piętach. – Wyobraźmy sobie, że jesteś Margaret Boucher. Po co miałabyś przywoływać z podziemi zgraję starożytnych demonów zemsty, jeśli nie żeby się zemścić?

– Nie...

– To było retoryczne, Violet, retoryczne. No bo błagam. – Robin oparła się o nagrobek i dwa razy postukała palcem w kamień. – Pan Edward Cooke. Twierdził, że Margaret przeklęła jego krowy, by przestały dawać mleko. Miesiąc po jej spaleniu stracił życie, zmasakrowany przez swojego własnego byka. – Wskazała na grób obok. – Pani Elizabeth Moran. Powiedziała łowcom czarownic, że widziała, jak nasza Maggie wielbi Szatana. Trzy miesiące później suknia zapaliła się jej od świeczki na jej prywatnym ołtarzyku. I puf! – Robin zrobiła ruch rękami. – Upiekła się na chrupko, że palce lizać.

– Oszalałaś – zaśmiałam się.

– Wszystko jest w oficjalnych dokumentach – wtrąciła cicho Grace. – Masakra.

– Właśnie – przytaknęła Robin. – Bo to była masakra.

Wskazała palcem na kolejny nagrobek, i jeszcze jeden, i jeszcze. Mężczyzna, który oskarżył panią Boucher o zatrucie wody w studni, utonął. Kobieta zarzekająca się, że Margaret sprowadzała na nią koszmary, zginęła przygnieciona belką, która spadła na nią, kiedy spała. Przeszliśmy całą długość cmentarza. Groby oskarżycieli stały zebrane razem, daleko od kościoła – ich przesądna natura wydawała się potwierdzać niesamowite historie.

– Ale to jeszcze nie wszystko – odezwała się Alex, kiedy dotarliśmy do końca alejki. – Wszyscy ci ludzie osierocili córki. I kto je przyjmuje? Elm Hollow, teraz prowadzona przez następczynię pani Boucher, opłakujące jej stratę. W szkole dziewczęta odbierają nauki i wyrastają na szanowane młode damy, prawdziwe filary lokalnej społeczności. A szczęśliwa czwórka, która została zaproszona do udziału w zajęciach dla zaawansowanych... – urwała.

– To moja ulubiona część – podjęła Robin, strzepując mech z pękniętej

kamiennej płyty. – Jane White. Zaproszona przez kochanka pani Boucher na kolację, jeśli wiesz, co mam na myśli. Została otruta liściem belladonny.

– Co to takiego?

– Pokrzyk wilcza jagoda. Słyszałaś o tym, prawda?

– Poważnie?

– Poważnie.

Na kilka sekund zapadła cisza.

– Nawet nie wiedziałam, że to prawdziwa roślina – wyznałam szczerze. – Zawsze sądziłam, że to jakiś wymysł, tak jak magia i klątwy. I mściwe demony ze świata podziemi.

– Wiem. Ja też. Wyluzuj. – Robin zaczęła grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu jeszcze jednego papierosa. Przez chwilę słychać było tylko cichy trzask palonego tytoniu. – Chociaż to zabawne, że właśnie ta część historii wydała ci się najbardziej podejrzana, tłumoku.

– Rzeczywiście – przyznałam, śmiejąc się wbrew sobie. Robin miała rację. To wszystko było jakieś szaleństwo, bajka, która wyrwała się spod kontroli.

Alex podała mi wino. Dopiłam resztkę, osad oblepił mi język. Dziewczyny przyglądały mi się uważnie. Napięcie między nami było niemal widoczne. Poczułam gęsią skórkę na ramionach, gorący prąd przebiegający po kręgosłupie.

– No... – odezwała się wreszcie Robin, spoglądając na księżyc. Po chwili znów odwróciła się w moją stronę i uśmiechnęła. Już wkrótce miałam dobrze poznać ten uśmiech, ostatni przebłysk mrocznego humoru przed rzuceniem wyzwania. – Pamiętasz, jak obiecałaś, że do nas dołączysz?

Nad naszymi skrzydłami sowa zerwała się do lotu. Wszystkie cztery aż się wzdrygnęłyśmy.

– Jezu Chryste – zaśmiała się Alex. – To dopiero złowieszczą wróżba.

– Owszem – przytaknęłam. – Nie wycofam się.

Kruki skrzeczały mi nad głową. Poranne niebo oblało się okrutną, wściekłą bielą.

Desperacko chwyciłam się ostatnich strzępów snu. Zimny pot i rosa perliły mi się na czole, w gardle czułam bezlitosne suche drapanie. Coś przewróciło mi się w żołądku raz, potem znowu. Chwiejnie podniosłam się na nogi, minęłam resztki wczorajszego ogniska i odeszłam w wysoką trawę, by wymiotować najciszej, jak potrafiłam.

– Co, kurwa...? – rozległ się czyjś głos za moimi plecami.

– Nic mi nie jest – powiedziałam, zastanawiając się, czy desperacka siła woli włożona w te słowa wystarczy, by stały się prawdą. – To ja. Wszystko w porządku. – Otarłam wargi rękawem i skrzywiłam się, czując kwaśny zapach. Podwinęłam materiał do środka, by ukryć wilgotną plamę.

Robin prychnęła szyderczo. Jej głos był ochrypły od dymu.

– Biedna Vivi nie potrafi pić, co?

– Mhm – mruknęłam i opadłam na trawę obok niej z głośnym łupnięciem.

Robin siedziała po turecku i skręcała kolejnego papierosa, poruszając zwinnie palcami. Grace objęła kolana ramionami. Jej włosy przypominały splątany czarny krzew. Alex oparła głowę na jej nagim ramieniu. Potoczyła ku mnie prawie pustą butelkę z wodą. Dopiliśmy zawartość jednym łykiem. Na chwilę poczułam się lepiej, a potem zrobiło mi się o wiele, wiele gorzej. Położyłam się na plecach i zamknęłam oczy. Słońce zalewało mi wnętrze powiek czerwonym światłem.

Wspomnienia zaczęły wynurzać się na powierzchnię jedno po drugim, jak bąbelki w kieliszku szampana, i znikwały, zanim zdążyłam je pochwycić: bieg, upadanie, śmiech. Robin złażąca z chrzcielnicy i ocierająca ślinę z ust. Dwa palce umoczone w winie i przyciśnięte do mojego czoła, jakieś słowa, których nie mogłam sobie przypomnieć. Ostry, zimny trzask metalu przecinający powietrze. Śmiech: najpierw niepewny, przechodzący w buntowniczy skowyt, nawoływanie, by każdy, kto nas usłyszy, przyszedł zobaczyć to na własne oczy.

– Ej – odezwała się Robin. Wzdrygnęłam się i zatrzepotałam powiekami. Ona stała nade mną. Trąciła mnie w ramię czubkiem buta. – Czas się zbierać, Śpiąca Królewno.

Usiadłam na trawie i jęknęłam boleśnie. Świat przechylił się gwałtownie do przodu. Robin zaśmiała się i wyciągnęła do mnie rękę.

– Bez urazy, ale wyglądasz jak kupa gnoju.

– Dzięki. – Otrzeptałam żdźbła trawy z nóg i pleców, modląc się o chwilę spokoju. Drzewa kołysały się lekko.

– Pospieszcie się, do kurwy nędzy – krzyknęła Alex, już zbliżając się do tunelu. – Muszę wziąć prysznic przed szkołą.

– Boże – stęknęłam.

Wyobraziłam sobie minę mamy, kiedy odkryje, że nie wróciłam na noc do domu. Na kilka miesięcy przed wypadkiem zaczęłam się stawiać i badać, jak daleko mogę się posunąć. Wracałam dwie albo trzy godziny później. Nie mówiłam rodzicom, gdzie byłam, zostawiając to ich wyobraźni (choć przecież tylko czytałam na plaży albo przesiadywałam w bibliotece... Ale ich podejrzenia poskutkowały zarówno zainteresowaniem, jakiego pragnęłam, jak i satysfakcjonującym poczuciem krzywdy, że oskarżają mnie o coś o wiele gorszego). Za każdym razem dostawałam szlaban – ta kara pozwalała mi spędzać więcej czasu w swoim pokoju. Chyba właśnie o to mi chodziło.

Teraz jednak wyobrażałam sobie, jak mama gorączkowo krąży po domu, jak wzbiera w niej wściekłość, o świcie ustępująca miejsca przerażeniu. Domyślałam się, jak ciężka kara będzie mnie czekać, kiedy wreszcie wrócę do domu, skacowana, śmierdząca dymem, z poszarzałą twarzą. Teraz, kiedy dziewczyny wreszcie oficjalnie przyjęły mnie do swojego grona, szlaban wydawał się czymś nie do pomyślenia.

Robin kopnęła mój plecak i schyliła się, żeby go podnieść.

– Serio mówię, ruszaj się – nakazała, podając mi moje rzeczy. Ruszyła przed siebie po srebrnej nitce torów, rozpościerając ramiona szeroko na boki.

Przez całą drogę powrotną dziewczyny rozmawiały leniwie, nie koncentrując się na żadnym temacie. Robin uparcie próbowała wypełnić czymś każdy skrawek ciszy aż do chwili, kiedy pożegnałyśmy się przy pomniku syreny wpatrzonych w morze. Szłam powoli do domu. Zajrzałam do sklepu, żeby kupić miętówki i kartonik mleka (tata zawsze pił szklankę mleka,

kiedy miał kaca. Rzadko mu się to zdarzało, zazwyczaj tylko w Nowy Rok). Dostrzegłam swoje odbicie w szybie pustego samochodu. Twarz miałam wymizerowaną.

Przekręciłam klucz w drzwiach. Usłyszałam pomruk zniżonych głosów. Zamarłam bez ruchu, nasłuchując kroków matki w korytarzu, wołania pełnego ulgi i złości zarazem.

Ale kiedy weszłam do środka, nic się nie wydarzyło.

Stopy mamy zwiślały z krawędzi kanapy. W salonie było gorąco i duszno od snu i starego potu, urywane zdania trzeszczały z głośników telewizora. Na podłodze w zgęstniałej kałuży rozlanego wina leżał pęknięty kieliszek. Poszłam do swojego pokoju. Ulga, że moja nieobecność nie została zauważona, prędko przepoczwarzyła się w inne, gorzkie uczucie. Odpędziłam je pośpiesznie, przebrałam się i wyszłam do szkoły, z hukiem zamykając za sobą drzwi.

Rozdział 5

Wślizgnęłam się do boksu na miejsce obok Grace, postawiłam na stole parującą kawę (bez mleka, ale za to z trzema łyżeczkami cukru – dopiero zaczynałam przyzwyczajać się do nowego smaku) i otworzyłam pudełko papierosów, które kupiłam po drodze (Lucky Strike: ulubiona marka Robin). Grace potrząsnęła głową; Robin wzięła dwa. Jednego schowała do kieszeni na piersi – na później.

Przez te kilka tygodni, odkąd zostałam przyjęta do zaawansowanej grupy Annabel, Alex i Grace zdążyły się do mnie przekonać. Zaczęły mi nawet pomagać w nadrabianiu zaległości w nauce.

– Ładny płaszcz – powiedziała Grace, gładząc wyliniałe futro. – Prawdziwe?

– Nie sądzę – odparłam, choć tak naprawdę nie byłam pewna. Podkrađłam okrycie z szafy mamy, otrzepawszy je najpierw ze wspomnień zapisanych na starych fotografiach: ona i tata na śniegu, z zaróżowionymi od mrozu twarzami.

– Wiesz, że musisz się zaciągać, nie? – odezwała się Robin. Jej twarz była pusta, bez wyrazu.

– Boli mnie gardło – skłamałam, patrząc, jak bierze długi wdech (zbyt długi, uznałam; pewnie po prostu chce mi coś udowodnić) i wypuszcza w powietrze trzy kółka dymu.

– Gdzie jest Alex? – spytałam w końcu.

– Już idzie. Późno wczoraj wróciła do domu – wyjaśniła Grace.

– Skąd?

– Była na jakiejś kolacji. Mama ją zaciągnęła. Żeby „nawiązywała kontakty”, cokolwiek to znaczy.

– Życie obrzydliwie bogatych jest pełne dyskomfortu, moja droga – dorzuciła Robin, przedrzeźniając niski, przeciągły ton Alex.

– Wszyscy tutaj są obrzydliwie bogaci – stwierdziłam z nutą goryczy w głosie, jakbym była na kacu od wieloletniej biedy. Robin i Grace popatrzyły po sobie, a potem znów odwróciły się ku mnie.

– Mówisz poważnie? – Robin wzięła łyk mojej kawy i się skrzywiła. – Uch, czego ty tu nawrzucałaś?

Popatrzyłam na nie ze zdumieniem. Byłam kompletnie zagubiona.

– No to chyba ubieramy się bardziej elegancko, niż sądziłam – skwitowała w końcu Robin. – Jesteśmy tu na stypendiach. Grace to kujon, a ja jadę wyłącznie na zdolnościach artystycznych. Dlatego jesteśmy w klasie Annabel. Jezu. – Odchyliła się na ławce, popijając herbatę. – Chyba nie sądziłaś, że dostałam się tam dzięki sile swojego umysłu? Jestem dosłownie jej pupilką. Nawet ja nie mam pojęcia, dlaczego mnie zaprosiła. Przecież rysowanie nie pomoże jej przejąć kontroli nad światem, czy co tam ona planuje osiągnąć.

Popatrzyła na mnie wyczekująco.

– Ja... Nie zastanawiałam się nad tym.

W pewnym sensie to była prawda: zdążyłam już zidentyfikować uczennice na stypendiach. Zdradzały je nieśmiałość, spuszczone wzrok. Wiedziałam to, bo sama też się tak czułam. Ale Robin i Grace – one chodziły po kampusie z taką pewnością siebie, przyciągały spojrzenia... Nie, nie mogły być na stypendiach. Przynależały do tego miejsca bardziej niż ktokolwiek inny.

Robin się roześmiała. Grace z uśmiechem wysypała sobie do kubka kolejną saszetkę słodziku.

– Tylko Alex nie jest na stypendium? – ośmieliłam się zapytać.

– Broń Boże. Jej matka jest nadziana – odparła Grace. – No i... – Nachyliła się ku mnie. – Zna się z Annabel od niepamiętnych czasów. Ale nie wie, że Alex chodzi na jej dodatkowe zajęcia – dodała, ściszej głos. – Więc nie wspominaj o tym w jej obecności.

– Dlaczego?

Grace odkaszlnęła i niemal niezauważalnie wskazała głową na drzwi. Alex szła w naszą stronę, stukając obcasami po kafelkach. Na nosie miała ciemne okulary.

– Kurwa, ale mam kaca – stęknęła, rzucając na stół torebkę z błyszczącej skóry. Ruszyła w stronę lady. – Chcecie coś?

– Kawę. Czarną jak twoja dusza – zawołała za nią Robin. Alex w odpowiedzi uniosła dwa palce i zamówiła dwie kawy, obie czarne.

– Jeśli jej mama kiedyś będzie w domu – wyszeptała Robin – to pamiętaj, że jest grubą rybą i dobrze o tym wie. Straszna suka. Nie mów, że cię nie ostrzegałam. Więc same rozumiecie – dodała nagle głośniejszym, zupełnie innym tonem – według mnie był świetny, ale nie sądzę, żeby wam się spodobał.

– O czym rozmawiacie? – spytała Alex, siadając obok mnie.

– O takim jednym filmie. – Robin wzruszyła ramionami. – Nie w twoim klimacie.

Grace prędko zmieniła temat, a ja zapaliłam jeszcze jednego papierosa. Robin postawiła kawę na zszarganym szkicowniku i zaczęła bazgrać coś na marginesie.

Wprawdzie zdążyłam już przywyknąć do przepychu kampusu, ale dom Alex mimo to mnie zaskoczył. Posiadłość kryła się głęboko w plątaninie zadrzewionych alejek, które mój tata nazwał kiedyś „dzielnicą snobów”, daleko od ulicy. Od żeliwnych bram do głównego budynku prowadziła długa, kręta ścieżka. Po drugiej stronie trawnika stała przysadzista chatka, którą Alex nazywała altaną, choć była rozmiarów mojego domu.

– To dla gości – szepnęła mi do ucha Grace, kiedy przechodziłyśmy obok. – Jej tata mieszkał tam przez jakiś czas podczas rozwo...

– Wiem, o czym gadacie! – krzyknęła Alex, nie odwracając się za siebie.

– No proszę, jak chcesz, to wszystko słyszysz – skomentowała Robin, trącając Alex łokciem.

Przyjaciółka nie pozostała jej dłużna. Popchnęła ją trochę za mocno, choć Robin chyba to nie przeszkadzało. Nie rozumiałam, dlaczego ktokolwiek chciałby się rozwieść, mieszkając w takim domu. Jeśli mama i ja potrafiłyśmy się unikać w naszym małym, ciasnym domku, w takiej rezydencji chyba można było spędzić pół życia, nie wiedząc nawet, czy ktokolwiek jeszcze

w niej mieszka.

Dziewczyny zrzuciły buty w korytarzu i zniknęły w jednym z wielu pokoiów w głębi domu. Przykucnąłam, żeby rozwiązać – niepotrzebnie – sznurówki, i zaczęłam rozglądać się po obrazach wiszących na ścianach. W kątach stały kamienne popiersia i rzeźby, jakie dotąd zdarzało mi się widywać tylko za szkłem. Musnęłam koniuszkami palców ramię kobiety z brązu o lśniących zielenią oczach. W duchu przygotowałam się na skowyt alarmu, po którym w drzwiach pojawi się zirytowany strażnik.

– No chodź, Violet! – zawołała Robin. Jej głos był stłumiony, jakby znajdowała się już kilka pomieszczeń dalej. Ruszyłam za pobrzękiwaniem szklanek, zgrzytem stołków na kamiennej posadzce i odgłosem otwieranych i zamykanych szuflad. Znalazłam dziewczyny w przestronnej, jasno oświetlonej kuchni. Przypominała zdjęcia z magazynów, które kiedyś kupowała mama.

– Co się stało? Duch cię złapał? – spytała Robin, poklepując pusty stołek obok siebie. Zająłam wskazane miejsce i położyłam dłonie na chłodnym marmurowym blacie.

– Nie martw się, mój tata tu nie wróci – prychnęła Alex. Wyciągnęła dwie butelki z ogromnego wieszaka na ścianie. – Przynajmniej zostawił swoją kolekcję win.

– Ach, *oui, oui* – przytaknęła Robin. – Twoje najlepsze chianti, *garçon*. – Postukała mnie dwoma palcami w udo. – Zawsze chciałam to powiedzieć.

Zaśmiałam się, a ona ścisnęła moją nogę mocniej. Dłoń miała delikatną, ale paznokcie ostre.

– Pani domu zaszczyci nas dziś swoją obecnością? – spytała Robin.

– O nie. – Alex przewróciła oczami. – Nie wróci jeszcze przez jakiś czas. Jest w Stanach. Chyba prowadzi tam jakieś badania.

– Szałowo – stwierdziła Robin. – Czyli mamy całą chatę dla siebie?

– No. Ta wiedźma z sąsiedztwa wpada co jakiś czas, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale dzisiaj gdzieś wyszła, więc jesteśmy bezpieczne. Wiem, że zawsze, kiedy tu przychodzi, kradnie sobie flaszkę. Więc logika

podpowiada, że im więcej wypiję, tym prędzej mama się zorientuje i wyrzuci ją za to na zbity pysk.

– W takim razie będziemy zaszczycone, jeśli zdołamy pomóc ci w osiągnięciu tego szlachetnego celu – oznajmiła Robin i wzięła długi łyk. Pocałunek czerwieni zaplaścił jej spękaną dolną wargę.

– Dzięki, Robin – odparła Alex, unosząc swój kieliszek. – Jesteś prawdziwą przyjaciółką.

– Chodź. – Robin wstała i chwyciła mnie za ramię. – Oprowadzę cię.

Wyszłam za nią z kuchni do jadalni. Pomieszczenie całe lśniło od bieli i złota. Kiedy otworzyłyśmy drzwi, usłyszałam ciche pobrzękiwanie żyrandola.

– Wow – wyrwało mi się. Nie byłam w stanie powstrzymać zazdrości.

– To jeszcze nic. – Robin pchnęła ciężkie drewniane drzwi i wymacała włącznik światła na ścianie. – Popatrz na to – powiedziała, gdy rząd lamp nagle rozbłysnął światłem.

Weszłam za nią do przestronnego pomieszczenia, wypełnionego od podłogi do sufitu książkami i rzeźbami. Po obu stronach kominka wisiały jaskrawe obrazy. Marmurowa półka nad paleniskiem wisiała nieco nad poziomem mojego wzroku.

– Mówią na to „gabinet” – oznajmiła Robin, odwracając się ku mnie. – Wyobrażasz sobie?

Zaczęła krążyć między półkami. Co jakiś czas zdejmowała z regału jakiś przedmiot i odwracała go do światła, oglądając, jakby szukała wskazówek. Zrobiłam to samo, naśladując jej nonszalancję. Nagle dostrzegłam obraz namalowany zamaszystymi, niemal pośpieszonymi ruchami pędzla. Przedstawiał kobietę trzymającą wysoko w powietrzu dziecko. Oboje krzyczeli z radości, zanosili się histerycznym śmiechem.

– Czym dokładnie zajmuje się jej mama?

– Prowadzi jakieś badania naukowe. Kilka lat temu napisała książkę o okultyzmie. Wstrętne rzeczy, aż ciary chodzą. Nie żeby w tym były pieniądze, ale raczej nie potrzebują kasy. Mają ją od pokoleń – wyjaśniła

Robin, zdejmując z podstawki szklanego motyla. Położyła go sobie na dłoni, patrząc, jak jego skrzydła migoczą w świetle lampy.

Nic nie powiedziałam. Zwróciłam się ku ciężkim książkom na półkach. *Mistyczne rytuały starożytnej Grecji*, głosił jeden z grzbietów. Na innym widniało tylko jedno słowo: *Demonologia*.

– Ej – odezwała się Alex, wtykając głowę przez szparę w drzwiach. Robin i ja zamarliśmy, przyłapani na gorącym uczynku. – Zamawiamy pizzę?

– Ojej, Alex, nie zrobisz nam znowu przypalonej brei? Straszna szkoda.

– Nie musisz jeść, jeśli nie chcesz – odgryzła się Alex.

– Przecież tylko się z tobą drażnię. Chodź, Violet. Nacieszmy się fenomenalną gościnnością naszej niezrównanej gospodyni.

Odstawiłam książkę na półkę i poszłam za Alex i Robin do pogrążonego w półmroku salonu. Ogień trzaskał i posykiwał w kominku, a wiatr za oknem szamotał gałęziami drzew. Grace leżała pod grubym futrzanym kocem, wyciągnięta na starej skórzanej kanapie. Jej blada twarz w złotym blasku płomieni nabrała lekko morelowej barwy. Skuliłam się w fotelu i położyłam sobie na kolanach sztywną poduszkę. Ciepło zalewające pokój dopiero zaczynało przenikać mi przez zmarzniętą skórę.

– Jeszcze wina? – Alex podsunęła mi butelkę.

– Poproszę – zgodziłam się, choć już czułam w żyłach pierwszy kieliszek. Wino było mocne, a upojenie słodkie i gęste jak syrop. Robin przysiadła na podłodze i oparła się o moje kolana. Jej włosy spływały mi na stopy. Nie oglądając się za siebie, wyciągnęła dłoń, a ja podałam jej butelkę. Potrząsnęła szkłem i uniosła je do światła.

– Alex! Przynieś jeszcze wina – krzyknęła. Grace posłała jej ostrzegawcze spojrzenie. Poczułam, jak płoną mi policzki.

Siedziałyśmy przez chwilę w milczeniu, wsłuchane w szum wiatru za oknem. Z kuchni dobiegał stłumiony głos Alex zamawiającej jedzenie.

– Dobra, to co dokładnie mamy przygotować w tym projekcie? – spytała Robin, kiedy Alex wróciła do salonu i schowała się pod kocem obok Grace.

Alex popatrzyła na Grace, która podparła się na łokciu.

– Czy ty w ogóle cokolwiek przeczytałaś? – spytała. – Którakolwiek z was? – dodała, spoglądając na Alex. Przyjaciółka posłała jej zawstydzony uśmiech.

– Oj, Grace, nie sądziłam, że będzie taka potrzeba – odparła Robin z szerokim uśmiechem. – Wiedziałam, że ty to za mnie zrobisz.

Teatralne westchnienie Grace powiedziało mi, że tak naprawdę wcale jej to nie przeszkadza (podejrzywałam, że po cichu cieszy się z roli odpowiedzialnej przyjaciółki ratującej nas z kłopotów).

– Chodzi o to, że według Mirandoli są dwa rodzaje magii. Jeden dobry, drugi zły.

– Jak czarna i biała magia? – podsunęła Alex.

– Coś w tym rodzaju. Ale mówimy o natchnionym filozofie renesansu, więc to trochę bardziej złożona sprawa... Zaraz. – Grace wychyliła się przez oparcie kanapy i wyjęła z torby książkę. Jej koszula podciągnęła się nieco do góry, odsłaniając siną plamę nad biodrem. Na ten widok aż mnie zmroziło. Nie rozmawialiśmy o tym, więc mogliśmy udawać, że nic się nie dzieje. Milczaliśmy, wypieraaliśmy ten fakt, patrzyliśmy w inną stronę. Czasami jednak, zupełnie niespodziewanie, prawda znów wychodziła na jaw, ukazując się nam w całej swojej grozie: obrzydliwe okrucieństwo, przemoc wypisana na jej skórze.

Robin popatrzyła na mnie. Ona nic nie zauważyła.

– Ooo, bajka na dobranoc. Hurra.

– Proszę, jest – podjęła Grace. Albo nie dosłyszała komentarza Robin, albo postanowiła go zignorować. – Magia ma dwie formy, dalej, dalej... Ach, jest. „Człowiek podlega całkowicie władzy i działaniom demonów, a zatem jasnym się wydaje, Bóg mi świadkiem...” ^[6]

– Że nigdy więcej głodna nie będę? ^[7] – wtrąciła Robin, przewracając oczami.

– Zamknij się – ucięła Alex, obserwując palce Grace sunące wzdłuż odczytywanych na głos słów.

– „Bóg mi świadkiem, rzecz to wstrętna i odrażająca. Po głębokiej analizie

druga z nich okazuje się niczym innym jak najwyższym urzeczywistnieniem naturalnej filozofii”. – Grace zerknęła na nas niepewnie i wróciła do lektury. –

Potem jeszcze trochę o tym gada, ale w końcu mówi tak: „Praktyk tej pierwszej zawsze próbuje ukryć swe uzależnienie, gdyż zawsze wiąże się ono ze wstydem i wstrętem, podczas gdy uprawianie tej drugiej, zarówno w czasach starożytnych, jak i niemal wszystkich innych, stanowiło o najwyższym szacunku i chwale na polu nauki”.

– Ale lamus – prychnęła Robin. – On, nie ty.

– No więc wydaje mi się, że Annabel oczekuje przykładów tego drugiego rodzaju magii – ciągnęła Grace. – To nie powinno być trudne, bo Mirandola gada o nich jeszcze przez pół strony.

– Świetnie – oceniła Alex. – Mama na pewno ma mnóstwo książek na ten temat. – Wstała, słysząc domofon przy bramie. – Pójdę po pizzę, a wy wybierzcie film.

– Albo... – Robin uśmiechnęła się przebiegle.

– Wybierzcie film! – odrzyknęła Alex z korytarza.

Zawahałam się przez chwilę, przeklinając własną ciekawość i lizusostwo. Wreszcie jednak zadałam pytanie, na które czekała Robin.

– Albo co?

Ona wskazała na rzędy książek na półkach, na niezliczone drobiazgi i zabawki.

– Albo mogłybyśmy zająć się czymś naprawdę ciekawym.

– Jestem zmęczona – zaprotestowała Grace, zerkając niespokojnie w stronę drzwi. – Wolałabym coś obejrzeć.

– A co, boisz się?

– Nie, ale...

Drzwi wejściowe zatrzasnęły się z łoskotem. Wszystkie trzy aż podskoczyłyśmy. W korytarzu rozległ się pośpieszny rytm kroków.

– Robin – odezwała się Alex, stając w progu. – Obiecałaś, że nie będziesz znowu zaczynać.

– O czym mówicie? – spytałam bezradnie.

Alex westchnęła.

– Ona...

– Co „ona”? – przerwała jej Robin z udawanym oburzeniem. Mrugnęła do mnie z błyskiem w oku, zachęcając, żebym dołączyła do jej gry.

– Ostatnim razem, kiedy Robin tu była – ciągnęła Alex – przez cały wieczór się upierała, żebyśmy odprawiły jakiś rytuał z książek mojej mamy. I wygląda na to, że czeka nas powtórka z rozrywki.

Popatrzyłam na Alex, potem na Robin i Grace.

– Coś jak... jak Krwawa Mary?

– Ile ty masz lat, dwanaście? – prychnęła Robin.

– Dokładnie jak Krwawa Mary – przytaknęła Alex. – Idiotyczne dziecinne wygłupy.

Robin posłała mi zdesperowane spojrzenie i wzruszyła ramionami.

Przewróciłam oczami, tak jak ona miała to w zwyczaju, już w tej samej chwili zastanawiając się, dlaczego właściwie to zrobiłam. Miałam nadzieję, że nikt nie zauważył.

Dziewczyny znów zaczęły się kłócić, choć teraz już w lżejszym tonie. Po chwili zatarg przeistoczył się w zwyczajną rozmowę. Robin i Grace stanęły przed szafką pełną kaset wideo (ukrytą za szerokim malowanym parawanem – widocznie jej zawartość nie pasowała do reszty wystroju).

Widząc, jak swobodnie czują się tu pozostałe dziewczęta, poczułam ukłucie zazdrości. Doskonale znały rozkład i porządek przypisany wszystkim przedmiotom. Wydawały się tak przyzwyczajone do otaczającego je luksusu, jakby zupełnie przestały go dostrzegać.

– Zawsze go wybierasz!

– Bo jest dobry!

Uśmiechnęłam się, słuchając ich siostrzanej sprzeczki, i czekałam, aż podejmą decyzję.

Ostatecznie ich wybór i tak okazał się bez znaczenia (stanęło na dwóch horrorach Hammer Films, jeden o zombie, drugi o wampirach – nie pamiętam żadnego tytułu). Po kawałku pizzy (tylko jednym, choć byłam głodna – dość

się nasłuchiwałam szyderstw Robin z dziewczyny o dwa rozmiary szczuplejszej ode mnie i czułam, że w każdej chwili jest gotowa mi wytknąć, że za dużo jem) i kolejnym kieliszku wina osunęłam się w stan ciepłego otępienia, moje powieki zrobiły się ciężkie, a ramiona fotela objęły mnie miętko.

Kiedy się obudziłam, znów byłam owinięta w swój wyświechtany futrzany płaszcz. W całym domu panowała cisza. Kilka ostatnich grudek żaru połyskiwało czerwienią w palenisku. Gruba biała linia, podrygująca na ekranie telewizora, zalewała pokój sztucznym stroboskopowym światłem.

Zatrzepotałam powiekami, by odpędzić sen. Spróbowałam sobie przypomnieć, gdzie się znajduję i dlaczego jestem sama. Stałam przed przeszkloną gablotką. Za szybą leżały suszone zioła, kryształki, jakieś srebrzyste proszki. *Arnold Hill, 1969*, głosiła srebrna tabliczka. Pękate, okrągłe buteleczki zatkane korkami migotały zachęcająco. Zdjęłam jedną z dolnej półki. *Szalej (Cicuta maculata)*. Etykieta była spłowiała, zapisana ledwie widocznym czarnym atramentem. Odstawiłam ją i podniosłam inną: *Oleander (Nerium oleander)*. Kiedy zwracałam ją na miejsce, dostrzegłam w głębi gablotki na wpół opróżniony słoiczek z zasuszonymi liśćmi. Sięgnęłam po niego. *Pokrzyk wilcza jagoda (Atropa belladonna)*. To skojarzyło mi się z jakimś dawno zapomnianym żartem – Robin by się to spodobało, pomyślałam. Jednym ruchem wsunęłam go do kieszeni.

Podłoga pod moimi stopami była przejmująco zimna, wydawała się krucha jak lód. Wyszłam z pustego, zmartwiałego salonu i z pewną ulgą stanęłam na pluszowym dywanie w korytarzu.

– Halo? – wyszeptałam niepewnie w ciemność. Na końcu holu uchylily się drzwi i zobaczyłam twarz Robin. Wezwała mnie gestem. Ruszyłam w jej stronę, ocierając zaspane oczy.

– Co ty...? – syknęłam, chwytając klamkę jedną dłonią. Nieco chwiałam się na nogach; przypomniało mi się ciepłe upojenie mocnym winem.

– Szukam czegoś – odparła rzeczowo.

– Muszę napić się wody – westchnęłam.

Robin wskazała na korytarz.

– Trzecie drzwi po prawej. Jak już się ogarniesz, przyjdź do gabinetu.

Kiedy wróciłam – wiele razy zaplątawszy się w ślepe zaułki przepastnego domu, który w ciemności wydawał się rosnąć i wypuszczać kolejne odnogi – Robin czekała na mnie za biurkiem, z nogami opartymi o blat. Na kolanach miała otwartą książkę.

Przysiadłam na krawędzi biurka.

– Co to jest?

Robin sięgnęła po moją szklankę i wzięła długi łyk.

– Rzecz wstrętna i odrażająca – odparła z szerokim uśmiechem. – Chcesz się na coś przydać?

Milczałam.

– No weź. – Robin złapała mnie za rękaw. – Spójrz na to i powiedz, że nie jesteś zainteresowana.

Nachyliłam się nad jej ramieniem, świadoma tego, jak mój oddech porusza jej włosami. To była bardzo stara książka, z malowanymi rycinami w żywych kolorach. Krawędzie stronic pociągnięto złotem.

– Rany – szepnęłam, przebiegając po kartce opuszkami palców. Westchnęłam i się wyprostowałam. – A co z resztą?

– Uwierz mi, lepiej im teraz nie przeszkadzać. Potrzebują trochę czasu dla siebie, sama rozumiesz.

Nie rozumiałam. Nagle jednak pomyślałam o nogach Grace przerzuconych przez kolana Alex na kanapie. O ich splecionych delikatnie palcach.

– Ja... Okej. To znaczy... jasne. Nie wiedziałam, że one...

– No wiesz, nie obnoszą się z tym jakoś strasznie. Mniejsza z tym. I tak chciałam to zrobić tylko z tobą. To rytuał więzi. Tylko dla najlepszych przyjaciół. – Chwyciła mnie za rękę i przycisnęła moje palce do książki. – A do tego praca na dodatkową ocenę. Annabel byłaby z ciebie bardzo dumna.

Podniosłam z biurka srebrną tabakierę, udając, że nic mnie to nie obchodzi – że wcale się nie zastanawiam, nie ważę tej myśli. Do pewnego stopnia wiedziałam, co robi moja przyjaciółka. Mówiła rzeczy, które chciałam usłyszeć. A jednak... Nic mnie to nie obchodziło. Chciałam wierzyć w jej

słowa. To mi wystarczało. Emily była wiecznie obecna, jej cień wisiał nam nad głowami, a ja czułam się do niej nieustannie porównywana. Była jak mój *doppelgänger*, o czym Nicky przypominała mi przy każdej nadarzającej się okazji. „Najlepsze przyjaciółki”, powiedziała Robin, spoglądając na mnie w mroku szeroko otwartymi oczami. Jej oddech był gorący od wina i oczekiwania. „Wygrałam”, przemknęło mi przez myśl – ku mojemu własnemu zażenowaniu.

– Dobra – odparłam w końcu.

– Kocham cię. – W ułamku sekundy zerwała się z miejsca, rozłożyła książkę na stole i zaczęła krążyć między półkami, zdejmując z nich naczynia ze świeczek i figurek. – Weź książkę – nakazała i ruszyła z powrotem do salonu, pogrążonego w głębokiej, nieruchomej ciemności.

Robin usiadła na dywanie przy niskim stoliku kawowym, nadal zawałonym pudełkami po pizzy i pustymi butelkami. Zapaliła trzy wysokie, cienkie świece i wetknęła je w fantazyjny świecznik zabrany z gabinetu. Cienkie odłamki potłuczonego szkła zamigotały w świetle płomieni. Następnie Robin otworzyła drewnianą szkatułkę i rozłożyła na podłodze pięć kamieni, po czym rozsypała szczyptę srebrzystego proszku z puszką, której przyglądałam się wcześniej, starannie zarysowując okrąg.

– No chodź – ponagliła, poklepując miejsce na podłodze obok siebie.

Ściągnęłam z kanapy poduszkę i niepewnie przycupnęłam na ziemi, twarzą do Robin. Świece migotały między nami.

– I co teraz robimy?

– Ćśśś... Wszystko zostanie nam wyjawione. – Skrzyżowała nogi, otworzyła księgę i zaczęła kartkować ciężkie strony oblizanym palcem, aż wreszcie znalazła to, czego szukała. – Abrakadabra – oznajmiła z uśmiechem.

Popatrzyłam na leżące między nami przedmioty i powoli wciągnęłam powietrze w płuca. Wiatr przybrał na sile, krople deszczu zaczęły łomotać o szybę. Miałam wrażenie, że cisza rozciąga się w nieskończoność. Wreszcie Robin rzuciła książkę na podłogę z głuchym łomotem i posłała mi uśmiech.

– Okej – powtórzyłam. – Co teraz?

– Nie słyszałaś? Cicho – ucięła, nie podnosząc wzroku. – Zastanawiałam się, dlaczego Annabel mówi wolniej w twojej obecności, ale teraz rozumiem.

Zaczerwieniłam się. Zauważyłam, że dziewczyny wiercą się niecierpliwie, kiedy Annabel powtarza rzeczy, o których już się uczyły. Widziałam, jak popatrują po sobie z frustracją. Robin zawsze zaczynała wtedy rysować, odchylając szkicownik lekko w stronę Annabel, jakby w nadziei, że odciągnie jej uwagę.

W tych chwilach, kiedy Annabel mówiła wyłącznie do mnie, czułam, jak moje zakończenia nerwowe iskrzą, jak włoski na przedramionach podnoszą mi się powoli. Czułam wtedy, że oczy Robin ciemnieją, a zazdrość niemal trzeszczy w powietrzu.

Wreszcie Robin odkaszlęła i wzięła mnie za rękę.

– Okej. Zamknij oczy.

Opuściłam na chwilę powieki i znów je podniosłam. Robin wpatrywała się we mnie z uśmiechem.

– Wiedziałaś, że to zrobisz – oznajmiła. – Zamknij porządnie. Nie otwieraj, dopóki nie skończymy.

– Dobra – westchnęłam. Wino nadal szumiało mi w głowie. Czułam już lekki ból pulsujący gdzieś głęboko za oczami.

Robin ścisnęła mocno moje palce i zaczęła czytać z książki.

– Bogini Hekate, oto my, twoje posłuszne córki, przychodzimy do ciebie i prosimy o twe błogosławieństwo.

Poczułam, jak po skórze rozlewa mi się gęsia skórka. Na zewnątrz rozległ się ostrzegawczy grzmot.

– Bogini księżycy, przychodzimy do ciebie z otwartymi rękami i składamy swe serca w twoje dłonie, pod złotym światłem niebios twjej matki. Bogini skrzyżowanych dróg, przychodzimy do ciebie otwarte na to, co dla nas przygotowałaś, gotowe iść nie swoją ścieżką, lecz tą przez ciebie wyznaczoną. Oddajemy nasze serca twjej nieśmiertelnej władzy. – Robin puściła moją rękę i położyła mi ją na kolanie, wnętrzem do góry. – Bogini ciemności, ufamy twemu światłu. Prosimy, prowadź nas przez mrok nocy, kiedy gwiazdy padają

ci do stóp. Bogini czarodziejstwa i zaklęć, obdarz nas zrozumieniem magii i siłą swego serca. O, bogini, oto my, twe córki, przychodzimy do ciebie i z radością oddajemy ci swą krew.

Poczułam ostry ból w dłoni i wyrwałam rękę, otwierając oczy. Ze środka dłoni spływała mi szeroka czerwona struga. Z przerażeniem popatrzyłam na Robin. Ona przeciągnęła cienkim, powykręcany ostrzem po własnej dłoni i przycisnęła swoją ranę do mojej, mocno chwytając mnie za rękę.

– Co ty odwalasz? – krzyknęłam, próbując się wyrwać.

– Ćśśś – szepnęła. Przez chwilę popatrzyła na mnie z powagą i się roześmiała. – Daj spokój. W życiu byś mi na to nie pozwoliła, gdybyś wiedziała, co się szykuje.

– To bolało – syknęłam. Robin nadal trzymała moją dłoń; ciepła krew lepiła się do naszych dłoni. – Puść mnie.

– Czekaj. – Chwyciła niemal pustą butelkę ze stołu. Wzięła łyk i podsunęła mi resztę. – Wznieśmy toast za nasze połączenie.

– Nie ma mowy – zaprotestowałam i wyrwałam rękę, zaskoczona siłą jej uścisku.

– Mówię poważnie. Pij – nakazała, kołysząc butelką.

Uświadomiłam sobie, że to moje jedyne wyjście z sytuacji. Wyrwałam jej wino i wychyliłam resztkę.

– Proszę. – Odstawiłam butelkę z trzaskiem na stolik. – Koniec, idziemy.

Uwolniona z objęć jej palców dłoń paliła, krople krwi głośno skapywały na posadzkę. Przyłożyłam ją do ust, by zatrzymać krwawienie. Słony, ciepły płyn rozlał mi się po wargach.

– Ale masz minę – prychnęła Robin.

Chwiejnie podniosłam się na nogi. Z bólu aż kręciło mi się w głowie.

– Spierdalaj – powiedziałam i ruszyłam do łazienki, owijając dłoń w bluzę, żeby nie zabrudzić krwią kremowego dywanu. Zamknęłam za sobą drzwi i włożyłam rękę pod kran. Czerwone plamy rozlały się po białej porcelanie jak akwarela.

– Co ona odwala? – wyszeptałam, wpatrując się tępo w swoją dłoń.

Puls huczał mi w uszach, skóra mrowiła od szoku, a w żołądku wzbierała osłabiająca fala mdłości. Pot wystąpił mi na czoło. Opuściłam pokrywę od sedesu i usiadłam niepewnie na desce, nadal trzymając dłoń w umywalce.

Po chwili rozległo się słabe pukanie do drzwi.

– Wszystko okej? – zapytała szeptem Robin. Nie odpowiedziałam. Zamarłam, wstrzymałam oddech. Zapukała drugi raz, trzeci. – Jak tak, to spierdalaj – wysyczała i odeszła w głąb korytarza.

Siedziałam na sedesie, aż strużka krwi zwolniła i zniknęła. Miałam zawroty głowy, czułam obezwładniające mdłości. Przypomniłam mi się syk rozrywanej skóry i aż się skrzywiłam; płonęłam ze złości. Jak ona mogła, pomyślałam, z goryczą analizując każdą chwilę przebytego rytuału. Żeby to chociaż przyniosło jakiś efekt.

Wbiłam wzrok w grudki krwi, zastygające powoli w czarne strupy. Kiedy ruszałam palcami, w ranie pojawiały się czerwone bańki. Jeszcze raz odkręciłam kran i splukałam resztki krwi. Uważnie rozejrzałam się po pomieszczeniu, by upewnić się, czy nie zaplamiłam niczego po drodze. Moja bluza stwardniała, krew zaschła w czarny, lśniący pancerz, ale udało mi się nie pobrudzić podłogi.

Zdjęłam z siebie bluzę, ostrożnie przeciągając dłoń przez rękaw, i odłożyłam ubranie na pokrywę toalety. Owinęłam ranę w papier toaletowy. Na desce klozetowej pojawiła się cienka strużka krwi. Wlepiłam w nią wzrok. Chwyciłam papier, żeby ją zetrzeć, i w tej samej chwili poczułam ciepłą wilgoć między nogami. Odwróciłam się do lustra i zobaczyłam na spódnicy ciemnoczerwoną plamę.

Kiedy pytałam mamę, dlaczego nie mam jeszcze miesiączki, zapewniała, że po prostu późno dojrzewam.

– Masz szczęście – powiedziała tylko, nawet nie próbując zaspokoić mojej ciekawości.

Teraz zsunęłam rajstopy i zobaczyłam miękką kałużę krwi, przenikającą przez bieliznę, poczułam zwierzęcy zapach tanin. Zaczęłam przetrząsać łazienkowe szafki, aż znalazłam pudełko tamponów. Przeczytałam instrukcję

(dopiero przy trzecim podejściu udało mi się zrobić wszystko jak należy), zwinęłam rajstopy w kulkę i wcisnęłam je do kosza na śmieci.

Wreszcie wróciłam do salonu. Robin posprzątała wszystkie ślady. Mogłoby się wydawać, że nic się nie wydarzyło, gdyby nie smuga krwi na włączniku światła. Starłam ją rękawem i położyłam się na kanapie, zagarniając koc. To przypadek, mówiłam sobie w duchu. Zwykły zbieg okoliczności, tylko tyle.

ZIMA

Rozdział 6

Siedziałam na cokole syreny. Kamień był zimny jak płyta nagrobna. Przyszłam wcześniej, a on się spóźniał. Przyglądałam się świątecznym zakupowiczom zza mgiełki swojego oddechu. Powietrze było ciężkie i aż skrzyło się od życia: pierwszy dzień ferii świątecznych, zatłoczone ulice rozmigotane od światełek. Swędziała mnie dłoń. Podrapałam się przez wilgotną rękawiczkę. Nie pomogło, więc zdjęłam ją i spojrzałam na spuchniętą ranę, nadal lepka od zakrzepłej czarnej krwi.

Przez kilka tygodni od nocy w domu Alex zdążyłam się przyzwyczać do tępego pulsowania, do gorącej skóry, wilgotnej od potu. Nie zasklepiła się do końca, więc co jakiś czas krwawiłam na podręczniki albo zostawiałam wilgotne czerwone smugi na kubkach z kawą i butelkach wina. Ani Robin, ani ja nie powiedziałyśmy nic Alex i Grace, mimo że każda z nich zerkała co jakiś czas na blizny i ślady, jakie zostawiałyśmy. Milczały uparcie, odmawiając zadawania pytań. Czułam, że są na nas złe, jak rodzice zirytowani nieposłuszeństwem dziecka.

Może właśnie dzięki temu zakłęcie podziałało. Robin i ja stałyśmy się nierozłączne, niemal stopiłyśmy się w jeden byt. Wszystko robiłyśmy razem, choć przez kilka ostatnich dni byłam trochę rozkojarzona, zajęta, nieco bardziej odległa.

Poznałam chłopaka. Albo raczej spotkałam się z nim ponownie, i podczas tego drugiego spotkania zostałam pocałowana. Szczegóły nieco się rozmyły – wszystko wydarzyło się późną nocą albo wczesnym porankiem. Przedtem wypiliśmy niemało w pokoju Andy’ego, siedząc na podłodze zasłanej skradzionymi skądś łańcuchami choinkowymi. Wyglądało na to, że on i Andy się zaprzyjaźnili, choć prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiali. To Robin prowadziła rozmowę, kontrolowała nastrój i każdy ruch w ciemnym od dymu akademiku.

Kiedy ona i Andy wyrzucili nas z pokoju, by nacieszyć się swoim towarzystwem sam na sam, Tom i ja stanęliśmy nad jeziorem w przejmującym chłdzie, tak samo jak ostatnim razem (choć moje wspomnienie tamtej nocy nadal było rozmyte, przyduszone kocem upojenia).

– Chciałbym cię gdzieś kiedyś zabrać – powiedział, a ja odparłam, że podoba mi się ten pomysł.

Później, gdy wspominałam ten pierwszy pocałunek, próbowałam ocenić, czy jego ślina smakowała inaczej niż moja własna, określić dokładnie piżmowy zapach jego włosów. Szukałam też odpowiedzi na pytania, które pojawiły się potem. Czy bycie całowaną sprawiało mi przyjemność, a może źle to robiłam? I dlaczego właściwie on mnie pocałował?

To nieważne, powiedziałam sobie, odpędzając tę myśl. Zostałam pocałowana. To był kamień milowy, mój pierwszy, ekscytujący krok w dorosłość.

Kiedy Robin o to zapytała, wzruszyłam ramionami i odparłam, że nic się nie wydarzyło – że nie jestem zainteresowana i nie wiem, o czym ona mówi. A kiedy opuściliśmy kampus na czas ferii zimowych, spytała, jakie mam plany. Wyjaśniłam, że nie mogę się dziś spotkać. Słodki powidok pocałunku nadal unosił się w mojej pamięci, wspomnienie rozlewało mi się po skórze, szczypiąc jak świeży mróz. To był sekret, o którym myślałam tylko w swoim pokoju, tak jak pudełko pełne niemowlęcych ubranek po siostrze, trzymany przez mamę pod łóżkiem. Postanowiłam, że jutro opowiem o tym Robin. Omówimy wszystko ze szczegółami, a ona będzie ze mnie dumna. Kolejna ekscytująca perspektywa.

– Tutaj jesteś – odezwał się Tom, jakbym to ja była spóźniona. Przeczesał sobie włosy palcami; byłam pewna, że widziałam ten gest w telewizji, i zaczęłam się zastanawiać, czy robi to na pokaz. Zarumieniłam się, przyłapaną na nieco zbyt długim spojrzeniu. – Chcesz iść na spacer?

– Pewnie.

Dreptałam obok niego, słuchając, jak mówi. Co jakiś czas pomrukiwałam coś w odpowiedzi. Powiedział, że dużo się uczy. Ja rozmyślałam o tych

osnutych tajemniczym mrokiem uczuciach, które nachodziły mnie na widok innych chłopców, kiedy któryś ocierał się o mnie ramieniem, przechodząc w tłumie, albo zajmował siedzenie obok w autobusie.

Czy oni myślą tak samo jak ja? A może chłopcy są fundamentalnie różni od nas, zaprojektowani tak, by stanowić nasze przeciwieństwo? Czy zauważają te ulotne dotknięcia ciał tak samo jak ja? Czy w ogóle mnie dostrzegają?

– A ty?

Zamyśliłam się.

– Słucham?

– Jak ci idzie w szkole?

– Eee... W porządku. No wiesz. Nuda.

Popatrzył na mnie uważnie, mrużąc lekko oczy.

– Sprawiasz wrażenie kogoś, kto raczej to lubi.

– Co lubi?

Roześmiał się.

– Szkołę. Podejrzewam, że tylko udajesz taką zblazowaną.

Wzruszyłam ramionami i odwróciłam twarz ku wodzie, złapana na kłamstwie.

– Rozwiązałeś już sprawę ze swoją dziewczyną? – Zastanawiałam się, jak o to zapytać. Teraz jednak słowa same wyrwały mi się z ust.

– Tak i nie – odparł ze wzrokiem wbitym we własne buty. – Już po wszystkim.

– Och. – Skrzywiłam się. – Przykro mi. – Oczywiście wcale nie było mi przykro. Czułam ulgę.

– Nie przejmuj się. Oboje wiedzieliśmy, że wszystko zmierza w tym kierunku. – W jego głosie pobrzmiwała gorycz.

Zerknęłam na niego.

– Może pójdziemy się napić?

– Bardzo dobry pomysł. Daj mi chwilę, muszę skoczyć po papierosy.

Zniknął w słabo oświetlonym sklepiku. Ja zostałam na zewnątrz.

Udawałam, że czytam plakaty przyklejone do okna, ulotki reklamujące usługi, których nikt nie chce; świstki papieru, zaginione koty, znalezione psy. Wreszcie Tom pojawił się w drzwiach, schylając się nieco pod futryną, choć nie musiał. Uznałam, że lepiej mu tego nie wytykać.

– Zapasy, *mademoiselle* – oznajmił Tom, unosząc brzęczącą plastikową siatkę.

– A to co?

– Nasz alkohol – odparł bez cienia sarkazmu w głosie. – Przecież nie masz dość lat, żeby iść do pubu, prawda?

Wlepiłam w niego zdumiony wzrok.

– Moglibyśmy... No wiesz, ty mógłbyś zamówić.

– E, nie – powiedział i złapał mnie za ramię, prowadząc nas ku promenadzie. – Na świeżym powietrzu lepiej smakuje.

Mijaliśmy tłumy ludzi na molo, przechodziliśmy obok migających znaków i ulicznych dziwadeł, zmierzając w stronę parku. Pośrodku stała stara altana dla muzykantów, cała dziurawa ze starości. W oddali unosiły się cienkie spirale bladego dymu z krematorium; warczące motorówki rozcinały wodę z oszałamiającą prędkością. Przechodziłam tędy setki razy. Miałam nadzieję, że tym razem poczuję się jakoś inaczej, ale nic nie wydawało mi się nowe ani przemienione za sprawą Toma. Słuchałam, jak opowiada o swoich ulubionych zespołach, o książkach, które uwielbia. Uświadamiałam sobie mgliście, że powinnam być pod wrażeniem: dostrzec jego erudycję, wiedzę, wiek, mądrość. Przy każdym zdaniu padającym z jego ust miałam jednak wrażenie, że już je kiedyś słyszałam, że ktoś inny powiedział to wcześniej, lepiej. Mimo to przytakiwałam.

– No i Bukowski. Prawdziwy geniusz. Czytałaś *Listonosza*?

– Nie – odparłam, choć zdarzyło mi się kiedyś przekartkować egzemplarz w bibliotece. Uznałam, że to nudna literatura, skupiona wyłącznie na sobie.

– Co? Jak to? Przecież to najlepsza książka. Najlepsza. – Zatrzymał się, rozejrzał, rzucił kurtkę na trawę i usiadł na samym środku, aż zadudniło. Przycupnęłam obok niego, niepewnie obciągając płaszcz, nie zdejmując go

jednak. Trawa była wilgotna, miałam zmarznięte palce.

– Okej, spróbujmy z czymś innym – powiedział. Otworzył butelkę z cydrem, podważając kapsel o krawędź buta, i mi ją podał. – *Rzeźnia numer pięć.*

Wzruszyłam ramionami. Przeczytałam tekst na tylnej okładce. Uznałam, że brzmi głupio. Chłopięco. Nieciekawie.

– Chryste. Czego oni was uczą w tej szkole dla dziewcząt, haftu krzyżkowego?

– Coś w tym rodzaju – uśmiechnęłam się.

Chyba instynktownie rozumiałam, jaką rolę powinnam tu odgrywać. Zachwycać się jego zainteresowaniami i niechętnie opowiadać o własnych (nijakie, płaskie, nudne). Miałam słuchać uważnie, chwytając się każdego słowa, doceniać jego znajomość tematu. Nie mam pojęcia, skąd to wiedziałam. Chyba po prostu każda dziewczyna to wie.

Im więcej jednak mówił, tym wyraźniej dostrzegałam własne myśli, wyłaniające się jedna po drugiej. Nie chciałam tu być. Nudziłam się. Nie miałam ochoty go całować, choć wcześniej wydawało mi się inaczej, ani wysłuchiwać jego nieskończonego monologu. Popijałam cydr, zastanawiając się, kiedy będę mogła sobie pójść.

„Idę na kolację z rodzicami”, zamierzałam powiedzieć, „rodzice”, w liczbie mnogiej, by ten komunikat też pasował do mojej przewidywanej nijakości.

„Fajnie było”, oznajmię i zniknę, postanowiłam, i już nigdy go nie zobaczę. Nawet jeśli trochę zranię jego uczucia, na pewno szybko się z tego otrząśnie, a ja wrócę do domu i już nigdy nie popełnię takiego błędu. Zmarnowane popołudnie, nic poza tym.

A jednak dwie godziny później usiadłam w zalanej niebieskim światłem toalecie na dworcu autobusowym, śmierdzącej kwaśno cytrusowym środkiem czystości i wymiocinami, z lepem na muchy zwisającym spod jarzeniówek. A jednak dwie godziny później umyłam ręce, znów usiadłam i obejrzałam uważnie spódnicę w poszukiwaniu śladów, liści, krwi wchłoniętej przez szwy. Światło wdzierało się w każdą szczelinę jak chlor. Zamknęłam oczy

i wyciągnęłam z włosów suchy liść, zgmiotłam go kciukiem i palcem wskazującym. Wiem, że to brzmi bardziej dramatycznie niż w rzeczywistości. Fakty były chyba bardziej banalne, moje myśli uporządkowane i logiczne. Nie mogłam tak wrócić do domu, choć po raz pierwszy od dawna bardzo tego chciałam.

– Co robisz później? – spytał, odchylając się na łokciach. Swobodny. Zrelaksowany. Z odrobiną dystansu.

– Idę na kolację – odparłam, zerkając na zegarek. – Z rodzicami. Nie wykręcę się.

– Rozumiem.

Zapadła cisza.

– Co? – spytałam wreszcie.

– Nic.

Znowu cisza.

– Okej.

– Co „okej”? – Popatrzył na mnie, rozchylając wargi w lekkim uśmiechu, ukazując poźółkłe dolne zęby, zabrudzone tytoniowym osadem.

– Okej, nic.

– Okej.

– Trochę z ciebie dupek.

– Wielkie dzięki.

– Zawsze do usług.

– Zawsze, tylko nie dzisiaj.

– Tylko nie dzisiaj.

Poczułam, że ziemia osuwa się nieco pode mną. Nie potrafiłam ocenić, co się właściwie dzieje, na jaki teren wchodzimy. Czy to flirt? Brzmiało trochę jak flirt, i tak się czułam: serce trzepotało mi w piersi. A jednak było w tym też coś innego, mglisty wyrzut sumienia, którego nie umiałam zidentyfikować. Miałam wrażenie, że go zawiodłam. Rozczarowałam. Że nie jestem tą fajną dziewczyną, którą miałam się okazać. Nie spełniłam pokładanych we mnie oczekiwań.

Powinam jednak dodać, że ta analiza jest możliwa dopiero z perspektywy czasu. W tamtej chwili wszystko sprowadziło się jedynie do uczucia zagrzebanego głęboko w żołądku, do świadomości, że zrobiłam coś nie tak.

– Powinam już iść – powiedziałam w końcu.

– W porządku – odparł. Nie ruszył się z miejsca.

Otrzeptałam wilgotne liście i źdźbła trawy, które przykleiły mi się do rąk i nóg. On przyglądał mi się przez chwilę, po czym zrobił to samo. Westchnął głęboko, potrząsając kurtką.

Między grupkami rozkrzyczanych dzieci szybowało frisbee, matki wychylały się do siebie nad wózkami, szeptem przekazując sobie jakieś sekrety. Ruszyliśmy przez park w stronę arboretum, choć pod tą nazwą kryło się zaledwie kilka rzędów drzew przy otoczonym drewnianym płotem placu budowy. Eleganckie banery reklamowały nowy hotel, już przed powstaniem skazany na porażkę. On znów zaczął mówić, jakby nic się nie wydarzyło, i to samo zresztą powtarzałam sobie w duchu, głosem rozsądku: nic się nie stało. Słuchałam, przytakiwałam mu z większym entuzjazmem, z wyraźniejszym niż wcześniej zachwytem jego przemyśleniami, próbując w ten sposób załagodzić wcześniejszą urazę.

– Więc myślę, żeby przez lato zaangażować się w jakiś aktywizm. Tylko jeszcze nie wiem, co konkretnie miałbym robić. Może coś z Greenpeace.

– Super – odparłam. – To by było niesamowite.

Zatrzymał się, objął mnie ramieniem i pocałował w skroń. Został tak na moment, z nosem i wargami w moich włosach. Poruszyłam się i strząsnęłam go z siebie, śmiejąc się lekko. Wziął mnie za rękę.

– Chodź tu na chwilę.

– Muszę już...

Ścisnął nieco mocniej. Ruszyłam za nim. Rękę miałam sztywną, ramiona przykurczone, byłam cała zbita w twardą masę. Wszystko w porządku, mówiłam sobie. Jeśli zacznę krzyczeć albo mu się wyrwę, wyjdę na histeryczkę, idiotkę. Nic się nie dzieje. Wszystko w porządku.

Zatrzymaliśmy się między drzewami, światło przebijało przez liście.

Popatrzył na mnie, uśmiechnął się i pocałował mnie w policzek, jego oddech zalatywał lekko zapachem drożdży. Odchyliłam się lekko; pocałował mnie jeszcze raz. Może to jest romantyczne, pomyślałam. Może po prostu jestem sztywniarą. Przebiegło koło nas roześmiane dziecko, ciągnące warkoczującą zabawkę na sznurku. Weszliśmy nieco głębiej między drzewa, w gęstniejące krzaki. Wyblakłe opakowania po chipsach i potłuczone butelki chrzęściły nam pod nogami.

– Dokąd idziemy? – spytałam, nadal świadoma jego gorącej, wilgotnej dłoni, ściskającej moją własną.

– Ćśśś – odparł z uśmiechem. Czasami kiedy o tym myślę, wyobrażam sobie, że to był jakiś znak, że w jego uśmiechu czaiło się coś złowrogiego, ale tak naprawdę nie sędzę, żeby kryło się w nim cokolwiek. To był tylko uśmiech, choć serce mi przyspieszyło, a skóra zapłonęła z przerażenia.

– Muszę już...

– Ćśśś... Pięć minut – powiedział, znów ściskając moją dłoń. Dotarliśmy do smętnej polany przy płocie, otoczonej drzewami. Zatrzymaliśmy się. Przyciągnął mnie do siebie i znów pocałował, najpierw w jeden policzek, potem w drugi. – Wszystko okej? – wyszeptał.

– Muszę iść.

– Okej – odparł i objął mnie w taliu jedną ręką, drugą wsunął pod mój plecak i wbił palce w łopatkę. Ugięły się pode mną kolana, on położył mnie na ziemi, gałązki pękały mu pod nogami.

– Nie...

– Ćśśś – powtórzył. Nigdy nie przestanę słyszeć tego uciszającego dźwięku. Mogłam spróbować się wyrwać, podrapać go, odepchnąć, ugryźć, krzyknąć, wrzasnąć... Tak jak powinna się zachować dziewczyna w podobnej sytuacji. Ja jednak nie zrobiłam zupełnie nic. Posłusznie ucichłam, zamknęłam się w sobie i już nic więcej nie powiedziałam.

– Tak dobrze? – spytał i podciągnął materiał mojej spódnicy aż do taliu, drugą ręką wcisnął mi ramię w ziemię, opierając na nim swój ciężar. Milczałam, zamknęłam oczy. W odpowiedzi pocałował mnie w czoło.

Resztę zapamiętałam we fragmentach, urywkach.

Miękkie łaskotanie na szyi, gorący oddech w uchu. Czułam każdą gałązkę i kamień wbijający mi się w plecy. Pocałunki na moich kościach policzkowych, włosy odgarniane mi z oczu, dłoni rozgarniająca ziemię i piach. Jego nieświeży, żółty zapach. Wilgotny, kwaśny pot. Pierwsze, ostre wejście, gula podchodząca mi do gardła, przechodząca w jęk. Kolejne łagodne „ćśś”.

Zaciśnięte powieki, dłonie szukające czułości. Jego twarz, pot kapiący mu z czoła na moją szyję, wykrzywione rysy, jakby czaszka próbowała wyrwać mu się przez skórę. Nasz brzydki, zwierzęcy kształt. Wstyd na samą myśl, czym jesteśmy. Zastanawiałam się, czy właśnie tego chciałam, i przekonywałam się, że tak, chwyciłam się pocieszającej myśli, że przecież wcześniej tego dnia sama rozważałam pocałunek. Może to była moja wina. Może oczekiwałam zbyt wiele. Może coś mi się pomieszało. Może wysłałam mu niewłaściwy sygnał.

Wreszcie skończył. Wciągnął ze świstem powietrze, westchnął i opadł bezwładnie, wbijając mi ostry podbródek w zagłębienie szyi. Słuchałam jego oddechu, liczyłam mijające sekundy. Odsunął się, podniósł, wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać.

Otrzepałam się i ruszyłam za nim w milczeniu. Wróciliśmy tą samą drogą. On znów zaczął mówić, jakby nic się nie wydarzyło. A ja nie sugerowałam, że jest inaczej. Śmiałam się, kiwałam głową i przytakiwałam, gdy szliśmy przez tłum w stronę dworca autobusowego, gdzie światło załamywało się na podrapanych plastikowych szybach przystanków, i usiadłam na ławce, czekając, aż będę mogła wrócić do domu.

Kawałek dalej zatrzymał się uniwersytecki autobus. On popatrzył na niego, potem na mnie.

– Idź, bo ci ucieknie – powiedziałam. Wiedziałam, o czym myśli. Że powinien poczekać, aż ja pojedę.

– Jesteś pewna? – spytał, odwracając się w tamtą stronę.

– Jasne. Mój przyjedzie niedługo.

– Okej. W porządku. – Uśmiechnął się, nachylił i pocałował mnie

w policzek. Jego oddech przyprawiał mnie o mdłości. – To do zobaczenia.

– Okej – odparłam, patrząc, jak odchodzi.

Wbiłam sobie palce w brzuch, wciskając paznokcie w skórę. Przez chwilę stałam tak i czekałam. Potem ruszyłam do oświetlonych na niebiesko toalet i spróbowałam doprowadzić się do porządku. Później wsiadłam w autobus do domu, czując wilgoć w dole pleców. Palce krwawiły mi od ciągnięcia za powykręcaną gałąź.

– Hej, mamie – odezwałam się. Stała w salonie, przy zgaszonym świetle i zaciągniętych zasłonach, telewizor migotał bielą.

– Cześć, skarbie – odparła, nie odwracając się ku mnie. – Jak ci minął dzień?

Zastanowiłam się nad tym. Przeczesałam splątane włosy palcami. Strzepnęłam dłoń.

– W porządku – odparłam z uśmiechem, którego i tak nie mogła dostrzec, jakby dzięki temu moje słowa były mniej fałszywe.

– To dobrze – mruknęła, nadal pochłonięta programem.

Poszłam na górę i wepchnęłam swoje ubranie do poszewki na poduszkę, z determinacją odwracając wzrok od plam. Nie mogłam włożyć ich do kosza na pranie, bo bałam się, że mama je zobaczy. A mimo to ich widok – sama ich obecność – wzbudzał we mnie wstręt. Zawiązałam poszewkę na ciasny supeł, wcisnęłam tobolek na samo dno szafki i zatrzasnęłam drzwiczki.

Napuściłam gorącej wody do wanny i weszłam do środka, czując, jak parzy mi stopy. Położyłam się i wpatrywałam w swoje ciało, pełna obrzydzenia, aż zapadła noc i woda zrobiła się zupełnie zimna.

Nic się nie stało, mówiłam sobie, obserwując pająka pełznącego po czarnym grzybie na suficie. Wszystko w porządku, powtarzałam, rysując palcami linie na ciele, jakby sznurek na papierze owijającym kawałek mięsa od rzeźnika. To naprawdę nic, upierałam się. Zanurzyłam się w wodzie, czując wibrowanie grzmotu przetaczającego się po niebie. Byłam wdzięczna za burzę. Deszcz zaczął łomotać w okno, wtórując kołatanii mojego zdyszanego, zmęczonego serca.

Zobaczyłam ją, zanim ona dostrzegła mnie.

Siedziała zgarbiona nad książką, plecy miała zakrzywione, ramiona opuszczone nisko. W jednej dłoni trzymała kanapkę, w drugiej kawę. Widok Robin w samotności nigdy nie przestawał mnie zdumiewać. Wydawała się wtedy taka mała, prawie niewidzialna. Gdyby nie jej rude włosy i – kiedy już mnie dostrzegła – szeroki uśmiech odsłaniający nieco wystające zęby. Jakby ta dziewczyna, którą znałam, była jedynie fasadą, sztuczną eksplozją osobowości, która znikwała, kiedy tylko Robin była sama, pozostawiając za sobą tylko pustą łupinę.

– Hej – odezwałam się i wsunęłam do boks, zajmując miejsce naprzeciwko.

Podniosła głowę, zamrugła. Znów stała się sobą.

– Siema, suko. Co tam?

– Nic. Co czytasz?

Wiedziałam. Zostawiłam tę książkę w wieży kilka tygodni temu, w nadziei, że ją znajdzie – byłam pewna, że będzie zachwycona. Przejaskrawiona historia morderstw Mansona, mdląca od natłoku szczegółów. Prędko przekonałam się, że łączy nas zamiłowanie do obrzydliwych opowieści o prawdziwych mordercach w szmirowatych kioskowych wydaniach. Dokładnie w jej typie.

– Nic ciekawego – odparła, trzaskając otwartą książką o blat, pozaginany grzbietem do góry. Posłała mi napastliwy uśmiech. – Plotka głosi – zaczęła powoli, przeciągając słowa sylaba po sylabie – że pewna moja najlepsza przyjaciółka postanowiła otworzyć świąteczny sezon bzykankiem po cichaczu. Z pewnym kolegą mojego chłopaka.

Policzki mi zapłonęły, zdradliwe łzy napłynęły pod powieki.

– Boże, to prawda – wyszeptła, nachylając się nad stołem. – Ruchaliście się w parku?

– Nie wiem, o czym ty mówisz. – Głos mi drżał, policzki piekły, mdłości podchodziły do gardła na samo wspomnienie. Dłonie, błoto, włosy wczepiające się w gałęzie.

– Ooo, wiesz. Doskonale wiesz. Ja pierdołę. Nigdy nie sądziłam, że aż taka

z ciebie zdzira. – Roześmiała się, potrząsając głową. – Myślałam, że to moja domena.

Zamachała do kogoś. Odwróciłam się i zobaczyłam Alex wchodzącą do środka. Posłała prowokacyjne spojrzenie wymiętoszonemu muzykowi ukrytemu w kącie. Przez ostatnie trzy miesiące dedykował jej liczne piosenki, choć ona uparcie to ignorowała. Mimo to lubiła się z nim drażnić, mieszając kokieteryjne zerknięcia spod rzęs z bezlitosnym odrzucaniem jego zalotów. My zaśmiewaliśmy się z tej szopki i szeptałyśmy do siebie, patrząc wymownie w jego stronę.

– Nie mów jej nic – syknęłam błagalnie. – Proszę.

– Hej, dzdziro – rzuciła lekkim tonem Robin, choć ani na chwilę nie oderwała ode mnie wzroku. – Jak leci?

Alex zaczęła z entuzjazmem relacjonować nam jakiś kulinarny koszmar, wywołany niezdolnością Grace do podążania za wskazówkami w przepisie. Niefortunna przygoda skończyła się tak samo jak większość opowieści Alex:

– Więc się poddałyśmy i otworzyłyśmy wino.

Nigdy nie przestało na mnie robić wrażenia to, z jaką nonszalancją Alex manifestowała swój gust, który – przynajmniej w moich oczach – był bardzo dojrzały i wyrafinowany.

Była o rok starsza od naszej trójki, bo przed rozpoczęciem liceum spędziła rok w Nowym Jorku na praktykach u przyjaciółki swojej matki w jakiejś szalenie ekskluzywnej agencji reklamowej. Zawsze znajdowała czas na manicure (ten zwyczaj naszej trójce wydawał się dziwny i bezsensowny – nie przeszkadzały nam nasze obgryzione paznokcie, pokryte odłóżającym lakierem w krzykliwych kolorach), umiała prowadzić samochód i potrafiła ze szczegółami opisać różne rodzaje win, a w każdym razie robiła to przekonująco – żadna z nas nie miała dość wiedzy, by potwierdzić lub zaprzeczyć jej deklaracjom. Wszystko to przydawało jej aury dojrzałości, którą my mogłyśmy jedynie imitować: każda z nas popisywała się przed rodziną i znajomymi różnymi manieryzmami podpatrzonymi u Alex.

– Zaraz wracam – oznajmiła Robin, wysuwając się z boksu. – Muszę

spotkać się z kimś w sprawie psa. – Wskazała na bladego, chudego mężczyznę w jaskrawofioletowym dresie. Wiedziałam, że Robin kupuje od niego różne proszki i pigułki, kiedy Andy jest niedysponowany albo gdy akurat wypadł z łask.

Alex i ja przez chwilę siedziałyśmy w ciszy i patrzyłyśmy, jak Robin podchodzi do niego i zaczyna pozornie obojętną rozmowę – robiła takie rzeczy z łatwością, jakiej mogłam jej tylko pozazdrościć. Zerknęłam na Alex – na krzywiznę jej przygryzionych warg, na łagodny łuk jej brwi – i zaśmiałyśmy się, kiedy Robin położyła mężczyźnie rękę na ramieniu. Jej ofiara dodała do zamówienia jeszcze jedną kawę, tak jak się tego spodziewałyśmy. Z Robin pewnych rzeczy nie dało się uniknąć. Taki efekt wywierała na ludziach.

– Violet – odezwała się cicho Alex. Odwróciłam się ku niej. Jej oczy błyszczały szmaragdową zielenią. Miały czarną obwódkę i były ocienione niemożliwie długimi rzęsami. – Chciałam cię o coś zapytać – powiedziała, zerkając pośpiesznie na Robin. – Nie wiesz może, co się stało z książką, która zniknęła z gabinetu mojej mamy?

Zaczerwieniłam się. Oczywiście nie wiedziałam, ale mogłam się domyślić.

– Z jaką książką?

– To jedno z tych dziwnych starych tomiszczy, tak jakby antyk. Oprawiony w skórę, ze złotymi brzegami, drogo wygląda... Niedawno zniknął i mama się wściekła. Grozi, że zadzwoni na policję, jeśli nie powiem jej, gdzie się podział.

– Na policję?

– No wiesz, nie robi tego. To tylko pogrożka. Tak mi się wydaje.

Pociągnęłam łyk kawy, szukając wymówki.

– Może twoja sąsiadka ją zabrała – podsunęłam, choć słowa grzęzły mi w gardle.

– Wątpię – odparła, odchylając się w ławce. – Przez większość czasu jest zbyt pijana, żeby cokolwiek przeczytać. A poza tym nie sądzę, żeby interesowały ją starożytne rytuały i praktyki okultystyczne. – Popatrzyła na

moją dłoń. Instynktownie zwinęłam ją w pięść i schowałam pod stołem.

– Nigdy nic nie wiadomo – zaśmiałam się słabo.

Alex się uśmiechnęła.

– Mam takie przeczucie, chociaż oczywiście nie mówię tego oficjalnie, że Robin ją zabrała. Rozmawialiśmy o niej wtedy, kiedy u mnie byliście, a potem nagle, zupełnie przypadkiem, następnego dnia jej nie było.

– Hmm. – Nie pamiętałam, żeby Robin wspomniała coś o książce przy Alex i Grace. Wydawało mi się, że byliśmy wtedy tylko we dwie. Z drugiej strony... Byłam pijana. Pewnie rozmawiały o tym, kiedy spałam.

Zapadła cisza.

– No... – zaczęłam nerwowo. – Jeśli usłyszę od niej coś na ten temat, na pewno ci przekażę. Ale... Sama wiesz, że ona pewnie nic by nie ukradła, prawda?

Alex prychnęła.

– A więc ją wzięła. Boże, Violet. Jak ty beznadziejnie kłamiesz.

– Jak tam, dziry, gotowe? – odezwała się Robin, nachylając się nad stołem.

– Gotowe – odparła Alex, posyłając mi uśmiech. Wysunęła się zza stolika i ruszyła do drzwi. Jak zawsze zostałam kilka kroków w tyle.

Rozdział 7

Nicky wskazała na grupkę dziewczyn zebranych wokół starego wiązu. Wyobraziłam sobie, jak pani Boucher płonie na stosie, podczas gdy kobiety zgromadzone wokół niej – dziewczęta takie jak ja – wrzeszczą, załamują ręce i modlą się, by zakończyć jej cierpienie. Dyrektor i dziekan szarpali się z drewnianymi słupkami i taśmą, tworząc improwizowane ogrodzenie wokół poczerniałego pnia. Rozszczepione konary zwisały bezwładnie: podczas przerwy świątecznej w drzewo uderzył piorun.

– Wiadomo, jestem pewna, że to tylko plotka, wiesz, jacy tu wszyscy są. Ale słyszałam, że zrobiła Patrickowi Chase’owi laskę na klatce schodowej po imprezie. Dziwne, bo zawsze myślałam, że z niej jest taka cnotka.

Lubiłam Nicky, a przynajmniej nie do końca rozumiałam, dlaczego inne dziewczyny za nią nie przepadają. Wydawała się dość miła – owszem, była plotkarą, ale uważałam to za przydatną cechę, bo dzięki temu mogłam szybciej nauczyć się, kto jest kim w szkole. Nicky fundowała mi coś w rodzaju intensywnego kursu z sekretów rówieśniczek, które nadal traktowały mnie jak nową.

– Ale to nic w porównaniu z tym, co słyszałam o Victorii Riley, kojarzysz ją? Jej rodzina hoduje konie. Łatwo ją poznać, bo sama też wygląda jak ze stajni – końska twarz, wielkie uda. No, to Anna mówi, że widziała ją...

Straciłam wątek. Zapatrzyłam się na dziewczyny, które szeptem przedrzeźniały dyrektora szamoczącego się z palikiem wyginającym się w twardej ziemi.

– I ta Robin, z którą się bujasz...

– Zaraz, co? – Dźwięk znajomego imienia szarpnął mną, znów przyciągając uwagę do paplaniny Nicky.

– Też tam była w zeszłym roku.

– Gdzie?

– W klinice. Tam gdzie Melanie Barker.

– W jakiej klinice?

Nicky zmrużyła oczy.

– Czy ty mnie w ogóle słuchałaś?

– Przepraszam. Słuchałam, ale się zamyśliłam. Wróc kawałek.

Nicky westchnęła.

– Okej, więc tak: Melanie Barker, ta, która wygląda jak Madonna, gdyby Madonna była brzydka i trochę gruba. Wiesz, która to? – Mówiła powoli, jakby próbowała komunikować się w obcym języku.

– Tak – odparłam, choć nie miałam pojęcia.

– No, to ona ma bulimię, chociaż jak na nią popatrzeć, to człowiek w życiu by się nie domyślił. No i w zeszłym roku Melanie zaczęła kupować takie pigułki na odchudzanie, przez jakąś znajomą znajomej albo... No, mniejsza z tym. One działały jak speed. Totalnie jej od nich odbiło.

Byłam ciekawa, czy Nicky brała kiedyś speed. Wątpliwe. Nagle wydała mi się strasznie naiwna, choć nie potrafiłam stwierdzić, czy to coś złego. Rana w mojej dłoni nadal była gorąca i krucha od strupów.

– No i oczywiście rodzice ją nakryli i wysłali do Appleyard. To coś jak ten szpital Priory w Londynie, tylko zamiast sławnych ludzi siedzą tam bogate dzieci, które za dużo piją albo podżerają matce valium.

– Okej. – Zaczęłam się bawić bransoletką na nadgarstku, próbując udawać obojętność. – A co ma do tego Robin?

– Były tam w tym samym czasie. Melanie i Robin. Nie żeby to je jakoś do siebie zbliżyło czy coś.

– A ona dlaczego tam była?

Nicky wzruszyła ramionami.

– Pojęcia nie mam. Dragi, alko, jedzenie, problemy psychiczne, wszystko jedno, ogarniają tam wszystkich hurtem. Ale ponoć któregoś dnia twoja kumpelka zwariowała. Tak dosłownie. Zaczęła łązić po korytarzach i wrzeszczeć, że nie znaleźli Emily Frost i że nikt nigdy nie dotrze do jej ciała, i że to wszystko jej wina, różne takie. W każdym razie... – Nicky przeszła do

innej historii, w której główną rolę odgrywała Melanie, butelka wina i gra w prawdę czy wyzwanie. Nie miałam najmniejszej ochoty tego słuchać.

Znów spojrzałam na wiąz. Nauczyciele skończyli pracę. Dziekan zrobił krok w tył, osłaniając oczy przed srebrzystymi igiełkami światła przebijającymi przez gałęzie. Dyrektor powiedział coś do dziewczyn, a one się roześmiały. Dziekan pokręcił głową, odwrócił się i odszedł z zaciśniętymi pięściami. Kiedy zauważył, że na niego patrzę, rozluźnił dłonie, jakby poczuł się przyłapany. Pomachał mi pośpiesznie i zniknął pod łukami, z pochyloną w zamyśleniu głową.

Annabel siedziała ze skrzyżowanymi nogami w uszатыm fotelu. Nasza czwórka wyciągnęła się na sofach. Książki piętrzyły się wokół. Popijałyśmy ziołową herbatę i słuchałyśmy. Przedpotopowe kaloryfery w campanili trzeszczały i zawodziły jak starożytny chór. Wizerunki kobiet na ścianach patrzyły przed siebie. Zajmowałyśmy się teraz archetypami kobiet pochodzącymi od „mitu kobiecości”, jak to ujęła Annabel. Schowałam się za książką. Miałam takie zaległości w czytaniu, że straciłam nadzieję na nadrobienie braków. Książki, które otworzyłam podczas ferii, leżały nietknięte wśród popielniczek i na wpół opróżnionych butelek – teraz należących nie tylko do mamy, ale też do mnie. Obie chwytaliśmy się kurczowo każdej szansy na chwilę zapomnienia, jakby to była nasza jedyna tarcza.

Nieskończone strofy greckiej i rzymskiej literatury miały lepiej osadzić nas w kontekście postaci zamieszkujących sztukę. Słowa pływały mi jednak niemrawo przed oczami w niespokojnym, niezdarnym rytmie.

– Kobiety w ateńskim społeczeństwie były szkalowane i uznawane za obywatelki drugiej kategorii, podobnie jak niewolnicy i przybysze z innych krain. Mimo to w tragediach nabierają siły i niezależności – wyjaśniała Annabel z uśmiechem. – Wystarczy przypomnieć sobie Medę, do której przemowy tak chętnie odwoływały się różne liderki, traktując ją jako diagnozę ciężkiego losu kobiet. „Tak, kobieta będzie pełna trwogi we wszystkim; tchórz do wojny, z pochew broni srogiej nie wyjmie, lecz gdy ślubne zbezczeszczą

jej łoże, nikt mściwszym ani krwawszym od niej być nie może” [8]. Oto największe zagrożenie: kobieta skrzywdzona przez mężczyznę, szukająca zemsty, z którą publiczność, złożona, pamiętajmy, niemal wyłącznie z mężczyzn, nie mogłaby polemizować.

Grace pokiwała głową. Zauważyłam, że Robin wychyla się lekko i próbuje nawiązać ze mną kontakt wzrokowy.

– Dalej nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś, ty zdiro – powiedziała wcześniej, kiedy szłyśmy na zajęcia, znów przypominając mi o moim „bzykaniu w krzakach”. Z uporem drążyła ten temat. – Będę potrzebowała co najmniej kilku miesięcy, żeby się pozbierać.

– Ja też – odparłam zimno i z zaskoczeniem dostrzegłam na jej twarzy cień zrozumienia. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, dołączyła do nas Grace i rozmowa potoczyła się w innym kierunku. Od tamtej pory Robin robiła niepewne miny i posyłała mi przepraszające uśmiechy. Mimo to nie byłam w stanie spojrzeć jej w oczy.

– Czego jeszcze boją się mężczyźni? Spójrzmy na inne tragedie. To właśnie tam kryją się ich wszystkie najstraszliwsze lęki. Najgorsze, co tylko mogłoby się im przytrafić, rozgrywa się przed ich oczami na scenie. Sztuki sugerują, że siostrzane relacje są w porządku – Antygona i Ismena, Elektra i Chrysothemis okazują sobie czułość i ciepło, na jakie formuła tragedii rzadko znajduje miejsce. Chór też często składał się z kobiet i zazwyczaj sprzyjał żeńskim postaciom w sztuce. Ale prywatne kobiece przyjaźnie? O nie. Kobiety spędzające ze sobą czas sam na sam, bez nadzoru mężczyzn, niemal zawsze wywoływały katastrofę w domu i w całej społeczności. Taka wolność owocowała szaleństwem, wściekłością, seksualnym pożądaniem albo zazdrością prowadzącą do śmierci. Kobiety nie powinny być pozostawiane we własnym towarzystwie, bo w przeciwnym wypadku wszystkich czeka tragedia.

Annabel postukała palcem w zniszczony podręcznik leżący na jej kolanach.

– Weźmy choćby krytyka, który mówi, cytuję: „Kobiety stają się postaciami tragicznymi, gdy mężczyźni są nieobecni lub niewłaściwie nimi kierują” [9] – wygłosiła głosem niemal skwierczącym od szyderstwa. –

U Sofoklesa „Antyгона zaczyna działać, kiedy jej wuj Kreon odmawia pogrzebania jej brata Polinejkesa. W *Orestei* Klitajmestra przejmuje władzę w Argos, dopiero kiedy jej mąż spędza dziesięć lat na wojnie trojańskiej”, i pozwolę sobie dodać, że ostatecznie morduje go w odwecie za złożenie jej córki w ofierze i za różne inne nadużycia. „Medea dopuszcza się aktu agresji, gdy mąż porzuca ją dla małżeństwa, które ma podnieść jego status społeczny, zostawiając ją i jej dzieci na śmierć z głodu”. Oto jeden z podstawowych podręczników do filologii klasycznej – oznajmiła Annabel, zamykając książkę. Odłożyła ją na stół. – A jednak którejkolwiek z nas trudno byłoby znaleźć w działaniach tych kobiet coś niewłaściwego, mimo że były tak ekstremalne. To czyny mężczyzn wywołują w nich żądzę zemsty, nie ich nieobecność lub niewłaściwe kierowanie kobietami, jak twierdzi autor, tylko okrucieństwo i samolubne pożądanie.

Wstała – jak zawsze, kiedy kończyła wywód – i podeszła do okna, odwracając się do nas plecami. Nagle zgnieciona kulka wylądowała mi na kolanach. Podniosłam głowę i zobaczyłam Robin. Popatrzyła na mnie błyszczącymi oczami i wskazała na liścik.

„Smutno wyglądasz”. Jej pismo, duże i poszarpane, jakby wypełzało ze strzępka papieru. Pogładziłam porwaną krawędź kartki kciukiem, szukając słów.

– Wyobraźmy sobie społeczeństwo, w którym fundamentalną ideę stanowi taka teza: działania mężczyzn są na wskroś rozsądne, podczas gdy czyny kobiet z samej swojej natury muszą być nieracjonalne i niewłaściwe. Chyba nietrudno nam zobaczyć oczyma duszy taki obrazek.

Podniosłam długopis i przyłożyłam go do papieru. „Bo jestem smutna”, odpisałam w końcu i odrzuciłam kulkę. Annabel odwróciła się do nas z uśmiechem. Rozrzedzone zimowe światło pasowało do niej barwą. Stała dumnie wyprostowana, tak jak kobiety, o których nam opowiadała. Wyobrażam ją sobie często, kiedy uczę. Czuję, jak odgrywam narzuconą sobie rolę. Ona pewnie robiła to samo.

– Melanippe jednak mówi tak – choć oczywiście przemawia słowami

Europydesa, czyli mężczyzny: „Złe słowo mężczyzny o kobiecie warte jest tyle co brzęk cięciwy. Kobiety od mężczyzn są lepsze, co zaraz ci zresztą wykażę. Zacznijmy od najważniejszego, czyli od bogów. To my, kobiety, gramy rolę największą, bo jako święte wyrocznie przepowiadamy przyszłość w świątyniach Apollina. To kobiety przekazują wolę Zeusa przybyszom z całej Grecji w Dodonie przy świętym dębie. A uświęcone rytuały ku czci Mojra i bezimiennych istot, na które mówimy Erynie, nie miałyby żadnej mocy w rękach mężczyzn, lecz poddają się władzy kobiet. W ten sposób kobiety na równi z mężczyznami mogą służyć bogom. Dlaczego więc niszczy się naszą reputację?” [\[10\]](#). Melanippe doskonale wie, o czym mówi. Nawet w tym fragmencie można jednak odnieść wrażenie, że kobiety są skazane na precyzyjnie wytyczone ścieżki. Albo będziemy postrzegane jako nieprzewidywalne, nierozsądne śmiertelniczki, sprowadzone na złą drogę i uciśnione czynami mężczyzn... Albo jako święte istoty, boginie z wyższych pułapów rzeczywistości, bliskie Mojrom i Furiom.

Wskazówki na wielkich tarczach zegara tyknęły unisono, ogłaszając pięć minut do pełnej godziny. Annabel westchnęła i popatrzyła kolejno na każdą z nas, po czym usiadła z powrotem w fotelu. Jakby moc tych słów odebrała jej wszystkie siły.

– To wszystko na dziś, dziewczęta – powiedziała cicho. – Nie rozpętajcie zbyt wielkiego chaosu do następnych zajęć.

Kiedy dotarliśmy do miasta, okrągły księżyc świecił jasno, a latarnie i automaty do gry płonęły sztucznym blaskiem w ciemności. Robin wzięła mnie pod ramię. W ciszy doszliśmy do syreny.

– To wszystko są gnoje – powiedziała tylko.

Na chwilę oparłam głowę na jej ramieniu. Miała miękkie włosy, słodko pachnące dymem. Zmiana zaszła w niej bez słów. Wsiadliśmy do autobusu. Nagłe zrozumienie sprawiło, że skóra jej poszarzała, a ręce zaczęły lekko drżeć. Kiedy Alex i Grace odchodziły, Robin ścisnęła mnie mocno za rękę. Wprawdzie w żołądku nadal miałam czarną, zbitą masę, ale teraz wydawała

mi się nieco lżejsza, jakby jej władza nade mną osłabła, podzielona na dwoje.

– Mogę cię o coś zapytać? – odezwałam się cicho.

Skinęła głową.

– Znasz Melanie Barker? – Nie zamierzałam poruszać tego tematu, ale teraz nie mogłam się powstrzymać. Robin popatrzyła prosto przed siebie. Prawie nie zareagowała. Po chwili milczenia odwróciła ku mnie twarz.

– Kogo?

– Melanie Barker. – Chwila ciszy. – Wygląda jak Madonna, tylko gruba i brzydka.

– Nie. – Zapadła między nami ciężka cisza, przełamywana jedynie odległymi krzykami mew nad mołem. Wzięłam głęboki oddech i spróbowałam jeszcze raz. – Nicky powiedziała mi, że Melanie była w jakiejś klinice. I że się znacie.

– A ty jej wierzysz? – spytała lodowato Robin.

– Nie... nie wiem.

– Poważnie, Violet. Nie wierz w ani jedno słowo, które mówią te dziry. Zmyślają różne bzdury, żeby wypełnić czymś to swoje nudne życie. – Zawahała się. – Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle z nią gadasz. Zwłaszcza że to ona roznosiła plotki o tobie i...

Zaczerwieniłam się gwałtownie. Kto jeszcze o tym wie? Zabułgotał we mnie wstyd. Chciałam jak najszybciej zmienić temat; odwrócić jej uwagę.

– Wiesz, o co im chodziło?

– Komu?

Popatrzyłam na nią wymownie: jak to komu? Kiedy doszliśmy do syreny, Grace i Alex odeszły bez słowa, choć Grace posłała mi przelotne, błagalne spojrzenie, bezgłośnie prosząc, bym do nich dołączyła. Zawahałam się, Alex przewróciła oczami, a Robin się uśmiechnęła – miałam wrażenie, że dostrzegłam w jej oczach zwycięski błysk. Przez tę sekundę niepewności wybrałam stronę w zatargu, którego nawet nie rozumiałam.

Robin zaśmiała się gorzko.

– Och, przecież wiesz.

– Chodzi o tę książkę?

Robin wyciągnęła z kieszeni kurtki szpulkę gumy balonowej i owinęła sobie kawałek wokół palca.

– Skąd o tym wiesz?

Milczałam, czekając, aż powie coś więcej. Odgryzła kawałek gumy, zahaczając zębami o palec. Zostawiły czerwony ślad, przechodzący w biel.

– Chciały ją spalić – odparła wreszcie.

– Dlaczego?

– Pojęcia nie mam. Ale wiesz, kto pali książki? – Robin zdjęła sobie żuka ze skarpetki i podniosła na wysokość wzroku. Owad wytrząsnął skrzydełka spod pancerza, szykując się do lotu. Posłała go pstryknięciem na piasek; zatoczył leniwy łuk i opadł na ziemię. – Naziści, oto kto.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że aż się roześmiałam. Ona popatrzyła na mnie z oburzeniem.

– Co?

– Nie możesz porównywać Alex i Grace do nazistów.

Odwróciła się ze złością, ale zauważyłam, że walczy z uśmiechem, wyginającym kącik jej ust ku górze.

– Jezdeśmy złe nazistowskie lezzbijki i przychodzimy zpalić wasze ksionżki – oznajmiłam z udawanym niemieckim akcentem, zastanawiając się, dlaczego to ja próbuję ją udobruchać. Wziąwszy pod uwagę okoliczności, to wydawało się trochę nie na miejscu.

Robin prychnęła śmiechem i napięcie przysło, powietrze między nami znów się ochłodziło.

– Ale z ciebie idiotka.

– To gdzie teraz jest ta książka? – spytałam po chwili milczenia.

– Zapomnij.

– Co?

– Powiesz Alex.

– Nie powiem.

– Przykro mi, Vivi. Nie zamierzam podejmować takiego ryzyka. –

Uśmiechnęła się przebiegle. – Chyba że chciałybyś... No wiesz.

Nie odpowiedziałam. Udawałam, że przyglądam się uważnie strzępkowi bibułki, który przykleił mi się do podeszwy.

– Chcesz, przecież widzę!

Przechodzące obok dwie dziewczyny popatrzyły w naszą stronę, węsząc plotkę.

– Ćśśś – syknęłam. – Nie chcę – dodałam, choć te słowa zabrzmiały fałszywie nawet w moich własnych uszach.

– Tak, tak, tak. – Chwyliła mnie za rękę. – No weź, Vi. Nie oszukuj się. Będzie fajnie.

– Fajnie? Tak jak ostatnim razem? Kiedy dźgnęłaś mnie nożem?

– Wcale cię nie dźgnęłam – zaprotestowała z rozbawieniem Robin. – To był wyraz przyjaźni, wiążący nas na zawsze.

– Wolałabym bransoletkę.

– Trzymaj się mnie, to bransoletkę też dostaniesz. Dla ciebie yin, dla mnie yang – odparła, rozplatając ciasny warkocz. Potrząsnęła głową. – Pomyśl o tym. Powiem ci tylko... – Podniosła torbę i zarzuciła sobie na ramię. – Że w sobotę idę po wszystkie potrzebne rzeczy. Będę tu o jedenastej, jeśli będziesz miała ochotę... trochę się zabawić.

– Jakie potrzebne rzeczy? – spytałam, ale ona odeszła bez słowa.

„Piękna Meduza została więc ukarana przez Posejdona za swoje świętokradztwo i zmieniona w potworne stworzenie, zmieniające swym widokiem w kamień każdego, kto na nią spojrzy”. Zafascynowana przewróciłam stronę. „Dlatego od wieków inspiruje licznych artystów, z da Vincim i Caravagiem na czele: jeden błysk jej oczu wystarczał, by zmienić ofiarę w drapieżnika, a drapieżnika w ofiarę. Kobieta, która wyrywa się ze swojego miejsca, zostaje na nie przywrócona: jej odcięta głowa ma stanowić ostrzeżenie dla nas wszystkich” [\[11\]](#).

Przesunęłam palcami po lśniącym druku. Słowa Annabel chwyciły światło lamp w głównym holu. Kazano mi tu przyjść, by odebrać jakieś papiery

dotyczące nieobecności na zajęciach – zamierzałam znów sfalszować na nich podpis matki.

– Violet, czy mógłbym cię prosić na słówko?

W drzwiach gabinetu pojawił się dziekan. Jego krótkie, kołkowane palce oplatały framugę jak pąkle: niemiła niespodzianka. Przechwytywałam listy przychodzące do domu, zdradzało je godło szkoły na kopercie. Każdy zaczynał się od słów „Jesteśmy zaniepokojeni” i kończył zaproszeniem na „rozmowę” z dziekanem.

W dorosłym życiu człowiek przyzwyczaja się do bezużytecznych spotkań, niekończących się posiadówek i dyskusji, odgrywanych zawsze według tego samego wzorca, tylko po to, żeby rozejść się ze świadomością, że to niczego nie zmieniło. Wtedy jednak – domyślałam się, że moje uczennice czują dziś to samo – wywiadówki wydawały mi się najwyższą formą upokorzenia. Nigdy nie zmyłabym z siebie takiego wstydu.

Już sama myśl o spotkaniu dziekana z moją mamą – lekko śmierdzącą, ubraną w poplamioną bluzę i brudne dżinsy – była nie do zniesienia. Ale gdyby spotkała ją Annabel – gdyby zobaczyła, skąd pochodzę i w co zatem mogę się zmienić – chyba zapadłabym się pod ziemię. Nie przeżyłabym tej chwili. Wyobrażałam sobie, jak blade policzki Annabel zalewa rumieniec, odwraca się wzburzona i odchodzi. Zrobiłabym wszystko, żeby tylko uniknąć takiego scenariusza.

Przysiadłam na brzeżku starego fotela i przyglądałam się, jak dziekan zajmuje miejsce przy biurku. Ciastowata skóra prześwitywała mu spod koszuli, w zagięciach łokci widać było blade plamy potu. Uśmiechnął się do mnie ciepło, z wyćwiczoną otwartością, którą już kiedyś widziałam w oczach ratowników przedmedycznych, lekarzy, policjantów: pusta empatia ludzi specjalnie uczonych troski o drugiego człowieka. Jest w tym coś niepokojącego. Miałam też poczucie lekkiej niesprawiedliwości: przed świętami moje oceny były niezłe, choć nie doskonałe. Musiałam przyznać, że obecność miałam nieco w kratkę – pokusa włączenia się z Robin była zbyt silna, żeby się jej oprzeć. Mimo to uważałam, że całkiem dobrze mi idzie –

albo przynajmniej tak było jeszcze do niedawna.

– Jak sobie radzisz, Violet?

– W porządku, panie profesorze – odparłam, wbijając wzrok w swoje dłonie złożone na kolanach.

– To dobrze. Dobrze. – Dziekan zacmokał trzy razy i nachylił się nad biurkiem. – Violet, muszę powiedzieć, że trochę się niepokoję. Przyglądałem się twoim ostatnim ocenom i niestety wygląda na to, że masz pewne trudności ze sprostaniem oczekiwaniom szkoły. – Zamilkł, czekając, aż odwzajemnię jego spojrzenie. – Wiem, że jesteś przyzwyczajona do bardziej konwencjonalnych metod nauczania, więc pomyślałem, że warto o tym porozmawiać. Nie nadążasz za programem?

Zraniona duma wezbrała mi w piersi.

– Nadążam.

Dziekan oblizwał wargi językiem suchym jak u kota.

– Więc jesteś w stanie przyswoić cały materiał?

– Tak, panie profesorze. – Rozciągnęłam wargi w słabym, sztucznym uśmiechu.

Nauczyciel westchnął.

– W takim razie, Violet, jeśli mogę zapytać... Czy dzieje się coś innego, co powstrzymuje cię przed zrobieniem użytku z możliwości, jakie oferuje ci szkoła?

Nie odpowiedziałam. Spojrzałam mu prosto w oczy, w nadziei, że mój upór wystarczy, byśmy zostawili ten temat. Dziekan odwzajemnił moje spojrzenie. Poczułam dreszcz, przebłysk strachu, którego nie potrafiłam zidentyfikować. Serce zabiło mi szybciej, przetaczając się po piersi.

– Panie profesorze – zaczęłam niepewnie. – Jeśli jestem w kłopotach...

– Nie jesteś – odparł, odchylając się w fotelu. Oparcie zatrzeszczało pod jego ciężarem. – Chciałem tylko sobie z tobą porozmawiać, żeby zobaczyć, jak moglibyśmy pomóc ci wrócić na właściwe tory. Zakładam, że chciałabyś pójść na studia...

– Tak, panie profesorze.

To nie była do końca prawda, ale też niezupełne kłamstwo. Nie zastanawiałam się nad tym, choć przecież słuchałam, jak moje przyjaciółki rozmawiają na ten temat, podobnie jak reszta szkoły. Dla uczennic Elm Hollow uniwersytet był czymś nieuniknionym: naturalnym celem, do którego wszystkie miałyśmy dążyć. To chyba miało sens. Kto o zdrowych zmysłach chciałby zostać w naszym smętnym miasteczku po ukończeniu liceum?

– To dobrze. Bardzo dobrze. Ale będę z tobą szczery, Violet: najlepsze uczelnie rozpoczynają wczesny nabór już w październiku. Będziesz musiała przesłać im swoje dotychczasowe oceny, a szczerze powiedziawszy, na razie nie masz im zbyt wiele do pokazania.

Westchnął. Fałdka tłuszczu przelała mu się nad krawędź paska u spodni.

– Wiem, że to nie brzmi ciekawie, ale musisz zacząć planować swoją przyszłość i zadbać o wyniki w nauce, jeśli zamierzasz składać papiery na którąś z wiodących uczelni. Widziałem twoje oceny sprzed tego semestru i jestem pewien, że to nie przerasta twoich możliwości.

Poczułam ukłucie w gardle, gorąco rozlało mi się po policzkach. Dziekan ostrożnie nakrył moją dłoń ręką. Odwróciłam wzrok. Byłam na siebie zła za to, że płaczę, zwłaszcza przed nauczycielem – a już szczególnie przed dziekanem, znanym ze swojej potrzeby ratowania zbłąkanych uczennic. Wszystkie nasłuchałyśmy się opowieści o tym, jak „zrobił wszystko, co w jego mocy” dla Emily. Wziął nawet tydzień urlopu, żeby pomóc w poszukiwaniach. Nie chciałam być jego kolejnym projektem charytatywnym. Kiedy jednak pojawiła się pierwsza łza, natychmiast popłynęły kolejne, aż ramiona zatrzęśły mi się od szlochu.

Dziekan podał mi chusteczkę.

– Violet, każdy ma lepsze i gorsze momenty. To nic złego. Teraz jeszcze możesz to naprawić i nikt nawet się nie zorientuje. – Czułam jego gorącą, wilgotną dłoń na swojej skórze, była pokryta twardymi odciskami jak sploty sznura. – Razem możemy opracować jakiś plan, i nawet się nie obejrzysz, jak wrócisz na prostą.

Wzruszyłam niepewnie ramionami. Nie wiedziałam, jak zareagować na ten

skromny gest życzliwości i obawiałam się, że jeśli spróbuję coś powiedzieć, rozplącę się jeszcze gwałtowniej. Zostaw mnie, pomyślałam. Jego dotyk przypomniał mi o Tomie, brzydziłam się jego skóry na mojej, mdliło mnie od jego obrzydliwego, lepkiego potu. Wreszcie puścił. Mocno wytarłam dłoń o spódnicę.

– A więc co możemy zrobić? – zagadnął dziekan, udając, że nie zauważył. Zaczął powoli kartkować grubą księgę z informacjami o systemach rekrutacji na różne uczelnie i kierunki. – Niektóre uczennice podejmują się dodatkowych projektów, żeby pokazać swoje zaangażowanie. Chodzisz na jakieś zajęcia pozalekcyjne?

– Nie – odparłam. Dziekan czekał. – Nie przepadam za sportem.

– A muzyka? Może szkolna orkiestra?

Westchnęłam.

– Nie umiem na niczym grać.

Dziekan odchylił się w fotelu i uderzył lekko stopą o krawędź biurka.

– Hmm, a może... Hmmm.

– Co takiego?

– Cóż, pracuję obecnie nad książką i przydałaby mi się asystentka. Oczywiście to nie są zajęcia pozalekcyjne w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa. Ale mógłbym napisać ci wspaniałe referencje przy naborze na studia – naturalnie jeśli sobie na to zapracujesz.

Zawahałam się.

– Co to za książka?

– Historia Elm Hollow, a dokładnie mitów, które otaczają to miejsce. – Nauczyciel postukał piórem o blat. – Ale oczywiście jeśli cię to nie interesuje, możemy poszukać czegoś innego, co...

Nie czekałam, aż dokończy zdanie.

– Nie, nie. To brzmi doskonale – zapewniłam, ocierając kąciki oczu rozpadającą się papierową chusteczką.

– Świetnie. Możemy się spotykać tutaj we wtorki wieczorem, jeśli twoja mama nie będzie miała nic przeciwko, żebyś przebywała tak późno poza

domem.

Wyczułam, że rozmowa zbliża się ku końcowi. Wstałam z fotela.

– Na pewno nie zauważy.

Dziekan na chwilę zmrużył oczy, ale postanowił zignorować tę uwagę.

– Chciałbym tylko prosić o jedno, Violet – odezwał się jeszcze, odprowadzając mnie do drzwi. – Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdyby to zostało między nami.

– Oczywiście, panie profesorze – zapewniłam.

Uśmiechnął się do mnie, odsłaniając dziąsła. Między jego wargami rozciągała się niteczka śliny. Zamknął drzwi. Wzdrygnęłam się, próbując strząsnąć z siebie to wrażenie, które ogarnęło mnie pod jego spojrzeniem – pełnym kleistej, poufalej troski, jakby rozumiał, że jeśli pozwolę mu choćby spróbować... Odeszłam, czując objające się w teście książki.

Znalazłam Alex i Grace w palarni. Stały owinięte w grube płaszcze, a ich gołe nogi siniąły już na zimowym powietrzu. Podczas gdy siedziałam w gabinecie dziekana, zaczął padać deszcz. Wślizgnęłam się pod daszek; ciężkie krople tłukły o plastik.

Już kiedy się witałam, czułam, że przerywam jakąś prywatną rozmowę, której nie jestem częścią – chyba że jako obiekt dyskusji, pomyślałam z typową dla nastolatek obsesyjną niepewnością, a żołądek natychmiast ściał mi się w bryłę lodu. Dziewczyny się nie odezwały. Grace posłała mi uśmiech, Alex popatrzyła na swoje kolana. Jedno było posiniaczone i zadrapane po upadku.

– Co ci się stało? – Wskazałam na świeżą ranę.

– Hokej – wyjaśniła Alex, wruszając ramionami. – To samo co zwykle. Nicky jest psychiczna w ataku.

– Wyglądasz... – zaczęła ostrożnie Grace – na trochę zmęczoną. Wszystko w porządku?

Przez chwilę zastanawiałam się, czy powiedzieć im, co się wydarzyło z Tomem. Przyznać, że owszem, prawie nie śpię, nie mogę jeść i grozi mi

zawieszenie. Przyjaciółki popatrzyły na mnie ciepło.

– Nic mi nie jest – odparłam z wymuszonym uśmiechem. – Ale dziękuję, że pytasz.

– Gdybyś kiedyś... No wiesz...

Znów zapadła cisza. Gęsta mgła wokół campanili czepiała się ścian, podpełzała aż pod błyszczące tarcze zegarów. Grace popatrzyła na nią, mrużąc powieki, po czym zerknęła na własny zegarek.

– Odrobiłaś pracę domową z estetyki?

Skrzywiłam się.

– Nawet nie pamiętam, co było zadane. Annabel mnie zabije.

– Nic ci nie robi – zapewniła Grace. – Uwielbia cię. Masz szczęście.

– E, nie – zachnęłam się, choć ta sugestia wypełniła mnie przyjemnym ciepłem. Po chwili jednak uczucie ustąpiło miejsca ciężkiej świadomości, że już za kilka godzin ją rozczaruję. – Nie mam...

– Możesz spojrzeć na moją, jeśli chcesz.

– Och. Tak. Dzięki.

– Nie ma za co.

Zamilkłyśmy.

Czułam nieobecność Robin – ona nie potrafiła znieść ciszy. A raczej nie pozwalała na ciszę, która nie pełniła konkretnej funkcji, takiej jak dramatyczna pauza dla podkreślenia wagi jej słów. Wyobraziłam sobie, jak wyglądałaby nasza przyjaźń we trójkę, bez niej: cicha, spokojna i przyjemnie nijaka, uznałam ze smutkiem.

– Wiesz, gdzie jest Robin? – spytała w końcu Alex. Może myślała o tym samym co ja.

– Dlaczego pytasz?

Alex się zaśmiała.

– Bo ja nie wiem.

Otworzyła paczkę gumy do żucia, starannie zwinęła listek w symetryczne kółko i położyła sobie na czubku języka. Grace nachyliła się, jakby chciała odgryźć sobie kawałek. Zaczerwieniłam się, a kiedy to zauważyłam, na

policzki wystąpił mi jeszcze gorętszy rumieniec ze wstydu, że przyłapały mnie, jak się gapię.

– No ale nie spodziewałam się, że mi powiesz – dodała życzliwie Alex, nie doczekawszy się komentarza. Pewnie były przyzwyczajone do złośliwych uwag, jako jedyna para w szkole, a w każdym razie jedyna przyznająca się do siebie. – Ale ty chyba naprawdę nie wiesz, co?

– Nie musi mi wszystkiego mówić – odparłam sucho.

– Ale byłoby miło, nie? – Alex wysunęła język, napinający cienką warstwę gumy, pod którą przebiegały różowe i niebieskie żyłki.

Grace wcisnęła mi do ręki szeleszczący na wietrze kawałek papieru.

– Praca domowa.

Popatrzyłyśmy na nią pustym wzrokiem.

– Z estetyki – wyjaśniła. – Jeśli chcesz.

Przysunęłam sobie kartkę do oczu, próbując rozczytać jej drobne, rozwlekłe pismo.

– A ty – dodała Grace, trącając Alex dwoma palcami w ramię (domyślałam się, że w miejsce, gdzie zdążył już wykwitnąć kolejny siniak) – przestań już przesłuchiwać Violet. Gdyby wiedziała, toby nam powiedziała. Prawda, Vi?

W rzeczywistości wcale nie byłam tego taka pewna, ale uśmiechnęłam się szeroko i pokiwałam głową.

– No pewnie. Jasne. – Starannie zapakowałam pracę domową do teczki, którą nosiłam od niedawna zamiast plecaka, i ruszyłam z powrotem do budynku. – Zobaczymy się na lekcji – rzuciłam pogodnym tonem na pożegnanie. Zastanawiałam się, czy wychwyciły głuchą nutę w moim głosie.

Wiatr skowyczał wokół syreny. Robin jak zwykle się spóźniała. Wetknęłam sobie parasolkę pod pachę i spróbowałam osłonić się nieco od wiatru, żeby zapalić papierosa. Ubranie miałam już całe wilgotne pod cienkim płaszczkiem. W szarej mżawce miasteczko wydawało się jeszcze bardziej nieprzystające do obfitości Elm Hollow: smętna, zapomniana przez świat wiocha z brudnymi plażami naszpikowanymi odłamkami szkła i oblepiona plastikowymi siatkami, wyrzuconymi przez morze na błotnisty piasek.

Kilka metrów ode mnie na chodniku wylądowała mewa. Popatrzyła na mnie martwymi żółtymi oczami. Robin podbiegła do niej, a spłoszony ptak poderwał się do lotu, klaszcząc miękko skrzydłami.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale właśnie uratowałam ci życie – oznajmiła Robin. – To prawdziwe potwory.

Roześmiałam się, a ona posłała mi promienny uśmiech.

– Naprawdę się cieszę, że przyszłaś.

– No – przytaknęłam niezręcznie. – Ja też... Też się cieszę.

Ruszyliśmy wzdłuż sparciałej promenady. Patrzyliśmy na dzieci wymachujące wiatraczkami na patyku i staruszków jedzących frytki brudnymi palcami. Powietrze było rześkie i słone. Przeszliśmy obok sklepów z akcesoriami do palenia trawy, mijaliśmy witryny rzeźników i obskurne salony gier, z których dochodziły stłumione pobrzękiwania monet, dzwonki maszyn i otepiające piski elektronicznych melodyjek. W nozdrzach wiercił zapach smażonych pączków i zaschły smród starego piwa niosący się zza zamkniętych na cztery spusty pubów. Ruszyliśmy wąską brukowaną uliczką z czarno-białymi budynkami po obu stronach. Domy nachylały się konspiracyjnie do środka, trzeszcząc pod ciężarem rozkładu i grawitacji.

Na parkowej ławce siedziało dwóch milczących mężczyzn; popijali ćwiartkę wódki prosto z butelki. Matka błagała rozwrzeszczane dziecko, żeby przestało płakać, chociaż na chwilę, tylko na jedną chwilę.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła Robin, zatrzymując się przed zakurzonym oknem i wyblakłymi niebieskimi drzwiami. Drewniany szyld w kształcie sierpa księżyca skrzypiał na wietrze. *Runa księżyca*, głosił napis z łuszczącej się czerwonej farby. – No chodź. – Złapała mnie za rękę i pociągnęła do środka.

Kiedy drzwi zamknęły się za nami, a brzęk dzwonka wybrzmiał w powietrzu, ogarnęła nas otepiająca chmura kadzidlanego dymu, drzewa sandałowego i lawendy. Z niskich belek zwisały ręcznie plecione łapacze snów i wiatrowe dzwoneczki, na chwilę ożywione naszym wejściem.

Wszystkie półki były zastawione świeczkami, zabawkami i kamieniami.

Przed każdym przedmiotem znajdowała się wyblakła etykieta, informująca o jego wyjątkowych mistycznych właściwościach. Z ukrytego w jakimś kącie głośnika sączyła się pieśń wielorybów przeplatana chórami mnichów, śpiewających w rytmie, który wytrącał mnie z równowagi.

– Dziewczęta – odezwał się nagle kobiecy głos.

– O kurwa – szepnęła Robin, wpatrując się w postać stojącą za moimi plecami. Odwróciłam się. – To znaczy... Przepraszam. Dzień dobry, Annabel. Nie spodziewaliśmy się pani tutaj.

Nauczycielka uśmiechnęła się powściągliwie.

– To samo mogłabym powiedzieć o was.

Robin posłała jej swój zwykły uśmiech i zakołysała się w przód i w tył na piętach.

– Po co pani przyszła, pani profesor?

– Wiesz, że wolę, jak mówicie mi Annabel. – Kobieta wyciągnęła rękę i trąciła palcem knot długiej białej świecy. – Strasznie trudno znaleźć świeczki, które starczyłyby na dłużej niż jedną noc – wyjaśniła, patrząc prosto na mnie. Następnie znów odwróciła się w stronę Robin, która natychmiast zeszywniała, śledząc jej spojrzenie. Poczułam chwilowy dreszcz satysfakcji, że byłam pierwsza. Choć raz zostałam dostrzeżona przed nią. – A was co tutaj sprowadza?

– Tak tylko się rozglądamy – odparła Robin. Nie byłam pewna, czy zadrżał jej głos, czy może tylko to sobie wyobraziłam. Zazwyczaj Annabel nie robiła na niej wrażenia, a przynajmniej Robin nie dawała tego po sobie poznać. Teraz jednak znów się zakołysała i uciekła spojrzeniem gdzieś w bok.

Annabel przyglądała się jej uważnie. Na jej twarz powoli wystąpił uśmiech. Znów popatrzyła na mnie.

– No dobrze. Zobaczymy się w poniedziałek. Miłego weekendu.

Odwróciła się od nas niespodziewanie, tak jak podczas naszej pierwszej rozmowy w studiu plastycznym. Ta umiejętność zakończenia rozmowy jednym prostym gestem robiła wrażenie. Annabel potrafiła sprawić, że człowiek czuł się tak, jakby w ogóle go nie było. A jednocześnie wywoływała

bolesne pragnienie zostania dostrzeżonym, tęsknotę, by znów się odwróciła i utkwiała w tobie swój wzrok – uznała twoje istnienie.

W milczeniu chodziłyśmy po sklepie, słuchając rytmicznego pobrzękiwania starej kasy, przyciszonych rozmów i szelestów brązowych papierowych torebek. Wreszcie rozległ się dźwięk dzwoneczka sygnalizujący, że Annabel wyszła. Robin się roześmiała.

– Dziwne uczucie, kiedy widzisz nauczyciela poza szkołą, nie?

– Zwłaszcza w takim miejscu. – Zamknęłam książkę, którą bezmyślnie kartkowałam. Cienkie strony były pełne szkiców tańczących kobiet; drzewa ciągnęły je za włosy.

– No chodź.

Z zewnątrz sklepik wydawał się mały i niepozorny, ale zatęchła witryna prowadziła do szerokiego pomieszczenia wypełnionego książkami, z antresolą pod sufitem. Minęłam kilka półek opisanych *Mity i folklor Celtów*. Dalej zobaczyłam całą ścianę z tabliczką *Nauka o stworzeniach*, podzieloną na podkategorie: *Wróżki, Jednorożce, Zwierzęta i Bestie (ogólne)*.

Na półce podpisanej *Bóstwa nordyckie* książki w brązowej skórzanej oprawie stały podtrzymywane z obu stron przez kamienne wilki na tylnych łapach. Sekcja poświęcona ziołarstwu kryła się w gęstwinie przerośniętych roślin, których lepkie liście zostawiały ślady na grzbietach książek.

– Ej – odezwała się Robin z drugiego końca pomieszczenia. Kiedy się odwróciłam, wezwała mnie gestem, unosząc palec do ust.

– Co? – szepnęłam.

– Chodź bliżej.

Zrobiłam kilka kroków w jej stronę.

– Bliżej – syknęła.

Posłusznie zrobiłam jeszcze krok, a ona rzuciła się na mnie z kredowobiałą czaszką natkniętą na pięść. Wrzasnęłam, cofnęłam się gwałtownie i wpadłam na stojak z ulotkami, rozsypując po podłodze świstki reklamujące terapie lecznicze i magię kryształów.

– Co tu się dzieje? – W drzwiach pojawiła się wysoka, szczupła kobieta.

Popatrzyła niechętnie na naszą dwójkę, a my ze wszystkich sił spróbowałyśmy powstrzymać wstrząsający nami śmiech.

– Przepraszam – odezwała się potulnie Robin. – Moja przyjaciółka się przestraszyła.

Kobieta obserwowała nas spod zmrużonych powiek, gdy zbierałam rozrzucone ulotki. *Mistyczne ścieżki pogańskich bóstw*, głosiła jedna. Na innej dostrzegłam napis: *Poskromić morze: warsztaty*.

– To jakiś absurd – szepnęłam, gdy Robin włożyła palce do wielkiej misy pełnej koralików. Rozległ się głośny szum, przypominający westchnienie morskich fal. – Nic tu nie znajdziemy. Wszędzie tylko badziewie dla turystów.

– Czyżby? W takim razie co to jest? – Robin zdjęła z półki niską czarną świecę w szklanym pojemniku zatkanym korkiem.

– Świeczka.

– Z sarkazmem ci nie do twarzy.

– No to słucham. – Przewróciłam oczami. – Co to za świeczka?

– Taka, jakiej potrzebujemy. – Podała mi ją i chwyciła jeszcze dwie. Szklane słoiczki pobrzękiwały jej w ramionach. – Równie dobrze możemy od razu zrobić większe zapasy. Tak na wszelki wypadek.

Kiedy płaciliśmy, starsza pani nadal popatrywała na nas niechętnie.

– To nie zabawki – powiedziała.

– Wiemy – przytaknęła Robin ze złośliwym uśmiechem.

Dłoń kobiety na chwilę zawisała w powietrzu, po czym chwyciła wymiętoszony banknot. Wypadłyśmy na ulicę, zanim zdążyła zmienić zdanie. Przystanęłyśmy na chwilę, oślepione srebrnobiałym światłem. Wróciłyśmy tą samą drogą. Potykałyśmy się i śmiałyśmy ze starszej pani, z jej dziwnego sklepiku z rupieciami. Zgadywałyśmy, kto robi u niej zakupy: podstarzali hipisi i singielki szukające eliksirów miłości, pewnie same wyglądające jak bestie ze starych drzeworytów.

Robin przysiadła na cokole syreny i zaczęła skręcać jointa. W każdym miejscu bardziej cywilizowanym niż nasze miasto tak ostentacyjne obnoszenie się z miękkimi narkotykami mogłoby źle się skończyć. Dla nas jednak to nie

stanowiło żadnego ryzyka. Słodkawy zapach jointa mieszał się ze słoną morską bryzą, watą cukrową i dymem z palonych gałęzi wyrzuconych na brzeg. Robin zaciągnęła się głęboko, leniwie i podała mi skręta.

– Ej... Mam coś dla ciebie – powiedziała.

Zawahała się. To było tak nie w jej stylu, że poczułam, jak żołądek skręca mi się z nerwów. Zrozumiałam, że szykowała się do tego już od jakiegoś czasu. Starannie dobierała słowa. Teraz jednak milczała, więc popatrzyłam na nią, uniosłam brew i dmuchnęłam jej dymem prosto w twarz.

– Spierdalaj – zaśmiała się, wbijając mi łokieć w żebra.

– To o co ci chodzi?

Przez chwilę grzebała w kieszeni, potem w drugiej, aż w końcu wsadziła ręce głęboko w podszewkę płaszcza.

– Aha! – powiedziała wreszcie. Wolną ręką wyjęła mi jointa z ust. Podniosła wzrok ku niebu i powoli wypuściła powietrze z płuc. – To trochę obciachowe.

– Czyli nic nowego – skomentowałam i trąciłam ją łagodnie.

– No wiesz, uznałam, że to w twoim stylu.

– *Touchée.*

Robin wyciągnęła z kieszeni cienki srebrny łańcuszek, zaczepiony o drugi taki sam. Z każdego zwisał migoczący srebrny wisiołek. Kiedy złożyła je razem, powstał okrąg.

– Widzisz? Bransoletka przyjaźni. Mówiłaś, że chcesz taką – dodała. Na jej policzkach wykwitł blady rumieniec. Może tylko od wiatru.

Zarzuciłam jej rękę na ramiona.

– Ale z ciebie frajerka.

– Wiem – przytaknęła. – Daj, ja to zrobię.

Wyciągnęłam ku niej dłoń i podwinęłam rękaw. Starannie zapięła mi bransoletkę na nadgarstku.

– Teraz ty moją.

Pomogłam jej włożyć bransoletkę. Łańcuszek był cienki i zimny.

– Proszę bardzo – oznajmiła z uśmiechem Robin. – Na zawsze razem i tak

dalej.

Chwyciła mnie mocno za rękę. Spoglądałyśmy na samotnych ludzi w naszym miasteczku i było nam ich żal. W tamtej chwili żalowałyśmy każdego, kto nie był nami.

Rozdział 8

Robin trzymała w palcach skraj mojego swetra. Owijała go sobie wokół kciuka, słuchając Annabel. Próbowałam się skoncentrować, słuchać wykładu, ale moja uwaga bez przerwy uciekała do jej dłoni – troskliwej, zaborczej, uczonej mnie za wszelką cenę.

– Na pewno bawiłyście się w dzieciństwie różnymi zabawkami – mówiła Annabel. – Snułyście magiczne historie, wyobrażałyście sobie całe światy, które zamieszkiwałyście z przyjaciółkami. Zabawa i tworzenie zmyślonych scenariuszy to dla dzieci sposób ekspresji, zjednoczenia we wspólnym doświadczeniu. Jako dzieci uczymy się zawierać umowy, ustalać wspólną wiarę w rzeczy, które dla osób z zewnątrz stanowią jedynie produkt wyobraźni, fantazję.

Nauczycielka wychyliła się w fotelu, skrzyżowała nogi w kostkach i oparła łokcie na kolanach.

– Ale w oczach dziecka to nie jest świadomie przeżywany proces. Wszystko, co sobie wyobraża, jest prawdziwe. Ja na przykład wierzyłam we wróżki – widziałam je, byłam przekonana o ich istnieniu równie głęboko co lady Cottington. Ona też wierzyła w prawdziwość wytworów swojej fantazji, nawet kiedy rysowała magiczne postacie, by potem zapewniać rodziców, że znalazła je między kartkami notesu. W dzieciństwie wiara równa się wiedzy. Wierząc, stajemy się aktywnymi uczestniczkami tworzenia obiektów naszej wiary.

Robin przysunęła się nieco bliżej. Jej dłoń dotykała teraz mojej. Oparłam się o podłokietnik fotela, odchylając się od niej.

– Opowiadałyście sobie historie, tworzyłyście wielkie historie o życiu i śmierci, o miłości i zdradzie, o światach, które zderzały się ze sobą raz za razem. Te opowieści miały w sobie ciężar mitów: potężnych narracji, na których opiera się całe doświadczenie człowieka. – Annabel podniosła głowę

i popatrzyła na każdą z nas po kolei. – Ale jak to możliwe? Skąd jako dzieci wiemy, że zdrada ukochanej osoby może prowadzić do śmierci i cierpienia? Że dobry lekarz zdoła nas uratować w ostatniej chwili? Że w cieniu śmierci przybędą po nas wspaniałe skrzydlate stworzenia? Że zemsta stanowi niezbywalne prawo człowieka?

Robin odkaszlnęła i popatrzyła na Alex i Grace. One jednak utkwily wzrok w jakimś punkcie przed sobą, odmawiając uznania jej komunikatu. Kłótnia, która przetoczyła się między nami przed nadejściem Annabel, wisiała w powietrzu, gęsta od niewypowiedzianych słów.

– Znów zostajemy z czymś, czego nie potrafimy wytłumaczyć. To przeblýsk wieczności, *a priori*, niezniszczalnego archetypu. Widzimy te fikcyjne rzeczy, dobrze je znamy i w nie wierzymy, mamy w sobie głębokie przekonanie o prawdach, które podtrzymują całą naszą egzystencję, są fundamentami naszego człowieczeństwa. To mogą być tylko dziecinne zabawy, ale jednocześnie stanowią one podwaliny opowieści, które uczą nas – albo przypominają, zależy, jak na to spojrzeć – jak powinniśmy żyć.

Annabel przewróciła kartkę w notesie. Stronę otaczały zamazyste szkice cienką kreską, postaci wydłużone niczym rzeźby Giacomettiego zasiedlały całe marginesy.

– A mimo to z pewnością jesteście świadome, albo przynajmniej zaczynacie być, powolnego rozkładu, jaki niesie ze sobą dorosłość. Wyobraźnia wiotczeje i ustępuje miejsca suchej, prostej wierze w to, co widzimy. Zaczynamy ufać tylko temu, czego da się dotknąć. Według mnie to bardzo dziwne, że uważamy przejście w dorosłość za coś pozytywnego. Cenimy sobie „wyrastanie” ze starych idei, aspirujemy do pustego, oczywistego życia. Małżeństwo, praca za biurkiem, odrzucenie pierwiastka cudowności. Rozpoczynamy marsz ku śmierci, a po drodze tracimy instynkt, umiłowanie piękna i czystą radość. Smętne, rutynowe czynności w pracy bez znaczenia. Pusta rozrywka zamiast prawdziwych przeżyć. Wypełniamy całe dnie niczym, żeby wreszcie uciec w niespokojny sen bez snów. Prowadzimy nijakie rozmowy, godzina po godzinie, bez choćby jednej żywej myśli.

I z każdą chwilą zbliżamy się ku przepaści.

Ptaki zagnieżdżone w wieży zegarowej przestały trzepotać skrzydłami. Wiatr ustał. Wokół nas zapadła cisza. Pomyślałam o wszystkich tych ludziach, którzy nie są częścią naszego sekretnego stowarzyszenia: którzy widzą życie tylko takim, jakim się wydaje – nigdy nie dostrzegając jego prawdziwego kształtu.

– Dla starożytnych Greków jednak rzeczywistość doświadczana na co dzień była dzielona z obecnością istot, które dziś nazwalibyśmy „wyobrażonymi”. Według Hezjoda daimony chodziły po ziemi wśród śmiertelników. W *Fedonie* Platon twierdzi, że dusze obrażonych zmarłych unoszą się nad grobami i cmentarzami, chwytając się świata żywych. A w *Wychowaniu Cyrusa* Ksenofonta te same dusze prześladowają nikczemników, mszcząc się przy każdej nadarzającej się okazji. Dusze śmiertelników, którzy odeszli z tego świata, zasiadały pośród bogów i potworów całego greckiego systemu kosmologicznego – ciągnęła Annabel. –

Bóstwa chodziły po ziemi, równie rzeczywiste co każdy człowiek i tak samo dotykalne. Dzieliły z ludźmi jedną fizyczną przestrzeń, uczestniczyły w tej samej rzeczywistości. Grecy byli dostrojeni do takich koncepcji, podobnie jak niemal wszystkie kultury przed naszą własną. Nie brali swojej wyobraźni na smycz dorosłości, lecz pozwalali jej kwitnąć, dzięki czemu mogli oglądać wiele warstw świata jednocześnie, zamiast ograniczać się do wąskiego korytarza, który dziś sobie zbudowaliśmy. A potem zastanawiamy się, skąd w nas to wieczne uczucie, że coś utraciliśmy. Skąd ta tęsknota, wrażenie braku, którego nie potrafimy nawet nazwać. Bez przerwy zadajemy sobie pytanie: czego mi brakuje w życiu? Czego pragnę? Czego potrzebuję?

Poczułam uszczyptnięcie w udo. Uderzyłam Robin w dłoń. Annabel podniosła głowę, wyrwana z zamyślenia nagłym odgłosem. Kiedy znów podjęła wykład, odwróciłam się do Robin i bezgłośnie powiedziałam: „Spierdalaj”. Ona jednak tylko potrząsnęła głową i znów mnie uszczyptnęła.

Po zachodzie słońca poszła do Andy’ego. Błagała, bym do niej dołączyła, ale ryzyko, że wpadnę na Toma, było zbyt wielkie. Nie widziałam go od czasu

naszej „randki”, a on nie zadzwonił – wiedziałam, że powinno mi być przykro z tego powodu, ale czułam jedynie ulgę. Prawie udało mi się już zepchnąć całe to wspomnienie w głąb świadomości. Wynurzało się tylko w snach (tych samych, które niosły ze sobą całą litanię wcześniej wymazanych wspomnień, pełnych krwi, kości i stłuczonego szkła). Jeśli mogłam je tam zostawić, uważałam to za najlepsze rozwiązanie.

Wróciłam do domu, pooglądałam telewizję, poczytałam książkę. Zapaliłam papierosa w oknie swojego pokoju i zagrzebałam się w pościeli. Już odpływałam w sen, kiedy nagle głośny dźwięk gwałtownie wyrwał mnie z półprzytomnego ciepła. Odchyliłam zasłonkę. Okno rozcinało długie pęknięcie, jak błyskawica na szkle.

– Co ty odwalasz? – syknęłam, patrząc na Robin. Stała na trawie pod moim domem w samej koszulce i dygotała z zimna.

– Wpuść mnie – poprosiła bezgłośnie, wskazując na tylne drzwi.

Przemknęłam po schodach na dół. Minęłam matkę, śpiącą na kanapie z głową opartą na piersi pod niewygodnym kątem. Powoli, świadoma każdego dźwięku, rozsunęłam kuchenne drzwi.

Robin wślizgnęła się do środka i mnie objęła. Jej skóra była zimna jak lód. Pachniała cynamonem i drzewnym dymem, a kiedy przycisnęła dłonie do moich policzków, wychwyciłam ziemisty zapach marihuany. Miała czerwone oczy, źrenice szerokie i czarne jak smoła.

– Co ty tu robisz? – spytałam szeptem. Ona tylko przycisnęła palec do warg i wskazała na piętro.

Kiedy szliśmy na palcach przez dom, czułam tępe pulsowanie ponurego wstydu. Zauważyłam, jak Robin przygląda się przelotnie samotnej sylwetce mojej matki, skąpanej w bladoniebieskim świetle telewizora. Zastanawiałam się, co pomyślała na widok taśmy izolacyjnej, trzymającej poręcz w jednym kawałku, i wilgoci spływającej przez sufit na ściany. Z każdym krokiem zapadałam się w sobie, kurczyłam się coraz bardziej, a chwytając kłamkę drzwi prowadzących do mojego pokoju, pomyślałam, że może jeszcze zdążyłabym poprosić ją, żeby wyszła i zapomniała wszystko, co tu zobaczyła.

– Ej – odezwała się Robin, machając dłonią przed oczami. – Co ci jest?

– Nic – szepnęłam i wpuściłam ją do środka.

Natychmiast zaczęła chodzić po pokoju, zdejmować różne przedmioty z półek, dotykać wszystkiego, czego tylko się dało. Usiadłam na łóżku i przyglądałam się jej w milczeniu. Otworzyła szafę, przesunęła palcami po fałdach starej, zszarganej sukienki. Podniosła płonącą świeczkę, rozlewając wosk na cienki biały lakier pokrywający biurko. Skubnęła odłóżając listwę na brzeżku komody, odsłaniając tanią płytę pilśniową pod spodem, i nachyliła się, żeby obejrzeć z bliska naszyjnik z wiszącymi z ramy mojego popękanego, zakurzonego lustra.

– Robin – odezwałam się wreszcie. – Po co tu przyszłaś? Jest późno.

– Przecież wiesz, że jestem nocnym stworzeniem – uśmiechnęła się szeroko i odwróciła w moją stronę. Podniosła z szafki nocnej sznurówkę, którą kilka miesięcy temu powiązałam w supły i rzuciłam byle gdzie. Oplotła sobie sznurek wokół palców, bawiąc się w kocią kołyskę.

– Nie wątpię. Ale ja nie. Jestem zmęczona.

– Miałaś zapalone światło.

– Właśnie zamierzałam je zgasić. – To było kłamstwo. Od wypadku nie mogłam spać po ciemku. Potrzebowałam lampki, słodkiego ukojenia z czasów dzieciństwa. Strząsnęłam z siebie resztki snu. – Chcesz się napić?

Robin pokiwała głową.

– Na dole pewnie jest jakieś wino. – Zsunęłam się z łóżka. – Zostań tu i nic nie rób. Jeśli mama się obudzi i cię tu zobaczy, to mnie zabije.

Kiedy wróciłam, siedziała oparta o wezłowie łóżka i skubała czarny lakier, odłóżający jej z paznokci. Na kolanach miała rozłożoną książkę – książkę Alex. Grube stronicę połyskiwały złotem w słabym świetle.

– Po co ci to? – spytałam, rozlewając wino do dwóch kubków nie od kompletu. To jedyne, co mogłam przynieść rano z powrotem ze swojego pokoju bez wzbudzania podejrzeń. Poza tym wszystkie kieliszki do wina były popękane albo pokryte grubą warstwą zaschniętego czerwonego osadu.

Robin odwróciła książkę w moją stronę. Przycupnęłam obok niej.

– Słyszałaś kiedyś o magii kukiełek? – Pokręciłam głową, a ona postukała dwoma palcami w kartkę. – Od tego miejsca – poinstruowała mnie.

– Zastosowanie lalek do rzucania klątwy na wybraną osobę – przeczytałam na głos. – Ofiara zaklęcia rzuconego na kukiełkę będzie na łasce czarownicy, która ją przeklęła, bez względu na to, czy klątwa została rzucona z zemsty czy dla ochrony. – Przesunęłam koniuszkami palców po rysunku lalki ze szmatek i gałązek. – Zaklęcia te muszą być stosowane ze szczególną ostrożnością – głosił napis pod ilustracją. – Magia kukiełkowa nie jest odpowiednia dla początkujących. – Popatrzyłam na Robin. – Co on ci zrobił?

– Kto?

– Andy.

– Nic. Wszystko z nim w porządku, wielkie dzięki.

– W takim razie... O co tu chodzi?

– O Nicky – odparła obojętnym tonem Robin.

Westchnęłam, zamknęłam książkę i odłożyłam ją na bok.

– Mowy nie ma.

– Będziesz ją chronić?

– Nic nie zrobiła.

– Gówno prawda.

– Robin, daj spokój. To idiotyczne.

– Nie bądź mięczakiem – prychnęła i złapała mnie za rękę. – Jeśli ktokolwiek na to zasługuje, to właśnie Nicky. Nie zrobimy nic wielkiego, tylko połaskoczemy ją trochę nadprzyrodzonymi siłami. Żadne halo. – Uszczypnęła mnie lekko. – To będzie magiczny odpowiednik czegoś takiego. To wszystko.

Strząsnęłam ją z siebie.

– Dobra, dobra. Jak chcesz. – Już kiedy wypowiadałam te słowa, zrobiło mi się niedobrze. Instynkt podpowiadał, że podejmuję niewłaściwą decyzję, ale z Robin nigdy nie było odwrotu. – To co musimy zrobić?

Robin odsłoniła zęby w uśmiechu.

– Masz tu jakąś Barbie?

– Co?

– Barbie. Albo inne lalki. Wszystko jedno.

– Robin, mam szesnaście lat. Ja pierdolę.

– Nie pytam, czy bawiłaś się ostatnio lalkami Barbie, tylko czy masz jakąś w domu? Schowaną na strychu albo pod łóżkiem?

Poczułam paskudne szarpnięcie w żołądku, jak zawsze, kiedy myślałam o ojcu i siostrze. Natychmiast wróciły migające niebieskie światło i smród krwi.

– Po co ci Barbie? – odezwałam się w końcu.

– Mam to rozumieć jako „tak”?

Westchnęłam.

– Jest kilka w pokoju mojej siostry. Kiedyś się nimi bawiła.

Robin stoczyła się z łóżka i ruszyła ku drzwiom.

– Chodź, sprawdzimy.

– Czekał... Czekał. Robin, nie mogę.

Popatrzyła na mnie wielkimi błyszczącymi oczami.

– Dlaczego?

– Nie byłam tam, odkąd zginęła. Mama chce zostawić wszystko tak, jak było.

– Jezu, przecież odłożymy ją z powrotem. To zajmie tylko chwilę.

– Po co ci w ogóle ta lalka? – Załamał mi się głos. – Robin, nie możesz...

– Słuchaj, zaraz wrócę. Nie ruszę niczego innego, przysięgam.

– Robin... – syknęłam jeszcze, ale ona już zniknęła w korytarzu.

Oparłam się o wezglowie łóżka i zamknęłam oczy. Złość wzbierała we mnie i opadała. Minuty płynęły bez końca. Błagałam w duchu, żeby już wróciła – przerażała mnie myśl, że musiałabym po nią pójść i przestąpić próg opuszczonego pokoju siostry, pełnego pluszowych misiów, światełek i porozklejanych na ścianach wizerunków ptaków, które powycinała kiedyś z książki.

– Hej, piękna – rozległ się teatralny szept. Przez szparę w drzwiach do pokoju zaglądała plastikowa lalka z potarganymi blond włosami.

– Robin, wchodź do środka – wysyczałam.

Zamknęła za sobą drzwi i usiadła na łóżku, wymachując z dumą lalką.

– Gdybyś chciała wiedzieć, Violet, to nie jest Barbie, tylko Sindy, jej tańsza, bardziej obciachowa kuzynka. Trochę z niej zdzira. Niewykluczone, że daje dupy za działkę cracku. W sumie to nawet lepiej, wzięwszy pod uwagę, do czego jej potrzebujemy. – Zawahała się. – Jak nazywała się twoja siostra?

– Anna. – Pierwszy raz od jej śmierci wypowiedziałam to imię na głos.

– W takim razie za Annę – oznajmiła Robin, unosząc kubek. Kropla wina przelała się przez krawędź i spłynęła po ścianie. – Podaj świeczki.

Sięgnęłam pod łóżko i wyjęłam świeczki, które kupiliśmy po południu, nadal zapakowane w papierową torebkę. Robin przez chwilę grzebała w plecaku. Wyjęła szwajcarski scyzoryk, długą czarną wstążkę i garść maleńkich fiolek – widziałam takie w sklepie z przyborami plastycznymi – pełnych proszków i suszonych liści, podpisanych wyraźnymi pociągnięciami zielonego atramentu.

– Masz tu gdzieś kosz? – spytała, rozglądając się po pokoju.

– Co?

– Kosz. Na śmieci.

Wskazałam na kosz na papiery z metalowej siatki, stojący pod biurkiem. Był wypchany po brzegi pogniecionymi kartkami, półksiężycami obciętych paznokci, niedopałkami papierosów i starymi paragonami. Robin wywaliła całą zawartość na podłogę i postawiła kosz przy łóżku.

– Musiałś to robić?

– Wybacz. Ale i bez tego miałaś tu niezły syf, nie?

Trąciłam ją piętą.

– Spierdalaj.

Robin usiadła na łóżku przodem do mnie, skrzyżowała nogi po turecku i ułożyła lalkę między nami. Znów otworzyła książkę. Ciężkie stronicze szeleściły przy każdym ruchu.

– Okej, powinnyśmy zrobić lalkę samodzielnie, ale uznałam, że taka plastikowa zdzira bez duszy będzie lepiej pasować do Nicky, nie sądzisz?

Przewróciłam oczami.

– Pewnie. I co mamy zrobić?

– Wyobraź sobie, że to Nicky, tylko pod postacią lalki. – Robin wyjęła ze szufladki trzy łożyczki ostu, nagle szarpnęła dłonią i włożyła sobie palec do ust, gdy ostry kolec zahaczył jej o skórę. Następnie przyłożyła zasuszone patyczki do piersi lalki i mi podała. – Ty ją trzymaj, a ja zwiążę.

Wyciągnęłam Sindy przed siebie, próbując utrzymać oset w miejscu, a Robin zaczęła powoli oplatać lalkę wstążką.

– Kukiełko, widzimy cię w twojej prawdziwej postaci i wiemy, kogo przedstawiasz – wyszeptała, spoglądając na lalkę. – Vivi – przerwała i podniosła głowę. – Musimy obie to powiedzieć. Powtarzaj za mną. – Odchrząknęła i zaczęła od początku. – Kukiełko, widzimy cię...

Posłusznie wymawiałam szeptem zdanie po zdaniu, podczas gdy Robin ciasno oplatała wstążką ramiona i szyję. Następnie wzięła do ręki scyzoryk i otworzyła nasadkę z korkociągiem.

– Co ty... – zaczęłam.

– Ćśśś – uciszyła mnie. Przyłożyła korkociąg do ust lalki i zaczęła go obracać. Plastik ustąpił z cichym pyknięciem. – Zachowaj swe sekrety, kukiełko, nikomu ich nie zdradzaj. Twe przeznaczenie spoczywa odtąd w naszych rękach.

Popatrzyła na mnie wyczekująco. Wzięłam korkociąg do ręki i pociągnęłam za uchwyt, powtarzając słowa Robin. Lalka spoglądała na mnie pogodnymi, radosnymi oczyma. W miejscu ust ziała potworna, poszarpana pustka.

– Przeklinamy cię, kukiełko, za to, co zrobiłaś, i zabraniamy ci dopuszczania się czynów, które masz dopiero w planach. Niech Furie odbiorą ci oddech, a Mojry przetną twą nić.

Wlepiłam w nią zdumiony wzrok. To brzmiało o wiele poważniej niż „połaskotanie”. Robin przecięła wstążkę, a lalka upadła z plastikowym klekotem do kosza.

– Wstrzymaj oddech – nakazała Robin.

– Co?

– Nie oddychaj.

Zdjęła nakrętkę z wąskiej szklanej butelki i wlała na dno kosza trochę żelowatej czarnej substancji, zmieniając włosy lalki w węzowate loki. Z dziurą w twarzy Sindy wyglądała jak wrzeszcząca Meduza, zastygła w wyrazie przerażenia. Mimo że starałam się nie oddychać, i tak poczułam w gardle chemiczny, ostry zapach, słodko-gorzki jak benzyna, lakier do paznokci, syrop na kaszel. Rozbłysł płomień zapalki. Nagle dotarło do mnie, co planuje Robin.

– Nie... – zaprotestowałam, ale nie zdążyłam jej powstrzymać. Upuściła zapalkę z wysoka. Zawartość kosza wybuchnęła wściekłym czerwonym płomieniem, potworny kłęb czarnego dymu wzbił się pod sufit, roznosząc smród plastiku i palonych włosów.

Otworzyłam szeroko okno, a Robin wystawiła kosz na deszcz, krzywiąc się, gdy dym i para oplotły jej ramiona. Kiedy wreszcie wciągnęła go z powrotem, miała czerwone ręce, złaziła z nich skóra.

– Kurwa – wymamrotała, upuszczając kosz na podłogę. Kopnęłam go do pionu. Rozgrzany metal poparzył mi palec u nogi.

– Chyba dlatego piszą, żeby to robić na dworze – podsumowała sucho Robin.

– I dlatego trzeba zrobić tę lalkę... z czegoś innego niż Sindy.

Popatrzyłyśmy po sobie, potem na kosz. Poharatana twarz lalki rozpląnęła się w zastygłym grymasie. Wygięte ramiona i stopione włosy stężały w twardą, śmierdzącą kałużę. Nasze spojrzenia znów się spotkały i zaczęłyśmy się śmiać. Ostrożny chichot prędko przeszedł w gardłowy rechot. Zaśmiewałyśmy się, aż rozbolały nas żebra i poczułyśmy skurcze w szczękach.

Kiedy wreszcie odzyskałyśmy coś w rodzaju kontroli nad sobą (choć ciszę jeszcze przez jakiś czas przerywały prychnięcia, chichoty, czkawka), Robin odlepiła lalkę od dna kosza i wzięła ją w dwa palce za resztkę stopy.

– Odłożę to z powrotem – powiedziała i zniknęła na korytarzu.

Położyłam się do łóżka. Usłyszałam, jak cicho zamyka drzwi, i poczułam,

jak materac ugina się pod ciężarem jej ciała. Jej palce splotły się z moimi. Odwróciłam się w jej stronę. Popatrzyła na mnie z niepewnym uśmiechem.

– Jestem padnięta – wyszeptała ledwo słyszalnie, odpływając w sen. Dołeczek między jej obojczykami zaczął spłycać się miarowo, w rytm coraz głębszych oddechów. – To było strasznie śmieszne.

Zasnęłyśmy, trzymając się za ręce, a nasze bransoletki spoczywały tuż obok siebie. Kiedy się obudziłam, już jej nie było. Na poduszce obok mojej głowy leżał ptaszek z origami. Rozłożyłam karteczkę, rozmazując palcami jeszcze wilgotny atrament. „Zobaczymy się w szkole. Kocham cię”.

Usiadłam w pościeli z uśmiechem na twarzy. Firanka trzepotała na wietrze. Chciałam zachować ten dzień w pamięci, zatopić jego wspomnienie w bursztynie. Sięgnęłam po pamiętnik. Słowa – opowieść o naszym doskonałym, ekscytującym dniu – już układały mi się w głowie.

Na szafce nocnej wymacałam puste kubki, grudki popiołu, kamyki, porzucone w połowie wypracowania i wypisane długopisy, ale pamiętnika nie było. Zajrzałam pod szafkę, sprawdziłam przestrzeń między ścianką a łóżkiem, otworzyłam wszystkie szuflady. Przetrzęsnęłam całą sypialnię, przewróciłam wszystko do góry nogami, gorączkowo chwyciłam każdy przedmiot, aż pokój zatonął w chaosie. Prześledziłam wszystkie wspomnienia krok po kroku, aż do chwili, kiedy ostatni raz go widziałam.

Nic z tego. Zniknął.

Kiedy następnego dnia pojawiłam się w wieży, powitały mnie przerażone spojrzenia dziewczyn. Podeszłam do stołu. Cała trójka siedziała w ciasnym wianuszku nad jakąś książką. Niemal natychmiast rozpoznałam poszarpane kartki i rozmazany tusz.

Mój pamiętnik.

Moje sekrety należały teraz do nich.

Przypomniałam sobie wpis, który zamierzałam wyrwać i wyrzucić: słowa opisujące horror spotkania z Tomem, wyskrobane na kartkach, kiedy doświadczenie było jeszcze świeże, choć z biegiem czasu zdążyło zblaknąć.

Teraz, wiedząc, że je zobaczyły – że przeczytały te słowa, poznały palący ból mojego wstydu – poczułam się ponownie wykorzystana.

Popatrzyłam na Alex i Grace, po czym zajęłam miejsce i zaczęłam słuchać Annabel, która podjęła wątek z ostatnich zajęć.

– Może lepiej byłoby spędzić życie na poszukiwaniu rzeczy, które łączą te dwa światy: rzeczywisty i wyobrażony. Może zamiast pędzić ku przyszłości – ku życiu, które wydaje się wam zapewne łańcuchem nieznośnie nudnych czynności, powtórzeń i codziennego powolnego umierania – może zamiast tego warto zwrócić się ku magii naszej własnej, wyjątkowej przeszłości. I przeszłości tych, które były tu przed nami, które poświęciły się ideom sprawiającym, że serca biją nam szybciej. To pozwoli nam wypełnić życie odrobiną magii, a naszym duszom rozwibrować się w tej wspólności. –

Zamknęła książkę i popatrzyła na nas po kolei. – Może też powinniśmy częściej podejmować własne decyzje, podążać za tym, w co wierzymy, i nie tłumić swojej woli. Może właśnie na tym polega życie. A może to ścieżka ku rzeczom wyższym.

Nagle gdzieś w oddali rozległ się dzwonek. Na twarzy Annabel odmalowało się lekkie zaskoczenie.

– Cóż, to chyba wszystko na dziś. I byłabym zobowiązana, gdybyście do następnych zajęć rozwiązały te nieporozumienia między sobą, czegokolwiek one dotyczą.

Dopiero kiedy rozległo się mechaniczne buczenie windy, odważyliśmy się odezwać – wszystkie naraz. Alex i ja zaczęliśmy zasypywać Robin pretensjami o ukradzione przedmioty. Grace wpatrywała się w zabazgrane strony pamiętnika, przesuając po literach palcami ubrudzonymi czarnym i niebieskim tuszem. Robin wyglądała, jakby była uradowana, że znalazła się w centrum uwagi. Rozsiadła się w fotelu Annabel i patrzyła na nas z lekkim uśmiechem, czekając, aż skończymy się przekrzykiwać.

Przerwały nam dzwony campanili. Umilkłyśmy, popatrując po sobie z wściekłością pośród donośnych dźwięków zegara. Ptaki wyrwały się z poddasza, trzepocząc gwałtownie skrzydłami. Kiedy wszystko ucichło,

Robin wychyliła się z siedzenia i oparła łokcie na kolanach.

– Mogłybyśmy wszystkie wyluzować? Na jedną chwilę?

Alex i Grace popatrzyły na nią z niedowierzaniem. Zająłam miejsce, a Alex zerknęła na mnie przelotnie. Zarumieniłam się, uświadamiając sobie, że usiadłam na komendę. Przez chwilę miałam ochotę znów wstać.

– Pamiętacie te zajęcia Annabel o zemście? – odezwała się Robin z wielką swadą, choć jej oczy zdradzały większy niepokój, niż chciałyby pokazać. Nie była pewna, czy dobrze się do tego zabiera, jakby stanęła tuż nad przepaścią. To lekkie pęknięcie na masce jej brawury nieco mnie uciszyło. Zamrugałam kilka razy, przypominając sobie, dlaczego jestem zła, ale nie udało mi się znów przywołać wcześniejszej furii.

– Robin... – zaczęła Alex.

– Powiedziała – ciągnęła Robin, unosząc dłoń – że kobiety mają obowiązek mścić się za swoje skrzywdzone siostry. – Popatrzyła na Grace, potem na mnie. – Że to ich prawo, nie?

– Że to ich potrzeba – poprawiła Grace. – Chyba powiedziała, że to fundament siostrzeństwa.

– Właśnie! – Robin się rozpromieniła. – Kiedy więc pojawia się okazja do zemsty, jesteśmy to winne naszemu siostrzeństwu, żeby ją wykorzystać, prawda?

Alex odwróciła się w moją stronę.

– To bardzo zły pomysł – oznajmiła, nieco łagodząc swój ton. – To zbyt niebezpieczne. – Robin zaczęła robić miny za jej plecami, przedrzeźniając troskliwy ton przyjaciółki. – Są inne książki z innymi zaklęciami, ale...

– Ale ta naprawdę działa – przerwała jej Robin. – Właśnie w tym rzecz.

Popatrzyłam na nią, potem na Alex i znów na Robin.

– Co tam jest napisane? – spytałam wreszcie. Alex jęknęła głośno, odepchnęła krzesło i podeszła do wschodniego okna, skąd roztaczał się widok na kampus.

– „Furie można wezwać, żeby przywróciły porządek i odebrały władzę tym, którzy jej nadużywają. Przywołując te boginie, prosimy nadludzką

sprawiedliwość o zaprowadzenie ładu w świecie śmiertelników i by odpłacili nikczemnikom za ich zbrodnie”.

– No i? – Alex znów odwróciła się twarzą do nas. – Co jeszcze jest tam napisane, Robin?

Robin skrzywiła się w odpowiedzi.

– Ten obrządek może być odprawiany wyłącznie w sytuacji najwyższej konieczności. I nawet wtedy wszystko powinna kontrolować osoba doświadczona w praktykowaniu magii. – Zawahała się. – Ale zawsze tak piszą. A my przecież już mamy doświadczenie.

– Że co? – Alex posłała Robin wściekłe spojrzenie i westchnęła ciężko. – Wiesz co? Nawet nie chcę o tym słyszeć. – Usiadła przy mnie. – Violet, to okropne, że przydarzyło ci się coś takiego. On absolutnie nie powinien tego robić... Ale nie daj się jej wciągnąć w te głupoty. To idiotyczny pomysł.

Słyszając jej ton, cała się zjeżyłam i powoli wypuściłam powietrze przez zęby. Kiedyś wypijałam kilka przesłodzonych drinków z wódką za dużo i nazwałam ją po cichu „protekcjonalną suką”. Po twarzy Robin przebiegł cień uśmiechu. Może też pomyślała o tamtej nocy, i że teraz będę chciała pokazać Alex, jak bardzo się myli. Objęła mnie ramieniem, jeszcze zanim zdążyłam się odezwać. Wzdrygnęłam się i strząsnęłam z siebie jej rękę.

– Nie – powiedziałam. – Nie. Zapomnijmy o tym.

Robin popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. Napięte ścięgna w jej szyi podrygiwały w niekontrolowanym rytmie.

– O co ci...

– Daj spokój, Robin. Nie chcę.

Wyszłam, trzaskając drzwiami. Dziewczyny milczały, puls dudnił mi w uszach. Na chwilę się zatrzymałam, spodziewając się, że ktoś za mną zawoła, może spróbuje mnie dogonić. Ale kiedy winda podjechała z kłopotem na poddasze, nadal byłam sama.

Nie odezwały się, jakby czekały, aż odejdę.

W kółko czytałam te same słowa, starając się ignorować jego niestrudzone

postukiwanie długopisem o otwartą książkę. Otumaniające ciepło, zapach rozgrzanego kurzu na kaloryferze (martwy naskórek, pomyślałam; spalona skóra). Przygryzłam wargę, oderwałam twarde, ostry płatek i wytarłam palec o kartkę, rozsmarowując na papierze kroplę świeżej krwi.

Z korytarza dobiegł odgłos zamykanej bramki w recepcji. Jeden trzask, potem drugi. Obcasy pani Coxon zastukały na posadzce i ucichły, kiedy kobieta zniknęła za ciężkimi drzwiami wejściowymi. Z czasem znienawidziłam ten odgłos: ostatni ruch, złowrogi zgrzyt. Miałam wrażenie, że podczas tych wspólnych wieczornych sesji dziekan i ja jesteśmy jedynymi ludźmi – jedynymi żywymi stworzeniami – na całym kampusie.

Przerwał na chwilę i podniósł głowę.

– Jak sobie radzisz?

– Dobrze – odparłam lekko nadąsana.

Wróciłam do przeglądania notatek. Pismo dziekana było tak drobne, że w pierwszych tygodniach pracy wydawało mi się niemożliwe do odczytania, choć teraz z dziwną satysfakcją odkryłam, że przyzwyczajam się do jego zapętlonych bazgrołów, pełnych dużych liter i podkreślonych zdań. Moim zadaniem było regularnie przepisywać jego pośpieszne notatki na kartoniki, które czasami widywałam później na ścianie, poprzipinane w dziwnych konfiguracjach.

Niekiedy trafiałam na znajome nazwisko – dostrzeżone wcześniej na omszałych nagrobkach, które odwiedziłyśmy tamtej pierwszej nocy, albo nabazgrane na marginesach książek, które przeglądałam w wieży zegarowej przed rozpoczęciem lekcji z Annabel. Ich znaczenie nie było dla mnie jasne. Nie widziałam powiązania między tymi imionami a fragmentami tekstu, przy których się pojawiały.

– Słyszę kolejne ciężkie westchnienie – dodał dziekan z uśmiechem. – Jesteś pewna, że...?

Przez chwilę siedziałam w milczeniu. Pod jego badawczym spojrzeniem czułam się nieco niezręcznie. Miałam wrażenie, że coś wie i czeka na moment, kiedy tajemnica wreszcie zostanie ujawniona.

– Po prostu... – zaczęłam, odwracając wzrok. – Co ta historia ma do rzeczy?

Oczywiście wiedziałam. Rozpoznałam to nazwisko: Jane White, pani Boucher, belladonna w mleku. Ale w notatkach nie było szczegółowych informacji o jej śmierci. Tylko tyle, że mieszkała w miasteczku podczas procesów czarownic i umarła w tajemniczych okolicznościach zaledwie kilka tygodni przed spaleniem pani Boucher. Bezsensowna robota. Marnowaliśmy czas.

Dziekan wyjrzał na kampus. Srebrne wieczorne światło sączyło się przez okno, zarysy budynków rozmywały się w niskiej mgłę, która przez cały tydzień lepiała się do domów i drzew: ostatnie podrygi zimy. Kampus był ledwo widoczny. Mleczne powietrze rozcinały tylko rozsypane tu i tam kwadraty światła i złote tarcze zegarów na campanili, lśniące pod niebem jak cztery księżycy. Unikałam Robin i dziewczyn, choć one nadal mnie obserwowały. Ich współczujące spojrzenia tylko pogłębiały mój wstyd, mroziły mi wnętrzości.

– Może to rzeczywiście trochę nudnawe – przyznał w zamyśleniu. Znów odwrócił twarz w moją stronę i się uśmiechnął. Dźwignął się ciężko z siedzenia.

– Chodźmy na spacer.

Popatrzyłam na niego, sparaliżowana nagłym skojarzeniem. Te słowa zabrzmiały jak echo propozycji Toma.

– Nie trzeba, panie profesorze – zapewniłam cicho. – Przepraszam. Po prostu... – przerwałam. Strach chwycił mnie za gardło lodowatymi palcami.

– Violet? – odezwał się po chwili dziekan.

– No bo... – Zadrżał mi głos. Spróbowałam jeszcze raz. Chciałam odwrócić uwagę od wspomnienia. – Pokłóciłam się. Z koleżankami.

Dziekan usiadł powoli.

– Z którymi koleżankami?

– Z Robin, Alex i Grace – wyznałam, czując ukłucie wstydu przy każdym imieniu. Zachowywałam się jak dziecko skarżypyta. Nigdy by mi nie

wybaczyły czegoś takiego.

– Hmmm...

Nauczyciel splótł ramiona na piersi. Marynarka napięła mu się lekko w szwach. Od spotkania z Tomem zaczęłam być bardziej świadoma męskich rozmiarów i siły. Dziekan wydawał mi się teraz wielki, barczysty, zdolny do... Zamknęłam na chwilę oczy, myśl wyrwała się i umknęła.

– Wiesz co, Violet – zaczął łagodnym tonem. – W innych okolicznościach zasugerowałbym, żebyś poszukała jakiegoś rozwiązania. Konflikty nikomu nie wychodzą na dobre. – Zaczekał nieobecnie. – Ale w tym wypadku muszę powiedzieć, że nie jestem tego taki pewien.

Podniosłam głowę i popatrzyłam na niego ze złością, parzącą jak płomyk świecy między kciukiem a palcem wskazującym.

– W twoim wieku może się wydawać, że przyjaźnie to najważniejsza rzecz na świecie – ciągnął dziekan. – Ale czasami to przekonanie nas zaślepia i nie widzimy, że tak naprawdę pewne relacje nam szkodzą. – Latarnia na kampusie zabzyczała i obudziła się do życia. Światło w gabinecie zamrugało w odpowiedzi. – Wiem, że to wydaje ci się niemożliwe, ale czasami lepiej nie mieć żadnych przyjaciół, niż mieć złych – zakończył z dobrotliwym uśmiechem, pewnie widząc się w roli mądrego mentora.

Poczułam w piersi ostre, gorące szarpnięcie. Co za okrutna sugestia. Kto mi zostanie bez nich? Wprawdzie miałam jeszcze Nicky, ale nasza znajomość była płytka. Słowa dziekana brzmiały protekcjonalnie, ale ku swojemu upokorzeniu musiałam przyznać, że kryje się w nich trafna obserwacja. Bez nich byłam zupełnie sama. Przypomniałam sobie tę tęsknotę, którą czułam wcześniej, gdy wyobrażałam sobie, że mogłabym zostać jedną z nich. A jednak teraz, kiedy przyjęły mnie do swojego grona, postanowiłam to odrzucić. A dlaczego? Bo Robin chciała się zemścić na chłopaku, który mnie...

– Violet – odezwał się dziekan i wyciągnął do mnie rękę. Przygryzł wargę – tik, który dostrzegłam u niego dziesiątki razy. Wyrwałam się gwałtownie, serce łomotało mi wściekle w piersi. Ruszyłam tyłem do drzwi, chwiejąc się

na miękkich nogach.

– Nie – wykrztusiłam przez łyzy. Myślałam, że się nimi udławię. – Proszę się do mnie nie zbliżać.

Dziekan stał w bezruchu przy biurku, zszokowany moim wybuchem. Powoli uniósł obie dłonie, po czym schylił się i podniósł mój plecak i płaszcz z podłogi. Zrobił kilka kroków, podał mi moje rzeczy i chwycił za kłamekę, kilkanaście centymetrów od mojego biodra.

Zawahał się przez chwilę. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Czułam zapach dymu w jego włosach, przemieszany z wodą po goleniu, słodkawą od potu.

– Violet – powiedział jeszcze raz. Zamknęłam oczy, ciężkie łyzy zawisły mi na rzesach. Poczulałam jego oddech. Za blisko. Nie mogłam tego znieść.

Otworzył drzwi, a ja wybiegłam bez słowa prosto w kojącą ciemność nocy.

– Zmieniłam zdanie – oznajmiłam bez tchu, wyrzucając z siebie bezładne słowa. – Musimy to zrobić. Musimy go...

Usłyszałam dźwięk zamykanych drzwi, tłumiący gwar w domu Robin. Po raz pierwszy do niej zadzwoniłam. W innych okolicznościach pewnie nasłuchiwałam z uwagą, próbując wyłapać z tych odgłosów jakieś wskazówki, banalne sekrety domowego życia, o których rzadko wspominała. Najczęściej na wspomnienie rodziny tylko stękała z irytacją albo przewracała oczami.

– Jesteś pewna? – spytała cicho. W jej głosie pobrzmiwało dziwne zdenerwowanie, przeblysłk czegoś podobnego do strachu.

Zamilkłam na chwilę.

– Nie chcesz?

– Mamo, weź! – krzyknęła Robin. Skrzywiłam się i odsunęłam telefon od ucha. – Nie podsłuchuj. To tylko Grace. – Rozległo się ciche kliknięcie odkładanej słuchawki w drugim pokoju. – Bez urazy. Po prostu ją już zna.

Wymamrotałam coś w odpowiedzi. Przez nagłą przerwę w rozmowie nagle uszło ze mnie powietrze.

– Jeśli naprawdę chcesz – powiedziała Robin niskim szeptem – to ci pomogę. Ale będziesz musiała przekonać resztę. Zrobią to, ale tylko jeśli będą pewne, że to dla ciebie.

Mama stoczyła się z kanapy w salonie i ruszyła do kuchni, szurając kapciami. Po drodze chwyciła się mebli, które aż grzechotały pod jej ciężarem. Popatrzyłam na swoje dłonie. Siniaki i skaleczenia zdążyły już zblednąć i zniknąć. Słyszałam oddech Robin w słuchawce.

– Okej – odparłam. Z każdym słowem wypełniała mnie ulga. Stawałam się coraz lżejsza. – Zróbmy to.

Rozdział 9

Moje wspomnienia znad zatoki były oblepione słodyczą dzieciństwa, pełne zabaw wśród starych ceglanych ruin, kryjówek w maleńkich jaskiniach, które pojawiały się w pęknięciach pylistych klifów otaczających ukrytą plażę. Morska woda oblizywała budynki ściśnięte ciasno jak w plastrze miodu, światło miało barwę pszczelego wosku i ściekało przez okna konstrukcji, która kiedyś może była zamkiem z bajki, całym z wież i kominów ze starej cegły.

Wyobrażałam sobie, że jestem zagubioną księżniczką. Zagłębiałam przez szpary, ściągałam kraby pustelniki i rozgwiazdy z oblażonych wodorostami ścian. Po narodzinach siostry już nigdy tam nie wróciliśmy – wózek nie miał szans ze ścieżką prowadzącą na dół. Do czasu, kiedy mała nauczyła się chodzić, zatoka zdążyła zmienić się w ulubione miejsce spotkań lokalnych wyrzutków, hipisów biwakujących w oczekiwaniu na wschód słońca (z uwzględnieniem kalendarza, za którym mało który mieszkaniec miasteczka potrafił nadążyć) i szczeniaków próbujących zdobyć porcję trawy.

A może po prostu miałam już dość lat, by zobaczyć zatokę taką, jaką była naprawdę.

Tak czy inaczej – od wielu lat nie schodziłam po wąskiej ścieżce wijącej się pośród wiązów wyrastających z klifu, a już na pewno nigdy nie robiłam tego po ciemku. To był pierwszy i ostatni raz, choć wspomnienie tamtej nocy nadal tkwi w mojej pamięci tak czyste i barwne, jakby to się wydarzyło wczoraj. Chyba już nigdy jej nie zapomnę. Stara wieża stękała na wietrze, strącone cegły leżały w nieładzie u jej podnóża, a mewy krążyły wysoko na niebie jak sępy. Piasek pod naszymi stopami chrząścił na kamieniach, kraby rozpierzchały się na wszystkie strony, lisy prychały i skowyczały w ruinach.

W pustym oknie najbardziej oddalonego budynku migotało światełko. Głosy odbijały się echem po ścianach zatoki, niesione wiatrem. Zza wydmy

dobiegało pokrzykiwanie i wycie chłopców, na klifie siedziało dwóch starych mężczyzn. Ubranie nasiąkało im błotem, ale oni nie ruszali się z miejsca, nawet kiedy zaczął zacinać drobny deszcz. Kiedy zajrzałam pod jeden z łuków, zobaczyłam wewnątrz moje przyjaciółki (ubrane całe na czarno, podobnie jak ja – zgodnie z nakazem Robin). Siedziały wokół czerwonego ogniska pośrodku zrujnowanego pomieszczenia. Płomienie trzeszczały cicho, strzelając iskrami.

Wokół ognia piętrzyły się stosy kwiatów i roślin wyrwanych z ziemi: błękitnawy mikołajek nadmorski, siwiec żółty, modrak morski i żmijowiec. Między liśćmi i płatkami kwiatów dostrzegłam też różne przedmioty: świece różnych kształtów i rozmiarów, szklane koraliki, odłamki butelek wyszlifowane przez fale. Po czterech stronach ogniska tkwiły złote pochodnie o rzeźbionych rękojeściach i cztery identyczne noże z ostrzami wbitymi w ziemię.

– Vivi – odezwała się Robin. Popatrzyła na mnie z szerokim uśmiechem. W świetle ognia jej włosy płonęły czerwienią. – Wreszcie jesteś.

– Umawialiśmy się na dwudziestą trzydziści, prawda? – upewniłam się, zerkając na zegarek.

– Nie mogliśmy się doczekać. – Robin wzruszyła ramionami. – Pomyślałyśmy, że przyjdziemy wcześniej i przygotujemy wszystko, zanim się ściemni.

Uśmiechnęłam się słabo. Nie przypuszczałam, żeby Alex i Grace spieściły się do rozpoczęcia. Alex aż do końca tygodnia zarzekała się, że nie przyjdzie – dopiero w ostatniej chwili posłała nam znaczące spojrzenie i powiedziała: „To do zobaczenia jutro”. „Ona uwielbia dramatyzować”, stwierdziła obojętnie Robin. Wiedziała, że Alex nie zdoła się oprzeć, nieważne, ile by protestowała.

Nagle rozległ się trzepot, jakieś echo w kącie; drganie cieni. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Grace trzyma w dłoni wysłużoną ptasią klatkę o prętach pozieleniałych od śniedzi.

– Co to? – spytałam i podeszłam bliżej. Usłyszałam zgrzytanie pazurów,

słabe pobrzękiwanie drutów. Grace ostrożnie podsunęła klatkę do światła. W środku siedział gołąb o błyszczących skrzydłach. Miał srebrne pióra z zielonkawoszarym połyskiem.

– To jedyne, co udało nam się złapać. – Grace uśmiechnęła się w mroku. – Okazało się, że nie mamy talentu do polowań. Alex uciekała za każdym razem, kiedy byliśmy już blisko.

Robin prychnęła z uciechy. Alex pokręciła głową, próbując ukryć rumieniec.

– Po prostu nie lubię ptaków. Są takie... – Wzdrygnęła się niekontrolowanie. – Przenoszą choroby. Obrzydliwe.

Popatrzyłam na gołębia. Miał czarne, połyskujące jak bursztyn oczy w złotych obwódkach. Grace podsunęła mi klatkę, przytrzymując dłonią drzwiczki.

– Zajmij się nim przez chwilę. Tylko pilnuj, żeby nie uciekł.

Usiadłam przy klatce. Ptak trzepotał panicznie skrzydłami za każdym razem, kiedy ogień sypał iskry. Gorąco musiało być dla niego nie do zniesienia, płomienie prawie chwytają go za ogon i koniuszki skrzydeł. Ostatni raz byłam tak blisko żywego ptaka, kiedy siedziałam w kucki w kącie salonu, a tata próbował przegonić wróbla, który wpadł nam do domu przez komin. Razem z Anną chichotałyśmy i piszczaliśmy z uciechy.

Kiedy wreszcie go złapał, podsunął nam go i pozwolił pogłaskać. Byłam zachwycona jedwabistymi skrzydłami i puszystą główką. W szerokich dłoniach taty kryło się życie. Spróbowałam opowiedzieć tę historię dziewczynom, ale zabrzmiała głupio – banalna, dziecinna historyjka. Alex i Grace wymieniły spojrzenia, których nie potrafiłam rozszyfrować, i popatrzyły na mnie z takim samym mglistym uśmiechem.

– Dobra – odezwała się Robin. Zamaszystym krokiem podeszła do ognia i rozłożyła szeroko ręce, jak do kazania. – Zaczynamy.

Usiadła przed ogniskiem. Zajęłyśmy miejsca – każda przed swoją latarnią i nożem. Alex i Grace po bokach, ja naprzeciwko Robin. Za zasłoną płomieni wyglądała jak Meduza z automatu do wróżb. Kiedy powiewał wiatr, jej twarz

otaczały dym i iskry.

Deszcz łomotał teraz o dach z taką siłą, że bardziej przypominał ryczący morski oddech. Robin z pyknięciem otworzyła butelkę czerwonego wina. Wylała odrobinę na ognisko, które wzbiło się wysoko pomarańczowym słupem, plując rdzawymi odpryskami na piasek.

– Dla bogiń, które dziś wezwiemy – oznajmiła. Wzięła łyk prosto z butelki i podała ją dalej. Wypluła przeżutą gumę na piasek. Alex podała mi wino. Podniosłam szkło do ust, słodko-kwaśny smak rozlał mi się na języku.

– Mam nadzieję, że wszystkie przeczytałyście zadane teksty – ciągnęła Robin, niepokojąco trafnie imitując Annabel. Pokiwałam głową, myśląc o wilgotnych kserówkach, które Robin rozdała nam po ostatniej lekcji z Annabel. U góry strony widniał napis *Mojry i Furie*. Pod spodem znajdowała się wyblakła czarno-biała reprodukcja *Orestesa ściganego przez Furie* Williama Bouguereau.

Jeden ustęp tekstu szczególnie zapadł mi w pamięć. „Raz przywołanych Furi nie można odesłać z powrotem, gdyż odejdą wyłącznie z własnej woli. Zatem wzywając je bez powodu, ryzykujemy życie pełne tortur i najokrutniejsze cierpienie duszy. One są sędzią, ławą przysięgłych i katem. Tylko one mogą wydawać wyroki”.

Strząsnęłam z siebie nagły chłód i przypomniałam sobie Toma: przejmujący ból głęboko w brzuchu, kamień wbijający mi się w ramię, jego pot wtarty w moją skórę. To bardzo dobry powód, pomyślałam wtedy i wróciłam do lektury.

– W takim razie zaczynamy – obwieściła Robin, rozcierając ręce nad ogniem. – Masz...?

Skinęłam głową i podałam jej spódnice i majtki, które miałam na sobie tamtego dnia, nadal poplamione, zaschnięte w kształt, który przybrały, zalegając na dnie mojej szafy. Robin wzięła je delikatnie w dłonie i położyła obok siebie. Powoli podsunęła swoją pochodnię do płomieni. W powietrze uniósł się na ułamek sekundy rozgrzany zapach nafty, po czym pochodnia buchnęła złotem. Wszystkie trzy wstałyśmy i zrobiłyśmy to samo, pijane

oczekiwaniem. Ptak zaszamotał się w klatce i zagruchał piskliwie.

– Powtarzajcie za mną.

Robin kaszlnęła i podniosła rękę z pochodnią wysoko nad głowę. W jej drugiej dłoni zaśnił nóż. Schyliłam się, żeby podnieść swój. Ona zamknęła oczy i wzięła powolny, głęboki wdech. Nigdy nie zapomnę twarzy przyjaciółek, kiedy z niepokojem czekałyśmy, aż wypuści powietrze. Oczy Grace, zazwyczaj zamyślane i nieśmiałe, skryte w cieniu rzęs, teraz wpatrywały się w Robin, szeroko otwarte z przerażenia. Alex stała jak zahipnotyzowana, z rozchylonymi ustami.

– Stoimy przed wami, Furie – zaczęła Robin. Jej głos był niski, zachrypnięty od dymu. – Prosimy was o wasze sekrety, wiedzę i siłę. Przychodzimy do was jako skromne służące i przyjmujemy wasz osąd, jeśli postanowicie go wydać.

Powtórzyłyśmy jej słowa. Mój własny głos wydawał mi się obcy, jakby nie wydobywał mi się z piersi, lecz z jakiegoś miejsca o krok za mną. Wiatr tchnął przez ceglane łuki, płomienie zawirowały w powietrzu.

Poczułam mrowienie gęziej skórki na przedramionach i zamknęłam oczy, chłód rozlał mi się po skórze. Uniosłyśmy pochodnie wyżej.

– Furie, wzywamy was z podziemi i prosimy, byście dołączyły do nas tutaj, w świecie śmiertelników.

Ogień trzasnął ogłuszająco, pęknięta kłoda splunęła fontanną iskier na piach. Ptak zaczął gruchać w równym rytmie, coraz szybciej i gwałtowniej z każdym oddechem.

Robin otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Grace wyjęła mi pochodnię z dłoni.

– Weź ptaka – szepnęła.

Zerknęłam na Alex.

– Ale ona powiedziała, że on ma pchły.

– Jezu, Vi, no weź. Nie bądź taką sierotą.

– Ale...

– Uch. – Robin przewróciła oczami. – No już. Bo wszystko zepsujesz.

Przykucnęłam przy klatce i niepewnie włożyłam rękę do środka. Nagły syk i czerwona rysa wykwitła mi na skórze. Wyrwałam dłoń, wymamrotałam cichą skargę, tak żeby reszta nie usłyszała. Ogień wydawał się rosnąć, płomienie wzbierały i puchły mi za plecami. Znów włożyłam rękę, ścisnęłam gołębia od góry, za skrzydła. Zaczął się wyrwać i wymachiwać nogami. Przycisnęłam go sobie do piersi, czując poruszające się w nim kości, jakbym trzymała w rękach cudzą dłoń.

– Przynosimy wam tę ofiarę – kontynuowała Robin – abyście widziały, że mamy czyste intencje.

Uśmiechnęła się szeroko i skinęła na mnie. Poczułam ciepłą rękojęść noża w dłoni, wilgotną od potu. Nagłe zrozumienie spłynęło na mnie jak wspomnienie czegoś, o czym zawsze wiedziałam, jak wyparty szok.

– Nie mogę. – Głos ugrzązł mi w gardle.

– Musisz – odparła sucho Robin. Popatrzyłam na dziewczyny. Alex uśmiechnęła się lekko. W jej oczach pojawił się dziwny błysk. Może to był jakiś test, który miałam zawalić.

Ptak jeszcze przez chwilę próbował się wyrwać, po czym ucichł, jakby już wiedział.

– To tylko gołąb – zaprotestowałam.

– Violet – odezwała się ostro Alex. – Sama powiedziałaś, że ma pchły. Jest obrzydliwy. Podnieś go i celuj w gardło. Tak jest najszybciej. – Jej oczy błyszczały złotem w świetle ogniska, światło tańczyło w nich i migotało. Skórę miała wilgotną od potu. Zamknęłam oczy, wzięłam wdech i podniosłam ptaka wysoko do góry. Wiercił mi się w palcach.

– Popatrz na niego, żeby mieć czyste cięcie – nakazała Robin. – Inaczej będzie cierpiał.

Wbiłam wzrok w ptaka wymachującego nóżkami. Wciągnęłam powietrze w płuca, westchnęłam. Jeszcze jeden wdech. Wycelowałam, ostrze noża rzuciło srebrne odbłyski na ściany. Zamknęłam oczy. Powinnaś na niego patrzeć, pomyślałam, i tak zrobiłam. Wbiłam nóż i przeciągnęłam mu po szyi, zaskoczona łatwością, z jaką ostrze rozcinało pióra i mięso. Utkwiło dopiero

na kości. Gorąca krew rozlała mi się po ramionach, prysnęła w oczy, spłynęła po szyi i piersi. Pamiętam, że zdziwiłam się, jak takie małe stworzenie mogło mieć jej w sobie tak dużo.

Czekałam na przerażenie, ale go nie poczułam. Nie znalazłam w sobie obrzydzenia ani strachu: żadnej z tych rzeczy, których się spodziewałam. Ciało gołębia nieruchomiało, zrobiło się ciężkie, a ja zamiast odrazy poczułam, jak wypełnia mnie życie, serce i pierś miałam lekkie i przesiąknięte gorącym światłem. Ptak zadygotał jeszcze raz, zmartwiał, zrobił się zimny. Ręka zaczynała mi drętwieć, lepiała się od krwi.

– Furie, składamy wam tę ofiarę i stajemy przed wami, by wypełnić waszą wolę. Modlimy się, byście odsłoniły nam swoje tajemnice i pomogły nam naprawić zło, wyrządzone nam i innym, które dzieli nasz los. Składamy nasze dusze na złotą nić trzech przątek i błagamy was o łaskę.

Alex wyjęła mi ciało gołębia z dłoni i chwyciła je za nogi. Przeciągnęła nożem przez jego rozszarpaną pierś i przekazała zwłoki Robin, która zrobiła to samo. Grace była ostatnia. Wyszepiała coś i wrzuciła ptaka do ognia. Zrobiła krok w tył. Gołąb poczerniał, zasrebrzył się i zniknął w złotym blasku.

– Patrz – odezwała się Robin i wskazała na łuki pod kopułą. W każdym kryła się biała postać, obejmująca framugę długimi palcami. Za nimi czarne morze oblizywało piasek, gwiazdy snuły srebrną sieć na niebie. W ułamku sekundy zjawy zniknęły, a ja upadłam na piasek. Nawet nie zauważyłam, że straciłam grunt pod nogami.

Obudziłam się w domu, we własnym łóżku. Włosy nadal miałam wilgotne i kruche od słonej wody, ubranie kleiło mi się do skóry.

Wspomnienia wracały jak cienie, przebłyski. Krzyk, zimne dłonie trzymające mnie mocno za szczękę. Niski skowyt, jak wycie potwornej bestii, odbijający się echem od ścian. Zwalniająca karetka, kiedy przechodziłam obok kół samochodu wirującego w powietrzu. Wrak ściągał uwagę na zatłoczonej ulicy. Lśniące pajęczyna pęknięć na przedniej szybie. Szron tłuczonego szkła, czerwień, zieleń, pomarańcz. Czułam zapach krwi, taki sam

jak na ciepłym ciele małego ptaka, który wił mi się w dłoni, kiedy podrzynałam mu gardło.

Przekręciłam się na bok i znów zapadłam w sen. Śniła mi się noc.

Rozdział 10

Kiedy człowiek czyta *Makbeta*, wydaje mu się, że to nieskończone mycie rąk to metafora wyrzutów sumienia. Ta scena jest jednak bliższa prawdzie, niż mógłby sądzić przypadkowy czytelnik. Nawet kiedy czerwień zupełnie znika i nie widać już nic gołym okiem, na skórze nadal czuć coś lepkiego, skorupkę sztywną jak zasychająca na dłoniach glina, eksponująca każde załamanie, właząca w każdą zmarszczkę. Ciekawe, skąd Szekspir wiedział takie rzeczy.

Przez cały weekend szorowałam dłonie i smarowałam je kremem, który ukradłam z drogerii w jakieś dawno zapomniane popołudnie. To wszystko, co pamiętam, poza przelotnym pojawieniem się matki w drzwiach mojego pokoju. Spytała, czy chcę herbaty albo soku. Odwróciłam się na bok, nie odpowiedziałam. Bolało mnie serce, byłam uwięziona w snach o psach i jeleniach, o krwi, piasku i srebrzystych słupach płomieni.

Gdy wreszcie zebrałam w sobie dość energii, żeby wziąć prysznic, zobaczyłam w lustrze, że przez łopatki przebiegają mi dwie posiniaczone granatowe linie. Nagle przypomniały mi się skrzydła. Nie mogłam jednak znaleźć w pamięci nic więcej niż ten obraz – może były czarne, może wypadały z nich pióra. Nie myślałam o przyjaciółkach ani o tym, co zrobiłyśmy, tylko przechodziłam po kolei wszystkie stany delirycznej choroby, a wszystkie zlewały się w jedno.

Aż wreszcie odzyskałam świadomość. Miałam wrażenie, że zapadam się w przepaść, przelatuję od jednego stanu świadomości do następnego, i w końcu wyszłam na powierzchnię.

– Kto może mi powiedzieć, z jakich elementów składa się sztuka o zemście?

Profesor Malcolm rozejrzał się po klasie. Wszystkie odwróciłyśmy wzrok. Już dawno przestał liczyć na to, że zgłoszę się do odpowiedzi. Ostatnio za

każdym razem, kiedy oddawał mi sprawdzone wypracowanie, tylko ciężko wzdychał. Na marginesach widniały coraz bardziej ponure komentarze, nabazgrane przebijającym czerwonym atramentem.

„To nie jest twoja najlepsza praca”, napisał pod koniec poprzedniego semestru. „Jestem rozczarowany”, dodał na początku następnego. Teraz już nic nie pisał, tylko zakreślał kółko wokół oceny u góry pierwszej strony. Nawet teraz, kiedy mijamy się na kampusie, niemal niedostrzegalnie potrząsa głową, szczęka mu sztywnieje. Trudno mu ukryć rozczarowanie.

Westchnął.

– Dziękuję za cenne uwagi. Dobrze wiedzieć, że wszystkie przeczytałyście zadane teksty. – Odwrócił się do tablicy i zaczął zapisywać na tablicy kolejne słowa. Zgrzyt kredy wwiercał mi się w uszy.

„MORDERSTWO”, napisał najpierw. Zerknęłam na puste siedzenie obok. Robin opuściła lekcję. Siedząca ławkę dalej Nicky pyknęła gumą do żucia, przeglądając strony podręcznika szklistymi oczami.

„OBŁĘD”, dodał profesor poniżej.

Nicky zauważyła, że na nią patrzę, i posłała mi uśmiech – łagodnie obojętny, jakbym była przezroczyista, albo jakby spoglądała na przechodzącą obok nieznajomą. Poczułam słaby dreszcz ulgi. Nic jej się nie stało pomimo kukielki – a cokolwiek zaszło między mną a dziewczynami przed weekendem, już zniknęło. Chwilowe szaleństwo, *folie à deux* – nic więcej.

Mimo to nie mogłam zapomnieć. Odwróciłam się ku tablicy, na której teraz pojawił się podpunkt „DUCH OFIARY ŻĄDA ZEMSTY”, nabazgrany opadającymi, kurczącymi się literami. W tamtej chwili wszystko wydawało mi się bardzo prawdziwe. I nie mogłam pozbyć się uczucia – ostrego, zimnego bólu, który zagnieździł mi się gdzieś na dnie żołądka, wyciągając kostropate pędy ku piersi – że zrobiłyśmy coś bardzo złego. Potworną, straszliwą rzecz.

Tęskniłam za dziewczynami. Chciałam spytać, czy czują to samo – cień przeszłości wyłaniający się z mroku, kościste pazury wypełniające szczeliny między zębami. Czy też mają wrażenie, że obserwują nas czujne oczy, że w gęstej ciemności uśmiechają się usta pełne ostrych kłów. Czy to możliwe,

że wyobraziłyśmy sobie coś takiego – z czystego pragnienia, by okazało się prawdą?

– „Zemsta w mym sercu – odczytał profesor Malcolm – śmierć jest w mojej dłoni, a krew w mej głowie kuje zemsty oręż” [\[12\]](#).

Nicky zakaszlała, w promieniach słońca między nami zawisły drobinki kurzu. Kruki wyrwały się z campanili, zostawiając za sobą długie cienie.

Wreszcie znalazłam Alex i Grace. Siedziały po turecku na murku otaczającym budynek sztuk pięknych. Grace oparła głowę na ramieniu Alex. Zamknęła oczy, jakby spała, i tylko ruch poszeptujących warg zdradzał, że jest przytomna. Podeszłam bliżej. Nadal byłam trochę osłabiona, boleśnie świadoma każdego ścięgnięcia i każdej żyły w łydkach. Usiadłam obok.

– Hej – odezwałam się.

Alex wymamrotała coś na powitanie. Grace wyprostowała się i uśmiechnęła.

– Lepiej się czujesz?

– No. Trochę. – Spróbowałam zmienić temat. To doświadczenie nadal było nieco zbyt świeże. – Gdzie jest Robin?

– Nie widziałam jej dzisiaj – odparła Grace, spoglądając na uczennice zgromadzone przed wejściem do biblioteki. Z dziwną fascynacją wskazała na koparki toczące się przez kampus.

Przyjechały, żeby podczas ferii wiosennych wyrwać drzewa z głównego placu, pomimo głośnych protestów ze strony samorządu uczniowskiego. Podpisałam petycję, wiedząc, że to nic nie da. Dyrektor wziął się na wielką zieloną przestrzeń na środku kampusu i żaden opór ze strony uczennic nie mógł tego zmienić. Uznał spalony piorunem wiąz za znak – albo raczej za sygnał do wyczyszczenia placu z drzew, których gałęzie przez wieki rzucały bezpieczny cień na uczennice Elm Hollow.

Grace wyjęła z torby jabłko i odgryzła kawałek. Sok pociekł jej po brodzie. Przypomniało mi się, jak ptasia krew spływała mi po twarzy tą samą ścieżką, wrócił do mnie jej smak, pulsujące ciepło. Zamrugalam, odpędzając od siebie

tę myśl.

Siedziałyśmy przez chwilę w ciszy i patrzyłyśmy na promienie słońca przenikające przez szczeliny między budynkami. Światło było mętne od kurzu. Wreszcie pojawiła się Robin, niechlujna jak zawsze. Podbiegła do nas, plecak zwisał jej nisko z ramienia.

– Tutaj jesteś – odezwała się i uszczypnęła mnie w ramię, po czym usiadła obok.

– Tu jestem – przytaknęłam słabo.

– Mam wieści – oznajmiła i wychyliła się przede mną, żeby ugryźć jabłko Grace. Przeżuła, zgięła się w pół i wypluła miąższ na ścieżkę.

– Jezu. Dalej nie mogę jeść.

– Jesteś chora? – spytałam.

– Jak pies. Nie mogę nic przełknąć.

– Co to za wieści? – ponagliła Grace, nachylając się bliżej.

– Okej, więc tak: poszłam wczoraj do Andy’ego, a tam wszyscy ubrani na czarno i wyją, bo – poproszę werble...

Wlepiłyśmy w nią wzrok. Wiedziałam, do czego zmierza. Wezbrała we mnie fala gorących, lepkich mdłości. Popatrzyłam na swoje kolana. Przed oczami mignęło mi wspomnienie (nie do końca wspomnienie, raczej nawiedzająca mnie wizja, scena przedstawiająca oponę toczącą się po strzaskanym szkłe). Zadałam pytanie, choć już znałam odpowiedź.

– Co się stało?

– Był wypadek. Straszna tragedia. – Popatrzyła na mnie i puściła do mnie oko, tak prędko, że prawie nie dało się tego dostrzec. – Naćpał się i dachował na drodze pod miastem dziś nad ranem. Plotka głosi, że ratownicy zbierali ciało z całej drogi. Normalnie Humpty Dumpty.

Zapadła cisza. Żadna z nas nie wiedziała, jak zareagować. Niemożliwe. Nie mogłyśmy tego zrobić. To musiał być zbieg okoliczności.

A jednak, pomyślałam, widząc, że w oczach dziewczyn płonie ta sama przemieszana ze strachem nadzieja, którą i ja czułam. Miałam wrażenie, że długie palce oplatają mi serce. A jeśli to wcale nie był wypadek? Co jeśli

zabiłyśmy go siłą naszej woli, natchnione zasłużoną zemstą Furii? Może ptasia krew należała tak naprawdę do niego i to ona przywarła mi do skóry jak glina?

To nie może być prawda.

Wreszcie Alex się roześmiała, przykładając dłoń do gardła.

– Robin, jesteś chora.

– Wiem – odparła nasza przyjaciółka, zapalając papierosa. – Dlatego się ze mną trzymacie.

Odwróciła się i położyła mi głowę na kolanach, opierając stopy o murek. Wydmuchiwała w powietrze idealne krążki dymu.

Siedziałyśmy tak w milczeniu, pochłonięte myślami – związane nimi – aż wieża zegarowa wybiła dziesiątą. Grace i Alex zeskoczyły z murku jednym zwinnym ruchem, otrzepały się i ruszyły każda w swoją stronę na następną lekcję. Robin i ja zostałyśmy i patrzyłyśmy za nimi bez słowa. W powietrzu unosił się gęsty, mdlący zapach cytryny i lawendy. Miałam wrażenie, że moje płuca stały się zbyt płytkie, gardło ścisnęło się nienaturalnie. Złapałam za murek obiema rękami. Robin zahaczyła palcem o mój palec i ścisnęła mocno. To niemożliwe, myślałam. To zbieg okoliczności. Ale wspomnienie nie chciało zniknąć, trwało jak cień na nieruchomej tafli wody. Odłamki szkła odbijające niebieskie światła karetki. Pomarańczowy blask latarni. Czarne kałuże połyskujące na asfalcie, coraz mniejsze, gdy zaczęłam się powoli oddalać. Byłam tam – nie miałam co do tego żadnych wątpliwości.

Szloch wezbrał mi w piersi. Zrobiło mi się niedobrze. Przynajmniej byłyśmy w tym razem. Spojrzałam w niebo, na białe chmury rozcinające błękit. Wzięłam oddech, westchnęłam... i się roześmiałam. To brzmiało bardziej jak szczeknięcie, nieludzki charkot. Robin przez chwilę patrzyła na mnie z otwartymi ustami. Zakrztusiła się papierosem i usiadła, chwytając gwałtownie powietrze. Śmiałyśmy się prosto w twarze przechodzących uczennic, zaśmiewałyśmy się, aż poczułyśmy ból, aż wyschły nam gardła, a powietrze stało się zbyt rzadkie, by złapać oddech. Śmiałyśmy się, łyzy ciekły nam po policzkach, siedziałyśmy objęte i czułyśmy wyłącznie radość. Byłam

wdzięczna losowi, że zesłał mi przyjaciółkę, która naprawdę mnie rozumie.

WIOSNA

Rozdział 11

„W życia wędrówce, na połowie czasu, straciwszy z oczu szlak niemyślnej drogi, w głębi ciemnego znalazłem się lasu” [\[13\]](#) – wyrecytował profesor Malcolm, rozpościerając ramiona jak jakiś aktor ze spalonego teatru. – Jestem pewien, że wiele z nas tu zgromadzonych podziela to przekonanie, bez względu na to, w jakim punkcie życia akurat się znajduje.

Kilka uczennic prychnęło ironicznym śmiechem. Robin uniosła ostro brew i przewróciła oczami. Ja tylko gapiłam się w ramiona uczennicy siedzącej przede mną. Staralam się obudzić, strząsnąć z siebie kolejnego morderczego kaca.

Kłęby srebrnego dymu wznosiły się leniwie z popielniczki w obskurnej kawiarni. Mleczne tabletki z suchym trzaskiem wyskakiwały z plastikowych blistrów. Splątany ptasi trup, drzazgi lepkich kości, ostry dziób, zmiażdżone ciężkim butem Robin. Serce łomotało mi szaleńczo w piersi, bezwładnie opadłam na łóżko, dostrzegając kątem oka odłóżące plakaty. I to ciągle wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Wsłuchiwałam się w cichy szelest rwanego papieru, kiedy ściągałam je ze ścian. Ich twarze pruły się w szwach i wyginały.

Małe dzieci przyglądały się nam ze strachem, kiedy całą czwórką bujałyśmy się na huśtawkach. Dłonie miałyśmy zmarznięte od lodowatych łańcuchów. Przed burzą plac zabaw był pusty. Kiedy zaczęło padać, rzuciłyśmy się przez ścianę deszczu. Wrzeszczałyśmy, biegłyśmy przed siebie w maniakałnym upojeniu, pełne życia, agresywnie łykałyśmy powietrze.

Na dłoniach wykwitły mi głębokie sińce od czarnej farby do włosów. Najpierw ufarbowałam włosy Robin, potem swoje. Podrapane kolana, białe strzępki skóry na żwirze. Ciepła woda i tanie wino prosto z butelki. Mdłości. Rzygi z marmurkowym wzorkiem śliny, chłodna ulga na ceramicznej muszli. Ból w kościach. Wczorajsza maskara rozmazana na policzku. Nawet teraz

ledwo przypominam sobie ferie wiosenne – wszystko tonie w głębokiej mgle upojenia.

Myślę, że to wiele mówi o naszym stanie ducha – to, że zapamiętałam te dwa tygodnie jako serię przeblysków, chwil oderwanych od swojego źródła, wyrwanych z ziemi i niesionych wiatrem.

– Wyglądasz jak straszdyło – syknęła Robin i przesunęła po ławce małą kuleczkę z folii spożywczej. – Weź jedną. Zrobi ci się lepiej.

– Co to? – spytałam szeptem, choć oczywiście dobrze wiedziałam.

– Coś na poprawę samopoczucia – odparła ze śmiertelną powagą.

Pod jej oczami też rozciągała się siatka głębokich bruzd zmęczenia. Pigułka nie wystarczy, by zneutralizować efekty wczorajszej nocy. Robin westchnęła i zakryła paczuszkę dłonią.

– Jak nie zamierzasz brać, to przynajmniej ją schowaj – dodała. W jej oczach pojawił się płomyk irytacji. Źrenice miała wielkie i szkliste. Potrząsnęłam głową, a pigułki zniknęły, zmiecione jednym zgrabnym ruchem. Poczułam wstyd za swoje zachowanie i zsunęłam się nieco głębiej na krzesło, a Robin odwróciła się gwałtownie przodem do tablicy.

Wyjrzałam na złotorude ceglane budynki. Garstka wróbli wydziobywała z trawy okruchy. Kampus świecił pustkami. Uczennice były jeszcze w domach albo siedziały uwięzione na lekcjach. Robotnicy wycinający drzewa zrobili sobie krótką przerwę, więc powietrze wypełniła na chwilę litościwa cisza. W promieniach popołudniowego słońca kamienne twarze postaci spoglądających w dół z gzymsów wyglądały, jakby obudziła się w nich jakaś świadomość. Nie dało się przejść przez kampus, nie czując na sobie ich pełnego dezaprobaty spojrzenia, chłodnego osądu rzeczy martwych.

– *Boska komedia* reprezentuje podróż duszy ku Bogu. To dzieło wpłynęło nie tylko na Blake'a, ale też na Szekspira, Milтона, Eliota i Becketta, nie wspominając o niezliczonych artystach i pisarzach współczesnych – ciągnął wykładowca płaskim, beznamiętnym głosem. – Jednak to właśnie *Pieć* najbardziej uwodzi wyobraźnię artystów – głównie dzięki rozpoznaniu grzechu w niezliczonych formach i wizjonerskim projekcie piekła złożonego

z kolejnych kręgów. Jak wyjaśnia Ciardi w swojej przedmowie, *Piekło* reprezentuje świat tych, którzy odrzucili wartości duchowe i oddali się zwierzęcym chuciom lub przemocy albo wypaczyli dary ludzkiego intelektu, by dopuszczać się oszustw lub krzywd wobec bliźnich. *Piekło* zachęca nas do voyeuryzmu – do pytania „co by było, gdyby”, które kryje się pod każdą pokusą grzechu, i oczywiście do *schadenfreunde*, nieodłącznie obecnego, kiedy patrzymy na dusze cierpiące za grzechy, które my też moglibyśmy popełnić.

Zamilkł i rozejrzał się po klasie, może uświadomiwszy sobie, że po raz pierwszy udało mu się zdobyć uwagę wszystkich słuchaczek. Profesor zniżył głos niemal do szeptu.

– *Lasciate ogne speranza, voi ch'entrate*, głosi napis nad bramą Piekła. „Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją”. To uderzający komunikat, choć przy tym dziwnie kuszący czytającego. Wrzaski wiecznie potępionych przyciągają nas ku sobie, mimo że mamy ochotę odwrócić wzrok. Może właśnie dlatego *Piekło* pozostaje tak istotnym punktem odniesienia dla naszej kultury, choć od skomponowania poematu upłynęły setki lat. Bo któż spośród nas może szczerze powiedzieć – albo raczej będzie w stanie szczerze powiedzieć na łożu śmierci, czekając na swój własny osąd – że miliardy pokus pożądania, chciwości, zdrady i przemocy nie wkradły się do naszego życia? Któż spośród nas zdoła im się oprzeć?

Przez chwilę miałam wrażenie, że wszystkie spoglądamy do swoich wnętrza, jakby na ułamek sekundy ukazały się nam wszystkie chwile zwątpienia i upadku. Przez klasę przeskoczyła iskra niepokoju. Profesor Malcolm przerwał napięcie, zanosząc się nagle spazmatycznym kaszlem palacza, i czar chwili prysł. Zażenowane chwilą wspólnej intymności uczennice osunęły się na krzesłach i zaczęły leniwie przerzucać notatki, szukając jakiejś drogi ucieczki.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Wszystkie naraz podniosłyśmy głowy. Do środka zajrzał dziekan. Widząc to, dziewczyny straciły zainteresowanie i znów wlepily wzrok w zeszyty.

– Przepraszam, że przerywam – odezwał się z powagą. Na jego twarzy malował się nieodgadniony wyraz. Kiedy mnie zauważył, pomachał mi na powitanie. – Muszę pożyczyć na momencik jedną z uczennic, jeśli nie masz nic przeciwko. – Skrzywiłam się na samą myśl, że zostanę wywołana na oczach całej klasy. W dodatku przyłapaną z Robin. Obie byłyśmy blade, miałyśmy tak samo przekrwione oczy.

Profesor wzruszył ramionami i odwrócił się do tablicy.

– Robin – powiedział dziekan. – Mógłbym cię prosić na chwilkę?

Zerknęła na mnie przelotnie, z ukosa. Popatrzyłam na dziekana, który włożył obie dłonie do kieszeni i oparł się o drzwi. Obserwował Robin z nieodgadnioną miną, czekając, aż zbierze swoje rzeczy.

– Tak, panie profesorze – powiedziała Robin i wyszła za nim na korytarz. Na chwilę zapadła cisza, przerwana dopiero, kiedy profesor Malcolm naskrobał na tablicy wysokimi literami kolejny cytat: „Nie przeznaczono wam żyć jak zwierzęta, lecz poszukiwać i wiedzy, i cnoty” [\[14\]](#), po czym podjął swój zwykły beznamiętny monolog.

Nie dałoby się zgadnąć, że wydarzyło się coś złego, gdyby nie sznur autobusów zaparkowanych za szkołą. Kierowcy stali przed wejściem i palili papierosy, niezadowoleni, że musieli zjawić się w pracy w środku dnia.

Kampus był zatłoczony. Wszystkie uczennice zostały jednocześnie zwolnione z lekcji. Pozbijały się w ciasne grupki wokół drewnianego ogrodzenia, które zakryło większość głównego placu. Niektóre szeptały coś między sobą, inne śmiały się i krzyczały, ich głosy niosły się piskliwie na wietrze.

Zaczął zacinać deszcz. Pokierowano nas do autobusów jadących do miasta, gdzie mieli na nas czekać rodzice. Moja mama oczywiście się nie pojawiła. Teraz miała fobię na punkcie dzwoniącego telefonu, więc wepchnęła aparat do szuflady. Nadal był podłączony i czasami wydawał z siebie stłumione piski, ale zawsze go ignorowała.

Rozejrzałam się za Robin, Alex i Grace, zachwycona perspektywą wolnego

popołudnia – także dlatego, że nic nie przeczytałam na żadne zajęcia. Nawet nie wiedziałam, co było zadane. Kiedy jednak okazało się, że jestem sama, wskoczyłam do autobusu i zajęłam miejsce obok jakiejś dziewczyny, której nawet nie znałam z imienia. Przez całą drogę nerwowo skubała paznokcie i unikała mojego wzroku.

Dopiero następnego dnia dowiedziałam się, co się wydarzyło, i to zaledwie w strzępach plotek wychwyconych w urywkach wiadomości radiowych i rozmów podsłuchanych na ulicach.

Podczas wycinania wiązu robotnik zaczął rozcinać pień piłą łańcuchową. Nagle z przerażeniem zobaczył, że z pęknięcia wypływa ciemny płyn. Nie żywica, choć substancja była podobnie gęsta i galaretowata, z takim samym śliskim połyskiem. Koloru jednak nie dało się z niczym pomylić. Mężczyzna przeżegnał się i odszedł, gdy tylko pierwsza nitka krwi prześlizgnęła się po korzeniach i wsiąkła, czerniejąc, w trawę.

Inny robotnik przyszedł na jego miejsce. Drzewo znów zaczęło krwawić. Skrzywił się, ale nie przerwał pracy. Odłamki poczerwieniałej kory leciały w błoto, wbijając się krzywo w miękkie podłoże, jak nagrobki.

Przechodzący kierownik zatrzymał się, popatrzył na strugę krwi, skapującą powoli po korze. Płyn oplatał zardzewiałe śruby, wypełniał płytkie szczeliny. Mężczyzna podparł się o pień i obszedł drzewo dookoła, z widocznym trudem powstrzymując chęć odmówienia pod nosem modlitwy. Wreszcie znalazł pęknięcie w drzewie, i jeszcze jedno, i jeszcze. Wetknął drżące palce w szpary i pociągnął. Płat kory odszedł od pnia w jednym kawałku. Zdeformowane ciało Emily Frost zgięło się wpół, spoglądając na robotnika pustymi oczodołami, połyskującymi od skłębionych białych larw.

Kiedy ostatni autobus opuścił kampus, nadjechały wozy policyjne. Funkcjonariusze dławili się od słodkiego zapachu zgnilizny. Niektórzy mówili, że puls stworzeń pełzających pod skórą dziewczyny dawał złudzenie, jakby jej serce nadal biło. Płynąca krew też sugerowała, że Emily znalazła się tam niedawno, choć autopsja wykazała, że to nieprawda. Nikt nie potrafił wytłumaczyć takiej anomalii. Koroner ocenił, że dziewczyna znajdowała się

w środku kilka miesięcy i została włożona do pnia, jeszcze zanim jej ciało zeszywniało na tyle, by nie dało się dopasować do kształtu zagłębienia. Znalezione później na drzewie zmechacone ślady paznokci zachęciły niektórych do spekulacji, że dziewczyna została zamknięta w środku, jeszcze zanim uszło z niej życie.

W ciągu tygodni po naszym nocnym spotkaniu w zatoce nasza czwórka czuła, że łączy nas nowe poczucie bliskości. A teraz nadchodziła wiosna, życie powoli wypełzało spod ziemi i wypełniało kampus feerią rozkwitających barw. Wydawało się nam, że wszystko jest możliwe, że wypełnia nas potencjał ograniczony tylko naszą własną wyobraźnią. Z naiwną, zuchwałą wiarą młodości sądziłyśmy, że nasza przyjaźń jest niezniszczalna, wieczna, nierozzerwalna.

Kilka dni wcześniej poczułam się nawet na tyle pewnie, żeby poruszyć temat Emily, kiedy Robin i ja leżałyśmy razem w łóżku i obie czekałyśmy, aż ta druga zaśnie.

– Chciałabym tylko, żeby ją znaleźli – powiedziała. – Żebyśmy wszyscy mogli zacząć żyć dalej.

Teraz Emily wreszcie się znalazła. A mnie mdliło z zawiści na samą myśl, że wróciła: przez to w naszej przyjaźni coś pękło.

Rozdział 12

Ferie wiosenne zostały przedłużone o tydzień. Po znalezieniu ciała Emily zamknięto szkołę – z pewnością po to, by zapobiec hysterii, dać nam czas na żałobę. W mieście było nas pełno, uczennice na wygnaniu tłoczyły się w kawiarniach, przesiadywały na plaży, zjadały lody i uchylały się przed nisko latającymi mewami.

Większość traktowała to jak dodatkowe wakacje, choć powietrze z każdym dniem gęstniało od szeptów. Wszystkie śmiały się z ostrzeżeń w listach przesłanych naszym rodzicom: nie rozmawiać z obcymi mężczyznami, uważać w ciemnych uliczkach i w gęstej mgle, nigdy nie chodzić nigdzie samej.

Ale ja byłam sama.

Robin, Alex i Grace zniknęły. Żadnej z nich nie było w domu, a przynajmniej żadna nie odbierała moich niezliczonych telefonów. Przeprowadziłam kilka niezręcznych rozmów z każdym z ich rodziców – poza Alex. Tu sygnał po prostu dzwonił bez końca, przez pięć, czasem sześć minut. Za każdym razem słyszałam, że dziewczyny „wyszły”, choć rodzice nie wiedzieli – albo, jak zaczynałam podejrzewać, nie chcieli mi powiedzieć – dokąd.

Od twarzy Emily nie dawało się uciec. Uzależniłam się od niej. Kupowałam gazety i przemykałam się do salonu, żeby oglądać wiadomości, kiedy mama spała. Gapiłam się na zadrukowane strony albo na ekran – jak Narcyz na taflę jeziora – podczas gdy zrozpaczone przyjaciółki opowiadały o jej dobrym sercu i urodzie.

Nicky pojawiła się kilka razy. Podsunęła dziennikarzom parę naiwnych anegdotek o swojej przyjaźni z Emily, choć z tego, co wiedziałam, nigdy się specjalnie nie lubiły. Kto jednak mógłby mieć jej za złe chęć skupienia na sobie uwagi? Reporterzy opisywali Emily jako dobrą dziewczynę, miłą

dziewczyne, uroczą dziewczynę. Tak właśnie kiedyś myślałam na swój temat. Zaczęłam się zastanawiać: czy gdybym to była ja, mówiliby to samo? A jeśli tak, to czy Emily rzeczywiście była kiedyś dobra, miła i urocza?

Te z nas, które zostały przy życiu, plotkowały szeptem pod przewodnictwem Nicky dzwoniącej do nas codziennie. Zdyszana łąpałam słuchawkę i czekałam na resztę. Nicky opowiadała o przyciszonych rozmowach podsłuchanych przez drugi telefon, o teoriach wygłaszanych półgębkiem przez matki po trzecim albo czwartym kieliszku na dobranoc. Ich córki nasłuchiwały uważnie, wychylając się przez poręcz schodów.

Niektórzy sugerowali wypadek: może wspinała się na drzewo, nieszczęśliwie stanęła, poślizgnęła się, wpadła prosto w paszczę drzewa, przysypana liśćmi i pozostawiona tak na pastwę losu, aż zgniła. Nicky tylko kręciła głową.

– Nigdy nie zobaczyłabyś Emily Frost na drzewie. Zawsze miała perfekcyjne paznokcie.

Jej ojciec był otumaniony rozpaczą, matka była zbyt przerażona, żeby mówić – ale ich twarze migoczące na ekranach telewizorów wydawały się szczerze, w ich oczach kryły się żal i pustka.

Pojawiały się też bardziej niezwykle sugestie, z każdym szeptem wzbierające na sile. Pentagram wycięty w drewnie. List wepchnięty jej do gardła: litery zbyt rozmyte, żeby dało się coś przeczytać, atrament przeżarty śliną i sokami żołądkowymi. Co jakiś czas padało nazwisko pani Boucher – „czarownica”, mówili, przewracając oczami. Mówili coś o klątwach i śmiali się z tego pomysłu. Dowiadywałyśmy się rzeczy, na które byłyśmy o wiele za młode, choć wtedy nie zdawałyśmy sobie z tego sprawy – i reagowałyśmy na nie z wystudiowaną obojętnością. Słyszałyśmy, że policja przeprowadzi testy DNA na obecność śliny i spermy w miejscach intymnych. Wyobrażałyśmy sobie przebłyski luminalu, sinych plam pośmiertnych, śladów palców na białych ramionach.

Reporterzy łąpali się słówek z tekstów piosenek i gier wideo, specjalnie ignorując kontekst, by przepoczwarzyć je w agresywne zachęty do kradzieży,

gwałcenia i mordowania – a my, słysząc to, odnosiłyśmy wrażenie, że nawet w sytuacji, w której mało kto wie coś ponad podstawowe fakty, dorośli nadal nie rozumieją zupełnie nic. Krzywiłyśmy się z zażenowania, ale ten obrzydliwy czarny humor nieco łagodził horror zbrodni.

Kiedy wreszcie znów otworzono szkołę, na środku placu pojawił się ołtarzyk pamięci Emily. Zaprzeszono wszelkich prac konstrukcyjnych. Pod napół ściętym wiązem (po zabraniu ciała pień owinięto czarnym kirem) leżały kwiaty i fotografie, świeczki przypalające futerka sklepowych misiów, odręcznie pisane liściki. Zaplanowano nabożeństwo żałobne, odwołano wszystkie zajęcia muzyczne – zamiast nich w Wielkiej Sali rozlegały się próby utworów na organy, a głosy chóru niosły się smętnie po szkole.

Na każdym korytarzu czułam na sobie spojrzenia. Szepty milkły, gdy wchodziłam do klasy. Wiedziałam, czego ode mnie chcą: informacji, gdzie są dziewczyny. Ale kiedy powiedziałam, że nie wiem, nikt mi nie uwierzył.

– Violet! – odezwał się dziekan, kiedy weszłam. Jego ponury ton nadal był powleczonej pozorną radością, jak zwykle przesadną. Od czasu naszej rozmowy o moich przyjaciółkach dziekan był dla mnie przesadnie miły. Postanowił nie wspominać o mojej reakcji ostatnim razem. Byłam mu wdzięczna za ten akt życzliwości, choć niedopowiedzenie nadal wisiało między nami.

Reszta wydziału zachowywała się zupełnie inaczej: wszyscy byli poważni, zdystansowani. Annabel odwołała nasze dodatkowe zajęcia. Uznałam, że to dobrze, skoro i tak byłam obecnie jej jedyną uczennicą. Profesor Malcolm wygłosił wykład o żałobie, który okazał się tak nieznośnie nudny, że wszystkie zaczęłyśmy uważać zmarłych za szczęściarzy.

Dziekan jednak zachował pogodę ducha – domyślałam się, że to konieczne ze względu na jego rolę opiekuna uczennic, choć na jakiś czas w szkole pojawili się też psychologowie i pedagodzy z zewnątrz, żeby pomóc nam poradzić sobie z tą sytuacją. Większość uczennic korzystała z tych konsultacji, przy każdej okazji wplatając informację o tym w rozmowę – jakby zmieniając żałobę w konkurencję sportową.

– Co słychać u mojej ulubionej uczennicy? – spytał dziekan, odchylając się w fotelu. Na biurku siedziała wysoka szarooka dziewczyna. Blond włosy miała zebrane w wysoki kucyk, stopy oparła o krzesło. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, uśmiechnęła się mgliście.

– Wszystko w porządku, dziękuję – odparłam. Dziekan popatrzył ciepło na dziewczynę, posłał jej poufały uśmiech. – Może wrócę później?

– O nie, nie trzeba – zapewnił i klepnął dziewczynę w kolano. Wzdrygnęła się. – Violet, to moja córka Sophie. W przyszłym roku wstąpi w szeregi tej znakomitej instytucji – dodał, głaszcząc ją szorstko po plecach. Sophie zapłonęła rumieńcem zażenowania. Posłałam jej współczujący uśmiech, choć nadal czułam dziwną zawiść na widok córek zawstydzonych zachowaniem swoich ojców. Miałam ochotę nimi potrząsnąć, zaproponować jakąś wymianę.

– Naprawdę? – spytałam z udawanym zainteresowaniem. – A gdzie jesteś teraz?

– Uczę się w Stanach – odparła. W jej głosie pobrzmiwała duma, skrywana pod warstwą wyćwiczonej obojętności. – Ale mama przeprowadza się do Pekinu, więc miałam do wyboru jechać tam albo wrócić tutaj.

– Och. – Rozejrzałam się bezradnie, szukając jakiejś wymówki, żeby wyjść. Kiedy moim uczennicom zdarza się z rzadka zobaczyć nas, nauczycieli, jako istoty zdolne do zawalania związków i nawiązywania romansów, coś w nich pęka. W tamtej chwili moja reakcja była taka sama.

Dziekan położył Sophie dłoń na ramieniu.

– No, dziewczyny, może kiedyś nawet się zaprzyjaźnicie, co?

Obie instynktownie rozumialiśmy, że to się nigdy nie wydarzy – ona była wysoka, piękna, światowa; ja stanowiłam jej przeciwieństwo.

Pochodziłyśmy z innych kręgów towarzyskich. Wiedziałyśmy, że będziemy mijać się na korytarzach bez choćby jednego spojrzenia, jakby ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Teraz też widzę to wśród dziewcząt, które uczę: grupy i kasty współistnieją obok siebie jak olej zmieszany z wodą. To proces trudny do zdefiniowania, a jednak instynktownie wyczuwalny. Każda dziewczyna odkrywa to we wczesnej młodości i nigdy nie zapomina: nabywa

zdolność segregowania rówieśniczek według stopnia w hierarchii za ledwie jednym spojrzeniem. Powiedziałabym, że to wręcz imponujące, na swój okrutny sposób.

Sophie zsunęła się z biurka, wygładziła dłońmi tył spódniczki. Za krótka, pomyślałam.

– Dobra, tato, idę po swoje rzeczy. Zobaczymy się we wrześniu – dodała, podnosząc płaszcz.

Dziekan wstał, przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy.

– Będę za tobą tęsknić – powiedział.

Unikałam wzroku Sophie. Obie byłyśmy sparaliżowane tą sytuacją. Wreszcie dziewczyna oswobodziła się i ruszyła do drzwi.

– Nakarm Poppeta, zanim pojedziesz – zawołał za nią, kiedy zniknęła za drzwiami. Postukiwanie jej obcasów jeszcze chwilę niesło się echem na korytarzu. Dziekan odwrócił się w moją stronę. – To mój kot – wyjaśnił z uśmiechem. – No, to na czym skończyliśmy?

Miałam wrażenie, że dziekan tylko oddala się w swoich poszukiwaniach od jakiegokolwiek wspólnego mianownika. Znane mi nazwiska mieszały się z obcymi, które na pierwszy rzut oka nie miały żadnego związku z naszym miasteczkiem ani jego przeszłością.

To dawało mi coś w rodzaju chłodnej satysfakcji. Wiedziałam, że to moich sekretów szuka. Nierzadko nanosiłam na fiszki własne poprawki podczas przepisywania, zazwyczaj jeszcze bardziej gmatwając jego badania, choć czasami – z powodów, których nie umiem do końca wytłumaczyć inaczej niż tym, że trochę się z nim drażniłam, popisywałam się wiedzą, której i tak by nie dostrzegł – dodawałam maleńkie szczegóły. Te dopiski dopełniały brakujące informacje, ale nie znaczyły zupełnie nic dla nikogo poza nami.

Oczywiście nie powiedziałam o tym dziewczynom – chociaż czasami miałam na to ochotę, zazwyczaj kiedy Alex wygłaszała jakąś chłodną, protekcyjną uwagę albo gdy Robin żartowała o sekrecie, którego nigdy nie poznam. Chyba robiła to tylko po to, żeby mi dokuczyć i przypomnieć, że beze mnie ich przyjaźń i tak by istniała – na zawsze miałam zostać outsiderką,

nieważne jak blisko udało mi się do nich zbliżyć. Mogłabym zdradzić im wszystko, co wiem – ale wtedy straciłabym moje sekretne źródło informacji, jedyną rzecz w Elm Hollow, która należała do mnie i do nikogo innego.

Przepisywanie notatek stało się dla mnie szansą na muśnięcie przeszłości i znalezienie kryjącego się w niej nadal życia: to był mój sekret, moja własna żywa historia. Dziś jednak nie mogłam się skupić. Litery pływały na kartkach, słowa nie dawały się odczytać, pełzały jak czarne gąsienice. Zatrzepotałam powiekami, ale nie mogłam się skoncentrować, poskładać rozproszonych liter w całość. Nic nie miało sensu.

– Wszystko w porządku? – spytał dziekan. Odwróciłam się i zobaczyłam, że przysunął sobie fotel blisko mojego krzesła. Przeszedł mnie nagły dreszcz. Nawet nie wiedziałam, od jak dawna tu jest.

– Tak, proszę pana.

Przysunął fotel jeszcze trochę bliżej. Kółka zaskrzypiały cicho. Zastanawiałam się, skąd wzięła się cienka blizna, spływająca mu tuż pod okiem. Dostrzegłam ospowate zagłębienia na policzku.

– Violet – powiedział cicho. – Wyglądasz, jakby coś cię trapiło.

Spuściłam wzrok, zawstydzona, że mnie przyłapał.

– Nic mi nie jest, proszę pana.

– Czy chodzi o Emily Frost? – spytał, ściskając podłokietnik fotela. Oblałam się gorącem, policzki mi zapłonęły. Wiedziałam, że odczyta to jako potwierdzenie. W pewnym sensie miał rację, że chodziło o nią, bo zawsze we wszystkim chodziło o Emily Frost. Byłam zazdrosna o martwą dziewczynę. Znowu.

– Wydaje mi się, że cała szkoła jest wstrząśnięta. Wiem, że się nie znałyście, ale... Rozumiem, że się przejęłaś. Nawet ze względu na swoje przyjaciółki.

– Szczerze? – odparłam cicho.

Popatrzył na mnie z nadzieją – z ulgą, że wreszcie się przed nim otwieram. Może wyobraził sobie, że znów zaczniemy otwarcie rozmawiać i będę tak jak dawniej śmiać się uprzejmie z jego historii, jakkolwiek absurdalne

i nieskładne by były.

– Słucham.

– Naprawdę nic mnie to nie obchodzi. – Słowa wysypały mi się z ust niemal bez udziału woli. Wieczne postukiwanie jego pióra ustało. Powoli odchylił się w fotelu.

Odwróciłam się, choć nadal czułam jego spojrzenie na swoich plecach, i znów zaczęłam pisać. Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, wziął oddech, jakby miał zacząć mówić, ale zrezygnował. Cisza pęczniała, wypełniała całą przestrzeń. Poczułam, że płoną mi policzki, zamrugałam prędko, żeby odpędzić łzy. W końcu – miałam wrażenie, że minęło dobre kilkanaście minut – usłyszałam chrzęst kółek na dywanie, westchnienie, szelest papieru, wreszcie skrobanie pióra.

Wbiłam wzrok w kartkę, wściekła na siebie i na to, że nie potrafiłam zachować swoich myśli dla siebie. Bo taka była prawda: nic mnie nie obchodziło, że Emily nie żyje. Jeśli już, to czułam coś w rodzaju ulgi. Wiedziałam już, że nie wróci, tak jak się obawiałam, i nie odbierze mi mojego miejsca w grupie. Albo przynajmniej, pomyślałam gorzko, nie zrobi tego żywa. A mimo to porzuciły mnie, kiedy odkryto ciało, jakbym była piątym kołem u wozu, jakbym przeszkadzała im w żałobie. Tak samo jak mama po śmierci taty, one też zostawiły mnie na rzecz zmarłych – których pamięć była żywsza niż moja obecność.

Wiedziałam, że zachowuję się dziecinnie. Krzywiłam się, gdy takie myśli przechodziły mi przez głowę (i krzywię się także teraz, kiedy je zapisuję). Wstydziałam się, że zdradziłam się przed dziekanem z taką głupotą – z dziwną, bezsensowną zazdrością wobec martwej dziewczyny. Siedzieliśmy w oschłej ciszy. Zastanawiałam się, o czym myśli. Wcześniej co jakiś czas przerywał pracę, żeby pokazać mi jakąś nietypową rycinę albo odczytać akapit, który uważał za szczególnie pouczający. Chichotał z niemal dziecięcą uciechą na widok opisów dziwacznych śmierci i zmyślonych zaklęć.

Słuchał, kiedy podsuwałam mu własne pomysły. Byłam zachwycona jego zainteresowaniem, choć nie chciałam się do tego przed sobą przyznać. Czułam

się słuchana, widziałam przeblysłk własnego potencjału – osiągnąć, jakie mogłyby stać się moim udziałem, gdybym poświęciła swoją energię nauce, a nie Robin i dziewczynom. A teraz to też straciłam.

Wieża zegarowa zagrała nisko melodię i wybiła dziewięć długich uderzeń. Dziekan odwrócił się ciężko znad książki, nad którą siedział zgarbiony, i popatrzył na mnie.

– Kiedy zrobiło się tak późno? – westchnął, rozmasowując skronie kciukami. – Jak zamierzasz wrócić do domu?

Też się nad tym zastanawiałam, bo godzinę temu odjechał mój ostatni autobus. Na parkingu było pusto, wszyscy już dawno zniknęli.

– Pomyślałam... że się przejdę – odparłam.

Diekan uniósł brew i postukał palcami w biurko.

– Przecież ty mieszkasz w mieście.

Przytaknęłam. Wyjrzał przez okno, pocierając powoli brodę palcami.

– Nie, nie – oznajmił w końcu. – Nie mogę na to pozwolić. – Podniósł się ciężko z krzesła. – Nie po tym wszystkim, co się... – Przerwał. – Daj mi pięć minut. Podwiozę cię.

– Nie musi pan... – zaczęłam piskliwie. Głos uwiązł mi w gardle. Nie jechałam samochodem od czasu wypadku. Unikałam tego na wszystkie sposoby; wybierałam przestronne bezpieczeństwo autobusu zamiast ciasnego wnętrza samochodu osobowego, który tak łatwo można było zmiażdżyć.

– Bez dyskusji – uciął, zbierając swoje notatki. Wepchnął je byle jak do torby. – Trzeba było cię wcześniej wypuścić. To wyłącznie moja wina. – Prędko przekładał papiery na biurku, co jakiś czas zerkając na mnie. Stałam w progu i czekałam. Kiedy na mnie patrzył, miałam wrażenie, że chce się odezwać – że wisi między nami jakaś niewypowiedziana myśl. Ale za każdym razem, kiedy nasze oczy się spotykały, rezygnował i nerwowo odwracał wzrok.

W milczeniu wyszliśmy z budynku. Napięcie niemal wibrowało między nami. Kiedy dotarliśmy do jedyne go auta na parkingu, diekan otworzył mi drzwi od strony pasażera. Wsiadłam, odgarniając na bok puste kubki po kawie

i opakowania po czipsach. Na tylnym siedzeniu piętrzyły się zasporyzuconych przedmiotów, resztki życia: książki i pudła pełne papierów, plecaki, sprzęt biwakowy, zimowa kurtka, kijek górski.

– Wybacz. Muszę przyznać, że nie za bardzo dbam o porządek.

Samochód zacharczał i obudził się do życia, reflektory się zapaliły. Zamrugałam, czekając, aż moje oczy przywykną do oślepiającego blasku. Dziwne postaci pływały mi przed oczami, białe odpryski przelatowały przez słupy światła. Trawa pełzała na wietrze. Dziekan pogrzebał przez chwilę przy radiu i z tanich głośników popłynęła piosenka. Przeskakiwał ze stacji na stację, mamrocząc coś pod nosem.

– Ta jest fajna – odezwałam się wreszcie, desperacko pragnąc, żeby ta podróż jak najszybciej dobiegła końca.

– Podoba ci się? – zaśmiał się pod nosem i uśmiechnął po raz pierwszy, odkąd wyznałam mu, jak się czuję ze śmiercią Emily. – Nie wiedziałem, że Barry Manilow znów jest w modzie. – Wrzucił wsteczny bieg i powoli wyjechał z parkingu. – Chyba znowu jestem *cool*.

Zaśmiałam się scenicznie, przesadnie.

– Bardzo *cool*, proszę pana.

Jechaliśmy w milczeniu. Głośniki grzechotały, kiedy samochód podskakiwał na ciemnej szosie prowadzącej do miasta. Co jakiś czas dziekan pytał, jak mi idzie nauka, które zajęcia mi się podobają i tak dalej. Na każde pytanie odpowiadałam niezobowiązująco, lecz pozytywnie, z łagodnym uśmiechem. Staralam się powstrzymać chęć złapania za kierownicę, silną jak tik nerwowy, i oddychałam głęboko, błagając serce, żeby się uspokoiło.

Kiedy dotarliśmy do miasta, latarnie ustąpiły jasnym światłom promenady i obskurnym salonom gier. Gorączka złota, Pałac Cezara, Lady Luck – wszystkie płonęły dziesiątkami barw.

– Wiesz co, Violet – zaczął powoli dziekan, nie odrywając wzroku od drogi – czasami się o ciebie martwię. Wiem, że sporo przeszłaś i... – Zawahał się. Starannie dobierał słowa. – Myślę sobie, że dobrze by było, gdybyś się trochę otworzyła. Przed kimś, komu możesz zaufać.

W milczeniu gapiłam się przez okno i próbowałam nie słuchać, zamiast tego koncentrując się na ludziach na zewnątrz. Jakaś para szła, trzymając się za ręce. Oboje mieli spuszczone głowy, obserwowali swoje kroki. Potargana starsza kobieta w ubabranej kurtce kołysała się na boki i popatrywała na nich podejrzliwie. Grupka kilka lat starszych ode mnie dziewczyn w neonowych minisukienkach dreptała na zawrotnie wysokich szpilkach od baru do baru. A na murku odgradzającym ulicę od plaży siedziała po turecku Robin. Wycierała nos w rękaw i patrzyła na tłum szklanymi oczami. Położyłam dłoń na klamce i ścisnęłam mocno. Drzwi były zamknięte.

– To niezdrowo tak wszystko tłumić w sobie – ciągnął dziekan, w zamyśleniu obgryzając skórkę przy kciuku. – Każdy może być smutny albo zły, ale nie powinnaś czuć, że musisz radzić sobie z tym sama...

Kiedy tylko samochód zatrzymał się na pasach, złapałam torbę i wyskoczyłam na ulicę. Głos dziekana rozplynął się w ryku klaksonu auta jadącego w moim kierunku; kierowca wyminął mnie z wściekłością w oczach. Pobiełam bez tchu ku promenadzie, ale Robin zniknęła.

Usiadłam w miejscu, które zajmowała przed chwilą, jakbym w ten sposób mogła poznać jej myśli. Kiedy zrobiło się zimno, a salony gier pogasiły swoje neony, poszłam do domu. Moje kroki niosły się ciężkim echem po popękany chodniku. Byłam zaledwie kilka metrów od domu, kiedy czyjaś ręka wyłoniła się spomiędzy drzew i złapała mnie za ramię.

– Tutaj jesteś.

Odwróciłam się gwałtownie.

– Boże święty – syknęłam. – Wszędzie cię szukałam.

Robin posłała mi uśmiech. Był nieco słabszy niż zazwyczaj. Oczy miała zapuchnięte, czerwone od niedawnych łez.

– Miałam gówniany tydzień.

– Przykro mi z powodu Emily – zapewniłam.

– Nie przejmuj się. Wszyscy wiemy, że ona... – Robin urwała.

Odwróciłam się i popatrzyłam na swój dom. W salonie jeszcze błyskało niebieskawe światło telewizora.

– Chcesz... wejść do środka?

– A mogę?

– Tak, tylko... – Jeszcze raz zerknęłam za siebie. – Będę musiała odwrócić uwagę mamy. Pilnuj, żeby cię nie zauważyła.

Weszłam na korytarz, zostawiając drzwi wejściowe lekko uchylone. Stąpając cicho po dywanie, weszłam w głąb i zajrzałam za róg, do kuchni. Na stole stał talerz przykryty folią aluminiową, migoczącą w świetle żarówki. Kątem oka zauważyłam ruch w salonie. Akurat dziś musiała się obudzić, pomyślałam kwaśno.

– Gdzie się podziewałaś? – Jej głos był ochryply od snu. Stoczyła się z kanapy i ruszyła – takim małym chodem, chwiejnym krokiem człowieka, którego smutek jest zbyt ciężki do udźwignięcia – do kuchni. Nie widziałam jej od tygodni, a przynajmniej nie w pełnym świetle. Modliłam się, żeby Robin tego nie zobaczyła. Tych oczu, poźółkłych i przewleczonych nitkami krwi, jej błękitnobiałej skóry, niemal przezroczystej, jak zsiadłe mleko.

Położyła mi zimną dłoń na ramieniu. Wzdrygnęłam się.

– Słoneczko... Co ty sobie robisz?

– Nic, mamó. Wszystko w porządku.

– Przecież widzę, że coś jest nie tak. Kotku, bierzesz narkotyki? – Popatrzyłam nad jej ramieniem. Na ułamek sekundy mój wzrok napotkał oczy Robin, kiedy ruszyła na górę. – Widzę... Strasznie straciłaś na wadze. I jesteś taka blada.

– Po prostu jestem zmęczona. Bardzo dużo się uczę. – Próbowałam oddychać, zachować spokój, ale w piersi drapała mnie narastająca irytacja. – Nie mogę uwierzyć, że oskarżasz mnie o ćpanie.

– O nic cię nie oskarżam – odparła z nerwowym drzeniem w głosie.

– Niesamowite. Zachowujesz się tak, jakbym to ja miała problem. Nie widzisz, jaka z ciebie hipokrytka? – mówiłam spokojnym, niskim głosem. – Kiedy ostatni raz wyszłaś z domu? Ja pierdołę, mamó... Kiedy ostatnio miałaś na sobie coś innego niż piżamę? Powinnaś się wstydzić. Wstydzę się za ciebie.

Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi, zranionymi oczami.

– Violet... – zaczęła, robiąc krok w tył.

– Nie, mam. Nie będziesz się ze mną sprzeczać, która z nas ma swoje życie pod kontrolą. Ja wiem, co robię, ale ty jesteś w rozsypce. Nie zamierzam cię słuchać. – Przepchnęłam się obok niej. Nic nie powiedziała, gdy wchodziłam na piętro. Dopiero kiedy zamknęłam za sobą drzwi, usłyszałam szloch, niepowstrzymany jęk. Nic nie poczułam.

– Jesteś naćpana, kotku? – powtórzyła Robin, gdy weszłam do pokoju. – Potrzebujesz pomocy, skarbie? Kiziu-miziu? Misiu-pysiu?

Zaśmiałam się bez przekonania i rzuciłam torbę na ziemię. Rozejrzałam się po pokoju, próbując znów spojrzeć na niego jej oczami. Po kolei przyglądałam się swojemu codziennemu otoczeniu. Ta sama wyblakła narzuta na łóżku, zmechacona od wieloletniego użytku. Plakaty wyrwane z kolorowych magazynów, przyklejone do ścian, by zakryć tapetę w liliowy wzorek – indygo i brudny róż. Te same katalogi, czytane w kółko książki, piętrzące się przy obłazącej komodzie. Z otwartych szuflad wylewały się ubrania, których w życiu bym nie włożyła. Nie teraz. Już nie byłam tamtą dziewczyną. Nie mogłam znieść myśli, że Robin by mnie o to podejrzewała.

– No to co się stało? – spytałam, siadając na łóżku. Ściągnęłam buty i skopałam je na podłogę. Wbiłam paznokiec w rajstopy. Włożyłam palec do środka, zataczając coraz szersze kręgi. Kiedy nylon pękł, drapałam dalej, skrobiąc paznokciem po skórze.

Robin wyciągnęła nogi obok mnie, obciągnęła palce u stóp, rozluźniła łydki.

– Przez cały tydzień jeździliśmy na zmianę na policję i do domu jej rodziców. Kurwa, co za koszmar.

Położyłam dłoń na kępce sztywnych włosów przy jej kostce, zatoczyłam ósemkę dwoma palcami.

– Przegapiłaś co nieco – powiedziałam, próbując ją sprowokować. Z całych sił powstrzymywałam pytanie, dlaczego nie uznała za stosowne do mnie zadzwonić.

– To my ostatnie ją widziałyśmy, nie? Dlatego sądzą, że coś wiemy.

Popatrzyłam jej w oczy.

– A wiecie?

Cisza.

Robin przyglądała mi się przez chwilę, przygryzając wargę.

– Muszę zapalić – oznajmiła i przetoczyła się po łóżku. Jedną ręką otworzyła okno, drugą zaczęła grzebać w kieszeniach. – Masz ogień?

– W torbie – odparłam, wskazując na stertę rzeczy przy drzwiach. Robin wstała i przykucnęła pod drzwiami, grzebiąc w hałdzie kurtek i butów.

– O, jak uroczo. – Odwróciła się do mnie z szyderczym uśmiechem. – Mama zrobiła ci kanapki?

– Co?

Podniosła nad głowę poplamione pudełko śniadaniowe. W środku pociła się na wpół zjedzona kanapka.

– Bardzo apetyczne.

Podciągnęłam się na łóżku.

– To nie moje.

– Spoko, Violet. No wiesz, to straszny obciach, ale nie musisz kłamać.

– Mówię poważnie – odparłam i wyjęłam jej pudełko z rąk. – To nie moje.

– Przykucnęłam obok niej. – To nie moja torba.

– A czyja? – spytała Robin sceptycznie.

– Chyba dziekana.

– A skąd... Że co?

– Podwiózł mnie... – zaczęłam, ale urwałam. Wytrząsnęłam zawartość na podłogę. Torba wyglądała zupełnie jak moja: zwyczajna brązowa listonoszka z wyslizganymi mosiężnymi klipsami. Skóra była jednak miękka w dotyku, zupełnie inna niż moja – sztuczna i sztywna. W środku znajdowały się różne papiery: na wpół sprawdzone wypracowanie, pozagniatane karteczki samoprzylepne. Czerwone i zielone długopisy. Sprej do nosa, chusteczki, pół blistra aspiryny. Notes i przewinięta do połowy kasetka magnetofonowa.

– Bingo – oznajmiła Robin, wyławiając taśmę ze stosu przedmiotów. – Ciekawe, czego słucha. Założę się, że to coś okropnego.

Włożyła taśmę do magnetofonu i rozpoczęła chrobotliwe przewijanie. Otworzyłam notes dziekana i przycupnęłam na skraju łóżka. Stopy mi podrygiwały w nerwowym tiku, cała byłam naelektryzowana ciekawością. Spojrzałam do środka i natychmiast zatrzasnęłam zeszyt. Czy to...? Zerknęłam na Robin, pochłoniętą oczekiwaniem, aż taśma przewinie się do początku, i znów otworzyłam notes. W środku leżała złożona na czworo strona z gazety. „Nasza kochana Emily”, głosił nagłówek. „Musimy znaleźć jej zabójcę”.

– Gotowa? – odezwała się Robin. Pokiwałam głową. Włączyła przycisk *play*. Teraz obie wpatrywałyśmy się w taśmę.

Minęło kilka minut szelestów. Siedziałyśmy w ciszy, popatrywałyśmy po sobie, potem znów zerkaliśmy na odtwarzacz.

– Pusta – stwierdziłam.

– Ćśśś.

– Emily – rozległ się nagle tubalny głos dziekana. Zamarłyśmy. Spojrzałyśmy sobie w oczy. – W samą porę.

– Dzień dobry – odpowiedział dziewczęcy głos. Powściągliwy. Nieco bardziej zachrypnięty niż mój, głębszy, pełniejszy. Oczywiście.

– Przecież wiesz, że możesz mówić mi Matthew. – Kolejny szelest, odgłos palców na mikrofonie. – Co słyhać u mojej ulubionej uczennicy?

Na dźwięk tych znajomych słów aż się wzdrygnęłam. Robin podniosła głowę. W jej oczach błyszczało coś mrocznego, tak jak w noc naszego rytuału. Wzięłam głęboki oddech, nagle czując czyjaś obecność, wspomnienie horroru. Znów skupiłam się na taśmie.

– W porządku, dziękuję. – Ton Emily był głuchy i pusty. Krył się w nim jakiś cień, którego nie potrafiłam odczytać.

– Dobrze, świetnie. Cieszę się. – Kaszel. Nerwowy. – A więc czy miałaś okazję zastanowić się nad tym, o czym rozmawialiśmy?

Cisza. Długa, nieruchoma. Spojrzałam na Robin. Biała skóra na jej szyi i ramionach zjeżyła się od gęsiej skórki.

– Robin... – odezwał się. Bezgłośnie odpowiedziała coś jak „nie”, choć

równie dobrze mogła to kierować do Emily. Nie wiedziałam.

– Nie mogę tego zrobić, proszę pana – powiedziała w końcu Emily. – To znaczy... Nie chcę.

W tle rozległ się zgrzyt zamykanej bramki w recepcji. Rozpoznałam znajomy dźwięk i godzinę – osiemnasta, metaliczny trzask sygnalizujący początek naszych sesji naukowych. Dziekan znów odkaslnął.

– A czy mógłbym wiedzieć, co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

– To po prostu... Nie wypada. – Znów cisza. – I szczerze mówiąc, uważam, że to nie fair z pana strony proponować coś takiego.

Wydawało mi się, że słyszę stukot obcasów pani Coxon na korytarzu, ale nie mogłam tego stwierdzić. Może po prostu znałam już na pamięć wszystkie szczegóły tej rutyny. Podobnie jak ton jego głosu, przymilny, swobodny.

– Och, Emily. To straszna szkoda. Miałem nadzieję...

Znów rozległ się szelest, a potem nic. Absolutna cisza, szum pustej taśmy. Siedziałyśmy bez ruchu i gapiłyśmy się na magnetofon, aż kasetą przewinęła się do samego końca i zatrzymała z martwym pstryknięciem.

Robin trzęsły się ręce, skórę miała białą jak porcelana. Przewinęła taśmę i odtworzyła jeszcze raz. Chwyciła na wpół opróżnioną szklanekę i podniosła do warg, ale się nie napiła. Rozpoznałam ten gest i ukrytą w nim logikę – chciała ukryć drżącą wargę, przełknąć łyżę.

Wyciągnęłam rękę, ale ona wzdrygnęła się jak oparzona.

– On... – zaczęła. Popatrzyła na mnie bezradnymi oczyma, niemo błagając, bym zrozumiała.

– On... co? – wyszeptałam, choć wydawało mi się, że już wiem.

Robin spojrzała na magnetofon, potem znów na mnie.

– Głupia cipa – powiedziała. – Głupia, durna cipa.

Zacisnęłam palce na krawędzi łóżka i zamknęłam oczy. Nienawidzę cię, pomyślałam. A potem: może ona ma rację.

Rozdział 13

Zerknęłam na szkic Robin, przerysowany z kartki wyrwanej ze starego podręcznika medycznego. Przedstawiał głowę odchyloną nieco do tyłu. Zawsze podobały mi się terminy medyczne, lubiłam anatomiczne nazwy – a przynajmniej byłam nimi zachwycona, kiedy siedziałam w szpitalu i słuchałam szeptów personelu. Pielęgniarki przekazywały sobie te słowa z determinacją, jakby samo ich wymówienie mogło stać się lekiem. Ilustracja była pełna najlepszych słów. Wychwytywałam jedno po drugim. *Arteria subclavia, larynx, plexus brachialis, vena jugularis. Aorta. Sekcja.* Szkicownik Robin był pełen takich rysunków („To dobry trening”, wyjaśniła), ale brakowało w nich podpisów. Wypisałam słowa w pamiętniku, jakbym w ten sposób wypełniała puste miejsca.

– Gdzie one są?

Robin podniosła głowę, zatknęła kosmyk włosów za ucho.

– Przyjdą.

Wzięłam jeszcze łyk wystygłej kawy. Chlusnęłam resztkami na trawę, zgmiotłam styropianowy kubek i rzuciłam na tory. W oddali słyhać już było niski, miarowy łoskot nadjeżdżającego pociągu. Robin wróciła do rysowania, a ja patrzyłam na puste wagony, świszczące mi przed twarzą jeden po drugim. Ich okna połyskiwały złotem w świetle wczesnego zmierzchu.

Odkąd znalazłyśmy taśmę, Robin była niezwykle cicha. Wydawała się najeżona jak przy czyjejś fizycznej obecności (jakby Emily wcisnęła się między nas, pomyślałam zawistnie). Zaczęłam bawić się kocią kołyską znaną na plaży. Owijałam sznurek wokół palców, aż straciłam czucie. Gdy krew z powrotem napłynęła do zdrętwiałych dłoni, rozbudzone nerwy zaczęły mrowić i kłuć.

Rozległ się szelest liści, głucho chrupnięcie suchej gałązki pod podeszwą. Alex i Grace wyłoniły się z lasu i bez słowa usiadły jedna po lewej, druga po

prawej. Zapatrzyłyśmy się na miasto w oddali. Od świateł niebo nabierało toksycznej barwy. Alex odkaszlnęła, wychyliła się zza mnie i popatrzyła na Robin, nadal pochłoniętą rysowaniem.

– Co się stało? – spytała wreszcie. Robin nie zareagowała. Jej ołówek zaczął skrobać nieco mocniej po papierze. Alex popatrzyła na mnie z ledwo skrywaną irytacją.

– Znalazłyśmy kasetę – wyjaśniłam. – Z dziekanem. Rozmawiał z Emily. Prosił ją, żeby coś zrobiła.

Alex uniosła brew.

– Co takiego?

– Nie wiem. Nie chciała tego zrobić. Powiedziała tylko, że to „nie wypada”.

Alex popatrzyła na Grace.

– I to wszystko?

– Potem taśma się kończy. Na drugiej stronie też nic nie ma.

Dziewczyny zamilkły, zapatrzyły się na tory. Alex włożyła sobie zgięty palec między zęby i mocno przygryzła kostkę, zostawiając białe półokręgi na skórze. Widziałam już wcześniej, jak robi to w zamyśleniu, i zawsze aż się krzywiłam.

– Skąd ją wzięłyście? – spytała, patrząc, jak jastrząb kołuje nad kościołem.

– Gdzie była ta kasetka?

– W jego samochodzie – odparła Robin, nie podnosząc wzroku. – Podwiózł ją do domu.

Alex znów zerknęła na Grace i zmrużyła oczy.

– Zostałam na kampusie do późna – zaczęłam. – Nie chciałam...

– A dlaczego? – W głosie Alex pobrzmiwała ostra nuta, od której aż się zarumieniłam. Słyszałam wcześniej, jak używa tego tonu wobec dziewczyn, które gapiły się na nas albo nasłuchiwały ze stolika obok w nadziei na jakiś ochłap plotek. Skurczyłam się w sobie, tak samo jak te dziewczyny. – Co tam robiłaś tak późno?

– Robiłam z nim projekt naukowy. W ramach zajęć pozalekcyjnych. Bo...

potrzebowałam referencji.

– Po co?

– Na studia.

Alex parsknęła z pogardą.

– I co, uznałaś, że rekomendacja Annabel to za mało? Z poleceniem od niej możesz się dostać, gdzie tylko chcesz.

– Nie wiedziałam.

Alex westchnęła i wymamrotała coś pod nosem. Popatrzyła w dal, jakby ze wszystkich sił próbowała zachować spokój.

– Więc co tam z nim badasz?

Wbiłam paznokcie w dłonie.

– A jakie to ma znaczenie?

– Nie wiem. Ty mi powiedz.

Rysik Robin chrupnął i trzasnął.

– Jezu, Alex – syknęła. – Tu raczej nie o to chodzi. Emily się bała. Jego. Dlatego tu jesteśmy. A nie dlatego, że Violet jest pierdolniętą kujonką.

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego... – Alex jęknęła przez zaciśnięte zęby. – Dobra. Nieważne.

Grace popatrzyła na mnie spod ciężkich rzęs.

– Na ile jesteście pewne?

– Absolutnie. Na sto procent – oznajmiła Robin, zanim zdążyłam coś powiedzieć. Zapaliła papierosa, powietrze na chwilę wypełnił kwaśny zapach siarki. Zaciągnęła się i podała do mnie.

– Nie powinnyśmy... zadzwonić na policję? – podsunęłam nerwowo.

Alex prychnęła i wyjęła mi papierosa z ust, kiedy podnosiłam go do warg.

– Nie – odparła sucho. – Wątpię, żeby wyszło nam to na dobre.

– Dlaczego?

– A czy na tej taśmie on mówi „zabiję cię, Emily Frost”?

– Nie, ale...

– W takim razie to zignorują. Popatrz na nas – dodała, posyłając wymowne spojrzenie najpierw mi, potem Robin. – Uznają, że próbujemy tylko

namieszać w sprawie. Już i tak sądzą, że coś knujemy. Dzięki tobie.

Robin wyprostowała się gwałtownie.

– Co to ma niby znaczyć?

– No wiesz, paradowanie z oczami jak spodki, kiedy powinnaś przeżywać żalobę po stracie najlepszej przyjaciółki, jest trochę...

– „Powinnam”?

– Wiesz, co mam na myśli.

– Nie, Alex, nie wiem. Proszę, oświeć mnie. – Robin trzęsły się dłonie.

Chwyliłam jej palce i ścisnęłam mocno.

Alex westchnęła, zerknęła na mnie przelotnie i odwróciła się do Grace, która tylko pokręciła głową.

– Nieważne – powiedziała w końcu. – Przepraszam. Jestem po prostu... Jestem zmęczona.

Jastrząb wreszcie coś dostrzegł i zanurkował na cmentarz jednym ostrym, gładkim ruchem. Następnie znów wzbił się pod niebo, ściskając w szponach chyba szczura. Długi ogon ofiary wił się na wszystkie strony, małe ciało trzepotało w czarnym powietrzu.

– To co mamy zrobić? – spytałam bezradnie. Chyba wszystkie wiedziałyśmy, chociaż może to wspomnienie sprawia, że wyobrażam sobie, jak przez krótką chwilę wszystkie dzieliłyśmy jedną myśl. Zrozumiałyśmy, że możemy zrobić tylko jedno.

Dziewczyny popatrzyły po sobie i westchnęły. Grace potrząsnęła głową i spuściła wzrok. Robin wróciła do szkicowania. Siedziałyśmy w ciszy i czekałyśmy, aż wzejdzie słońce.

Przez resztę tygodnia nie pojawiałam się w szkole i przechwytywałam wiadomości zostawiane przez dziekana na automatycznej sekretarce, aż w końcu przecięłam taśmę. Niepokoił mnie jego głos, uporczywie wyrażający „zaniepokojenie moją sytuacją” i nalegający na „pilne” spotkanie. Czekałam do wieczora, kiedy pod moim oknem pojawiała się Robin i rzucała kamykami w i tak już pęknięte okno. Za każdym razem była trochę rozczarowana, że

jeszcze się nie stłukło.

Przynosiła ze sobą najrozmaitsze „pożyczone” rzeczy – śmierć Emily widocznie pogłębiła jej kompulsywną skłonność do kradzieży. Wyświechtane egzemplarze „Vogue’a” z domu Alex (modelki na kolorowych fotografiach miały w miejscach twarzy dziury wydłubane nożycami krawieckimi); oszłamiająca zapachem wiązka suszonej szaławii, przewiązana fioletowym sznurkiem. Srebrny zegarek z nieznanego źródła. Staroświeckie pudełko zapalek z Marilyn Monroe wydymającą wargi na nalepce.

Mimo to nie udało jej się zdobyć najpotrzebniejszego: włosa, paznokcia, jakiegoś skrawka jego ciała, który pomógłby nam odprawić rytuał. Robin poszła do jego gabinetu, zalewając się fałszywymi łzami (opowiadała mi o tym ze śmiechem; przypuszczam, że to z nerwów). Nic z tego. Nawet przewróciła jego kosz na śmieci w nadziei, że zdobędzie zużyta chusteczkę.

Co gorsza, przebywanie w samotności sprawiło, że zaczęłam się wahać. W kółko przewijałam kasetę i odsłuchiwałam nagranie od nowa. Każde słowo zdążyło wryć mi się w pamięć. Wychwytywałam frustrację w głosie Emily, cień niepewności, ale nie znajdowałam w nim strachu, tego „przerażenia”, o jakim mówiła Robin. Nie znałaś jej, mówiłam sobie. Nie wiesz, jak brzmiał jej głos, kiedy się bała. Mimo to odsłuchiwałam taśmę w kółko, jakby po piętnastym albo dwudziestym razie miała odsłonić mi jakąś ukrytą prawdę.

Do tego dochodziły moje wątpliwości wobec dziekana. Wydawał się tak nieskończenie, niemal irytująco miły. Myślałam o opisach w wiadomościach, o nieskończonej potworności śmierci Emily. Makabryczne szczegóły mnożyły się z dnia na dzień, przemycane w wywiadach, komentarzach dziennikarzy i oświadczeniach policji. Piętnaście ran kłutych. Złamany nadgarstek, ściśnięty tak mocno, że pękła kość. Pokaleczona szyja, jakby rozszarpana pazurami – najprawdopodobniej wtedy jeszcze żyła. Czy dziekan naprawdę byłby zdolny do czegoś takiego?

Ale z drugiej strony pamiętałam też, jak ścisnął mnie za rękę, jak postukiwał mnie w ramię, zamiast po prostu się odezwać. Przeciągał lekko sylaby, gdy wymawiał moje imię, jakby nad nim rozmyślał, nadawał mu

jakieś znaczenie, którego nie potrafiłam do końca uchwycić. To nie byłyby pierwszy raz, kiedy dałam się omamić męskim intencjom – i nie ostatni. Może byłam zbyt naiwna, zbyt niedoświadczona, by odróżnić człowieka od bestii. Może dziewczyny miały rację.

Robin usiadła na moim łóżku. Oczy miała czujne, ale co jakiś czas przerywała w połowie zdania i znikwała gdzieś w sobie. Postukiwała lizakiem o zęby i śmiała się, kiedy wzdrygałam się na ten dźwięk.

– Ale ty jesteś delikatna – zakpiła.

– Spierdalaj – rzuciłam w odpowiedzi. Zamknęłam oczy i wyciągnęłam się na łóżku.

Nachyliła się nade mną; materac ugiął się pod jej łokciami. Jej oddech pachniał jak truskawkowe landrynki.

– Boisz się znowu to zrobić?

– Co zrobić? – Oczywiście wiedziałam, o co jej chodzi. Próbowалаm tylko kupić sobie chwilę, żeby wymyślić właściwą odpowiedź. Podniosłam powieki. Jej oczy wisały nade mną, bystre i nieustępliwe.

– Odprawić rytuał.

– Nie – ucięłam chłodno.

– No, ja zamierzam to zrobić.

– Poważnie?

– Aha. – Robin westchnęła i przekręciła się na plecy. – Chociaż jeszcze nie przeszło mi tak do końca po ostatnim.

– Przecież to było strasznie dawno. – Tym razem to ja usiadłam i pochyliłam się nad nią. Podała mi lizaka. Wzięłam go do ust.

– Wiem. Ale... – Nie dokończyła.

Wiedziałam, co ma na myśli, choć duma powstrzymywała mnie przed przyznaniem się do tego. Chodziło o nieuchronne wyrzuty sumienia, to uczucie – nieważne, jak zawzięcie powtarzałam sobie, że to wszystko tkwi w mojej głowie, że to tylko produkt rozbudzonej wyobraźni – że jestem obserwowana. Dłoń na ramieniu, pazur pod zębem. Raz przywołane Furie albo przynajmniej ich idea, wydłużone cienie – nie dawały się tak łatwo

odpędzić.

– Jesteś pewna, że powinniśmy...? – zaczęłam cicho.

– Tak – powiedziała i wymacała guzik lampki przy łóżku. Kiedy zgasiła światło, położyłam się na plecach, nadal ściskając w palcach lepkiego od śliny lizaka.

Zamknęłam oczy, powieki piekły mnie od nadchodzącego snu. Poczułam, jak oparte o mnie ramię Robin wiotczeje. Zawsze tak spała: płasko na plecach, w niemal wampirycznym bezruchu. Czasami budziłam się w nocy i zawieszałam dłoń kilka milimetrów nad jej ustami, żeby sprawdzić, czy oddycha. Jeśli nic nie czułam, kładłam na niej dłoń, tylko na chwilę, by z ulgą ocenić, że nadal jest ciepła. Kiedy wzdychała przez sen, odwracałam się, udając, że śpię, i sama wstrzymywałam oddech. Natychmiast zapadała z powrotem w sen, a ja leżałam w ciemności; irytacja drapała mnie lekko w gardle na myśl, że ona nie odwzajemnia mojej troski.

Wzięła głęboki wdech, jakby zamierzała coś powiedzieć. Nagle ciszę przerwało ciężkie stukanie do drzwi, wibrujące echem w całym domu. Usiadłam gwałtownie, serce tłukło mi się o żebra, poczułam tępy ból w gardle. Wyobraziłam sobie policję. Żabiooką kobietę, która w kółko pytała, czy pamiętam, co się stało tamtego dnia w samochodzie taty, czy mogłabym pomóc im prześledzić bieg wypadków. Gdyby zobaczyła, co teraz planujemy, pożałowałaby swojej dawnej życzliwości. „Przetrwałaś”, powiedziała wtedy, ściskając mnie za nadgarstek. „Jesteś wspaniałą, dzielną dziewczyną”.

Popatrzyłam na Robin. Wzruszyła ramionami.

– Idź, sprawdź – szepnęła.

Wyszłam na korytarz i zbiegłam cicho po schodach. Mama gapiała się tępo w migający ekran telewizora.

– Ja otworzę – powiedziałam, ale nie zareagowała. Nie byłam pewna, czy w ogóle coś usłyszała.

Za pofalowanym grubym szkłem w drzwiach wejściowych zobaczyłam szeroki cień. Podeszłam bliżej, nie zapalając światła w korytarzu. Zmrużyłam oczy. Znow rozległo się pukanie. Wzdrygnęłam się i chwyciłam obiema

rękami boazerię. Usłyszałam jakiś szelest na piętrze. Robin pojawiła się na szczycie schodów i wyjrzała przez drewnianą poręcz.

– Violet? – Natychmiast rozpoznałam głos dziekana. Był głuchy i zmęczony. – Pani Taylor? – Zerknęłam na Robin. Przesunęła palcem po gardle. – Martwię się o ciebie. Od dawna nie widzieliśmy cię w szkole. Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Poczułam trzepotanie nerwów, ukłucie zwątpienia. Jak on mógłby zamordować Emily Frost? Ten niepewny, niezdarny, niedźwiedziowaty mężczyzna – czy naprawdę mógłby być mordercą?

Ale dlaczego przyszedł tak późno? Nie ma żadnego powodu, żeby prowadzić tę rozmowę w środku nocy.

Nachylił się, zajrzał przez szybę. Na szkle wykwitła srebrna chmurka jego oddechu. Wreszcie – miałam wrażenie, że minęło kilka długich minut – odwrócił się i odszedł. Ruszyłam z powrotem na górę, powłócząc nogami, jakby ktoś przytwierdził mi kamienie do stóp. Zamknęłam drzwi do swojego pokoju. Robin siedziała po turecku na łóżku. Skórę miała bladą, wilgotną od potu.

– Blisko było – skomentowała, śmiejąc się niepewnie.

Wysunęłam krzesło spod biurka. Usiadłam i oparłam łokcie na kolanach. Przeczesałam włosy palcami. Splątane kosmyki zahaczały o popękany lakier.

– Czy ty... – podniosłam wzrok – naprawdę myślisz, że on to zrobił?

Robin zmrużyła oczy.

– A ty nie?

– Chyba... nie wiem.

Ona tylko westchnęła i oparła się o wezglowie łóżka.

– Alex mówiła, że stchórzysz.

– Wcale nie...

– I że będziesz go bronić.

– Robin...

Posłała mi nienawistne spojrzenie.

– Nie. Violet, to jego wina, że Emily nie żyje. Nie możemy tak po prostu...

– Ukryła twarz w dłoniach, wbiła paznokcie w skronie. Wzdrygnęła się. – Nie możemy pozwolić, żeby uszło mu to na sucho.

Zamknęłam oczy. W tej scenie była jakaś pustka, słowa Robin wydawały mi się wyjęte prosto z filmu o zbrodni i zemście, z nożami, pazurami i głośnym krzykiem. Miałam wrażenie, że wszystko jest nierzeczywiste jak halucynacja. Czy to możliwe, że on naprawdę ją zabił? Znów wróciłam myślami do nagrania: grzechot bramki, świadomość, że zostali sami. Wieczór, kiedy zostałam z nim sama w gabinecie. Jego oczy, kiedy dostrzegł mój strach: odbijało się w nich poczucie władzy.

– W porządku – powiedziałam. – Nie pozwolimy.

Zgasiałam światło i położyłam się do łóżka. Na dworze rozległ się charkot silnika, długie palce reflektorów przeczesaly pokój. Robin ścisnęła mnie mocno za ramię przez sen.

Kiedy słońce zalało ściany srebrzystym światłem, Robin przekręciła się na bok i położyła mi zimne dłonie na odkrytym kawałku brzucha.

– Idziesz na imprezę do Nicky?

– Przecież ty nie znosisz Nicky.

Robin posłała mi szeroki uśmiech.

– Tym bardziej mam ochotę się wybrać – odparła, stukając się konspiracyjnie palcem po nosie.

– A co z dziekanem? I co...

– Violet, daj spokój.

Byłam jeszcze śpiąca. Zamknęłam oczy, ale otworzyłam je gwałtownie, kiedy Robin wbiła mi łokieć w biodro. Skrzywiłam się, widząc, że przygląda się mojej skórze i wystającej kości, która pojawiła się zaledwie kilka tygodni temu. Uśmiechnęła się i potarła bolące miejsce kciukiem. Oduściłam.

– Kiedy to jest?

– Dziś wieczorem.

– Miałam nie wychodzić z domu – zaprotestowałam urażona. To przecież Robin wymyśliła tę moją kwarantannę.

– A co, myślisz, że dziekan przyjdzie na domówkę u Nicky? – prychnęła. – Weź się obudź.

– To po co tam idziemy?

Przeciagnałam się, wygięłam plecy w łuk. Czułam na sobie jej wzrok.

– Dobra – oznajmiłam po chwili ciszy. Miałam wrażenie, że im chudsza się staję, tym więcej aprobaty znajduję w jej oczach, zatrzymujących się na cieniu kości, na szczelinach między udami i żebrami. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że teraz przypominam Emily jeszcze bardziej niż wcześniej. Ale patrzyłam też na dziewczyny w kolorowych magazynach i widziałam, że Robin ma rację: śmiertelnie szczupłe kobiety były piękne jak manekiny.

Robin odsłoniła zęby w uśmiechu i wytoczyła się z łóżka. Ściągnęła gumkę z włosów i potrząsnęła głową. Po chwili stała już gotowa do wyjścia: wygładzona bluzka, nisko zawiązany szkolny krawat, kolczyki w uszach.

– Przy okazji – odezwała się, wyciągając coś z torby. Rzuciła papierową teczkę na łóżko. – Annabel mówi, że choroba to nie powód, by zaniedbywać naukę.

Rumieniec wypełził mi na policzki. Wyobraziłam sobie, że Annabel jakimś cudem wie, co robimy – i że wcale nie jestem chora, choć ostatnie trzy dni spędziłam w domu przed telewizorem i...

– Nie ma za co – odezwała się Robin, przerywając moje myśli.

– Przepraszam.

Posłała mi enigmatyczny uśmiech. Zapomniałam o niej na ułamek sekundy, a ona już zdążyła się ode mnie odgrodzić.

– Okej. – Zarzuciła plecak na ramię. – Spadam. Widzimy się później?

– No – przytaknęłam, siadając w pościeli. – Czekaaj, sprawdzę, czy masz czysty teren.

Robin przewróciła oczami.

– Daj spokój. Stawiam dychę, że twoja mama jest nieprzytomna.

Pomachała mi pośpiesznie i wyslizgnęła się na korytarz, zanim zdążyłam zareagować. Jej słowa trochę mnie dotknęły – nagle poczułam wobec mamy dziwną opiekuńczość, wyrzuty sumienia za wcześniejsze ostre słowa, które

teraz odbijały się echem w ustach Robin. Siedziałam nieruchomo, aż usłyszałam trzaśnięcie drzwi wejściowych. Pęknięta szyba zadzwoniła cicho. Zerwałam się do okna, żeby za nią krzyknąć, ale zobaczyłam, że biegnie z całych sił przed siebie. Kilka sekund później już jej nie było.

Opadłam z powrotem na materac i podciągnęłam kolana pod brodę. Drobiniki kurzu dryfowały w powietrzu, uwięzione przez ostry promień słońca. Teczka leżała u moich stóp. Trąciłam ją palcem u nogi, jakbym spodziewała się, że stanie w płomieniach. Na dole telewizor wrócił do życia. Mamę pewnie obudził łoskot zamykanych drzwi. Znowu skrzywiłam się na myśl o okrucieństwie Robin. Podsunęłam teczkę bliżej i otworzyłam niechętnie.

W środku leżał plik papierów z przypiętą spinaczem karteczką. Kiedy ją otworzyłam, zobaczyłam wyraziste pismo Annabel. „To może cię zainteresować”, napisała. „Proszę, przeczytaj całość”. Pod spodem widniała karykatura dodana przez Robin (natychmiast rozpoznałam jej ostre pociągnięcia piórem). Na chwilę zapłonęła we mnie złość na myśl, że przeczytała liścik przeznaczony tylko dla mnie i go zniszczyła – wyobraziłam sobie jej lepkie, dziecinnie zachłanne ręce. Obróciłam kartkę w dłoni, szukając czegoś jeszcze, może życzeń powrotu do zdrowia albo prośby, żebym szybko wracała do szkoły, ale nic nie znalazłam. Za oknem rozległ się śmiech dziecka, silnik pędzącego samochodu, pisk hamulców. Po sekundzie auto odjechało. Wróciłam do pracy domowej.

„W 1484 roku Heinrich Kramer podjął jedną z najwcześniejszych w historii prób skazania kobiety za czarodziejstwo”, brzmiały pierwsze słowa artykułu.

„Prędko został odprawiony przez lokalnego biskupa, który nazwał go «starym szaleńcem» i wypędził go z miasta Innsbruck. W akcie odwetu Kramer napisał *Malleus Maleficarum*, tekst, który miał stać się najbardziej wpływową księgą o czarownictwie w świecie Zachodu i doprowadził do mordów na tysiącach kobiet w Europie i innych częściach świata”.

W dalszej części eseju znalazłam szczegółową historię procesów

czarownic, do których doszło później. Idee ludowej magii i małoszkowych uraz prędko się rozprzestrzeniały, zakazając kolejne umysły. Przed oczami stanęła mi Margaret Boucher pochłaniana przez płomienie. Wezbrała we mnie gorzka złość na samą myśl o tak brutalnym mordzie.

„Oto szkoda, jaką może wyrządzić jeden mężczyzna”, brzmiała konkluzja. „Urazone ego, zimnokrwisty gniew wzgardzonego mężczyzny: konsekwencje są nie do opisanego. Można tylko mieć nadzieję, że nasza kultura pozostawiła takie tendencje za sobą, a jednak...”

Odwróciłam stronę, ale była pusta. „Powinnyście umieć wyciągać własne wnioski”, powiedziała kiedyś Annabel, wychylając się ku nam z wyświechtanego fotela. „Powinnyście stosować naukę wyniesioną z naszych lekcji w codziennym życiu i zawsze myśleć samodzielnie”.

Spodziewałam się, że dom Nicky będzie charakteryzować się tym samym staroświeckim przepychem co willa Alex – dyskretnym, pewnym siebie bogactwem. Rzeczywistość okazała się bardzo odległa od moich wyobrażeń. Budynek był śnieżnobiały i błyszczący, otoczony połaciami trawników obsadzonych srebrnymi brzoźami. Przeszklona ściana wychodziła na kamienny taras, basen lśnił w czerwonych promieniach wieczornego słońca. Kilka osób się kąpało.

– Nowobogacy – mruknęła pogardliwie Robin, a ja znów zaczęłam się zastanawiać, co myśli o moim domu i o mnie. Na widok zbliżającej się Nicky prędko odpędziłam tę myśl.

– Nie za zimno na pływanie? – spytała sucho Robin.

Nicky uśmiechnęła się wesoło. Jej oczy były wielkie jak u lalki, podbite czarnymi smugami tuszu.

– Wcale nie. Cieszę się, że udało wam się wpaść. – Popatrzyła na mnie. – Lepiej się już czujesz?

– O wiele lepiej – przytaknęłam.

– Pan Holmsworth pytał dzisiaj o ciebie. – Miałam nadzieję, że Nicky nie zauważyła, że zarówno Robin, jak i ja zjeżyłyśmy się na dźwięk tego

nazwiska. Ostro, gwałtownie. – Miło z jego strony, prawda?

– Aha – mruknęłam po chwili ciszy. Robin prędko przybrała neutralny wyraz twarzy i chwyciła mnie za ramię.

– Widziałaś Alex i Grace?

– Są gdzieś w środku. – Nicky wskazała na dom. – Nathan stoi za barem, możecie go poprosić o drinki.

– Twój chłopak? – spytałam, czując, jak Robin zaczyna mnie odciągać. Jej palce wbijały mi się mocno w nadgarstek.

– Boże, nie – zaśmiała się Nicky. – Brat.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnęłam i przepraszająco wzruszyłam ramionami, pozwalając, by Robin zawlokła mnie do domu. Mina Nicky nieco przygasła.

Muzyka niosła się echem po trawniku. Robin zaczęła podśpiewywać, wibrując nisko. Słowa piosenki Nirvany dzwoniły mi w głowie: „umazany błotem, mokry od wybielacza”. W salonie dziewczyny siedziały splecione w wianuszki na kanapach i piły drinki z plastikowych kubeczków, pogryzając przekąski, starannie podane w miskach, na których napisano flamastrem: „Bawimy się!”.

– Niezła impreza – skomentowała Robin, kiedy dołączyliśmy do Alex i Grace. Ich gołe nogi kleiły się do przezroczystych plastikowych pokrowców, chroniących białe obicie.

Alex posłała jej słaby uśmiech. W jasnym świetle cienie pod jej oczami miały niebieskawoszarą barwę. Popatrzyłam na Grace, obgryzającą w zamyśleniu paznokiec. Obserwowała przez okno dziewczyny wskakujące do basenu. Jedna spróbowała (bez rezultatów) uchwycić moment lotu na zdjęciu, ale flesz aparatu rozbłysł w chwili, kiedy ciała już uderzyły o taflę wody.

– Wszystko w porządku? – spytałam niezręcznie. Nie rozmawiałam z dziewczynami od tamtego wieczora przy przejeździe kolejowym. Sądziłam, że nasza sprzeczka już odeszła w niepamięć, ale chyba się myliłam.

Robin nagle wstała i spojrzała na mnie z góry.

– Poszukam tego barmana – oznajmiła. Odczekała chwilę, jakby spodziewała się, że pójdę za nią. Kiedy nie ruszyłam się z miejsca, odeszła, przewracając po drodze łokciem plastikowy kubek.

Znów zerknęłam na Alex i Grace.

– Słuchajcie, jeśli chodzi wam o tę kłótnię...

– Nie chodzi – odparła sucho Alex. – Nie wszystko kręci się wokół ciebie.

Grace położyła dłoń na jej kolanie.

– Alex, przestań.

– Nie chodziło mi o... – zaczęłam, ale przerwałam, kiedy Grace usiadła przodem do mnie i uśmiechnęła się przeproszająco. – Boże – wyrwało mi się.

Skrzywiłam się, a ona odwróciła wzrok. Na szyi i szczęce miała rozlaną czarnogranatową plamę. Tuż pod linią włosów połyskiwała odrażająco świeża różowa skóra. Grace zrezygnowała dziś z kunsztownego makijażu, jakim zazwyczaj zakrywała takie rzeczy. Chyba wiedziała, że tym razem podkład i puder nie pomogą.

– Co ci się stało?

– Zgadnij – mruknęła Alex, spoglądając na Grace spod ciężkich powiek. Wyciągnęła rękę, otarła kciukiem łzę z policzka swojej dziewczyny.

– Nic – dodała Grace.

– To... – westchnęłam głęboko, ostrożnie dobierając słowa. – To nie...

– Nigdy w to nie uwierzycie – rozległ się nagle za nami głos Robin. Wdrapała się na oparcie kanapy i wylądowała między nami z głośnym kłaśnięciem. – Brat Nicky jest strasznie seksowny.

Wlepiłyśmy w nią zaskoczone spojrzenia. Przerwana rozmowa uwięzła nam w gardłach.

– Wiem, wiem – dodała Robin. – Spodziewałyście się, że będzie miał taką zabią urodę jak ona, ale wcale nie.

– Robin – odezwałam się cicho.

Podawała mi pełny kubek. Lepki płyn przelewał się na boki, mocząc mi palce.

– Może będzie chciał jedną. – Wygrzebała z kieszeni torebkę z kredowobiałymi pigułkami. – A wy? – Pomachała przed nami woreczkiem.

Alex i Grace pokręciły głowami. Ja wyciągnęłam dłoń. Położyła mi jedną pigułkę na samym środku i zagięła moje palce jeden po drugim. – Miłej zabawy – dodała i pocałowała mnie w zaciśniętą pięść.

Połknęłam, czując na sobie wzrok dziewczyn. Mdlący drink spłynął za pigułką gorącą ścieżką, promieniującą mi przez pierś. Kiedy podniosłam głowę, odwróciły twarze, jakbym je na czymś przyłapała. Przez chwilę żadna z nas się nie odzywała.

– Nie możesz pozwalać, żeby cię tak traktował – powiedziałam w końcu.

– Violet – ucięła ostrzegawczym tonem Alex.

– Powinnyśmy coś zrobić. Zadzwoń na policję...

Grace uniosła dłoń. Przerwałam.

– Nie będziemy dzwonić na...

– Ale Grace, Jezu...

– Nie. – W jej głosie pobrzmiwało echo nadchodzących łez. – Nie. Proszę, Violet. Daj spokój. – Popatrzyła mi w oczy. Zobaczyła w nich pytanie, jakie chciałam jej zadać.

Splotłam ręce na piersi, ale poczułam się dziecinnie, więc rozłożyłam je z powrotem. Słabe ciepło alkoholu i substancje chemiczne z pigułki zaczynały krążyć mi w żyłach. Poczułam, jak Alex ściska mnie za ramię – przelotnie, na ułamek sekundy. Zaczerwieniłam się, zawstydzona swoją reakcją.

– Przepraszam – zwróciłam się do Grace.

– Nie musisz. Wszystko w porządku. – Wzruszyła ramionami.

Wcale nie, pomyślałam, ale tylko się uśmiechnęłam, choć myśl o cierpieniach Grace przeszywała mnie na wskroś. Grace odwzajemniła uśmiech. Muzyka przeszła w ryczącą basem hiphopową piosenkę, którą już kiedyś słyszałam. Dziewczyny z mojej poprzedniej szkoły ją uwielbiały – wyglądało na to, że uczennice Elm Hollow też. Poderwały się na nogi i zaczęły podskakiwać do rytmu, piszcząc radośnie. Pomyślałam, że tak łatwo być nimi – w ich ruchach czuć było lekkość, która rozlewała się na wszystko wokół. Odbijały się od siebie i głośno śpiewały razem z wokalistą. Ich śmiech był taki czysty, niewinny. Kiedy chodziły po Elm Hollow, nie czuły na sobie

spojrzeń duchów czających się w portretach i popiersiach wzdłuż korytarzy. Nawet teraz, po odnalezieniu ciała Emily Frost – po krótkim okresie szkolnej żałoby, która wydawała się bardziej przedstawieniem niż sposobem na wyrażenie uczuć – one tańczyły i chichotały, jakby wszystko było doskonale.

Teraz zdaję sobie sprawę, że to była jedynie iluzja, podobnie jak wiele innych rzeczy, które wtedy sądziłam, że rozumiem. Wszystkie nastoletnie dziewczęta są udręczone bólem nadchodzącej kobiecości – nagłym zrozumieniem, że marnotrawna młodość jest ulotna i że straszliwie za nią zataęsknią, kiedy już będzie za późno. Dziwne, obce zainteresowanie chłopców i mężczyzn. Dotkliwie cierpienie na swój własny widok, te chwile smutnego olśnienia – znam je i widzę je teraz u moich dziewcząt. A jednak... Siedziałyśmy wśród łomotu muzyki. Obolała Grace poprawiła się na siedzeniu. Jakaś dziewczyna wskazała na Alex, rapując fragment piosenki, jakby odnosił się do niej, ale Alex nie zareagowała. Nagle poczułam działanie pigułki i aż mnie zemdliło. W tamtej chwili wydawało mi się, że jako jedyne wśród wszystkich naszych rówieśniczek jesteśmy skazane na takie męczarnie.

– Mogę cię o coś spytać? – zwróciłam się do Alex. Miałam wrażenie, że moje oczy nie nadążają za ruchem głowy, narastający haj zmieniał wszystko w rozchlupotaną, groteskowo jaskrawą mieszaninę barw.

– To zależy od pytania – odparła, mrużąc oczy.

Zawahałam się. Chciałam właściwie dobrać słowa, choć wiedziałam, że nie ma subtelnego sposobu na zadanie tego pytania, które dręczyło mnie już od dawna. Teraz, w stanie nagłego upojenia, pochłonęło mnie całą. Wzięłam głęboki oddech.

– Czy naprawdę myślisz, że mu... że on zabił Emily?

Alex podniosła palec do warg.

– Ćśśś. Nie tutaj.

– Proszę, Alex. Wiem, że Robin tak myśli, ale... Co ty o tym sądzisz?

Alex zerknęła na Grace, a ona pokiwała powoli głową.

– Myślę, że to najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie.

– Ale... On jest taki miły. Dlaczego... Czemu miałyby to zrobić?

Alex nachyliła się bliżej. Zauważyłam, że jej oczy nadal są zaczerwienione od płaczu.

– Myślę, że...

Z odległej części domu dobiegł nagły wrzask. Robin przeleciała jak petarda przez stadko tańczących dziewczyn, rozlewając drinki na dywan. Wszyscy patrzyli na nas z otwartymi szeroko oczami. Robin chwyciła mnie za ramiona i podciągnęła na nogi. Potknęłam się, uderzyłam piszczelą o stół kawowy. Szklany blat aż zadygotał.

– Robin, co ty...

– Spadamy – rzuciła, ciągnąc mnie za nadgarstek. Jej uścisk aż palił.

– Nie. Robin, co to ma...

Odwróciła się i popatrzyła mi w oczy. Jej źrenice były wielkie, przepastne.

– Musimy stąd iść – powtórzyła.

– Nie, dopóki...

– Jak śmiesz?! – krzyknęła Nicky, wypadając zza rogu. – Jak ty, kurwa, śmiesz?

Robin rozluźniła uścisk i obróciła się na pięcie.

– Słucham?

– Trzymaj się od niego z daleka – dodała rozdygotanym głosem Nicky.

Za nią pojawił się chłopak, wysoki i patykowaty, ale o takich samych wielkich oczach i blond włosach co Nicky. Nathan, pomyślałam, uśmiechając się w duchu. Domyśliłam się, co wywołało złość Nicky – pewnie przyłapała brata w niedwuznacznej sytuacji z Robin, która zrobiła to tylko po to, żeby zagrać jej na nosie. Kiedy jednak Nathan wszedł do jasnego salonu, zobaczyłam na jego szyi czerwoną plamę: dwa poszarpane półksiężycy, spływające krwią.

– Ta zdzira – powiedział, przykładając dłoń do szyi. Kiedy zobaczył na skórze krew, zaczął się trząść. – Ona jest nienormalna.

Na widok krwi Nicky piskliwie wciągnęła powietrze. Popatrzyła na Robin z otwartymi ustami.

– Co ty sobie wyobrażasz?

Robin się zaśmiała.

– Słuchaj, to nie moja wina, że on lubi...

– Nie prosiłem, żebyś... – zaczął chłopak. Nicky wzdrygnęła się i posłała mu rozjuszone spojrzenie.

– Pewnie jeszcze ma jakieś choroby. Powinieneś się zbadać.

Nathan wziął wdech, jakby chciał odpowiedzieć, ale w porę się opamiętał.

– Powinnaś już iść – oznajmił w końcu, patrząc na Robin. Głos mu się załamał, stracił resztki autorytetu.

Robin odwróciła się i wzięła mnie za rękę, nadal piekącą od jej uchwytu sprzed chwili. Zerknęłam na Grace i Alex. Obie wstały powoli i wyszły za nami. Minęłyśmy basen i brzozy. Po chwili muzyka znów przywróciła imprezę do życia.

Nie odzywałam się, czekając na nieuniknione: ostrą uwagę Alex, agresywną defensywę Robin. Podczas ich kłótni Grace i ja milczałyśmy. Obierałyśmy strony, posyłając sobie przepaszające spojrzenia, i rozchodziłyśmy się w noc – Grace do domu Alex, Robin do mojego. A potem wszystko wracało do normy. Wszystkie humory i małostkowe sprzeczki pojawiały się i znikwały jak przypływ.

A jednak teraz ani Alex, ani żadna z dziewczyn się nie odezwała. Nasze cienie wydłużały się w światłach latarni, lisy skrzeczały i poszczekiwały w ciemności. Robin pociągnęła mnie za płaszcz. Jej zaborcze palce wpełzły mi do kieszeni w poszukiwaniu papierosów. Strzepnęłam jej dłoń, a ona skrzywiła się urażona. Ze skrucną wyjęłam paczkę z torby i jej dałam. Pokręciłam głową, kiedy podsunęła mi je z powrotem.

– Nie możemy tak tego ciągnąć w nieskończoność – odezwała się wreszcie. W jej głosie pobrzmiwały jeszcze resztki wcześniejszego żaru. Popatrzyła na dziewczyny. Szły ze wzrokiem wbitym w ziemię. – Może wy jesteście w stanie z tym żyć, ale ja nie. To była nasza najlepsza przyjaciółka.

Alex poderwała głowę, otworzyła usta. Czekałam na jej odpowiedź, ale ona tylko wzięła wdech, westchnęła, potrząsnęła głową.

– Musimy coś zrobić – ciągnęła wojowniczo Robin, nie kryjąc frustracji. –

Nie możemy tak po prostu...

– Robin – przerwała jej sucho Alex. – To nie tak, że się z tobą nie zgadzam. Masz rację. – Zerknęła na Grace, która przytaknęła z powagą. – Powinniśmy iść na policję. Dać im wszystko, co na niego mamy. Niech przeprowadzą dochodzenie.

Robin zaśmiała się zimno.

– Tak samo jak to zrobili z ojcem Grace? Może już zapomniałaś, ale to rzeczywiście świetnie wyszło ostatnim razem. – Na chwilę zapadła głucha cisza. Oszołomiona Alex otwierała i zamykała usta, desperacko próbując chwycić się jakiejś odpowiedzi. – A poza tym – ciągnęła Robin – on zasługuje na coś o wiele gorszego niż to, co oni mogliby mu zrobić. Zamordował Emily. Nic nam jej nie przywróci.

Nie patrzyła na mnie. Wydawało mi się, że unika mojego wzroku. Pamiętam, że zauważyłam to, zanim znów się odezwała. Wyczułam to tak samo, jak dostrzega się pierwszy wstrząs przed trzęsieniem ziemi. Już wtedy wiedziałam, że za chwilę usłyszę coś bolesnego.

– I nikt jej nigdy nie zastąpi – powiedziała głucho Robin.

Słowa zawisły w powietrzu. Miałam wrażenie, że oplatają mi serce jak drut kolczasty. Robin wreszcie wypowiedziała na głos prawdę, której się obawiałam, ale dopiero te sześć słów tchnęło w nią życie.

Czułam na sobie wzrok Alex i Grace, błysk zwątpienia, niepokoju. Moja twarz zastygła w pustą maskę – nie miałam wątpliwości, że ta pozorna obojętność zdradza, jak bardzo zaboląły mnie słowa Robin. Gdybym zwróciła jej uwagę, tylko by mnie zbyła albo uniosła się sprawiedliwym gniewem. Nie wiedziałam, co zrobił dziekan, i już mnie to nie obchodziło. Czułam tylko piekący ból odrzucenia, kwaśny pot skraplający się na skórze.

– Dobra – powiedziałam wreszcie. – W porządku. Nie pójdziemy na policję. Ale co chcesz z tym zrobić? – Oczywiście już znałam odpowiedź i nienawidziłam się za to, że pozwalałam jej się tak podprowadzić do decyzji. Wstydziałam się, że jestem taka słaba, że tak desperacko zależy mi na jej akceptacji.

Robin się nie odezwała, tylko musnęła moją dłoń koniuszkami palców. Słysłyśmy dalej krętą boczną uliczką, aż wreszcie zatrzymałyśmy się przed domem z zachwaszczonym ogródkiem i trawą po kolana. Na tle schludnych budynków po obu stronach ulicy wydawał się jeszcze bardziej zapuszczony niż w rzeczywistości.

– Dla Emily – dodała Robin ledwie słyszalnym szeptem. – Zrobimy to dla niej.

Dla Emily, pomyślałam z ukłuciem zawiści – choć przez chwilę to uczucie bardziej przypominało żalobę. Nie po niej, lecz po moich zjednoczonych w smutku przyjaciółkach i po mnie samej. Gdybym zniknęła – gdyby coś mi się stało – czy też tak by się przejęły? A może zapomniałyby, że w ogóle istniałam: chwilowa rozrywka, cień przyjaciółki, którą tak naprawdę kochały?

Popatrzyłam na Robin. Powoli wypuściła powietrze przez zęby ze świstem. Przypomniałam sobie, co ona – one – zrobiły dla mnie. Furie, nasza czwórka, nasza zemsta. Pomyślałam o rzeczach, jakie możemy zrobić, o władzy, jaką posiadłyśmy. Zwierzałyśmy się sobie ze snów o węzach, trzepocie skrzydeł i szponach rozcinających powietrze. A w chwilach zwątpienia Robin znów przyciągała nas ku sobie siłą swojej wiary i elektryzującymi słowami, iskrzącymi od słusznego gniewu na mężczyzn, na niesprawiedliwość i brutalność ich władzy.

Skinęłam głową i wzięłam Robin za rękę, tak jak ona chwyciła moją pod syreną, gdy wyznałam jej prawdę o Tomie.

– Dla Emily – powiedziałam cicho, choć myślałam: dla was.

I tak pięć dni później znów przeszłyśmy przez nijakie podmiejskie uliczki. Niebo rozpościerało się ciężko nad nieskończoną płaskością krajobrazu, a my śmiałyśmy się i rozmawiałyśmy przy jednostajnym szumie morskich fal. Pamiętam tę ekscytującą lekkość: niepokój, oczekiwanie i strach płynące nam w żyłach.

– Witamy w piekle – powiedziała Robin, kiedy mijałyśmy kilometry przysadzistych domków o białych plastikowych frontach, poszarzałych jak

zepsute zęby. Dziesiątki identycznych zapylonych drzwi do garaży, mozaiki z bezkształtnych kamieni, niepasujące nazwy: Lawendowy Domek, Stary Zajazd, Konwaliowy Zakątek.

Spytałam Robin, jak zdobyła adres dziekana. Poszła do szkolnej pielęgniarki, udając, że zwichnęła nadgarstek, i odczekała, aż kobieta się odwróci. Korzystając z jej nieuwagi, wślizgnęła się do recepcji i przejrzała jego teczkę. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek rzeczywiście podjęłam jakąś decyzję na drodze, która mnie tu doprowadziła, czy też może Robin przewidziała każde moje pytanie i każdą reakcję już kilka dni wcześniej, kiedy przystanęliśmy przed jego domem po raz pierwszy. Wstydziłam się, że tak łatwo mnie rozgryźć – że jestem tak przewidywalnie nijaka.

Robin zatrzymała się przed tym samym zapuszczonym ogródkiem. W świetle dziennym wyglądał jeszcze gorzej. Ruszyłam za dziewczynami wąską ścieżką między domami. Metalowa bramka prowadząca na podwórko za domem była otwarta.

Naszym oczom ukazała się fontanna dla ptaków, cała obsrana na biało. Pod wysłużonym, dziurawym ogrodzeniem leżała przewrócona konewka. Na pojękującym na wietrze sznurze wisiały tylko rękawice ogrodowe o lekko podrygujących palcach. Przycupnięte na kablach szpaki przyglądały nam się uważnie.

Robin przesunęła palcami po doniczkach. Przechylała każdą z nich stopą, aż wreszcie pod jedną znalazła klucz. Czy to było szczęście, czy może już wiedziała, że ją tam znajdzie? Zastanawiałam się, czy Robin potrafiła przewidzieć kolejne ruchy dziekana tak samo jak moje.

Wnętrze domu wyglądało podobnie jak podwórko. Zaciągnięte zasłony, wysłużane dywany, szare linoleum z matowymi plamami tłuszczu. Grzybiejąca mata łazienkowa. Pluszowy kotek na łóżku w pokoju oblepionym plakatami z kolorowych magazynów. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem „nie wchodzić” i zdjęcie: uśmiechnięty tata z córką na plaży. Znów pośpiesznie odpędzam przebłysk zazdrości.

– Jak myślicie, kiedy wróci? – spytała Grace, zaglądając przez drzwi.

Rozglądałam się po codziennym otoczeniu Sophie. Wydawała mi się taka światowa – Londyn, Nowy Jork, Pekin – ale teraz gładziłam palcami naszyjniki zawieszane na bezgłowej lalce i czułam tylko litość. Jej życie tak bardzo przypominało moje. Może tak naprawdę wyświadczy jej przysługę, pomyślałam bez przekonania. Może ona wcale nie chce tu wracać.

– Raczej nieprędko – odparłam i ruszyłam do wyjścia, lecz zamarłam w pół kroku, kiedy Grace popatrzyła na mnie spod rzęs. W półmroku jej skóra miała niebieskawy odcień. Nagle z parteru dobiegł głośny śmiech, rozrywając ciszę.

– Ćśśś – syknęłyśmy obie. Robin stała zgięta w pół, oparta o krzesło, a Alex siedziała na kanapie, zasłaniając usta dłonią.

– Przepraszam – wydyszała Robin. Ramiona podrygiwały jej od śmiechu. Wezbrała we mnie irytacja wobec Robin, na jej beztroskie, dziecinne okrucieństwo.

– Możemy po prostu coś zabrać i wyjść? – wysyczałam, spoglądając na Grace w nadziei, że mnie poprze.

Ona tylko uśmiechnęła się przepraszająco i wzięła z dłoni Alex przedmiot, który tak rozbawił dziewczyny.

– Co to? – spytała.

Samo wspomnienie znów wywołało w nich falę chichotów. Alex podała Grace zdjęcie. Podsunęłyśmy je do światła. Miałam wrażenie, że patrzę na rozmyty magiczny obrazek (były wszechobecne, ale ku swojej frustracji nigdy nie potrafiłam dostrzec ukrytych w nich trójwymiarowych kształtów). Zamrugłam i zobaczyłam tłumek młodych ludzi, niewiele starszych od nas. W samym środku stał dziekan – bez trudu go poznałam. Te same wielkie, ciemne oczy i krągłe policzki. Na twarzy miał grubą warstwę makijażu, pomalowane na czerwono wargi, czarne włosy w splątanej nieładzie.

– Wygląda idiotycznie – skomentowała Grace głosem napiętym od powstrzymanego śmiechu.

Przytaknęłam w milczeniu. Nie poznawałam innych osób na fotografii: wszyscy mieli na twarzach błyskawice imitujące Bowiego, brokat, zaczesane włosy. Roześmiani, beztroscy chłopcy i dziewczęta. Zupełnie tacy jak my.

Nagle dostrzegłam w głębi obrazu przeblýsk czerwieni. Wyjęłam ramkę z rąk Grace i podeszłam do okna. Rozchyliłam nieco zasłony, wpuszczając promień słońca. Przyjrzałam się z bliska. Gęste loki, na wpół skrywany uśmiech, zielone oko wyglądające zza czyjejś podniesionej ręki.

– Ej. – Wezwałam Grace gestem. Alex i Robin nadal podśmiewały się w kącie. – Czy to Annabel?

– Boże, rzeczywiście. – Grace odwróciła zdjęcie przodem do siebie, spojrzała jeszcze raz. – Jakie to dziwne.

Robin przerwała grzebanie w szafce pełnej zakurzonych butelek z alkoholem i spłowiałych książek. Spojrzała na nas przez ramię.

– Co jest dziwne?

– Annabel. Zobacz – powiedziała Grace. – To chyba ze studiów?

– Nie wiedziałam, że się przyjaźnili – odezwałam się. Robin prychnęła.

– A widziałaś, jak ona na niego patrzy? Prawie szczerzy kły. Jej pewnie też wyświadczymy przysługę, jak się go pozbędziemy.

Jej słowa zawisły na chwilę w powietrzu i pękły jak bańka. Po raz pierwszy któraś z nas nazwała to, co zamierzałyśmy zrobić, innym określeniem niż najsubtelniejszy eufemizm.

– Pójdę poszukać grzebienia do włosów – zaoferowałam po chwili. Miałam nadzieję, że dziewczyny nie dostrzegą cienkiej warstewki potu perlącej mi się na czole. Byłam wdzięczna za półmrok skrywający moją nagłą bladość. Wzdrygnęłam się od wzbierających mdłości.

– Pospiesz się – rzuciła za mną Alex, zerkając na zegar na kominku pokazujący godzinę do tyłu.

Wyszłam na korytarz bez okien, wymacałam drogę na piętro. Czułam pod palcami rozdętą od wilgoci tapetę. Płaszczki zwisały martwo z wieszaków, roztaczały słaby zapach dymu z ogniska i zaschniętego kwaśnego potu. Natrafiłam na klamkę. Przemknęło mi przez myśl, że zostawiamy ślady palców – dowody, że tu byliśmy. Odpędziłam tę myśl (i tak już za późno, pomyślałam nerwowo) i zajrzałam do środka.

Wymacałam włącznik i pomieszczenie zalało oślepiające światło. Z sufitu

zwisiała goła żarówka oblepiona starym kurzem. Zamiast do łazienki trafiłam do garażu przerobionego na coś w rodzaju gabinetu. Wśród kanistrów z benzyną i rozrzuconych narzędzi stało biurko zasłane papierami. Na środku znajdowała się maszyna do pisania, z której sztywno wystawała kartka. Rozejrzałam się po pomieszczeniu: walizka, kije do golfa, połamane półki. Cuchnące koszyki na kwiaty, niebieskie pudełka z trutką na szczury, pusta klatka.

Weszłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Ciszę przerywał tylko odgłos wiatru uderzającego o metalową roletę garażu. W chłodnym powietrzu kropelki potu kłuły mnie w skórę. Otarłam dłonie o bluzkę i podniosłam kartkę ze stołu.

„Szanowny panie Holmsworth, dziękujemy za nadesłany maszynopis *Czarownice z Elm Hollow: mity i morderstwa, 1604–1984*. Pańska propozycja brzmi interesująco, ale tekst ma nieco zbyt akademicki charakter jak na publikację dla szerokiego grona odbiorców. Doceniamy poświęcony przez Pana czas i życzymy powodzenia w poszukiwaniu właściwego wydawcy dla Pańskiej książki”.

Pod pierwszym listem leżał następny. „Pańskie badania wywodzą się z ciekawych przesłanek, ale wydaje się mało prawdopodobne, by środowiska naukowe potraktowały je poważnie – może tekst miałby większe szanse w formie powieści?”

I jeszcze jeden: „Niestety, ponieważ ostatnia z opisywanych przez Pana «tajemnic» ma ponad dziesięć lat, tekst wydaje się mało aktualny. A jako że dochodzenie w sprawie zostało zamknięte wiele lat temu (bez perspektyw na ponowne otwarcie sprawy), nie sposób oprzeć się wrażeniu, że tekst ma (ze zrozumiałych przyczyn) charakter mocno osobisty i trudno będzie znaleźć dla niego odbiorców na dzisiejszym dość mocno nasyconym rynku”.

Z salonu dobiegła kolejna prędko uciszona fala śmiechu. Odłożyłam listy, starając się zostawić je w takim samym porządku, w jakim je znalazłam. Podniosłam cięższy stos papierów, ułożony obok maszyny do pisania. Drukowany tekst był poznaczony ręcznymi zapiskami dziekana, nakreślonymi

charakterystycznym zielonym atramentem.

Przed domem rozległ się dźwięk podjeżdżającego samochodu. Silnik zamruczał, zacharczał i zgasł. Zamarłam. Czy to jego auto? Niemożliwe, przecież miał wrócić najwcześniej za godzinę. Jeszcze trwały lekcje. Powinien być w szkole.

Uderzyłam dłonią o włącznik światła i przywarłam plecami do drzwi, nadal ściskając maszynopis w drżących rękach. Powoli usiadłam na podłodze. Bezmyślny odruch; jakbym mogła tak bardzo się skurczyć, że zupełnie zniknę. Często robiłam tak w dzieciństwie: kryłam się po kątach, a rodzice udawali, że nie widzą, jak kulę się między stołowymi nogami albo pod regałem. Zabawa dobiegła końca, kiedy Anna zaczęła raczkować. Zawsze na mój widok reagowała piskiem, wołała mnie po imieniu albo wyrywała się dorosłym, oplatała mi dłonie małymi palcami, ciągnęła za włosy.

Drzwi wejściowe się otworzyły. Trzask zamka wydał mi się głośny jak śmiercionośny wystrzał. W szczelinie pod drzwiami pojawiła się nitka światła. Kartki w moich dłoniach świeciły bielą, tekst rozmywał się i drżał. *Czarownice z Elm Hollow: historia morderstw od Margaret Boucher do Emily Frost.*

Kroki zaczęły się zbliżać, aż nagle się zatrzymały. Za ścianą rozległ się stukot zrzuconego buta – jeden, drugi. Szelest kurtek na wieszaku. Serce tłukło mi się w piersi. Błagałam, żeby sobie poszedł. Myślałam o dziewczynach w salonie. Idź na górę, myślałam, jakbym mogła odepchnąć go siłą woli. Idź na górę, a my sobie pójdziemy i nigdy nawet się nie zorientujesz, że tu byliśmy.

Możliwe, że cisza nie trwała tak długo, jak sądziłam, ale możliwe też, że trwała o wiele dłużej. Pamiętam – albo przynajmniej tak mi się wydaje – że przez cały ten czas wstrzymywałam oddech, choć to chyba nie byłoby wykonalne. Wtedy jednak miałam wrażenie, że ta chwila ciągnie się w nieskończoność. Było mi niedobrze, pociłam się ze strachu. Wbiłam wzrok w kartkę trzymaną w dłoniach. „Rzeczy, do jakich zdolne są te dziewczęta, ledwo dają się pojąć rozumem...” Słowa rozmywały się, niemal ulatywały

znad papieru.

Wydało mi się, że słyszę lżejsze kroki, jakiś szelest za drzwiami. Dziekan się odwrócił.

„Są zdolne do zamordowania jednej spośród swoich”, przeczytałam. Oderwałam głowę od drzwi, po drugiej stronie rozległ się głuchy łoskot i trzask. „Może zostanę wyśmiany za tę sugestię” – zimny odgłos stali rozcinającej ciało rozdarł powietrze. Rozległ się niezrozumiały jęk, ani kobiecy, ani męski, nieludzki.

„Piszę to z głębokim przekonaniem – choć nie mam dostatecznych dowodów – że zabiją znowu. Niewykluczone, że już to zrobili”. Poczułam, że rozlewa się pode mną lepkie ciepło. Spod drzwi wypłynęła strużka krwi, czarna w mroku. Drewno zadygotało od konwulsyjnych uderzeń słabnącej dłoni.

„A mimo to nikt by mi nie uwierzył, gdybym o tym opowiedział. To ciągnący się od wieków łańcuch śmierci, spleciony z rąk zbyt młodych i niewinnych, by jakakolwiek racjonalna władza mogła rzucić na nie cień podejrzania”.

Śmiech Alex rozszarpał ciszę, wyrwał mnie ze skamieniałego bezruchu. Wstałam z posadzki i odruchowo wytarłam zakrwawioną dłoń o dzinsy. Zakląłam w duchu, widząc zdradliwą plamę.

– Violet? – odezwała się cicho Robin. – Gdzie jesteś?

– Tutaj – odparłam szeptem. Głos mi drżał. – W garażu.

Włożyłam papiery do pudełka stojącego na półce przy drzwiach i przekręciłam klamkę. Ustąpiła z powolnym kliknięciem.

Ręka dziekana opadła bezwładnie w szczelinę między drzwiami a framugą. Odskokczyłam przerażona, chwyciłam się regału, żeby nie upaść. Nie mogłam oderwać wzroku od jego palców, zabrudzonych czerniejącą krwią. Przypomni mi się ptak, którego poświęciliśmy w noc rytuału: byłam zaskoczona, że takie małe stworzenie może mieć w sobie tyle krwi. Teraz za drzwiami leżał dorosły mężczyzna: rzeka, ocean krwi. Na chwilę

znieruchomiałam i zamknęłam oczy, jakbym nie patrząc, mogła sprawić, że to wszystko zniknie.

Drzwi zaskrzypiały i otworzyły się nieco szerzej. Oddech miałam płytki z przerażenia, serce kołatało mi się o żebra.

– Violet – powtórzyła Robin. – Wszystko w porządku. Wyjdź.

„Wszystko w porządku”? Spazmatycznie wciągałam powietrze, ścisnęłam stalowe pręty półek zbielełymi palcami. Rozejrzałam się, szukając jakiejś innej drogi wyjścia, bym nie musiała patrzeć na ciało, na koszmar, którego one... my się dopuściłyśmy. Ale blaszane drzwi podjazdu nie miały klamki od wewnątrz, otwierały się tylko od środka. Chwyciłam nóż modelarski – ostrze było zardzewiałe, stępione przez czas – i wsunęłam go do kieszeni. Wiedziałam, że go nie użyję, ale sama myśl, że mam go przy sobie, dawała niewielkie, desperacko potrzebne pocieszenie.

Nie patrz w dół, myślałam, podchodząc do drzwi. Jeśli odwrócę głowę, nie będę musiała mierzyć się z tym obrazem. Nie będzie mnie prześladować w snach, nie będę widziała jego martwych oczu po przebudzeniu. Ale moje przyjaciółki – patrzące na mnie szeroko otwartymi oczami, śliskie od krwi – stanowiły równie potworny widok. Włosy lepiły im się do twarzy, na ubraniach zastygała lśniąca czerń. Robin wydawała się jeszcze mniejsza niż zwykle, mizerna i przemoczona krwią. Tylko Grace spojrzała mi w oczy, jakby przepaszająco. Strużka krwi spłynęła jej z czoła do oka. Otarła ją spokojnie rękawem. Ścianę za nimi rozcinał czerwony rozbryzg, wsiąkający powoli w zbutwiałą tapetę we wzorek z muszli.

Alex podniosła głowę, jakby dopiero zauważyła, że tu jestem. Zmarszczyła brwi.

– Myślałam, że poszłaś do łazienki.

– Usłyszałam, że idzie... Więc się schowałam. Ale potem za drzwiami... – Wskazałam na ciało, nie patrząc w tamtą stronę. Nie mogłam. Nie potrafiłam zmierzyć się z tym, co właśnie zrozumiałam. Dziewczyny nie chciały go zabić dlatego, że zamordował Emily Frost. Zrobiły to, bo wiedziały, że to one pozbawiły ją życia.

– Nie żyje? – spytałam głupio. Wiedziałam, że jest martwy (jak mógłby nie być?), ale słowa same wyrwały mi się z ust, nim zdołałam je powstrzymać.

– Tak mi się wydaje. – Alex popatrzyła mi w oczy. Zapadło między nami ciężkie milczenie. – Przyszedł po nas. Kurwa. – Powoli wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby. – Co za psychol.

Nie miał dość czasu, pomyślałam. Nawet nie wiedział, że tu jesteście.

– Zabiłby nas – dodała, nadal patrząc prosto na mnie. – Mogłyśmy zginąć.

Cisza pęczniała. Uświadomiłam sobie, że wszystkie trzy mi się przyglądają. Zobaczyłam drżące ostrze noża w dłoni Alex, rzucające srebrne błyski na ścianę. Czekają, aż się odezwę, ale nie miałam słów.

Alex zerknęła na Robin i znów spojrzała na mnie.

– Możesz sprawdzić mu puls? – spytała. Oczy lśniły jej w półmroku. Cień uśmiechu przemknął jej po wargach.

Żołądek podszedł mi do gardła, poczułam ucisk w piersi. Nie potrafiłam na niego spojrzeć. Nie mogłam się zmusić, żeby zobaczyć, co zrobiły.

– Nie... Nie mogę – zająknęłam się. Wstyd nadal toczył mnie jak choroba.

– No już – ponagliła z paskudnym uśmiechem. – Naprawdę, przynajmniej tyle mogłabyś zrobić.

Wiedziałam, do czego zmierza. Spojrzałam na Robin, szukając wsparcia, ale ona unikała mojego wzroku. Chciały zmusić mnie do współudziału (choć kiedy teraz to piszę, zdaję sobie sprawę, że w świetle prawa najprawdopodobniej już byłam współodpowiedzialna za morderstwo z premedytacją. To, że spodziewałam się jego śmierci w wyniku działania starożytnej magii i okultystycznych zaklęć, nie miałyby znaczenia dla żadnej rozsądnej ławy przysięgłych).

Zamknęłam oczy, próbując się opanować. Wzięłam wdech. Jedyne, co mogłam zrobić, to działać krok po kroku – takie były okrutne fakty, ciało nie potrafiło udźwignąć więcej.

Leżał z otwartymi oczami, zastygłymi w szoku. Krew spływała mu z szyi do ucha, wsiąkała we włosy. Rana była tak głęboka, że wydawała się czarna w środku. Groteskowo wyszczerzone, poplamione czerwienią zęby, spękane

wargi. Ręce uniesione w obronnym geście, zbryzgane krwią. Dywan czerniał, cuchnął taninami i moczem. Byłam zażenowana, że widzę go w takim stanie. Zastanawiałam się, czy w chwili przed śmiercią czuł tylko strach, czy może jednak wstydział się tego ostatecznego upokorzenia.

Niechętnie sięgnęłam po jego nadgarstek. Ta sytuacja z każdą chwilą stawała się coraz bardziej absurdalna. Ostatni raz sprawdzałam puls w podstawówce na lekcji o ludzkim ciele. Nawet wtedy jednak trzymałam się za własną rękę – i poczułam taką odrazę do mechanicznego podrygiwania pod skórą, że wstrzymałam oddech. Miałam nadzieję, że wtedy ustanie, ale ku mojemu przerażeniu puls zaczął huczeć mi w uszach. Całą noc nie spałam, nasłuchując odgłosów swoich wnętrzności poruszających się miarowo w ciele.

Kiedy dotknęłam jego ręki (nadal była ciepła – pamiętam, że bardzo mnie to zaskoczyło, choć przecież minęło zaledwie kilka minut od śmierci), z kuchni dobiegł nagły hałas. Grace odskoczyła w tył i chwyciła się framugi; Robin posłała mi dziwne, błagalne spojrzenie, a Alex nawet nie drgnęła. Miękkie uderzenie, szelest. Przeciągłe miauczenie.

– Poppet – odezwałam się, widząc grubego, pyzatego kota (zwierzęta naprawdę przypominają swoich właścicieli, pomyślałam gorzko). Poppet otoczył stopy Alex, potem Grace, licząc na chwilę uwagi. Zupełnie zignorował ciało leżące na korytarzu.

Robin zaśmiała się nerwowo.

– Prawie dostałam zawału.

– Ćśśś. – Alex posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Nie żyje – powiedziałam, niemal dławiąc się tymi słowami. Były zbyt głośne, zbyt prawdziwe, nadal czułam pod palcami jego ciało (do dziś prześladuje mnie to wspomnienie – nie jestem w stanie jeść mięsa i się przy tym nie krzywić. To mała niewygodna, ale w podkolorowanych opowieściach o morderstwach nikt nigdy nie wspomina, że wegetariańskie jedzenie jest zazwyczaj suche i bez smaku).

– Alex – dodałam po chwili. – Co teraz zrobimy?

– Nie wiem. – Spojrzała na Grace.

– Co to znaczy, że nie wiesz? – spytałam ostro, piskliwie.

– Nie wiem – powtórzyła zimno, patrząc mi w twarz. – Po prostu... zamknij się na chwilę i daj mi pomyśleć.

Popatrzyłam na Robin, ale ona tylko wzruszyła ramionami i zerknęła na ciało. Przerazenie, jakie kilka chwil wcześniej widziałam w jej oczach, zdążyło już zniknąć, powoli ustępując miejsca ich zwykłemu wyrazowi. Podążyłam za jej spojrzeniem. Rzeczywiście: im dłużej nad nim stałyśmy, tym słabsza była nasza odraza. Poppet zbliżył się miękko i polizał ostrożnie kałużę krwi. Najwyraźniej mu posmakowała, bo przez chwilę słyszałyśmy tylko drapanie szorstkiego kociego języka po podłodze. Obrzydzenie wezbrało we mnie i znów ustąpiło.

– Mogłybyśmy zrobić z tego wypadek – zasugerowała Grace, ścierając rękawem krwawy odcisk palca z framugi. – Może pożar? – Popatrzyłyśmy na nią tępo. Wzruszyła ramionami. – Dobra, to wymyślcie coś lepszego.

Stałyśmy w milczeniu i patrzyłyśmy na siebie, szukając innego pomysłu.

– Okej – oznajmiła w końcu Alex. – Grace ma rację. – Wskazała w stronę salonu. – Tam jest kominek. Rozpalimy ogień i zrobimy tak, żeby wyglądało, jakby po prostu wymknął się spod kontroli.

Oczy Poppeta błysnęły, jakby dostrzegły jakiś cień. Smród zakrwawionego ciała i wilgoci gęstniał w powietrzu. Pokręciłam głową. Alex się odwróciła, za nią Grace. Robin ani drgnęła. Nadal była upiornie blada.

W myślach błagałam, żeby poszła za nimi – gdyby tylko zostawiła mnie na chwilę samą, mogłabym pobiec po książkę dziekana i schować ją do torby. Czy wyobraziłam sobie te słowa? Może coś źle zrozumiałam? A może dziekan mówił prawdę i moje przyjaciółki rzeczywiście zabiły Emily Frost, a następnie odegrały żałobę przed nauczycielami, rodzicami... i przede mną?

– No chodź – ponagliła, ruszając do wyjścia. Zawahałam się. – Wszystko będzie dobrze – dodała, biorąc mnie za rękę. – Nie panikuj. Wszystko w porządku.

Ostrożnie przeszłam nad ciałem (Poppet dreptał kilka kroków z tyłu, obserwując nas nieufnie) i podążyłam za Robin do ciemnego pokoju.

Obejrzała się przez ramię. Na ułamek sekundy spojrzałam jej w oczy, ale prędko zorientowałam się, na co patrzy: sprawdzała, czy ciało się nie poruszyło, ostatnim desperackim wysiłkiem czepiając się życia. Ta myśl wytrąciła mnie z równowagi, więc zrobiłam to samo. Uderzył mnie niesamowity bezruch barczystego ciała, pozbawionego życia i krwi.

Alex i Grace siedziały w kucki przed kominkiem. Odgłos kartek wyrywanych z książek zagłuszał ich szepty. Robin sięgnęła do szafki i podała mi butelkę whisky, lepką ze starości.

– Niewiele tu mamy – stwierdziła, odwracając się do Alex.

Dostrzegłam swoją szansę.

– Chyba widziałam w garażu kanistry z benzyną.

– Nie ma mowy – ucięła Alex. – Jeśli znajdą na czymkolwiek benzynę, to nie będzie wyglądało jak wypadek. – Zamilkła. – Piekarnik jest na gaz, nie?

Pracowałyśmy w milczeniu. Mewy skrzeczały za oknem, Poppet przycupnął na kanapie, leniwie zwieszając jedną łapę. Dwukrotnie zbliżałam się do drzwi na korytarz, nie mogąc odpędzić myśli o słowach dziekana. Za każdym razem jednak czułam, że reszta mnie obserwuje, i cofałam się do środka.

Alex wytarła dłonie o dzinsy, zdrapując skorupkę zaschniętej krwi.

– Chyba powinnyśmy się przebrać – oceniła z ponurym śmiechem.

– Dziekan ma córkę – powiedziałam. – Jej pokój jest na górze. Pierwsze drzwi.

Alex na ułamek sekundy zerknęła na Robin. Wiedziały, że coś jest nie tak, ale nie potrafiły stwierdzić co.

– Możesz przynieść nam jakieś ubranie? – spytała słodko. – Tylko ty masz czyste buty.

Mogłabyś zdjąć swoje, pomyślałam, ale nic nie powiedziałam. Wróciłam na korytarz, czując na sobie ich wzrok, kiedy wymijałam ciało. Popatrzyłam pod nogi, żeby nie wdepnąć w czarną kałużę krwi. Gdy wspinałam się po schodach, ręce i nogi miałam jak z ołowiu. Uważałam, żeby nie dotknąć poręczy (choć byłam pewna, że wcześniej się o nią opierałam – kiedy

planowałyśmy morderstwo, które nie zostawiłoby żadnych śladów). Było mi niedobrze, cała się trzęsłam. Przysiadłam na skraju łóżka Sophie i przycisnęłam czoło do kolan. To niemożliwe, mówiłam sobie. Nie zabiłyby Emily. Była najlepszą przyjaciółką Robin.

A potem pomyślałam o czymś jeszcze. Najpierw zaborczo, po chwili z rozpełzającym się po ciele przerażeniem.

Jestem najlepszą przyjaciółką Robin.

Desperacko pragnęłam wierzyć, że nigdy by jej nie skrzywdziły, że przecież nie mogłyby zabić swojej przyjaciółki, bez względu na wszystko, ale ciało w korytarzu, ich – nasze – zakrwawione ręce stanowiły jednocześnie odpowiedź i przestrozę.

Nieważne, czy to prawda, czy nie, pomyślałam, znów się prostując. Wbiłam palce w materac. Kolejne ciało, jeszcze jedna śmierć – morderstwo, jeszcze prawdziwsze od innych, bo jego świadectwo wnikało nam w skórę, stając się częścią nas. Stałyśmy się jedną całością.

Chyba że mnie też zabiją.

– Co ty tam wyprawiasz? – zasyczała Robin z dołu schodów.

– Już idę – odkrzyknęłam, a ona natychmiast mnie uciszyła.

Poppet wreszcie zorientował się, że coś jest nie tak, i zaczął miauczeć, jednostajnie i płaczkliwie. Po chwili rozległy się łupnięcia, pisk, syk. Kiedy weszłam do salonu, zobaczyłam, że siedzi w kącie, zamiatając hipnotyzująco ogonem. Przyglądał się dziewczynom wielkimi, szeroko otwartymi oczami.

Alex zobaczyła mój wyraz twarzy. Roześmiała się kwaśno.

– Jeśli zamierzasz mnie pouczać o okrucieństwie wobec zwierząt...

– Nie zamierzam.

Podaliśmy jej stertę ubrań i rozpięłam dzinsy. Wsunęłam nogi w dresowe spodnie. Poczułam zimne guziki na łydkach, materiał napinał mi się na udach. Sophie była co najmniej rozmiar szczuplejsza ode mnie, może dwa, a do tego wyższa.

Robin uśmiechnęła się szyderczo, widząc, że trudno mi się w nie wcisnąć.

– Niezłe schaby.

– Odwał się. – Zaczerwieniłam się gwałtownie.

Podczas gdy dziewczyny się przebierały, zmywały z siebie krew nad kuchennym zlewem i szeptały jakieś słowa, których nie mogłam dosłyszeć, podeszłam do okna w salonie i wyjrzałam przez wąską szparę w zasłonach. Zapadał zmrok, niebo płonęło złotem i czerwienią. Serce łomotało mi w piersi, wzdrygałam się na każdy dźwięk. Przejechał samochód. Zrobiłam krok w tył i wpadłam na stół, przewracając szklanę. Stoczyła się przez krawędź i rozbiła o krzesło.

– Jezu, Vi. – Robin zaniepokojona wyjrzała z kuchni. – Chcesz mnie zabić?
– Rzuciła mi zapalniczkę. Złapałam, wbiłam wzrok w neonoworóżowy plastik. – Gotowa?

Popatrzyłam jej w oczy.

– Chcesz, żebym...

– Tak będzie uczciwie – odparła bez złośliwości: zwykle dziecinne przekonanie, że przyjaciółki powinny się dzielić po równo. Usłyszałam pstryknięcie odkręcanego gazu, chrobot otwieranych tylnych drzwi.

– No już – ponagliła, robiąc krok w moją stronę. – Przecież potrafisz.

– Nie mogę – zaprotestowałam słabo.

– Zrobimy to razem. – Wyciągnęła z kominka kawałek pogniecionej gazety i podsunęła mi pod nos.

– Robin, ja...

– No weź, Vi. Nie ma już innego wyjścia.

Pomyślałam o papierach w garażu: o historii tych kobiet, o naszej historii, bo teraz nas wszystkie połączyła z nimi przelana krew. Robin ścisnęła mnie za ramię. Jej palce nadal były wilgotne, pachniały słodkim mydłem.

– Chodź, misiu-pysiu – powtórzyła ostatni raz. – Praca zespołowa – dodała z krzywym uśmiechem.

Pstryknęłam metalowym krążkiem. Zgrzyt, iskra. Zgasła. Robin się roześmiała, a ja jej zawtórowałam – mimo wszystko, nie zważając na ciało przyglądające się nam szklistymi oczami.

Potrząsnęłam zapalniczką i spróbowałam jeszcze raz. Tym razem

podziałało. Papier zajął się roztańczonym złotym płomieniem. Robin wrzuciła go do kominka i wyszłyśmy na chłodne powietrze. Zamknęłyśmy drzwi do naszych sekretów i odeszłyśmy ku gasnącemu słońcu.

Rozdział 14

Annabel odsunęła się od sztalug, które rozstawiła na środku pomieszczenia. Zaplotła ręce na piersi i popatrzyła po kolei na każdą z nas. Wpatrywałyśmy się w reprodukcję obrazu, w pociągnięcia pędzla spłaszczone przez błyszczący druk. Podwinięte rękawy, łukowate rozbryzgi świeżej krwi, czerwone krople pryskające w powietrze, ostre *chiaroscuro*, nocny mord... To wyglądało tak znajomo, jak ten widok wypalony na zawsze w naszej pamięci.

– *Judyta zabijająca Holofernesa* – odezwała się wreszcie. – Autorstwa Artemisii Gentileschi. Malarka stworzyła obraz przedstawiający kobietę mordującą mężczyznę. Jestem pewna, że ta scena wygląda znajomo.

Poczułam ucisk w żołądku. Zmusiłam się, żeby nie patrzeć na przyjaciółki, choć niewypowiedziane pytanie zawisło ciężko między nami: czy ona wie? Powietrze zgęstniało od tej myśli, płótno nagle nabrało życia, potworne wspomnienie stanęło mi przed oczami. Przez chwilę znów czułam mdlący zapach krwi, metaliczną lepkość na skórze. Zastanawiałam się, czy właśnie tak wyglądają prawdziwe wyrzuty sumienia.

Annabel usiadła powoli w fotelu, wciągnęła ostro powietrze przez nos, zamknęła oczy.

– A w każdym razie powinna. Jeśli nie zaczęłyście jeszcze pisać pracy zaliczeniowej na koniec roku, to już za późno.

Robin wydała z siebie niemal niesłyszalne westchnienie. Serce tłuło mi się o żebra, z każdą chwilą coraz głośniejsze.

– Niektórzy spekulują – ciągnęła Annabel – że włoska mistrzyni Artemisia, kobieta znacznie wyprzedzająca swoje czasy, miała powiązania z założycielką naszej szkoły. Owszem, pani Boucher przed śmiercią spędziła sześć miesięcy we Florencji i stała się znaną postacią wśród właścicieli galerii i kolekcjonerów dzieł sztuki, więc bardzo wątpliwe, żeby ich ścieżki nigdy się

nie przecięły. Nie mamy na to jednak żadnych dowodów, więc pozostają nam tylko domysły. Może to tylko jedna z wielu opowieści przekazywanych latami w naszym stowarzyszeniu. – Odkasznęła i popatrzyła z uśmiechem na Grace. Ona odwzajemniła uśmiech, tak obojętnie, jakby wcale nie czuła tej zgrozy, o jaką ją podejrzewałam. – Są tacy, którzy twierdzą, że pani Boucher zainspirowała Szekspira do napisania *Makbeta*. Nie należy jednak doszukiwać się jej literackiej podobizny w wiedźmach, które Makbet i Banko spotykają na wrzosowisku, lecz w samej Lady Makbet. To ona stanowi siłę napędową całej akcji dramatu. No, ale wystarczy dygresji – dodała, znów spoglądając na obraz. – Według wielu krytyków to dzieło wyraża pragnienie zemsty malarki. Zdradzona przez bliskiego przyjaciela, zgwałcona Artemisia namalowała scenę mordu na Holofernesie, by dać upust furii, którą czuła po fakcie. A przynajmniej tak twierdzą ci, którzy chcą narzucić twórczości malarki jakąś konkretną narrację.

Zdjęła wydruk ze sztalug, odsłaniając drugą reprodukcję. Zobaczyłyśmy podobną scenę.

– Ten obraz, autorstwa Caravaggia, przedstawia to samo morderstwo: śmierć Holofernesa z rąk Judyty. A jednak... – Annabel wskazała kościstym palcem na kobietę. – Spójrzcie. Widzicie jej miękkie ramiona? Zagubienie na jej twarzy, niepewność, wątpliwości? – Nauczycielka pokręciła głową. – Caravaggio nie dostrzega jej odwagi. – Zamilkła w poszukiwaniu właściwego słowa. – Nie widzi siły woli potrzebnej do porwania się na taki czyn kobiecie, tej „słabszej” płci, przewyższonej przez męczyznę siłą fizyczną. Na obrazie Artemisii widzimy to na pierwszy rzut oka. Spójrzmy na tę wielką łapę Holofernesa na sukni służącej, na zdeterminowany wyraz twarzy Judyty, jej delikatną bransoletę zbryzganą krwią, palce szarpiące za włosy Holofernesa... Artemisia rozumie, ile siły fizycznej i emocjonalnej potrzebuje kobieta, by zemścić się na mężczyźnie.

Nauczycielka popatrzyła na Robin, potem na mnie. Pod tym spojrzeniem poczułam się zupełnie obnażona. Odwróciłam wzrok, jakby Annabel mogła wyczytać tamtą noc z moich oczu.

– Zwróćcie też uwagę na różnicę między służącymi na obrazach. U Caravaggia to stara kobieta, która przygląda się, jak jej młoda pani popełnia zbrodnię. U Artemisii natomiast kobiety działają razem, łącząc siły, żeby pokonać mężczyznę. Prawie można sobie wyobrazić, jak spiskują, uśmiechają się do siebie ukradkiem, kiedy przemykają nocą do namiotu Holofernesa, wymieniają się spojrzeniami, gdy on zapada w cuchnący, pijacki sen.

Znów zakryła Caravaggia pierwszym malowidłem.

– Innymi słowy Artemisia pokazuje, że w morderstwie Holofernesa nie chodzi tylko o mężczyznę, ofiarę nienawistnych kobiet, ten najbardziej przerażający ze wszystkich archetypów. To manifestacja kobiecej przyjaźni, sekretów, jakimi dzielimy się w chwilach, gdy mężczyźni są zbyt ślepi, by coś zauważyć.

Robin poprawiła się na krześle, otarła się lekko o moje ramię. Włoski zjeżyły mi się na skórze gorącą falą, poczułam dreszcz gęsiej skórki, tak samo jak po morderstwie, kiedy biegłyśmy przez przedmieścia, klaszcząc podszwami o chodnik. Już po chwili czarne pióropusze dymu unosiły się nad dachami, głośny trzask rozciął wieczorną ciszę, a zaraz potem zawtórował mu skowyt syren. Słodki zapach ogniska prędko rozpląnął się w kwaśnym smrodzie palonego plastiku.

Kiedy dom się zapadł, napięcie między nami zaczęło ustępować. Owszem, to one go zabiły, ale ja rzuciłam zapalną, która roznieciła pożar. W płomieniach zniknął nie tylko dowód zbrodni, ale też teoria dziekana o dziewczynach. O nas. Wszystko zniknęło, spopieliło się, obróciło w proch. A gdy już znalazłyśmy się poza tym domem, który stał się grobem, wydawało mi się absurdalne, że w ogóle w to uwierzyłam. Albo chociaż że przypisywałam wnioskom dziekana jakąś wartość.

Usiadłyśmy przy promenadzie. Śmiałyśmy się, plułyśmy, specjalnie rzucałyśmy się w oczy. Robin i ja weszłyśmy do sklepu z pamiątkami, trzęsłyśmy półkami pełnymi tęczowych kamieni i rozsypywałyśmy na podłogę piasek ze szklanych słoików, niemal czekając, aż właściciel każe nam wyjść. Zapewniłyśmy sobie dobre alibi – byłyśmy pewne, że sprzedawca

prędko nas nie zapomni. Zastanawiałam się, czy starszy pan domyśla się, co zrobiliśmy. Zerkał podejrzliwie, ale bał się nas wyrzucić. Nic nie powiedział, kiedy Robin zdjęła ze stojaka zapalniczkę i wsunęła ją do kieszeni. Nie odezwał się też, gdy położyłam na ladzie monetę jednofuntową, uważając, by przyjaciółka nie zauważyła.

Wiedziałyśmy oczywiście, że wszystko może jeszcze potoczyć się w innym kierunku. Wcale nie byłyśmy bezpieczne. Ciało (teraz tylko ciało: w naszych oczach już nie dziekan, nie osoba) mogło zostać uratowane, zanim pochłonęły je płomienie. Ratownicy mogli znaleźć tę makabryczną ranę na jego szyi (tętnica szyjna, żyła podobojczykowa, żyła odpromieniowa, recytowałam w myślach jak kołysankę). Może znajdą nasze odciski palców, tłuste ślady butów na dywanie, zagubiony włos albo kroplę śliny. Niewykluczone, że dostrzegł nas któryś z sąsiadów, gdy wymknęłyśmy się przez furtkę i uciekłyśmy na kilka minut przed tym, jak płomienie zaczęły oblizywać szyby w oknach.

Zdawałyśmy sobie też sprawę z tego, że już wkrótce osnuje nas mgła wyrzutów sumienia. Wtedy jednak – może przez agresywny strzał adrenaliny, a może przez świadomość, że ta chwila pozornej wszechwładzy nie potrwa długo – miałyśmy wrażenie, że jest w tym coś romantycznego. Właśnie dlatego te słowa nawet teraz brzmią tak melodramatycznie i górnolotnie. Próbowałam opowiedzieć o tym na wiele sposobów, ale każda fraza zawsze zmienia się w banał. Faktów jednak nie da się ukryć ani zmienić: w obliczu morderstwa każdy przejaw życia wydaje się zachwycający i pełen chaotycznego potencjału. To haj, ekstaza, dekadenski rozbłysk światła. Przez krótką chwilę nie liczyło się, co ktokolwiek mógłby powiedzieć albo pomyśleć. Liczyła się tylko ta elektryzująca świadomość życia i władzy odbierania go, którą posiadałyśmy. Miałyśmy władzę, by zabijać.

Kiedy doszłyśmy do syreny, Alex zarzuciła mi rękę na ramiona i ścisnęła moją nagą skórę szczupłymi palcami.

– Przepraszam, że byłam tam taką suką – powiedziała. Poczułam jej gorący oddech w uchu. – Chyba trochę spanikowałam, wiesz?

Skinęłam głową. Rozumiałam. Alex popatrzyła na mnie, czekając na odpowiedź.

– No, ja też – odparłam w końcu. – Wszystkie nas trochę poniosło.

Robin wychyliła się do przodu.

– Mało powiedziane – skomentowała.

Roześmiałam się.

– Nie mogę uwierzyć... że to zrobiłyśmy.

– Wiem – przytaknęła Robin, odlepiając od cokołu kawałek zaschniętej gumy. Rzuciła ją mewom. – To pokazuje, że człowiek nigdy nie wie, do czego jest zdolny, dopóki nie spróbuje – dodała, idealnie imitując manierę dziekana. To było jednocześnie przerażające i absurdalne.

Annabel zapadła się w fotel, jak miała w zwyczaju pod koniec zajęć – jak gdyby przerósł ją wysiłek przekazywania nam wiedzy. Strach nadal ścisnął nam piersi jak ciasna obręcz. Miałam wrażenie, że nauczycielka po prostu chce zostać już sama, by nie musieć dłużej na nas patrzeć; w jej oczach dało się dostrzec cień rozczarowania. Przecież ona o niczym nie wie, mówiłam sobie; nikt nie ma pojęcia, co zrobiłyśmy. I rzeczywiście: na kampusie życie toczyło się jak zawsze, przynajmniej na razie. Nieobecność dziekana nikomu jeszcze nie skojarzyła się z pożarem na przedmieściach. Kiedy poszłam do kiosku po papierosy, przeczytałam na pierwszej stronie lokalnej gazety informację o spalonym domu. Odłożyłam magazyn z powrotem na stojak bez płacenia, a sprzedawca posłał mi niechętnie spojrzenie. Nic w artykule nie wskazywało na to, że z pożaru udało się wydostać jakieś ciało. Nic nie miało szans przetrwać, bo ogień szalał całą noc. Nie mogłam zasnąć; w oknie mojego pokoju majaczyła pomarańczowa łuna. Odliczałam udręczone sekundy, a każda wlokła się całą wieczność. Jakby czas się zatrzymał, a noc zamarzała na zawsze w tym jednym momencie.

– Proszę o dostarczenie prac zaliczeniowych do końca przyszłego tygodnia – powiedziała Annabel, zamykając oczy. Odchyliła lekko głowę w tył, odsłaniając zagłębienie między obojczykami. – Minimum dwa tysiące słów.

Spodziewam się tekstów co najmniej wybitnych.

Żadna z nas nie odezwała się ani słowem, dopóki nie doszłyśmy na środek kampusu. Trawnik był ucukrzony stokrotkami, niebo miało barwę niezapominajek. Zalewało nas nasycone, gęste światło dnia. Usiadłyśmy pod starym wiązem. Wśród spłowiejących kartek pożegnalnych, zwiędłych kwiatów i zamokłych misiów pozostawionych tu dla Emily mogłyśmy liczyć na odrobinę prywatności. Inne uczennice mijały nas z daleka, zerkając na dziewczyny (i na mnie, jak zawsze piąte koło u wozu), które przyszły oddać hołd pamięci utraconej przyjaciółki. Alex nachyliła się w moją stronę.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odparłam z nieprzyjemnym ukłuciem w piersi. Czułam się wyobcowana. – A u ciebie?

Nie odpowiedziała. Robin wyszarpnęła z ziemi garść trawy z korzeniami i zaczęła splatać źdźbła razem.

– Chyba nikt jeszcze nie wie – odezwała się, na pozór do nikogo.

– Kiedy ostatni raz go widziałyście?

– Kogo?

Alex westchnęła.

– A jak myślisz?

Robin popatrzyła na nią pustym wzrokiem.

– Kiedy ostatnio...?

– Jezu Chryste. – Alex wzniosła oczy ku niebu. – Czasami jesteś... – Urwała, opanowała się. – Mówiłaś, że przyjechał do domu Violet. Kiedy to było?

– Parę dni wcześniej.

– Którego dnia?

Robin zerknęła na mnie i wzruszyła ramionami.

– We wtorek – powiedziałam. – Na pewno we wtorek.

– O której?

– Co?

– O której przyszedł?

Wlepiłam w nią zaskoczone spojrzenie.

– Nie wiem. O jedenastej wieczorem? Może w pół do dwunastej?

– Nie pamiętasz, kiedy dokładnie?

– Ja pierdołę, Alex, nie robiłam notatek. Jakie to ma znaczenie?

– Może mieć.

Popatrzyłam na Robin.

– Raczej bliżej w pół do dwunastej – potwierdziła, choć nie umiałam ocenić, czy rzeczywiście tak sądzi, czy może chce tylko, żeby Alex już odpuściła temat.

Przez jakiś czas milczaliśmy. Siedzieliśmy w ciężkim cieniu wiązu, przyglądając się uczennicom chodzącym z lekcji na lekcję. Ptaki przelatywały z jednego budynku na drugi.

– Zaczyna się – powiedziała w końcu Alex, wskazując na główny gmach szkoły.

Pani Goldsmith, nauczycielka muzyki, stała przed drzwiami, rozdziawiając usta jak świnka morska, i rozmawiała szeptem z kobietą, której nie znałam. Nauczycielka zaciągnęła się papierosem, zupełnie ignorując zakaz palenia poza wyznaczonymi do tego miejscami, i otarła rękawem łzę z policzka.

Odwróciłam głowę zawstydzona, choć nie byłam pewna, czy zażenował mnie ten widok, czy sam fakt, że byłam jego świadkiem – wiedziałam, że plotka o jej reakcji za kilka minut rozniesie się po całej szkole i zostanie uznana za oznakę oczywistej słabości. Zauważyłam, że po przeciwnej stronie kampusu stoi Nicky i się nam przygląda. Nie podeszła do nas, aż Alex – ku mojemu zaskoczeniu – zawołała ją po imieniu, wstając z trawy. Kiedy Nicky się zbliżyła, Alex objęła ją mocno, nie pozwalając jej wyplątać się z uścisku.

Robin i ja spojrzaliśmy na Grace. Jej wyraz twarzy wskazywał, że ona też nie ma pojęcia, co się dzieje. Ramiona Alex podrygiwały spazmatycznie. Nicky zerknęła na nas niepewnie, co jakiś czas tylko poklepując Alex po plecach, jakby nadal próbowała ją pocieszyć – mimo własnego zaskoczenia.

Wreszcie Alex się odsunęła, choć ciągle ścisnęła Nicky mocno za ramiona.

– Nicky... – zaczęła drżącym głosem. – Nigdy ci nie podziękowałam... Za to wszystko. – Wskazała na spłowiałą fotografię Emily przypiętą do drzewa, martwe kwiaty ułożone w jej imię. – Słyszałam, że ty to zorganizowałaś i... To dużo dla mnie znaczy. Emily byłaby ci wdzięczna.

Poczułam, że Robin napina się lekko na te słowa. Położyłam jej łagodnie dłoń na ramieniu. Nie wiedziałam, co właściwie robi Alex, ale sprzeczka z Robin na pewno nie była częścią planu. Dekoracje upamiętniające Emily były tak naprawdę dziełem szkolnego chóru – odpowiadały poczuciu dramatyizmu stowarzyszenia i stanowiły wizualny akompaniament dla mszy requiem, które dziewczęta ćwiczyły cały semestr na koncert w hołdzie Emily. Fakty jednak nie przeszkodziły Nicky w przyjęciu wyrazów wdzięczności.

– Przynajmniej tyle mogłam... mogłyśmy zrobić – odparła z anielskim uśmiechem. – Nie przyjaźniłam się z nią, ale chciałam, żebyście miały coś... Żeby pamięć o niej nadal żyła.

– To naprawdę dużo dla nas znaczy – zapewniła Alex. – Zwłaszcza że... – Przerwała i spojrzała na naszą trójkę, nadal siedzącą pod drzewem. – Zwłaszcza że teraz już nie wiemy, komu możemy ufać. A ty zawsze byłaś dla nas taka dobra, nawet kiedy źle cię traktowałyśmy. Przepraszam.

Nicky zerknęła na Robin i na mnie. Uśmiechnęłam się w nadziei, że to zapewni przekonującą przeciwwagę dla grymasu, który wykrzywił twarz mojej przyjaciółki. Na szczęście uwagę Nicky przykuło coś innego.

– A komu nie możecie ufać? – spytała, patrząc znów na Alex, która natychmiast opuściła wzrok.

– Źle zrobiłam, że w ogóle coś powiedziałam.

– Alex – odezwała się Nicky konspiracyjnym szeptem.

Dobrze znałam ten ton. Używała go ze mną, kiedy dziewczyny zniknęły i zostawiły mnie samą. To wspomnienie wróciło z taką siłą, że prawie się wzdrygnęłam. W duchu znów usłyszałam jej głos: „Nie jesteś jedną z nich”.

– Przecież wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć. Jastrzębie na zawsze razem – dodała, poklepując się po szkolnym godle na sportowej torbie.

Alex uśmiechnęła się do niej przez łzy.

– Chodzi o to, że... – zaczęła. – Tylko proszę, bez względu na wszystko nie mów nikomu, że słyszałaś to ode mnie... Mama mnie zabije, jeśli się dowie.

– Nikomu nie powiem – zapewniła Nicky odrobinę zbyt pośpiesznie. Słowa Alex nadal wisały na wpeł wypowiedziane w powietrzu. – Nigdy bym tego nie zrobiła.

Akurat to była prawda: Nicky za wszelką cenę unikała podawania źródeł informacji. Nie ze względu na jakąś pseudodziennikarską uczciwość, lecz dlatego, że sama chciała być wyłączną dystrybutorką plotek. Kiedy ktoś pytał, skąd coś wie, tylko potrząsała głową i uśmiechała się słodko.

– No... – Alex popatrzyła na naszą oniemiałą trójkę i zniżyła głos. – Chodzi o pana Holmswortha. Dziekana.

Na sam dźwięk jego nazwiska znów stanął mi przed oczami obraz zakrwawionego ciała na podłodze. Poczułam, że blednę, i odwróciłam wzrok. Nicky nachyliła się nieco bliżej. Puszek na jej policzku połyskiwał w ostrym południowym słońcu.

– No?

– Kilka dni temu... Upił się. Strasznie. Moja mama słyszała od kogoś z baru, nie wiem od kogo, że dziekan wygadywał różne dziwne rzeczy.

Nicky miała już oczy jak spodeczki – podobnie jak my. Co ona wyprawia? Obserwowałam Alex z niepokojem, zastanawiając się, ile z tej historii zmyśla na poczekaniu. To przypominało patrzenie na linoskoczek występującego bez siatki bezpieczeństwa.

– Jakie rzeczy?

– Różne... – Alex westchnęła, pokręciła głową. – O Emily. I o tym, co jej się stało. Ten ktoś, kto tego słuchał, odniósł wrażenie, że dziekan mógł mieć coś wspólnego z jej zniknięciem.

– Boże – westchnęła Nicky.

– Wiem. Mama powiedziała temu znajomemu, że powinien iść na policję, ale... Sama nie wiem. Wątpię, żeby to zrobił. W każdym razie chyba jeszcze nikomu nie powiedział.

– Dlaczego?

Alex wzruszyła ramionami.

– Przecież mowa o dziekanie. I to nie byle jakiej szkoły, tylko naszej. Nikt nie odważyłby się oskarżyć go o coś takiego, nie mając absolutnej pewności. Wyobrażasz sobie, co by zrobili nasi rodzice? Dostaliby szaka.

Nicky z powagą pokiwała głową. Raz widziałam jej mamę. Była kobietą o ptasiej urodzie, z włosami ściętymi na ostrego boba. Pewnego dnia jesienią zaparkowała swojego land rovera przed wejściem do szkoły i oznajmiła, że nie odjedzie, dopóki nie spotka się z dyrektorem, żeby omówić artykuł w szkolnej gazecie. W tekście pojawiła się wzmianka o absolwentce Elm Hollow. Dziewczyna odniosła niewielki sukces, występując z zespołem rockowym, który właśnie ruszył w trasę.

„Uważa pan, że to inspirujące?”, skrzeczała matka Nicky. Jej głos niósł się przez korytarz, z łatwością przebijając zza zamkniętych drzwi gabinetu dyrektora. „To nie ma nic wspólnego z wartościami tej szkoły, a już na pewno nie płacę panu, żeby zachęcał pan te dziewczęta do takich rzeczy. Absolutnie nie!”

– Widzisz, Nicky – ciągnęła Alex. – On mówił, że chce się zabić. Że nie zasługuje na życie. A jeśli mam być szczerą, to... Jeśli rzeczywiście miał coś wspólnego ze śmiercią Emily, mam nadzieję, że to zrobi. I że to będzie bardzo bolesne.

Grace wreszcie otrząsnęła się ze zdumienia, zerwała na nogi i chwyciła Alex za rękę, wciągając ją w objęcia. Alex rozszlochała się tak melodramatycznie, że wargi same rozciągnęły mi się w ponurym uśmiechu. Przyłożyłam dłoń do ust i odwróciłam twarz w nadziei, że Nicky uzna to za przejaw zgrozy, a nie rozbawienia.

– Każdy – zaczęła Nicky, tonem przywodzącym na myśl polityczkę wygłaszającą pocieszające komunały w trudnej dla narodu chwili (prawie zobaczyłam ją wtedy, trzydzieści lat starszą, w zaprasowanym żakiecie, jak chwyta wymanikiurowanymi dłońmi brzegi pulpitu). – Każdy w twojej sytuacji tak by się czuł. Biedactwo, jakie to straszne.

Alex nie odpowiedziała. Na chwilę zapadła cisza. Nicky przyglądała nam się po kolei. Tylko Robin nie podjęła gry. Nadal wpatrywała się pustym wzrokiem w zdjęcie Emily i plastikowe kwiaty w celofanie szeleszczącym na lekkim wietrze.

– Ale pamiętaj – odezwała się w końcu Nicky. – Jeśli kiedyś będziesz chciała z kimś porozmawiać, ja zawsze cię wysłucham.

Alex posłała jej łzawe spojrzenie.

– Dzięki, kotku. – („Kotku”? Skąd ona to wzięła?) – Tylko... Proszę, nie mów nikomu, że słyszałaś to ode mnie, dobrze?

Nicky się uśmiechnęła. Właśnie otrzymała od Alex niewypowiedziane pozwolenie na dowolne rozprowadzanie treści rozmowy, pod warunkiem zachowania anonimowości źródła.

– Oczywiście, skarbie. – Nicky pocałowała ją w policzek. Alex zeszywniała, ale się nie uchyliła.

Siedziałyśmy w milczeniu, dopóki Nicky nie zniknęła w oddali.

– Naprawdę sądzisz, że to zadziała? – spytała Grace.

Przed szkołą zebrało się już stadko nauczycielek. Pograżone w nerwowej rozmowie kobiety przekazywały sobie z rąk do rąk opakowanie mentolowych papierosów pani Goldsmith.

– Nie mam pojęcia – odparła cicho Alex. – Pewnie za jakiś czas się przekonamy.

– Trudno pogodzić się z myślą, że znów zbieramy się tutaj, by opłakiwać kolejną tragedię w naszym gronie – zaczął dyrektor, idąc przez drewnianą scenę na końcu Wielkiej Sali.

Na ścianach wisiały kamienne tablice, podłoga była wyłożona marmurowymi płytami. Śmierć wyglądała z każdego kąta. Za plecami dyrektora wznosił się ołtarz, krzyż lśnił w słońcu jak obelga. Wprawdzie apele dla całej szkoły odbywały się co tydzień, ale Robin i ja rzadko się na nich pojawialiśmy. Piątkowe poranki zbyt łatwo było opuścić. A mimo to teraz spoglądałam na potężne żyrandole, spłowiałe freski na suficie, zdobione

złotem, na witrażowe okna, opowiadające złożone historie w rubinach, szmaragdach i szafirach precyzyjnie wyciętych szybek, i myślałam: jakie piękne miejsce, żeby usiąść i porozmyślać.

Przez tłum przebiegł dreszcz poruszenia – fala szeptów wezbrała wśród członkiń drużyny lacrosse i popłynęła przez pozostałe rzędy uczennic, a nauczyciele tylko odwrócili wzrok. W innych okolicznościach wyłuskaliby z grupy winne i złajali publicznie za taki brak ogłady, teraz jednak wpatrywali się bezmyślnie w podłogę, udając, że nie słyszą.

Nicky okazała się skuteczniejsza, niż nawet Alex mogłaby przypuszczać. Już po kilku godzinach przed drzwiami gabinetu dyrektora zaczęły się pojawiać listy z protestami: najpierw od uczennic, a następnego dnia rano dołączyły do nich skargi od rodziców. Należało przyznać, że Nicky dotrzymała słowa: nikt nie wiedział, skąd pochodzi plotka, choć wszyscy w nią uwierzyli. Apel został zwołany pozornie po to, by uczcić pamięć dziekana i dać nam szansę na „wspólną żałobę”. Tak naprawdę jednak dyrektor chciał po prostu stłumić wzbierającą w nas „histerię” – według informacji podsłuchanych w damskiej toalecie, której rury niosły echem poufne rozmowy z gabinetu dyrektora. „Ale jeśli wszyscy tak mówią... to chyba sugeruje, że coś w tym jest...” – powiedział ponoć ostrożnie nauczyciel chemii.

I rzeczywiście wszyscy tak mówili. Każdy (oczywiście oprócz naszej czwórki) miał własną wersję tej samej historii. Opowiadano, jak dziekan chwycił uczennice za rękę albo jeszcze gorzej – za kolano, kiedy szłochwały w jego gabinecie. Jak prawił komplementy dziewczętom, które uważały się za brzydkie. Ile razy powtarzał im, że nie powinny słuchać słów okrutnych chłopców i że na pewno wkrótce spotkają na swojej drodze mężczyznę, który je zrozumie i doceni... Wszystko to mówił w dobrej wierze – teraz oczywiście to wiem – ale w zimnym świetle podejrzeń każdy gest serdeczności i dobra wydawał się podszyty złymi intencjami.

To, że wszyscy w to uwierzyli – w to kłamstwo, w nasze kłamstwo – tylko utwierdziło Robin w przekonaniu, że jesteśmy chronione i wspierane

w naszych działaniach przez Furie, które przywołałyśmy wiele miesięcy wcześniej.

– To się pokrywa z ich filozofią – oznajmiła, kiedy szłyśmy całą czwórką przez kampus. Ceglane budynki płonęły złotem w promieniach zachodzącego słońca.

– Ćśśś – syknęła Alex. Zerknęła ukradkiem na Grace. Ostry, bezczelny ton Robin zachwiał jej zwykłą pewnością siebie.

Ja też miałam wątpliwości co do teorii Robin, choć cień Furii nadal budził mnie w nocy, szarpał nienawistnie za kręgosłup, wykręcał trzewia. Smród gnijącego ciała wdierał mi się w nozdrza przez sen. Czasami miałam wrażenie, że Robin mnie prowokuje, próbuje zmusić, bym powiedziała na głos, co zrobiłyśmy. Chyba szukała ujścia dla własnych emocji, choć czasami jej oczy wydawały się zupełnie martwe, traciły dawny blask, a głos brzmiał, jakby wydobywał się zza maski.

Jednak mimo wątpliwości musiałam przyznać, że jej pewność siebie trochę mnie pociesza, a gorączkowa wiara w naszą nietykalność była zaraźliwa. Potworność, jakiej się dopuściłyśmy – myśl, że zatrzymałyśmy bijące serce i rozlałyśmy niewinną krew, do dziś dręczy mnie w snach – była tak niewyobrażalna, że trzeba było przenieść ją w sferę fikcji, by choć na chwilę zmniejszyć siłę jej rażenia. Może Robin ma rację, pomyślałam albo raczej pomodliłam się w duchu, kiedy otworzyła podręcznik na stronie z reprodukcją *Charlotte Corday* Paula Baudry’ego.

– Ona też jest jedną z nas – syknęła do mnie, wskazując na ilustrację. Annabel stała zaledwie kilka metrów dalej. Policzki zapłonęły mi czerwienią. Z ulgą zobaczyłam, że Annabel się uśmiecha; nie usłyszała.

– Może nigdy się nie dowiemy – ciągnął dyrektor – dlaczego tak tragiczny wypadek przytrafił się jednemu z naszych...

Nagle na tyłach sali rozległ się wrzask. Jedna ze starszych dziewcząt wstała, spoglądając z wściekłością na dyrektora. Nie znałam jej imienia, ale zawsze z daleka podziwiałam jej zielonkawo-niebieskie włosy i kolczyk w nosie.

– Wiemy! – krzyknęła. Jej głos odbił się echem od starych ścian.

Annabel siedziała tuż za nią z rękami splecionymi na piersi, nieruchoma pod czujnymi spojrzeniami kamiennych aniołów. Jako jedyna spośród nauczycieli nie wpatrywała się w podłogę. Tylko po jej twarzy przebiegł przez ułamek sekundy uśmiech, kiedy dziewczyna dodała:

– To on zabił Emily Frost!

Zerknęłam przelotnie na Robin. Była śmiertelnie blada – domyślałam się, że ma kaca, choć od nocy morderstwa każdą z nas chyba co jakiś czas nawiedzało wspomnienie, od którego cała krew odpływała nam gwałtownie z twarzy. Dyrektor odkaszlnął ostrzegawczo, ale grono pedagogiczne milczało. Nauczyciele nie ruszyli się ze swoich miejsc pod ścianami.

– Nie mamy żadnych informacji, które sugerowałyby...

– Mamy! Wszyscy wiemy, co zrobił! – krzyknęła inna dziewczyna, ośmielona milczącym poparciem zebranych. – To morderca!

– Proszę usiąść – nakazał dyrektor, ale w jego głosie dało się słyszeć znużenie, które tylko zachęciło kolejne uczennice do zerwania się na nogi. Widząc to, dał sygnał dyrygentce, która zaczęła requiem, ale śpiew chóru został zagłuszony przez krzyki dziewcząt – „Morderca! Morderca!” – wzbierające na sile i szybkości. Już po chwili wszystkie uczennice wstały z miejsc.

To znaczy – z wyjątkiem nas. Nie wiem, czy chodziło o samo słowo, skandowane przez nasze rówieśniczki w brutalnym rytmie, czy może o nagłe zrozumienie, że dałyśmy początek czemuś, co teraz wyrwało się spod kontroli, żyło własnym życiem, rozrastało w bestię większą i bardziej okrutną, niż mogłybyśmy sobie wyobrazić. A może po prostu nagle dotarło do mnie, że to, co zrobiłyśmy, ma wartość ostateczną: puste krzesło, msza żałobna. Zamknęłam oczy, próbując powstrzymać drżenie dłoni.

Robin zakaszlała w rękaw. Zerknęłam na nią z niepokojem. Chwyciła mnie mocno za rękę, ścisnęła, rozdygotana z wysiłku. Czy ona płacze? Zgięła się wóół, schowała twarz w dłoniach. Niemożliwe. Przestań, myślałam, nie teraz. Dopiero po chwili dostrzegłam pod wyświechtanym rękawem szkolnej

marynarki błysk uśmiechu, zęby zatopione w pięści, by zdławić chichot. Im głośniej śpiewał chór, tym niżej ona się schylała, trzęsąc ramionami.

Niemożliwe. To nie jest śmieszne. Nie.

Poczułam na nas wzrok sąsiadek. Schyliłam się nad Robin i objęłam ją w nadziei, że to będzie wyglądać, jakbym ją pocieszała, i uszczypnęłam ją mocno w rękę.

– Co ty wyprawiasz? – syknęłam.

Odwróciła się nieco w moją stronę. Twarz miała wykrzywioną z wysiłku, z całych sił próbowała powstrzymać śmiech, który nie dawał się zdusić. Jej włosy przykleiły mi się do warg. Odlepiłam je, wiedząc, że to jeszcze bardziej ją rozbawi. A kiedy okazało się, że miałam rację, ja też się roześmiałam, pomimo powagi całej sytuacji, i ukryłam twarz w jej ramieniu.

Spojrzałam na dziewczyny. Patrzyły przed siebie, a na ich twarzach malowała się zgroza, która niemal na pewno by je zdradziła, gdyby nie żałoba po Emily, którą tak łatwo można było im przypisać. Ta narzucona maska ratowała nas wszystkie – Robin i mnie, zanoszące się groteskowym, gwałtownym śmiechem; Alex i Grace, znieruchomiłe w tragicznym, gorzkim przestraszu. Byłyśmy chronione przed tym, co zrobiłyśmy. Przynajmniej w tej chwili nie miały się nas konsekwencje zbrodni ani widmo kary. Morderstwo zmieniło się w żart.

Gdy apel wreszcie dobiegł końca (requiem ostatecznie przerwano, a słowa dyrektora utonęły w okrzykach protestu i prędko zostały zapomniane), wyszłyśmy za resztą uczennic na plac na środku kampusu, zwieszając nisko głowy, gdy mijałyśmy Annabel. Ona jednak była zajęta rozglądaniem się po dziewczętach, które prędko utworzyły ciasne grupki, by dalej wymieniać się opowieściami o „dziwnym” zachowaniu dziekana i „nieodpowiednich” komentarzach, jakie słyszały ponoć z jego ust. Nauczycielka owinęła się szalem z cienkiej gazy. Nie miałam wątpliwości, że jej uważne oczy analizują estetykę tej sceny.

Alex i Grace usiadły obok nas na trawniku. Nadal śmiałyśmy się cicho, przekonane, że nikt nas nie widzi. Żdźbła trawy były wilgotne i lśniące od

kropel wody (dozorcy kampusu wykorzystali tę rzadką chwilę, kiedy cała szkoła zebrała się w jednym miejscu, by podlać wysuszoną, spragnioną trawę).

– Uch – stęknęła Robin, ścierając smugę błota z torby. – Banda debili.

– Co tam się działo? – spytała ze złością Alex. – Czy wy... – Zniżyła głos do szeptu. – Czy wy się śmiałyście?

– Przepraszamy – odparłam z szerokim uśmiechem. – Po prostu...

– Wiesz co, jesteś zupełnie jak Emily – rzuciła gniewnie Alex.

Policzki mi zapłonęły. Najpierw wezbrała we mnie złość, ale zaraz potem poczułam dreszcz strachu.

– Co?

– Nieważne, jaką głupotę ona robi, ty zawsze trzymasz jej stronę. – Alex porwała źdźbło trawy na kawałki i rzuciła je na ziemię. – To żałosne.

– Spierdalaj, Alex – odparła sztywno Robin. – To, że Vivi ma poczucie humoru, jeszcze...

– Poczucie humoru, przez które nas aresztują.

– Kurwa, uspokój się już. Nikt nawet nie zauważył – zaprotestowała Robin, ale spostrzegłam, że jej wzrok przeskakuje z miejsca na miejsce. Źrenice miała wielkie jak czarne dziury.

Alex spojrzała na Grace.

– My zauważyliśmy. Szczerze mówiąc, trudno było to przeoczyć.

– Dobra. Okej. Już nigdy więcej nie będziemy się z niczego śmiać. Zero śmiechu.

– Nie o to mi...

– Wiesz co, Alex? – Robin dźwignęła się ciężko na nogi. – Pierdol się.

– O, bardzo inteligentna odpowiedź. Jaka elokwencja! – krzyknęła Alex za odchodzącą Robin.

Patrzyłam za nią przez chwilę oszołomiona, po czym znów odwróciłam się do dziewczyn.

– Wspaniale. Świetna robota, Alex – powiedziałam, wstając. Świat na chwilę rozszedł się w szwach, poczułam przelotne zawroty głowy, obraz lekko

zafalował.

– Ona nie ma nad sobą żadnej kontroli – odparła zimno Alex. – Musisz ją...

– Nic nie muszę – przerwałam jej. – Może za to ty powinnaś przestać być taka... – Przez kilka sekund szukałam słów, miotałam się po omacku w pogoni za właściwym rozwiązaniem, ale nic nie znalazłam. Nagle poczułam się wyczerpana, przygnieciona niespodziewanym, okrutnym ciężarem. Chwiejnym krokiem ruszyłam za Robin, która zdążyła już zniknąć między budynkami. Było już za późno, kiedy uświadomiłam sobie, że dziewczyny nie poprosiły, żebym wróciła.

Siedziałyśmy przed domem na ukradzionych skądś leżakach. Wczesnowieczorny chłód oblizywał nam skórę. Całe popołudnie spędziłyśmy w domu Robin. Jej rodzice wyjechali gdzieś na wakacje – „do jakiegoś McKurortu na korporacyjny obóz relaksu”, prychnęła, zanim zmieniła temat. Piłyśmy bez opamiętania, powoli opróżniając wszystkie butelki w barku. Cała podłoga była zachlapana wodą, której dolewałyśmy po każdym podkradzionym łyku wódki.

Robin podała mi porcję białego proszku w bibułce. Przyjęłam ją bez zastanowienia, jakbym w ten sposób mogła przegonić obrazy zalegające mi w pamięci. Kiedy tylko się poruszałam, czułam ostry zapach nieświeżego ciała, choć nie miałam pojęcia, skąd się brał. Od tamtej nocy w domu dziekana nie myłam włosów. Na samą myśl o krwi zaschniętej na czarnej farbie czułam, jak dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa – to nie było do końca nieprzyjemne; było jak niepokój podszyty niebezpieczną ekscytacją.

Ze środka dobiegała trzeszcząca melodia z płyty gramofonowej. Robin wstała, zaczęła kołysać się w przód i w tył. Śpiewała razem z wokalistką, bełkotliwie wyrzucając z siebie słowa.

– Jezus umarł za czyjeś grzechy, ale nie za moje – zanuciła, strzelając szczęką po każdym zdaniu. Odruchowo robiłam to samo. Od rana gryzłam wewnętrzną stronę policzka, aż delikatna tkanka zmieniła się w poszarpaną

masę o smaku krwi. Ziewnięcie dało przynajmniej chwilową ulgę.

– Jezus umarł za czyjeś grzechy, ale nie za moje – zaśpiewała Robin jeszcze raz, bujając się na piętach. Wpadła tyłem na przeszklone drzwi balkonowe, ochlapując szybę drinkiem. – Kurwa – mruknęła i odwróciła się, żeby ocenić poziom szkód.

– Siadaj – poprosiłam. – Przez ciebie kręci mi się w głowie.

– Nie – zaprotestowała, chwytając za oparcie leżaka. – To mnie się kręci przez ciebie.

– Nie wiem, o co ci chodzi – jęknęłam.

– Jak na ciebie patrzę, zawsze mam wrażenie, że widzę podwójnie – wymamrotała Robin. Włożyła dłoń do misy ze szklanymi kamykami i rzuciła garść w powietrze, krzywiąc się, gdy spadły na ziemię. Zakryłam twarz ręką. Deszcz kamyków tłukł o posadzkę jak strzały z pistoletu. – Jakbyś była sobą i nią jednocześnie. Nie wiem dlaczego.

Odkąd wyszłyśmy ze szkoły, próbowałam jakoś sprowadzić rozmowę na poranną kłótnię z dziewczynami. „Jesteś zupełnie jak Emily”. Słowa Alex wgrzyzały mi się w umysł głębiej za każdym razem, kiedy przypomiinałam sobie fakty: Emily nie żyła. A jeśli dziekan miał rację, to one ją zabiły. Jednak kiedy tylko mówiłam coś na ten temat (moje myśli krążyły wokół niego uparcie, jak woda w odpływie), Robin posyłała mi niechętne spojrzenie i połykała kolejną pigułkę, przyciskając dłoń do ust, jakby trzymała w nich jakiś sekret. Czasami zamiast tego piła wino prosto z butelki – tak łapczywie, że musiałam wyrywać jej butelkę z rąk, obiecując zaniechanie dalszych pytań.

Muzyka przyspieszyła. Usiadłam na leżaku, drewniane listwy uszczypnęły moje nagie uda.

– Co?

– Och, była taka dobra – zaśpiewała Robin, obracając się wokół własnej osi. – Była taka piękna.

– O czym ty mówisz? – spytałam, słysząc lekki bełkot we własnym głosie.

– O co ci chodzi?

Robin tańczyła dalej. Zamknęła oczy, twarz zwróciła w stronę księżyca. Na

tle jasno oświetlonego ogrodowego płotu jej ciało wyglądało jak plama nieziemskiej bieli. Cała zmieniła się w krzykliwy tryptyk Bacona. Wysunęła brodę, obnażyła zęby. Pod wargą miała zaschniętą smugę, jakiś cień – prawdopodobnie tusz albo cień do powiek. Mimo to nie mogłam na to patrzeć. Odwróciłam wzrok, wiedząc, że w tej chwili Robin myśli o Emily, dziewczynie, którą zabiła. O dziewczynie, która wyglądała jak ja, choć nie była mną. Miałam wrażenie, że wszyscy tak uważają.

– Muszę siku – mruknęłam, podnosząc się chwiejnie na nogi, nadal trzymając w palcach bibułkę. Weszłam do środka, zostawiając drzwi na patio szeroko otwarte.

Drobiazgi porozstawiane po domu zdradzały mi szczegóły z życia Robin i jej rodziny – a ja chłonełam każdy szczegół. Przy schodach wisiał oprawiony w ramkę wycinek z gazety: ośmioletnia Robin wygrała konkurs na projekt ilustracji promującej bezpieczeństwo w mieście. W kuchennym zlewie stał popękany gliniany kubek z napisem „Mama”.

– To od mojej siostry – wyjaśniła Robin wcześniej, gdy zobaczyła, że mu się przyglądam. – Myślisz, że ja zrobiłabym coś tak ohydneho?

Nic nie wyglądało tak, jak sobie wyobrażałam. Jej pokój był obwieszony świecidełkami, na ścianach wisiły ponadrywane plakaty, a na środku stało ogromne łóżko z ciemnoróżową pościelą. Wszystko było zbyt przytulne, zbyt miłe, żeby mogło naprawdę należeć do Robin.

– Mama ma świra na punkcie czystości – wyjaśniła, wzruszając ramionami, kiedy wieszła szkolną marynarkę w białej szafie o drzwiach rzeźbionych w lilie.

Zatrzymałam się przed rzędem półek zastawionych ozdobami i ramkami. Robin i Emily w dzieciństwie: kiedy mrużyłam oczy, mogłam udawać, że to my, przyjaciółki na całe życie. Stare imbryki i kryształowe kieliszki, drewniane pudełko z misiem wyhaftowanym na poduszczyku na wieczku. Podniosłam je i zajrzałam do środka, oglądając zdjęcia paszportowe i osierocone klucze, jakby skrywały jej sekrety.

– Wychodzimy – odezwała się nagle Robin, chwytając mnie od tyłu za

ramiona. Upuściłam przykrywkę i odwróciłam się gwałtownie. – Przyda się nam świeże powietrze, a w mieście jest jarmark. Nie ma nic lepszego – dodała z szerokim uśmiechem.

– Nie cierpię jarmarków – jęknęłam. – Jestem zmęczona.

– Boże, ale bełkoczesz. Ledwo... – przerwała, beknęła, pokręciła głową. – Ledwo mówisz. Przyda ci się spacer. Chodź, wytańczymy się.

Ściągnęła mnie z łóżka. Dłonie miała zimne i wilgotne od potu, piosenka przyspieszała, aż serce zaczęło dygotać mi w piersi.

– Masz rację – powiedziałam, artykułując każde słowo z przesadną starannością. Niemal przygryzłam sobie język na ostrym „c”. – Widzisz? Nie bełkoczę. – Straciłam równowagę, oparłam się plecami o drzwi. Haczyk wieszaka wbił mi się mocno pod łopatkę. – Dobra... Chodźmy.

Chłodne powietrze nieco mnie otrzeźwiło. Oblepiał nas coraz gęstszy mrok, sylwetki drzew odcinały się od ciemniejącego nieba, połyskującego głębokim granatowym blaskiem. Wyrwałam z żywopłotu główkę peonii i ścisnęłam ją mocno w palcach, a gdy zbliżyliśmy się do centrum i weszliśmy na jarmark, rozgniotłam płatki na wilgotną miazgę. Dzieci krzyczały, celując z plastikowych pistoletów do gumowych kaczek, obserwowanych przez martwookie Koty Feliksy i wyszczerzone Diabły Tasmańskie. Z domu strachów co jakiś czas wyrывał się głośny śmiech Vincenta Price’a, a pęknięta ręka kościotrupa wymachiwała obłąkańczo przy akompaniamencie zapętlonego nagrania *Thrillera*.

– Wiesz, jak się na to mówi? – spytała Robin, odwracając się w moją stronę. Wyciągnęła rękę z watą cukrową. Lepkie różowe futerko przykleiło mi się do warg.

– Dzięki – odparłam, odpychając kolorową chmurę. – Jak na co się mówi?

– Na to, teraz.

– Co?

– Godzina czarownic. – Puściła do mnie oko.

– Bardzo adekwatne – roześmiałam się.

– Hej, dziewczyny – rozległ się nagle męski głos. – Może chcecie się

przejechać? – Słowa zawisły w powietrzu.

Robin się odwróciła, a ja podążyłam za jej spojrzeniem. Między vanem z burgerami a budką biletową stał wysoki, szczupły facet. Trzymał w dłoniach trzy butelki piwa, kołysał się lekko z wysiłku, jaki kosztowało go utrzymanie wyprostowanej postawy. Wskazywał na swoje krocze. Spróbowałam odczytać napis na jego koszulce – jakiś slogan złożony z popełnionych, wyblakłych liter. Między nami przebiegła grupka chłopców w maskach gazowych na twarzach. Wdrapali się na barierki i wskoczyli do elektrycznych samochodzików.

– Olej go – powiedziałam, idąc przed siebie.

Ona jednak stała nieruchomo i patrzyła mu prosto w oczy.

– Robin – syknęłam. – Chodź.

Zerknęła na mnie przelotnie i uśmiechnęła się. Dobrze znałam ten uśmiech, sugestywny, rozgrzewający do białości.

– E, nie. Mam lepszy pomysł.

Zatarła ręce jak czarny charakter z kreskówki. W tle znów rozległ się rechot Vincenta Price’a. Prychnęłam. Słodka wata cukrowa podeszła mi do gardła.

Robin zbliżyła się do niego, a ja za nią, trzymając się kilka kroków z tyłu. Znów popatrzyłam na jego koszulkę. Zauważył moje spojrzenie i przesunął dłonią po materiale, jakby chciał zetrzeć niewidzialną plamę. Piwo chlapnęło z otwartych butelek.

– Dzień dobry panu – odezwała się słodko. Jej głos brzmiał młodo, kusząco. – Dla kogo niesiesz to piwo?

Uśmiechnął się z demonstracyjną pewnością siebie, odsłaniając ukruszoną jędynkę.

– Dla dorosłych.

– Świetnie. – Sięgnęła po butelki, ale on uniósł je w kpiącym geście. Robin znów spojrzała na mnie. – Widzisz, mówiłam ci, że on tylko dużo gada.

– Standard – przytaknęłam, podejmując jej grę. Miałam nadzieję, że nie usłyszą nerwowego drżenia w moim głosie. – Chodźmy.

Facet opuścił piwa i zlizął rozlaną kroplę z dłoni.

– Mogę wam dać po jednym, ale będziecie mi winne przysługę.

– Pfff. – Robin przewróciła oczami. – Dzięki, nie jesteśmy zainteresowane.

– Ruszyła przed siebie, oświetlona od tyłu przez złote światło diabelskiego młyna. Lampki poruszały się trochę zbyt szybko, kręciło mi się od nich w głowie. Zamknęłam oczy.

– Żartowałem – zapewnił prędko facet. – Rany. Nie lubisz się bawić, co?

– No coś ty. Uwielbiam dobrą zabawę. – Robin wyrwała mu dwie butelki zgrabnym ruchem i podała mi jedną. – Chcesz się przejechać? – Wskazała na młyn.

Popatrzył na mnie. Żadne z nas nie było pewne, do kogo mówiła.

– Ty idź – powiedziałam, biorąc łyk piwa z butelki. Było ciepłe, na szyjce zobaczyłam tłustawy odcisk palca. Na samą myśl, że miałabym znaleźć się nad ziemią, żołądek podchodził mi do gardła. – Ja muszę chwilę posiedzieć.

Robin złapała go za ramię.

– Dobra. Zabierz mnie... Jak ty się nazywasz?

– Mike.

Robin prychnęła, a on się zaczerwienił.

– Co?

– Nic. Chodź.

Wdrapali się po metalowych schodkach. Brzęk ich kroków wibrował mi w zębach. Przysiadłam na najniższym schodku, ale prawie natychmiast przegonił mnie stamtąd pracownik obsługi. Podeszłam do karuzeli i oparłam się o ogrodzenie, czując za sobą równomierny grzechot obracającego się mechanizmu. Zamknęłam oczy, czekając, aż przejdą mi mdłości. Włożyłam ręce do kieszeni w poszukiwaniu bletki, którą schowałam tam wcześniej, ale prędko zorientowałam się, że zniknęła – pewnie podkradziona z powrotem przez wszędobyłskie dłonie Robin.

Kiedy podniosłam powieki, oni byli już wysoko nad ziemią. Kołysali się rozbawieni w żółtym wagoniku, Robin przycisnęła nogi do jego kolan. Opowiadała mu o czymś z ożywieniem, wkładając w to cały swój urok. Kiedy wreszcie wysiedli, Robin wzięła go pod rękę. Szeptali do siebie i chichotali –

jego śmiech był dziwnie piskliwy, jak u dziecka.

Robin wezwała mnie gestem, dając znać, żebym poszła za nimi. Poczułam lekkie szarpnięcie zawiści w piersi – jak zawsze, kiedy ktokolwiek poza Alex i Grace przyciągał uwagę Robin (czasami nawet o nie byłam zazdrosna, choć wtedy nie chciałam się do tego przyznać). Z czasem zaczęłam obwiniać o te uczucia bliznę na mojej dłoni, ten ślad po zakłęciu przyjaźni. Może byłam przesadna, a może po prostu szukałam jakiejś wymówki. Blizna nadal połyskiwała srebrzystą bielą i czasami wyrывała mnie ze snu ukłuciem przeszywającego bólu, który znikał, kiedy otwierałam oczy. To przez to chciałabym, żebyśmy były tylko we dwie, mówiłam sobie w duchu. Kiedy jesteśmy same, stajemy się jedną osobą, myślałam. Z perspektywy czasu widzę, że nie było w tym nic poza rozgrzaną do białości młodzieńczą zazdrością. Wtedy jednak niosłam w piersi ciężki kłęb frustracji, choć posłusznie snułam się za nimi od jednej budki do drugiej.

– Idę już – oznajmiłam, kiedy Mike po raz trzeci nie zdołał trafić w kokosa na kiju. Miałam nadzieję, że zabrzmie nonszalancko, ale nawet ja usłyszałam w swoim głosie nadąsaną nutę, jak u dziecka wykluczonego z gry na placu zabaw.

Odwróciła się gwałtownie.

– Co?

– Idę. Nie będę tu sterczeć jak piąte koło u wozu i patrzeć, jak zdradzasz Andy’ego.

Robin uniosła wysoko brew.

– Przecież nie znosisz Andy’ego.

– Tak, ale... Jestem zmęczona. Chcę już iść.

– Nie, wcale nie chcesz. Musisz po prostu nabrać trochę wiatru w żagle. A poza tym: a) – Robin uniosła jeden palec. – Między mną a Andym wszystko skończone.

– Tym razem na serio?

– Wow. Dzięki za współczucie.

– Nie o to mi...

Robin zasyczała i uniosła drugi palec.

– I b)... – dodała, zerkając przez ramię na Mike'a. Właśnie kupował kolejne trzy żetony, żeby wreszcie wygrać dla niej zabawkę. Robin posłała mu zalotny uśmiech. – Chyba nie sądzisz, że zamierzam się z nim przespać?

– Tak się zachowujesz.

– Po tym, co powiedział? Nie pierdol.

– A co powiedział?

Przewróciła oczami.

– „Hej, dziewczyny, wsiądziecie mi na fiuta?” – powiedziała niskim, nosowym głosem.

– Mówiłam ci, żebyś go olała – odparłam, spoglądając w niebo. – To ty chciałaś...

– Co chciałam?

Wzruszyłam ramionami.

– Dać mu, czego chce.

– Poważnie sądzisz, że właśnie to tutaj robię? – jęknęła. Jakiś chłopiec wskazał na nią palcem i się roześmiał. Robin popatrzyła na niego i wywinęła palcami dolną wargę, ukazując wściekle czerwone dziąsła. – Jezu, Violet – mruknęła, kiedy matka odciągnęła zaskoczone dziecko. – Naprawdę jesteś aż tak tępa?

– W takim razie co...

– Poczekaj, to się przekonasz. Tylko... – Chwyciła mnie za nadgarstki, wsunęła palec wskazujący pod łańcuszek mojej bransoletki. – Proszę, zostań. Bardzo cię proszę, zostaniesz?

Wiedziałam, że to zrobię. Mimo to udawałam, że się waham. Spojrzałam nad jej ramieniem na Mike'a, który próbował przekonać sprzedawcę, by pozwolił mu kupić zabawkę bez konieczności wygrywania w grze.

– Dobra – zgodziłam się w końcu. – Ale jeśli zaczniesz się z nim lizać, to sobie idę.

Robin pocałowała mnie w policzek.

– Zgoda. A teraz zabierzmy stąd tego idiotę, zanim zrobi sobie krzywdę. –

Odwróciła się do Mike'a. – Próbujesz oszukiwać? – Rzuciła figlarnie, choć każde słowo było ostre jak szpilka. – Kurwa, co za frajer.

Wzięła go pod ramię i przysunęła się do niego. Jej włosy musnęły jego skórę. Dobrze znałam tę zagrywkę. Robin wiele razy wykorzystywała ją, żeby wyłudzić ode mnie pracę domową albo przekonać do zrobienia czegoś głupiego i nieodpowiedzialnego. Zawsze działało. Na niego też.

– Chodźmy do ciebie do domu – zaproponowała, zerkając na niego spod rzęs.

– Po co? – spytał, odsuwając się nieco.

– Żeby nie siedzieć cały wieczór na dworze z rozwrzeszczanymi dziećmiakami.

Mike się zawahał, uniósł brew. Zachybotął się lekko.

– Ile ty masz lat?

– Dość dużo, żeby wiedzieć, czego nie powinnam robić.

Parsknęłam mimowolnym śmiechem – ta odpowiedź była absurdalna, melodramatyczna, jak cytat z kiepskiego filmu. Słyszając to, oboje odwrócili się na chwilę, jakby byli zaskoczeni, że jeszcze tu jestem.

– Pewnie – powiedziałam, czując, jak różowieją mi policzki. – Chodźmy.

Mike przyglądał mi się przez chwilę, potem znów spojrzął na Robin. Miał szkliste oczy.

– Okej – zgodził się w końcu. Poszli przodem, ich kroki rozbrzmiewały w dwóch różnych rytmach. Potykali się lekko, próbując utrzymać jedno tempo.

Znów zaczęłam grzebać w kieszeniach, zastanawiając się obojętnie, czy Robin nie podrzuciła mi paczuszki z pigułkami (zawsze chodziła bez kurtki, z wyjątkiem najzimniejszej pogody – wtedy nosiła wyświechtane futro, miejscami wyliniałe od lat używania. Korzystała z moich kieszeni, by przechowywać rzeczy zbyt małe, by wrzucić je do swojej torby, i zbyt duże na upchnięcie w staniku. Czasami budziłam się rano i znajdowałam przy sobie cząstki Robin – drobiazgi, małe skarby przykurzone od piasku, kawałki papieru poskładane w kanciaste stworzenia. Nigdy nie prosiła o zwrot żadnej

z tych rzeczy, więc w końcu wypełniłam nimi całą szufladę, tworząc sobie ułamkowe muzeum na wpół zapomnianych nocy).

Dziś jednak nic mi nie zostawiła. Każdy krok oddalający nas od jaskrawego hałasu jarmarku ściągał mnie odrobinę bliżej ziemi, oczy zapadały mi się coraz głębiej w czaszkę, ciemność oblepiała nas coraz szczelniej.

– Daleko jeszcze? – spytałam cicho, ale albo mnie nie usłyszeli, albo po prostu nie chciało im się odpowiadać.

Zanim dotarliśmy do jego mieszkania (w podniszczonym betonowym bloku o śliskich, śmierdzących klatkach schodowych), oni zdążyli zamknąć się we własnym świecie. Jego dłoń co jakiś czas zsuwała się z jej ramienia na plecy, biodra i jeszcze niżej. Robin go nie odpychała, ale udawała, że się potknęła, on z powrotem przenosił rękę na jej kark. Krzywiłam się za każdym razem, kiedy ten taniec rozpoczął się na nowo.

Mike włożył klucz do zamka w drzwiach pomalowanych łuszczącą się ciemnozieloną farbą i otworzył. Przytrzymał je przed nami. Zawahałam się na progu, a on tylko wzruszył ramionami i wszedł za Robin do środka. Czekałam, odliczając sekundy, i próbowałam odpędzić nadchodzącą falę mdłości. Wpadłam w dziwne otumanienie. Powietrze skwierczało mi nieprzyjemnie na skórze, gęsia skórka unosiła się i opadała z każdym krokiem – nadeszła ta smętna godzina, w której człowiek zastanawia się, dlaczego to wszystko wydawało mu się takie wspaniałe, i przysięga na życie krewnych i znajomych (tych dalekich, tak na wszelki wypadek), że już nigdy nawet nie spojrzy na alkohol, narkotyki ani żadne inne używki. Życie w ascezie, zakon lub nawet więzienie wydają się – przez krótką chwilę – bardzo atrakcyjnym rozwiązaniem.

Robin wyjrzała przez drzwi.

– No chodź – syknęła, chwyciła mnie za rękę i wciągnęła do środka. Czarny eyeliner kruszył się jej w kącikach oczu.

Pamiętam mdlący, wilgotny zapach stęchlizny, ściany pomalowane burozieloną farbą, blaty z formiki. Kanapę obitą poplamionym, wyświechtanym brązowym sztruksem. Podeszwy naszych butów popiskiwały

na brudnym linoleum. Deskorolkę opartą o ścianę przy stercie znoszonych skórzanych butów i wymiętoszonych adidasów. Słabe pomarańczowe światło latarni wlewało się przez żółknące żaluzje.

– Miło tu, co? – szepnęła do mnie Robin.

– Uroczo. Możemy już iść?

Ona rozejrzała się wokół, podniosła wzrok i znów spuściła.

– Ej, Mike... Masz coś do picia?

On tylko opadł na kanapę i wskazał w stronę lodówki, na której stało kilka na wpół opróżnionych butelek, pokrytych lepkim, tłustym kurzem. Robin wzięła mnie za rękę. Zaczęłyśmy przeglądać etykiety.

– Kurwa, brzoskwiniowy sznaps? – prychnęła. – Jesteś gejem czy co?

On tylko sięgnął po pilota i włączył PlayStation. Urządzenie zaszumiało, z telewizora popłynęła muzyka. Mike podniósł kontroler i zaczął grać.

– Frajer – szepnęła Robin.

– Chyba powinniśmy już iść – ponagliłam ją.

– Chyba powinnaś trochę wyluzować – odparła.

Wyjęła małą torebkę proszku. Na przedzie widniała uśmiechnięta żółta buzia. Robin wysypała zawartość na szklaną deskę do krojenia i podzieliła proszek nożem, postukując rytmicznie. Rozejrzałam się jeszcze raz, aż w końcu zauważyłam brudną butelkę wódki na półce wysoko pod sufitem. Wdrapałam się na blat, czując, jak tłuszcz lepi mi się do kolan i dłoni. Podałam butelkę Robin.

– No, tak lepiej – oceniła. Zdjęła zakrętkę, wzięła łyk i skrzywiła się, gdy alkohol zapiekł ją w gardło. Wręczyła mi wódkę, potrząsając głową. – *Salut* – powiedziała, a ja odchyliłam głowę. Ciepły płyn palił mnie w spękane kąciki warg. Zacisnęłam mocno oczy, aż zobaczyłam gwiazdy, i oparłam się o zlew. Wygięłam plecy, aż chrupnęły mi kręgi.

Z wieży popłynęła muzyka, mieszając się z warczeniem silników i wyciem klaksonów w telewizorze. Robin pokręciła gałką i dźwięk ryknął, trzęsąc śmierzdzącymi talerzami i sztućcami w zlewie. Odsunęłam się oszołomiona. Czułam rytm pod paznokciami. Przysiadłam ciężko na kanapie obok Mike'a.

Nawet nie zauważył – był zbyt pochłonięty migającymi światełkami swojej gry.

Robin usiadła po jego drugiej stronie. Położyła sobie deskę na kolanach i rozdrapała proszek nożem w równe białe kreski. Trąciła Mike'a raz, potem drugi, mocniej. Samochód zjechał z drogi z piskiem opon. Mike stęknął rozdrażniony i odłożył kontroler na bok. Robin podsunęła mu deskę.

– Co to jest?

– Paliwo na imprezę. – Zerknęła na mnie prędko, potem znów popatrzyła na niego. – No, dawaj. Chyba że się boisz? – spytała, zwijając w palcach banknot.

Wyrwał go jej i skręcił nieco ciaśniej. Kiedy nachylił się nad szkłem, odbicie jego twarzy wyglądało jak karykaturalna maska. Ustawił się i wziął głośny, zaflegmiony wdech. Potrzęsnał głową, zamykając oczy. Podsunął mi deskę, ale Robin mu ją wyrwała.

– Ona nie chce.

– Spierdalaj – zaprotestowałam, sięgając po proszek. – Daj mi to.

Robin wstała, mrużąc oczy, i odłożyła deskę na podłogę z taką siłą, że chmura białego proszku uniosła się w powietrze.

– Violet, posłuchaj. Musisz sobie zrobić przerwę. – Znów usiadła i spojrzała na Mike'a. – No, to czym się zajmujesz?

Nie pamiętam jego odpowiedzi. Już straciłam zainteresowanie (albo raczej od początku nie byłam zainteresowana, choć może słuchałabym uważniej, gdyby powiedział coś choćby odrobinę zajmującego). Zdjęłam wódkę ze stołu i wzięłam jeszcze jeden łyk. Przez chwilę trzymałam alkohol na języku, nadąsana jak rozszoszczone dziecko. Powoli przesunęłam się do przodu. Nie będzie mi mówiła, co mam robić, pomyślałam gorzko.

Kiedy jednak spróbowałam się podnieść, Mike chwycił mnie mocno za nadgarstek, wciskając kciuk w zagłębienie między kośćmi.

– Co ty... – zaczęłam.

Spróbowałam wyszarpnąć rękę, ale on nie poluzował uścisku. Przez ułamek sekundy poczułam trzask gałązek pod plecami, dłonie wbijające mi się

w ramiona, skórę napinającą się na obojczyku. Otrząsnęłam się pospiesznie ze wspomnienia. Siłą odgięłam palce Mike'a wolną ręką, jeden po drugim. Miał przekrwione oczy, źrenice maleńkie jak nakłute szpilką. Przełknął ślinę, potrząsnął głową i zakaszał. Znów szarpnęłam, a on wreszcie mnie puścił, zapadł się w siedzenie i zamknął oczy.

Popatrzyłam na Robin, potem znów na niego. Strużka krwi spłynęła mu z nosa na brodę.

Otworzyła usta, widziałam jej język ułożony płasko między zębami.

– Robin... Coś ty zrobiła?

Chyba są takie chwile, najlepiej (a przynajmniej najczęściej) przeżywane w oszałamiających latach dojrzewania, kiedy dziewczyna postanawia, kim – albo czym – zostanie.

Są dziewczyny, które ganiają za chłopcami, kręcą na palcu kosmyki włosów i spacerują w chmurach tanich perfum, ucząc się własnego uroku. Są takie, które wolą towarzystwo książek, i takie, które cierpią przez swoją samotność. Takie, które jedzą, i takie, które nie jedzą. Dziewczyny z kolczykami, tatuażami, bliznami. Wściekłe dziewczyny, które obnażają zęby i kaleczą sobie ręce. Pogodne, ubierające się na różowo dziewczyny, noszące koszulki z wizerunkami ukochanych boysbandów, które krzyczą, szlochają i żyją pełnią życia, przy każdym oddechu. Dziewczyny, które czytają „Vogue'a” i spędzają całe soboty, wodząc dłońmi po ubraniach, których nigdy nie zdołają kupić za skromne kieszonkowe. Dziewczyny, które tęsknią za macierzyństwem, i ich matki, tęskniące za młodością. Artystki. Naukowczynie. Dziewczyny, które przeżyją. I takie, którym to nie jest pisane.

Są też niewidzialne dziewczyny: nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby się ich bać. Dziewczyny kryjące się w najbardziej widocznych miejscach, rozchichotane i zawsze gotowe do flirtu. Ich cukierkowy urok to jednak tylko maska. To one bawią się zapałkami i wylewają kwas akumulatorowy na nagą skórę. Tych dziewczyn nie imają się żadne reguły.

Złapałam Robin za ramię.

– Czy on...

– Nie wydaje mi się.

– Nie wydaje...

– Czekaj. – Nachyliła się, położyła mu płasko dłoń na piersi. Wstrzymałam oddech. Czekaliśmy przez chwilę. Jej ręka niemal niedostrzegalnie uniosła się i opadła. – Nic mu nie jest – zawyrokowała Robin, wycierając dłoń o spódnice.

– Nie wygląda, jakby nic mu nie było – zaprotestowałam. Kropelki potu występowały mu na czoło, skórę miał białą jak kreda. – Co to było?

– Nie wiem. Znalazłam u Andy’ego. – Prychnęła i posłała mi szeroki uśmiech. – Mówiłam ci, że nie chcesz tego brać.

– Naprawdę cię to bawi? On może właśnie...

Robin spojrzała na mnie z niechęcią.

– Violet, weź wyluzuj. Nie świruj.

– Ja świruję?

Zaczęła mnie przedrzeźniać, powtarzając moje słowa piskliwym tonem. Jej palce tańczyły w powietrzu jak kukiełki. Bolała mnie głowa, skóra płonęła mi ze złości.

– Robin, proszę – jęknęłam. Ku własnej frustracji zauważyłam, że mój głos brzmi dokładnie jak jej złośliwa imitacja. – W ogóle nie powinno nas tu być. Musimy zadzwonić po karetkę i wyjść.

– Myślą, że mogą nas traktować jak śmieci – odparła, jakby kontynuowała jakiś wywód, którego do tej pory nie słuchałam. – Ja pierdolę. Oni wszyscy są tacy sami.

– Ale on nic nie zrobił.

– Żartujesz sobie? Jest od nas jakiegoś... dziesięć lat starszy? – Wskazała na żółtawe plamy pod jego oczami, płytkie zmarszczki na wilgotnym czole. – I nie możesz mi powiedzieć, że nie wiedział, bo sam zapytał, ile mam lat.

– A ty mu powiedziałaś, że wystarczająco dużo!

– Mhm, jakby nie miał własnego rozumu. – Robin przewróciła oczami. – Przecież mógł powiedzieć: „Wiecie co, jestem dorosłym facetem i wezmę

odpowiedzialność za swoje czyny, przeproszę i sobie pójdę, zanim wplączę się w coś niewłaściwego”. Błagam.

– No tak, bo ty świecisz przykładem, jak należy brać odpowiedzialność za swoje czyny. – Gorzkie, nieprzemyślane słowa same wyrwały mi się z ust. Kiedy tylko je usłyszałam, żołądek ścisnął mi się w ciasny supeł.

Robin aż się wzdrygnęła.

– Słucham?

Płyta w odtwarzaczu zacięła się i przeskoczyła, wąty rytm opadał i znów się podrywał. Usłyszałam kroki na zewnątrz. Zamarłyśmy w miejscu. Za oknem przepłynęła ciemna sylwetka przechodnia. Robin popatrzyła mi w oczy, napięte ścięgna w jej szyi zatańczyły pod skórą. Nachyliła się i zatrzymała płytę.

– Za co niby nie biorę odpowiedzialności? – spytała po chwili.

Wbiłam wzrok w podłogę. Kafelki przecinała czarna smuga: ślad gumowej podeszwy.

– Nieważne.

– Powiedz, co miałaś na myśli, Violet.

– Nie.

Brzmiałam jak uparte dziecko w sprzeczce z rozwścieczonym rodzicem. Robin zrobiła krok w moją stronę. Zamknęłam oczy, by nie widzieć jej zaciśniętych pięści, kostek niemal przebijających zbielałą skórę. W końcu westchnęła. Miałam wrażenie, że napięcie uchodzi z niej i wypełnia powietrze jak gryzący dym.

– Violet, no weź – powiedziała cicho. Wzięła mnie za rękę i pogładziła kciukiem białą bliznę na mojej dłoni, zahaczając lekko paznokciem o zagłębienie w skórze. – Proszę, powiedz, co się stało.

Westchnęłam. Nie podniosłam wzroku.

– Kiedy byliśmy w domu dziekana... Znalazłam coś. U niego w garażu.

Robin się nie odezwała, ale miałam wrażenie, że jej palce zacisnęły się odrobinę mocniej wokół mojej dłoni. Postanowiłam kontynuować.

– On pisał... O tobie. I o Alex i Grace. I twierdził, że...

Przerwałam. Popatrzyłam na nią z niepokojem.

– No wyrzuć to z siebie. – Jej głos był zimny jak lód, oczy połyskiwały złotem w blasku latarni.

– Twierdził, że ją zabiłyście. We trzy. Bo zamierzała mu opowiedzieć o stowarzyszeniu.

Robin wzięła długi, rozdygotany wdech. Miałam wrażenie, że cisza ciągnie się przez długie minuty. Czekałam na odpowiedź. W oddali zawyła syrena, mewy zaskrzeczały pod niebem.

– I co, ty też tak myślisz? Naprawdę w to wierzysz?

Milczałam. Błagałam w duchu, by powiedziała, że się mylę. Prosty akt zaprzeczenia – może śmiech, choćby nerwowy chichot – mógłby wystarczyć, żebym zwątpiła. Wpatrywałyśmy się w siebie, martwe powietrze zgęstniało między nami.

– Wow – odezwała się w końcu. – Wow. Okej.

Zrobiła krok w tył, potem znowu w przód. Zajrzała nad moim ramieniem do kuchni. Wyminęła mnie. Słuchałam zgrzytania otwieranych kolejno szuflad i szukałam słów, którymi mogłabym naprawić naszą sytuację. Wyraz jej oczu i wstrzymany oddech, kiedy wyrzuciłam z siebie słowa oskarżenia, sprawiły, że zwątpiłam we własne zarzuty. Zaczęłam się wręcz zastanawiać, jakim cudem w ogóle kiedykolwiek mogłam uwierzyć w coś takiego.

– Robin – odezwałam się. – Przepraszam. Nie chciałam...

Hałasy ucichły.

– W porządku – powiedziała, stając w progu. Ścisnęła w dłoni nóż z czarną rękojeścią. Ostrze błyszczało w świetle wpadającym przez okno z ulicy, rzucało srebrne i złote refleksy. Zamarłam. Robin się uśmiechnęła i przeszła obok, ocierając się o mnie ramieniem.

Obserwowałam jej ciemną sylwetkę zbliżającą się do Mike'a. Uklękła nad nim i usadowiła się na jego kolanach. To wyglądało jak przećwiczona choreografia; trochę przesadnie, jak makabryczna, nieprawdziwa gra. Robin odwróciła się w moją stronę.

– Naprawdę myślisz, że zamordowałam swoją najlepszą przyjaciółkę?

Jej słowa, odarte z eufemizmów, zawisły ciężko w powietrzu. Morderstwo, pomyślałam. Po raz pierwszy to słowo padło między nami.

– Nie myślę... – zaczęłam słabo.

Robin popatrzyła na Mike'a i znów na mnie.

– Poważnie wierzysz, że tego chciałam? Że jestem aż tak chujową przyjaciółką?

– Nie twierdę, że tego chciałaś. Nie wiem, co się wydarzyło. On też nie wiedział. Nie udało mi się...

– Co ci się nie udało?

– Nie udało mi się doczytać.

Robin spojrzała na mnie pustym wzrokiem.

– Ile tego było?

– Cała książka. Opisał wszystko. Od tych ludzi, którzy zabili Margaret, aż do...

Robin wzięła głęboki oddech. Znów była opanowana.

– Masz rację. Nie wiesz, co się wydarzyło. O niczym nie masz pojęcia.

– Więc mi opowiedz.

– Skoro przez cały ten czas tak myślałaś... – zaczęła, wycierając sobie nos o udo – to dlaczego dalej się ze mną przyjaźnisz?

Przez chwilę brzmiała jak zraniona mała dziewczynka. Wyrzuty sumienia ścisnęły mi gardło.

– Robin, naprawdę nie chciałam...

– Myślisz, że nie masz wyboru? Że co – powiem wszystkim, że byłaś z nami, kiedy go zabiłyśmy?

– Nie o to...

– Bo jeśli chcesz się wypisać, proszę bardzo. Nikomu nie powiem. Możesz sobie iść.

– Nie – zaprotestowałam drżącym głosem. – Nie o to chodzi, wcale nie. Chcę być twoją przyjaciółką. Jestem twoją przyjaciółką.

– A może po prostu ci się to podoba? – Robin zamilkła na chwilę. – Może chciałabyś, żeby to była prawda, bo wtedy twoje żalose, smętne życie stałoby

się odrobinę bardziej interesujące. – Mówiąc to, przycisnęła ostrze na płask do szyi Mike’a. Skóra wokół metalowej krawędzi zbielała. – Może o to chodzi – powtórzyła w zamyśleniu. – Dlatego się przyjaźnimy. Bo to ty chcesz, żeby ta teoria okazała się prawdziwa.

– Robin, proszę... Wcale nie. Proszę... Nie rób tego.

A jednak, pomimo protestów i miaukliwej świętoszkowatości w moim głosie, gdzieś w głębi duszy czułam, że moja przyjaciółka ma rację. Chciałam, żeby to zrobiła. Miałam ochotę zobaczyć, co się wydarzy. Dostrzec wnętrze jego gardła, obserwować rytmiczne wytryski krwi, zamaszyste jak pióropusze fajerwerków. Chciałam ujrzeć oczy otwarte szeroko w przerażeniu, absolutny bezruch.

Wiedziałam, że to nielogiczne. Złe. A jednak było w tym coś podniecającego, jakiś zabójczy haj, daleki kuzyn tego uczucia, które tak uwielbiają biegacze i zakochani, którzy jeszcze nie przestali się łudzić. Doświadczalam tego bez przerwy od tamtej nocy w domu dziekana. Kolory stały się zbyt jaskrawe. Wszystko, czego dotykałam, wydawało się kruche i ostre. Każdy powiew morskiej bryzy był przesycony jakimś odurzającym zapachem słodkich kwiatów... We wszystkim kryła się jakaś zachwycająca potęga w nieskończonym rozkwicie.

Naturalnie wiem, że kiedy ubieram to w takie słowa, moje przeżycia brzmią jak obłąd. I oczywiście wstyd mi się do tego przyznawać. Wtedy jednak, kiedy wszystko wydawało się możliwe, całą sobą doświadczalam tej pierwotnej tęsknoty.

– Robin – odezwałam się w końcu. – Chodźmy stąd. Proszę.

– Obejdz mieszkanie. Sprawdź, czy ma coś, co warto wziąć.

– Co?

– Rozejrzyj się. Poszukaj pod materacem, nie wiem. Może schował gdzieś jakąś kasę.

– Nie możemy...

– Kurwa mać, Violet. Ruszaj się.

W słabym świetle jej skóra lśniła od gorącego potu. Westchnęłam –

teatralnie, przesadnie – i niechętnie zaczęłam przeszukiwać sypialnię, chwytając się mebli, żeby nie stracić równowagi.

Kiedy włączyłam światło, zobaczyłam smętny kwadratowy pokój. Łóżko było niezasłane, z pościeli unosił się kwaśny, mdlący zapach dawno niepranej bielizny. Na ścianach wisiały trzy spłowiałe plakaty: dwa przedstawiały kobiety na różnych etapach neglizżu, a na trzecim widniał samochód pędzący na tle rozmazanych łańcuchów górskich. Na stoliku leżał stos magazynów pornograficznych, a obok nich na wprost przeczytana powieść kryminalna, odłożona popękany grzbietem do góry. Przy łóżku stała samotna lampka bez żarówki, a nad nią wisiał zdobiony samurajski miecz. Otworzyłam szafę. Rzędy identycznych, lekko pogniecionych garniturów wisiały w sąsiedztwie tanich sportowych kurtek i spranych koszulek polo. Pod nimi znalazłam stertę kaset wideo z nabazgranymi na nalepkach datami starych meczów piłki nożnej. Obok leżał zepsuty walkman z rozbitym wieczkiem; pudełka po butach, wypełnione kartami do gry. Odłożyłam wszystko z powrotem.

Pod łóżkiem też znalazłam tylko śmieci – smutną, porzuconą kolekcję zgubionych przedmiotów, sekretny zbiór chłopca, który nie potrafił dorosnąć. Pod materacem leżało jeszcze kilka magazynów pornograficznych. Dziewczęta na zdjęciach wyglądały młodziej ode mnie. Z obrzydzeniem upuściłam materac z powrotem na miejsce i wróciłam do salonu.

Robin nadal siedziała na nim okrakiem. Ścisnęła nóż w dłoni, twarz przysunęła tak blisko, że niemal dotykała jego skóry.

– Nic nie ma – oznajmiłam, siadając na podłokietniku fotela obok nich.

– Coś ma. – Po wargach Robin błąkał się lekki uśmiech.

– Co? – Rozejrzałam się prędko po pomieszczeniu. Wreszcie znów spojrzałam na Robin. Włosy spływały jej po ramionach jak rozlany atrament.

Powoli przycisnęła ostrze do jego skóry, jakby chciała sprawdzić, czy stawi opór. Wstrzymałam oddech, już pienilo się we mnie ciepłe uczucie oczekiwania na nieuniknione, mrowienie rozchodziło mi się po skórze, kości stężały, mięśnie się rozluźniły. Robin nachyliła się i szepnęła mi coś do ucha. Zaczęłam machać nogą, ręce aż mi dygotały – miałam ochotę go dosięgnąć,

dotknąć. Przez chwilę płałam się w gorzkiej zazdrości.

– Stałam mu – prychnęła Robin. – Kurwa, faceci.

Latarnie za oknem zamigotały, na ułamek sekundy zgasły światła. Usłyszałam kroki, jazgotliwy śmiech przechodzącej kobiety. Zrób to, odezwał się w mojej głowie cichy głos, o którego istnieniu nie miałam dotąd pojęcia. Zrób to, Robin. Wyzywam cię.

– Chcesz spróbować? – zaproponowała w końcu.

– Co?

– Jeśli sądzisz, że jestem morderczynią, a mimo to nadal chcesz się ze mną przyjaźnić, to chyba też masz w sobie odrobinę żądy krwi, hmmm? – Podniosła się lekko, rozprostowała palce u stóp, by pozbyć się skurczu w łydce, i zeszła na podłogę, obracając się wokół własnej osi. Wytarła niedbale nóż o spódnicę i podała mi, ostrzem do przodu. – No, dawaj.

– Nie mogę.

– Pewnie, że możesz. Nic trudnego.

Popatrzyłam na nóż. Powietrze było naelektryzowane od niewypowiedzianej groźby.

Weź go, pomyślałam. Weź, będziesz bezpieczna.

– No, dziewczyno. – Robin uśmiechnęła się szeroko. Rękojeść była wilgotna, plastikowa jak zabawka. Zwykły kuchenny nóż, stępiony od lat używania. Wydawało mi się niemożliwe, że do czegokolwiek się nadaje. Robin przechyliła głowę w stronę ciała, wskazując na unoszącą się nieznacznie pierś. – Dawaj. Już.

To chyba był ten moment, kiedy mogłam odmówić. Powiedzieć Robin, że tego nie zrobię (odważna, stanowcza odmowa) albo że po prostu nie potrafię (nerwowo, ze strachem; o wiele bliżej prawdy). Napięcie sprzed chwili nadal jednak drgało mi w kościach, tępo i boleśnie. A gdyby...? Przecież to zboczenie, pomyślałam. Przyprował nas tutaj, chociaż musiał wiedzieć, że jesteśmy... Przerwałam bieg myśli. Że jesteśmy tylko dziewczynami, dokończyłam. Tylko dziewczynami.

Podeszłam do niego, serce tłuło mi się w piersi jak przerażona żaba.

Oparłam się o fotel. Nadal bolała mnie głowa, oczy miałam suche, jakby przyprószone kredą. Usiadłam na nim, jak wcześniej Robin, usadowiłam się na dziwnej, komicznie twardej wypukłości, na tym smętym, bezużytecznym atrybucie męskości. Zachichotałam przy wtórze śmiechu Robin. Ścisnęłam mocniej ciepłą rękojeść noża, wbiłam palce w miękką gumę i podniosłam rękę, imitując wcześniejszy gest przyjaciółki. Przycisnęłam nóż do jego szyi, tuż przy jabłku Adama. Skóra zbieleła mu pod ostrzem. Mogłabym to zrobić, pomyślałam. Przeszedł mnie cudowny, chłodny dreszcz. To takie łatwe.

– Dasz radę – powiedziała Robin, jakby podchwyciła moje myśli. – To proste.

Popatrzyłam na jego twarz. Krew i flegma zebrały mu się w kąciku warg, bańka śliny przycupnęła na ustach. Cień zarostu wyłaniał się już z czerniejących porów. Oczy biegały mu pod powiekami, żyłka drżała pod skórą. Przycisnęłam nóż mocniej. Cieniutka, gęsta strużka krwi spłynęła leniwie po ostrzu.

Co mnie tak urzekło w tamtej chwili? Do dziś się nad tym zastanawiam: czy chodziło o lęk przed odkryciem prawdy, desperacki pościg za zapomnieniem? A może o władzę, o brutalność mojego – naszego – potencjału? Albo o cień Emily Frost, spoglądającą na nas opustoszałymi oczodołami? O tę doskonałą przyjaciółkę Robin, piękną, tragiczną ofiarę?

Nagle ciszę rozdarł dzwonek telefonu. Natychmiast się odsunęłam, zerwałam z kanapy.

– Kurwa – wyrwało mi się.

Robin zgięła się w pół i chwyciła się za brzuch; łokcie w stronę sufitu.

– Boże – stęknęła, nie podnosząc głowy. Wzięła kilka powolnych, sykliwych oddechów przez zaciśnięte zęby. – Przez chwilę myślałam, że naprawdę to zrobisz.

– Zrobiłabym – odparłam z urazą. – Już miałam...

Robin się podniosła. Nagle zobaczyłam w jej oczach coś, co ledwo udało mi się rozpoznać: nigdy wcześniej nie widziałam na jej twarzy czegoś takiego. Jakby coś się w niej wypaliło. Czy to strach? Bała się, do czego jestem gotowa

się posunąć?

– Robin – zaprotestowałam nerwowo. – To nie...

Ona tylko podeszła i zabrała mi nóż, prędko wytarła krew Mike'a o jego dzinsy.

– Spadamy stąd – zarządziła, wrzucając nóż do zlewu. Metal brzęknął o naczynia.

Odkręciłam wodę i odczekałam, aż cała zawartość umywalki zniknie pod wodą (chyba wyobrażałam sobie, że w ten sposób pozbędę się odcisków palców, choć przecież jego pierś nadal unosiła się powoli i opadała, więc i tak nie dopuściliśmy się zbyt poważnego przestępstwa). A potem wyszliśmy, zamykając za sobą drzwi z cichym trzaskiem, i zbiegliśmy po betonowych schodach, wypadliśmy na martwą ulicę. W noc, jak zawsze w noc.

Rozdział 15

Ruinenlust – powiedziała Annabel, ścierając kurz dwoma palcami. – Piękno ruin; rozkosz, jaką można znaleźć tylko w rozkładzie.

Popatrzyłam na Robin. Wpatrywała się w ołówek, który ścisnęła w drżące dłoni. Przycisnęła go do kartki z taką siłą, że rysik się ukruszył. Próbowала zmusić się do bezruchu. Trąciłam ją delikatnie łokciem, ale mnie zignorowała – a może raczej w ogóle nie zauważyła mojej obecności.

Alex też obserwowała Robin spod zmrużonych powiek. Sięgnęła ku Robin i wyjęła ołówek z jej zaciśniętych palców, po czym odwróciła się ku Annabel z ponurą, zdeterminowaną miną. Niebo za oknem oślepiało bielą i błękitem. Przycisnęłam palce do skroni, tępy ból dzwonił mi w uszach.

Kiedy wyszliśmy z mieszkania Mike'a, długo snułyśmy się po ulicach w świetle migoczących latarni. Robin chwyciła mnie za kołnierz płaszcza, przyciągnęła do siebie i położyła mi kolejną pigułkę na języku.

– Co ty robisz? – spytałam, czując jej palce przemykające mi z ramienia na szyję. Jej paznokcie odcisnęły się półksiężycami na mojej skórze. Złapała mocniej, na ułamek sekundy wbijając mi ostre, gorące kciuki w tchawicę. W głowie rozbłysła mi nagła myśl: czy właśnie to czuła Emily w swoich ostatnich chwilach, ten ucisk miłości zmieszanej z nienawiścią, tę okrutną, przegniłą rozkosz przyjaźni?

Robin nachyliła się powoli nad moim ramieniem. Stałam w absolutnym bezruchu. Lekko zakręciło mi się w głowie, puls pod jej kciukiem przyspieszył. Bałam się odsunąć. Ona tylko musnęła moje policzki spękanyimi wargami. Poczułam jej gorący, wilgotny oddech na twarzy. Puściła mnie i ruszyła chwiejnym krokiem w stronę zamkniętego mola.

Annabel ostro szarpnęła za sznurek żaluzji.

– Co takiego w upadku dawnej wspaniałości wyzwala w nas tę słodką nostalgię? Dlaczego tak nieodparcie pociąga nas to, czego najbardziej się

boimy?

Kiedy Robin mnie wyprzedziła, odeszłam. Rzeczywistość uderzyła ostro i okrutnie, kwaśny zapach potu (mojego, Robin, tego faceta) zmieszał się w jedno na mojej skórze. Kwaśna, paląca fala wymiotów podchodziła mi do gardła. W połowie drogi zawróciłam, pognana krótkim, gwałtownym napadem wyrzutów sumienia, ale kiedy doszłam do mola, jej już nie było. Przez chwilę stałam nad ryczącymi falami, zastanawiając się, czy skoczyła albo spadła. Było mi wstyd, że zastanawiam się, czy to nie przyniosłoby mi ulgi.

– Cegły budynku, w którym się znajdujemy, są podatne na różne formy zniszczenia. Destrukcja może nastąpić natychmiast, za sprawą sił natury albo człowieka: wystarczy burza, powódź, wybuch bomby. Rozkład odbywa się stopniowo. To proces, który mógł już się rozpocząć. Gnucie niewidocznych belek pod sufitem, powolne kruszenie się zaprawy, posadzki wycierane przez wasze i moje stopy, kroczące po ścieżkach wydeptanych przez te, które były tu przed nami.

Annabel zamilkła, posłała naszej czwórce przelotne spojrzenie. Odgarnęła z twarzy kosmyk włosów, odsłaniając skórę popękaną jak oszronione liście. Grace uśmiechnęła się, jakby chciała w ten sposób odwrócić uwagę nauczycielki od Robin, która pochyliła głowę nisko nad ławką i wbiła niewidzący wzrok w kartkę. Zauważyłam, że Nicky zerka na nią, unosząc wysoko brwi. Na jej twarzy zatańczył lekki uśmiech.

– Wydaje mi się zatem, że doświadczenie *Ruinenlust* to rodzaj nawiedzenia. Kiedy wędrujemy wśród ruin, towarzyszą nam cienie zmarłych, którzy widzą te miejsca w pełnym blasku. Może oni też nas sobie wyobrażają, może nie potrafią się powstrzymać od myśli, że wszystkie te konstrukcje – te tak zwane solidne fundamenty, ich dziedzictwo wyryte w kamieniu – są tak naprawdę efemeryczne i ulotne. A kiedy już to pojmiemy – kiedy objawi nam się prawda ruiny, entropii, nieskończonego rozkładu – musimy zadać sobie ostatnie pytanie. Co nam pozostaje?

Annabel przysiadła powoli na krawędzi swojego biurka.

– Uważam, że najlepiej opisuje to Diderot, kiedy mówi: „Wszystko ulega

zniszczeniu, wszystko ginie, wszystko przechodzi: tylko świat zostaje, tylko czas trwa” [\[15\]](#).

Cała klasa wpatrywała się w nauczycielkę. W sali panowała cisza, wszystkie wstrzymałyśmy oddechy głęboko w gardłach, czekałyśmy. Na chwilę podniosła wzrok i zamrugła, jakby przypomniawszy sobie, gdzie jest.

– To wszystko, moje panie. Przypominam, że w przyszłym tygodniu mija termin składania prac zaliczeniowych.

Wstała, rozchyliła palcami żaluzje, żeby spojrzeć na campanilę, i wyszła. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, klasa powoli przebudziła się do życia. Nicky znów zerknęła na Robin, potem na mnie.

– Co jej jest? – spytała bezgłośnie, z przesadnie zatroskaną miną. Ten wyolbrzymiony gest ściągnął uwagę kilku dziewczyn, które jeszcze nie zauważyły dziwnego zachowania Robin. Popatrzyły na nią spod zmrużonych powiek.

– Nic – odparła zimno Alex.

– Na pewno? – Nicky podeszła do naszej czwórki. Na jej twarzy malowała się fałszywa troska. – Może powinniśmy wezwać pielęgniarkę? Wygląda okropnie.

Robin podniosła głowę i popatrzyła na Nicky wielkimi, przekrwionymi oczami.

– Wiesz co, twój brat jest beznadziejny w...

– Robin, daj spokój. – Głos Alex był tak stanowczy, że Robin aż się wzdrygnęła. Posłała Nicky landrynkowy uśmiech i oparła łokcie na ławce, kryjąc twarz w dłoniach.

– Ej, Nicky – spróbowałam desperacko. – Mogłybyśmy... porozmawiać?

– Jasne – odparła z uśmiechem. – Teraz?

Skinęłam głową. Wyszłyśmy na korytarz, odprowadzone podejrzliwymi spojrzeniami dziewczyn. Nie miałam żadnego planu, chciałam po prostu na chwilę odciągnąć uwagę Nicky. Zrobić coś, żeby przestała gapić się na Robin.

– Co słychać? – spytała słodko. – Wyglądasz na zmęczoną.

– Nic mi nie jest. Tylko... Wiesz, co mamy przeczytać na angielski? Nie

zapisałam sobie.

Nicky popatrzyła na mnie z zaskoczeniem. Zaczerwieniłam się. Kłamstwo zawisło między nami w powietrzu.

– Nie mogłaś mnie o to zapytać w środku? – odezwała się w końcu.

– Wiesz, jakie one są. – Wzruszyłam ramionami.

– To... – zaczęła i przewróciła oczami. – Nieważne. Rozumiem. Kafka. To opowiadanie o robaku.

Ruszyła przed siebie, ale nagle się zatrzymała, jakby chciała coś powiedzieć. Czekałam, błagając w duchu, żeby nie zadawała żadnych pytań. Nie chciałam być zmuszana do myślenia. Nicky spojrzała na mnie przez ramię i odeszła. Jej kroki niosły się echem po kamiennej posadzce.

Wślizgnęłam się z powrotem do studia. Grace i Alex stały po obu stronach Robin i szeptały do siebie.

– Co jej jest? – spytała Alex, kiedy drzwi zamknęły się za mną z cichym kliknięciem.

– Ma tylko kaca – zapewniłam, ale nawet w moich uszach te słowa brzmiały głucho, niewiarygodnie. – Poszłyśmy na jarmark i...

Alex posłała mi sceptyczne spojrzenie.

– Nie wygląda jak kac.

– Po prostu naprawdę źle to znosi.

– Wiesz co... Martwimy się o nią.

Robin podniosła powoli głowę, na jej twarzy rozlał się złośliwy uśmiech.

– „Martwimy się” – powtórzyła lodowatym tonem. – Jaka troska. Wielkie dzięki, Alex. – Wstała, chwytając się ławki, żeby nie stracić równowagi, i wsunęła notatki do torby. – Chodź, Vivi.

Zerknęłam na nią z niepokojem. W oczach miała jakiś chłód, jej spojrzenie było dziwnie słabe i mroczne. Nadal wściekle trzęsły jej się ręce. Zauważyła, że się przyglądam, i zacisnęła palce na wyświechtanych rękawach marynarki, aż zbielała jej skóra pod paznokciami.

– Może... – zaczęła Grace. Popatrzyła na Alex, która tylko skinęła głową.

– Może powinnaś znów poszukać gdzieś pomocy?

Robin otworzyła lekko usta i popatrzyła na nią zszokowana. Cała nasza czwórka znieruchomiała, uwięziona w czasie jak kamienne figury, zatrzymane w chwili największego cierpienia. Robin popatrzyła na mnie w nadziei na wsparcie. Zamknęłam oczy, szukając czegoś, co mogłabym powiedzieć – jakiegoś sposobu na wytłumaczenie, że tak desperacko ją kocham, a mimo to przyznaję rację Alex i Grace. Niebieskawe cienie pod jej oczami, pot zbierający się w zagłębieniach nad obojczykami, oddech z wysiłkiem wytłaczany z gardła – wszystko wskazywało na to, że powoli się rozpada. Nie mogłam znieść myśli o wiszącym nad nami zagrożeniu: Robin w każdej chwili mogła zrobić albo powiedzieć coś, co zdradziłoby naszą zbrodnię.

Poczułam, że na mojej twarzy odbija się ten sam nieobecny wyraz co u niej. Dałam się przyłapać na ułamek sekundy, po czym odwróciłam pospiesznie wzrok. Przemknęło mi przez myśl, że może jeśli jej tajemnicza choroba zostałaby uleczona, moja też by zniknęła.

A przynajmniej tak się wtedy usprawiedliwiałam. Teraz zastanawiam się, czy jakaś odrażająca cząstka mnie – gnijąca, poczerniała plama na mojej duszy – wiedziała, że wprawdzie nigdy nie zostawiłabym Robin z własnej woli, ale gdyby została stąd zabrana siłą, może miałabym szansę na ucieczkę od koszmarów zrodzonych z naszej przyjaźni.

– Ja nie... – zaczęłam słabo. Popatrzyłam na falę gęsiej skórki na jej skórze. Jej oczy zamigotały dziwnym blaskiem. – Nie wiem, co powiedzieć. Może one mają rację.

Robin zrobiła krok w tył, jakby te słowa wzniosły nagle jakąś fizyczną barierę między nami, i wbiła wzrok w podłogę. Zerknęłam na Alex i Grace, ale one tylko popatrzyły na mnie bezradnie. Ramiona Robin unosiły się i opadały z każdym oddechem. Kiedy podniosła głowę, w jej źrenicach płonęła wściekłość.

– Nie wierzę. Ty suko.

– Nie mówię, że...

– Wiecie, co ona próbowała wczoraj zrobić? – Wskazała na mnie dygoczącym palcem. Grace i Alex gapiły się na nią z otwartymi ustami. –

Oczywiście. Oczywiście.

Pokręciłam głową, czując, jak gorący, bolesny szloch wzbiera mi w piersi.

– Robin, nie.

– Ona myśli, że zamordowałyśmy Emily.

Ostre wdechy.

– Co? – wyszeptała Alex.

– Myśli, że ją zamordowałyśmy. – Robin zaśmiała się okrutnie, szczeniście. – I że to takie niesamowicie *cool*. Tak jej to zaimponowało, że prawie zabiła wczoraj faceta, bo chciała udowodnić, że jest jedną z nas.

– Wcale nie, ja... – zająknęłam się. Sytuacja wymykała mi się spod kontroli.

– Dlaczego chciałaś... – zaczęła Alex.

– Nie rozumiesz. Wcale nie...

– Przestań kłamać, Violet – prychnęła Robin. – Jesteś w tym żałosna.

Popatrzyłam na nią oszołomiona.

– Wcale nie kłamię. To...

– Owszem, kłamiesz. – Podeszła bliżej, aż poczułam na twarzy jej gorący, kwaśny oddech. Blizna na mojej dłoni znów zaczęła krwawić od moich własnych paznokci, wbitych głęboko w skórę. – Jesteś kłamczuchą. Ohydną, brzydką, puszczałką kłamczuchą i...

– Robin, przestań. Przestań. – Grace położyła jej dłoń na ramieniu, ale Robin odwróciła się gwałtownie, odpychając Grace.

– A ty... – Robin wytarła dłoń o bluzkę, rozsmarowując czerwoną plamę na białym materiale. – Zachowujesz się jak takie słodkie niewiniątko tylko dlatego, że twój tatuś...

Najpierw usłyszałam dźwięk tłuczonego szkła, a dopiero po sekundzie uświadomiłam sobie, co się wydarzyło. Ruch był tak szybki, że równie dobrze Alex mogła rozbić szybę wyłącznie siłą swojej wściekłości. Robin odwróciła się i popatrzyła na wybite okno. Uniesiona dłoń Alex dygotała w powietrzu.

Stałyśmy w ciszy, powoli docierała do nas przejmująca groza tej sytuacji. Wyglądniałe Furie o wyszczerzonych kłach: oto czym się stałyśmy.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Spojrzałyśmy za siebie, przyłapanie na gorącym uczynku. Annabel popatrzyła na nas pustym wzrokiem i westchnęła.

– Dziewczeta – powiedziała zimno. – Powinnyście już iść do domu.

Zerknęłam na Alex i Grace. Spodziewałam się, że coś powiedzą – przeproszą, może zaoferują jakąś wymówkę – ale one tylko wpatrywały się w podłogę. Alex nadal zaciskała mocno pięści.

– Proszę iść – powtórzyła w końcu Annabel. – Wszystkie. Proszę iść do domu i się przespać. Zwalniam was z zajęć.

Siedziałam na najniższym stopniu schodów. Telewizor w salonie grał o wiele za głośno. Właśnie leciała reklama jakiejś zabawki dla dzieci. Niemal widziałam unoszącą się w powietrzu myśl mamy: Annie by się to spodobało. Uczepiłaby się zabawki zachłannie, zaciskając na niej piegowate dłonie, a potem schowałaby ją w jakimś ciemnym kącie – jakby mogło jej ubyc od naszych spojrzeń.

Telefon nadal leżał w szufladzie. Wyciągnęłam aparat i położyłam sobie na kolanach. Wybrałam numer Robin, wsłuchałam się w sygnał, skubiąc odłączającą tapetę. Telefon dzwonił, dzwonił, dzwonił, w hipnotycznym rytmie. Zamknęłam oczy, oparłam skroń o ścianę. „Numer, pod który dzwonisz, jest w tej chwili niedostępny”, oznajmił nagle ostry automatyczny głos. Wcisnęłam przycisk ponownego wybierania numeru, znów odczekałam kilkanaście sekund. „Numer, pod który dzwonisz, jest w tej chwili niedostępny”.

Jeszcze raz wybrałam numer. Rozległ się sygnał, dwa, cztery, pięć. A potem stłumiony trzask. Cisza. Zimny pisk pustej linii. Wybrałam numer jeszcze raz, starannie wciskając każdy klawisz, powtarzając szeptem cyfrę po cyfrze. Tym razem rozległ się tylko krótki przerywany sygnał zajętego połączenia. Ktoś tam był – i mnie odciął. Z trudem przełknęłam ślinę. Bolało mnie gardło, szczękę miałam sztywną, aż trzeszczała mi w stawach. Telefon Robin wyświetlał numer dzwoniącego.

Usłyszałam, że mama idzie przez salon, i podniosłam się ciężko. Nie

miałam ochoty rozmawiać – nie z nią. Nie teraz. Zabrałam telefon na górę, tak daleko, jak pozwalał mi na to kabel. Oddzwoni, mówiłam sobie, kładąc się do łóżka. Zostawiłam drzwi uchylone, tylko odrobinę, żeby usłyszeć sygnał. Niedługo oddzwoni. Na pewno.

Ale telefon nie zadzwonił.

Następnego dnia zaparzyłam słabą herbatę w brudnym kubku i wypijałam ją w łóżku. Siedziałam po turecku w pościeli, otoczona książkami. Błyszczące, gęsto zadrukowane strony pływały mi przed oczami, soczyste zielenie i błękity, nagie, grube, radosne ciała. Ledwo pamiętałam, o czym miała być moja praca: po prostu wypożyczyłam te książki kilka tygodni wcześniej.

Telefon zadzwonił. Zerwałam się z łóżka i popędziłam ku schodom.

– Halo? – wydyszałam.

– Dzień dobry! Czy rozmawiam z panią Violet Taylor? – odezwał się pogodny głos.

– Tak – odparłam. Serce zatrzymało mi się na chwilę, po czym znów ruszyło w dziwacznym, nieregularnym rytmie. Nie wiedziałam, kto to. Nie Robin. Nie dziewczyny.

– Mówi Daniel Mitchell z „The Evening News”. Czy znalazłaby pani chwilę na rozmowę?

Zamarłam.

– O czym?

– Jest pani uczennicą w Elm Hollow, prawda?

– Tak – odparłam głucho. Mój głos stężał, wyostrzył się.

– Słyszałem, że to świetna szkoła.

Nie odpowiedziałam. Mężczyzna kontynuował.

– Słyszałem, że chodziła pani na indywidualne zajęcia z panem Holmsworthem, dziekanem szkoły, który niedawno zmarł.

Skrzywiłam się. Kto podał mu moje nazwisko? I dlaczego?

– Pomyślałem, że może odpowiedziałaby mi pani na kilka pytań. Jeśli nie jest pani zbyt zajęta.

To mógł być ktokolwiek, uznałam. Może któraś z przyjaciółek Nicky, poniesiona ekscytacją, wspomniała o mnie, żeby zabłysnąć – strzępem plotki tak drobnym, że musiał zostać przeoczony, bo cała uwaga była skupiona na pozostałych.

Ale niewykluczone, że informacja pochodziła od jednej z nich. Może to Alex próbowała zwrócić czyjeś zainteresowanie w moją stronę, pomyślałam nerwowo. Dlaczego? Co miałyby w ten sposób osiągnąć?

– Pani Taylor? – odezwał się znowu głos, wytrącając mnie z zamyślenia.

– Co chce pan wiedzieć?

– Przede wszystkim... – zaczął i odkaslnął. – Ciekawi mnie, czy pan Holmsworth zachowywał się nietypowo przed śmiercią. Może zauważyła pani coś podejrzanego?

– Nie... Nie wiem.

– Byliście ze sobą dość blisko, prawda?

– Co?

– Musieliście być w dość bliskich stosunkach, skoro... Skoro odwoził panią późnym wieczorem do domu. Na pewno miała pani do niego zaufanie. I on do pani też – dodał lekkim tonem, choć wychwyciłam w tych słowach insynuację, od której poczułam chłód pod skórą.

– Kto to panu powiedział?

– Obawiam się, że nie mogę zdradzać swoich źródeł. Sama pani rozumie.

Pomyślałam o reakcji Alex, kiedy Robin powiedziała jej, że dziekan mnie podwiózł. Jej oskarżycielski, złowrogi ton. Kto jeszcze mógł o tym wiedzieć? Kto zrobiłby coś takiego?

– To kłamstwo – oznajmiłam zimno.

– Czyżby? – odparł, jakby to było pytanie retoryczne, teoria wymagająca głębszego zastanowienia. – To naprawdę bez znaczenia, czy rzeczywiście tak było. To znaczy czy rzeczywiście panią podwiózł. Nie jest pani w żadnych kłopotach. Raczej zastanawiam się, czy inni nauczyciele powinni... Powinni byli o tym wiedzieć.

– O czym?

– Że mogliście mieć w szkole... – Mężczyzna cmoknął w zamyśleniu. – Mogliście mieć w szkole drapieżnika.

Zwróciłam uwagę na jego sposób mówienia – pauzy w środku zdania, powtórzenia. Czy to tik? A może jakaś dziwna dziennikarska sztuczka stosowana dla osiągnięcia lepszego efektu?

– Wiem, że wiele pani ostatnio przeszła – ciągnął, by wypełnić ciszę. – Domyślam się, że nadal cierpi pani po stracie ojca. Zginął w wypadku, prawda? – Podłoga zadygotała mi pod stopami, chwyciłam się poręczy, żeby utrzymać równowagę. – I jeszcze młodsza siostra. Straszne. Naprawdę straszne. Nawet sobie nie wyobrażam, jakie to uczucie, otrzeć się o coś takiego. I jeszcze jedno, Violet... Mogę ci mówić Violet?

– Nie.

– Dobrze. Pani Taylor. Wie pani, ma pani prawo się bać. Każdy w pani sytuacji...

– Nie boję się – odparłam sucho.

– Słucham?

– Nie boję się. Nie jego. – Zamilkłam (czas na moją dramatyczną pauzę – ciekawe, czy ta dziwna maniera była zaraźliwa). – Innych ludzi, owszem. – Miałam wrażenie, że moje słowa nabierają rozpędu, wymykają mi się spod kontroli. – Ale jego nigdy się nie bałam. Ktoś pana okłamał. Nie wiem, kto panu nagadał tych wszystkich rzeczy, ale radziłabym jeszcze raz z nim porozmawiać.

Trzasnęłam słuchawką o widełki. Drżały mi ręce. Co to było? Przerazenie gęstniało mi w żyłach. Co one teraz robią?

Zajrzałam do okna salonu Robin. Zobaczyłam tylko swoje odbicie. Rzuciłam w jej okno garść żwiru, tak jak ona rzucała w moje tyle razy wcześniej. Po telefonie od dziennikarza znów próbowałam się do niej dodzwonić – bez skutku. Potem wybrałam numer Grace, wreszcie Alex. Rozgorączkowane myśli w mojej głowie tłukły się o siebie jak fale rozbijające się o brzeg, przeganiane wyłącznie siłą mojej woli, nieprzerwaną mantrą: nie

powiedziałyby mu tego. Nie.

Ale siła woli nie wystarczyła. W końcu zeszłam po schodach, zarzuciłam sobie torbę na ramię i ruszyłam przed siebie. Kolana trzęsły mi się przy każdym kroku, łydki ścisnęły mi skurcz. Było późne popołudnie, kawiarnia świeciła pustkami. Dina siedziała za ladą, pochylona nad książką.

– Widziałaś je? – spytałam zdyszana.

Popatrzyła na mnie zimno i pokręciła głową.

– Nie było ich od tygodnia. – Wzruszyła ramionami. – Oby to potrwało jak najdłużej.

Przeszłam przez molo. Wieczorna wilgoć rosła się już w powietrzu. Syrenę otaczała gromadka nastolatków, którzy wydawali mi się niewiarygodnie młodzi, o wiele młodszy od nas (choć przecież dzieliło nas najwyżej kilka lat. Po prostu czułam się starsza, przygnieciona doświadczeniem, wypalona i samotna). Bramy do domu Alex były zamknięte, światła zgaszone. Wcisnęłam guzik domofonu, ale nikt nie odebrał, by przerwać brzęczenie. Dom Grace z ulicy wydawał się pusty. Za bardzo się bałam, żeby zapukać.

Na końcu poszłam do domu Robin.

– Przepraszam bardzo – odezwał się nagle kobiecy głos. Drzwi frontowe otworzyły się z głośnym trzaskiem. – Mamy tu dzwonek.

Poznałam mamę Robin; widziałam ją na zdjęciach w korytarzu. Była ładna i sprawiała wrażenie ciepłej osoby, której objęcia na pewno są miękkie i bezpieczne. Zawsze chciałam, żeby moja własna mama taka była. Kobieta zmierzyła mnie wzrokiem. Na jej twarzy malowało się coś bliskiego odrazy. Przez chwilę poczułam wstyd. Uświadomiłam sobie, jak muszę wyglądać. Wyczerpana, poszarzała.

– Pani Adams? – uśmiechnęłam się szeroko, przepraszająco. – Przepraszam. Myślałam, że nikogo nie ma w domu.

Ona tylko przyglądała się w milczeniu.

– Szukam Robin? – zagadnęłam pytającym tonem. Ta maniera często dopadała mnie w rozmowach z dorosłymi. W dawnej szkole nauczyciele

często mnie poprawiali, ale w Elm Hollow mój niepewny ton nikomu nie przeszkadzał. Uznałam, że nasi opiekunowie są zajęci myśleniem o wyższych sprawach, a tak żalosnymi drobiazgami powinni się ich zdaniem przejmować nauczyciele z publicznych szkół, skoro i tak już dawno stracili resztki ambicji.

– A kim jesteś? – spytała, splatając ramiona na szerokiej piersi. Guzik na środku wyglądał, jakby miał zaraz oderwać się od ubrania.

– Violet Taylor. Miło mi... Miło mi panią poznać – dodałam nerwowo.

– Ach. Ta słynna Violet.

Skinęłam głową. Poczułam wzbierającą pod żebrami banieczkę dumy.

– Tak, proszę pani.

– Przykro mi, Violet – powiedziała kobieta, robiąc krok w tył. – Robin nie ma w domu. Będę wdzięczna, jeśli przestaniesz tu przychodzić.

– Co?

– Nie życzę sobie ciebie w moim domu. Ani nigdzie w pobliżu mojej córki. Zatrzasnęła drzwi. Zbyt późno ruszyłam w jej stronę. Szklane szybki aż zadrżały od siły uderzenia.

Zapukałam raz, drugi, zaczęłam walić w drewno otwartymi dłońmi.

– Proszę pani! – krzyknęłam. Łamał mi się głos. – Robin?

Drzwi znów się otworzyły. Zaskoczona zrobiłam krok w tył. Na progu stał jakiś mężczyzna. Pani Adams kryła się tuż za nim. Na jej twarzy malowała się satysfakcja; wiedziała, że zwyciężyła. Facet popatrzył na mnie znajomymi oczyma: były takie same jak u Robin.

– Kim pan jest? – spytałam wrogo.

Zaśmiał się – tym samym szyderycznym tonem, jaki tyle razy słyszałam od przyjaciółki.

– Powinnaś już iść, Violet.

– Kim pan jest? – spytałam jeszcze raz. Powoli uświadamiałam sobie prawdę. Owijała się wokół mojego umysłu jak okrutne, czarne macki. – Gdzie ona jest?

– Jestem jej ojcem – odparł spokojnym tonem. Sucho. Protekcyjnie.

Przypomniałam sobie naszą pierwszą rozmowę, pierwszą chwilę bliskości:

„Mój tata też nie żyje”, powiedziała, a ja przeprosiłam, że poruszyłam ten temat. Niemożliwe. Nie zrobiłaby czegoś takiego.

– Jej ojczymem?

Mężczyzna uniósł brew. Przez sekundę poczułam ulotny przebłysk satysfakcji: zaskoczyłam go.

– Nie. Ojcem. A teraz proszę, idź już stąd.

Zamknął drzwi, a ja zatłukłam w nie wściekle. Nagle się zatrzymałam, zamarłam przyciśnięta do zimnego drewna, zawstydzona własną gwałtownością. Odwróciłam się, przeszłam przez trawnik, depcząc starannie posadzone kwiaty, i wyszłam na ulicę. Spojrzałam w okna, dostrzegłam tęczową karuzelę z papierowych ptaków w sypialni Robin. Liściki, które sobie przekazywałyśmy, rozwieszane na niewidzialnych nitkach.

– Robin! – krzyknęłam. Gardło miałam zdarte od papierosów i przeziębienia. Zasłona na parterze drgnęła, cień pani Adams znów wykwitł za szybkami w drzwiach.

– Co ty wyprawiasz? – rozległ się głos za moimi plecami.

– Jezu Chryste, Nicky. Co ty tu robisz? Śledziłaś mnie?

Nicky prychnęła.

– Nie. Boże, nie. Na pewno jesteś niesamowicie interesująca i w ogóle, ale... Nie. Mój chłopak tam mieszka. – Wskazała ręką w stronę wzgórze, na którym stały domki z widokiem na całe miasto. – Ale tak na poważnie, co zrobiłaś, żeby ją tak wkurzyć? – spytała niezrażona.

– Nie mam pojęcia – odparłam, odchodząc. Nicky ruszyła za mną.

– Jej mama zawsze była całkiem miła. W przeciwieństwie do niej – dodała wymownie.

– O tak. Na pewno jest bardzo miła.

– Uczy w szkole. Była w mojej podstawówce, ale nie chodziłam do jej klasy. Johanna miała z nią lekcje i zawsze mówiła...

Przestałam słuchać. Co tu się wydarzyło? Nadal płonęła we mnie świeża złość. I gdzie ona jest, jeśli nie w domu? Próbowałam poskładać wszystko w spójną całość, ale wszystkie myśli prowadziły mnie w ciemność. Nicky

nadal trajkotała mi do ucha. Może znowu jest w klinice, pomyślałam, choć sama w to nie wierzyłam. Znow przypomniałam sobie, jak Alex i Grace wpatrywały się we mnie z otwartymi ustami, kiedy Robin powiedziała im, co zrobiłyśmy. Co ja zrobiłam. Ale przecież nikomu by o tym nie powiedziały, prawda? Mój umysł natychmiast odbił piłeczkę: jesteś pewna?

– No weź, Violet. Będzie super – ciągnęła Nicky.

Żachnęłam się.

– Nie znoszę tych chłopaków.

– Których?

Nicky wyprostowała się nieco, kiedy mijałyśmy sklepową witrynę, odrzuciła włosy w tył. Dwa grube pasma przykleiły się do jej spoconych ramion. Przejeżdżający samochód zatrąbił na nasz widok, a ona przycisnęła spódniczkę do ud i zachichotała w niezdarnej imitacji Monroe.

– Wszystkich. Są obrzydliwi.

– Jeśli wolisz dziewczyny, możesz po prostu to powiedzieć – prychnęła Nicky.

– Nie wolę dziewczyn.

– Dobrze, dobrze – uśmiechnęła się. – Wiesz, ja nie uważam, że są obrzydliwi. To po prostu chłopaki. Ale impreza będzie super. Wszyscy przyjdą. – Zamilkła. – No, prawie wszyscy.

Westchnęłam. Zauważyłam, że się ze mną drażni. Że wie coś, co chciałabym usłyszeć. Nie miałam ochoty dawać jej tej satysfakcji, ale...

– To znaczy? – spytałam w końcu.

– Może już sama wiesz więcej ode mnie. – Nicky wzruszyła ramionami. – W końcu to twoje przyjaciółki, nie moje.

– Co?

– Verity Farron mówiła, że widziała wczoraj rano policję przed domem Alex. I od tamtego czasu ani Alex, ani Grace nie pojawiły się w szkole.

Miałam wrażenie, że świat stanął w miejscu; ulica szarpnęła gwałtownie.

– Słucham?

– No, strasznie dziwna sprawa. – Zamilkła na chwilę. – To przyjdiesz czy

nie?

– Czy gdzie przyjdę?

Nicky trąciła mnie pięścią w ramię.

– Na imprezę. – Wzniosła oczy ku niebu. – Rany, Violet. Jaka ty jesteś nieprzytomna. Nie wiem, jakim cudem w ogóle jeszcze żyjesz.

Wzięłam głęboki oddech, próbując się uspokoić.

– E, nie – odparłam. – Nie jestem w nastroju.

– Nudziara.

– Mówiłaś, że twój chłopak tam mieszka? – Wskazałam na uliczkę, którą właśnie minęłyśmy.

– Chciałam tylko dotrzymać ci towarzystwa – powiedziała z uśmiechem. – Ale rozumiem aluzję. Na razie, Vivi.

Pocałowała mnie miękko w policzek na pożegnanie. Nie ruszyłam się z miejsca; nie byłam w stanie nic zrobić. Violet, poprawiłam ją sztywno w myślach. Tylko Robin mówi na mnie Vivi.

Wieczorem wybrałam jej numer trzy razy, cztery; bez odpowiedzi. Za piątym nie było sygnału. Wyobraziłam sobie, jak pani Adams wyszarpuje kabel ze ściany, ściska go mocno w pulchnych palcach, zbielejących od środków do czyszczenia.

– Ty suko – powiedziałam, wpatrując się w słuchawkę. – Ty wstrętna suko.

Wiedziałam, że moje zachowanie w niczym nie pomaga. Zastanawiałam się nawet, czy to ciągłe wydzwanianie nie zostanie uznane za dowód prześladowania. Czy matka Robin zadzwoni na policję, o ile nie zrobiły już tego dziewczyny. Może opowiedziały już na komendzie, co zrobiłyśmy – ich potrójne zeznanie, opracowane tak, by podważyć wszystko, co mogłabym powiedzieć, przypisałoby morderstwo mnie i tylko mnie.

Usiadłam na podłodze i uszczypnęłam się w skórę na brzuchu, ścisnęłam ją mocno między kciukiem a palcem wskazującym. Tęskniłam za bezpieczeństwem dawnej siebie: dziecinnej, delikatnej, całej ze szczenięcego tłuszczu i miękkich stawów. Nie poznawałam własnego ciała. Krągłości

kolan zmieniły się w wyszlifowane płaszczyzny. Kościste stopy i dłonie, cała mechanika organizmu widoczna przez skórę. Jak to się stało, że pozwoliłam sobie zmienić się w kogoś, kogo w ogóle nie poznawałam? Ten proces był łatwy, jak spadanie. Pochłonęły mnie myśli o dziewczynach, o staniu się jedną z nich. Pomijane posiłki, czysty alkohol, chwile spędzane na poszukiwaniu zapomnienia.

I to wszystko na nic. Oddałam całą siebie, ciało i duszę. A teraz mogłam tylko czekać.

Zeszłam na dół, zrobiłam sobie kubek herbaty (skwaśniałe mleko, torebki twarde od wilgoci) i usiadłam obok mamy, która tylko zerknęła na mnie z niepokojem, jakby bała się, jakie nowe okrucieństwo dla niej przygotowałam. Sięgnęłam po pilota i zaczęłam skakać bez celu po kanałach, szukając jakiejś bezmyślnej rozrywki. Powietrze było ciężkie od kwaśnego oddechu i gnijącego jedzenia. Na stoliku leżał przewrócony talerz, frytki w przezroczystym majonezie, lepkie od postępującego rozkładu. Przygryzłam wargę. Poczułam smak krwi, paląca gorycz wezbrała mi w gardle.

Mama niepewnie położyła dłoń na mojej stopie i ścisnęła lekko. Przez chwilę miałam ochotę wszystko jej opowiedzieć: wyznać całą prawdę i zacząć od nowa. Ukryć czoło w jej kościstych ramionach, pozwolić, by przeczesała palcami moje włosy. Chciałam, żeby mnie przytuliła tak jak kiedyś i powiedziała, że jestem skarbem. Jej skarbem.

Ale na to już za późno, pomyślałam, wciskając mocniej guziki pilota, aż twarde gumowe krawędzie odciskały mi się na kciuku. Nie mogłaby mi pomóc, nawet gdyby chciała. Ekran zapłonął kolorami wczesnoporannej kreskówki dla dzieci, postaci zaczęły jazgotać jedna przez drugą. Zamrugałam, by odpędzić łzy, i poczułam się beznadziejnie, przerażająco dorosła. Odsunęłam stopę, upuściłam pilota na kanapę i poszłam z powrotem na górę. Zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Delikatnie zapukałam do studia.

– Tak? – dobiegł ze środka głos Annabel. Pobrmiewała w nim nuta

irytacji. Zajrzałam przez szparę w drzwiach. Ze zwykłym chłodnym uśmiechem wezwała mnie do środka. – Violet – powiedziała tylko, kiedy stanęłam przy jej biurku.

Nerwowo ścisnęłam w palcach skraj spódniczki. Nie spodziewałam się, że tu będzie, a teraz nie wiedziałam nawet, co powinnam powiedzieć. Nauczycielka powoli odłożyła pióro i popatrzyła mi w oczy.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Może... – zaczęłam niepewnie. – Zastanawiałam się, czy widziała pani resztę. Czy... wie pani, gdzie one są?

W jej lekkim uśmiechu politowanie mieszało się z rozdrażnieniem.

– Violet, nie jestem tutaj po to, żeby organizować ci życie towarzyskie – powiedziała bez złośliwości. Zastanawiałam się, ile ona wie. Czy dziewczyny powiedziały jej, co zaplanowały?

– Wiem. Bardzo przepraszam. Po prostu... Nie ma ich w domu, nie odbierają telefonu i nie wiem, gdzie jeszcze mogłabym...

Annabel podniosła dłoń. Przerwałam. Serce dudniło mi w piersi, policzki płonęły mi ze wstydu.

– Violet, nie mogę ci powiedzieć niczego, czym one same się z tobą nie podzieliły.

Czyli jednak coś wie.

– Ale...

– Violet – powtórzyła Annabel. Za każdym razem moje imię w jej ustach brzmiało ostrzej, jakby wymawiała każdą literę z osobna. – Nie bądźmy dziecinne. Jesteś kobietą. Nie musisz zniżać się do czegoś takiego.

Spuściłam wzrok i spojrzałam na swoje ręce, na popękany czarny lakier, skórę wysuszoną morskim powietrzem. Gdy podniosłam głowę, Annabel znów była pogrążona w pracy. Wysłałam na korytarz. Oczy piekły mnie od łez.

Ciała tłoczyły się na korytarzu, ocierając się o siebie śliską od potu skórą, ubraniami wilgotnymi od rozlanego piwa, cuchnącymi dymem. Kakofonia rytmów dudniła jak bicie serc. Światła stroboskopowe migotały za progiem

pokoju na końcu korytarza, kolorowe błyski odbijały się od odłamków luster, pozlepianych w domowej roboty kule dyskotekowe.

– Violet? – Wymanikiurowana dłoń chwyciła mnie mocno za ramię. Srebrno-różowe paznokcie. Nicky zapiszczała i chwyciła mnie w kościste objęcia. – Jednak przyszedł!

Uśmiechnęłam się i odsunęłam odrobinę.

– Nie mogłam się oprzeć.

Nad jej ramieniem zobaczyłam czerwonego od słońca chłopaka w koszulce rugby. Wskazał na nas palcem i wymamrotał coś do kolegi z drużyny – wysokiego, o końskich zębach. Poczulałam na sobie ich lepkie spojrzenia. Popatrzyłam na nich zimno. Roześmiali się, a mnie zalała fala gorąca, nienawiść rozpełzła mi się między żebrami.

– Pierdolcie się – powiedziałam bezgłośnie. Ich śmiech tylko wzmógł się na sile.

– Widziałaś Robin? – spytałam, kiedy Nicky wreszcie zrobiła krok w tył. Czulałam na wargach metaliczny posmak jej słodkich perfum.

– Boże, jaka wspaniała impreza, co? – krzyknęła, jakby mnie nie usłyszała. Może rzeczywiście tak było. Dudnienie basów, piski i pohukiwania wdzierały mi się do uszu, zagłuszając nawet moje własne myśli. – Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie będę mieszkać sama.

– W takim miejscu raczej trudno o samotność – skomentowałam, odprowadzając wzrokiem dziewczynę w piżamie, idącą do swojego pokoju z gorącym napojem w dłoniach. Co chwila musiała wymijać przepychających się chłopaków.

– Co?

– Nic. Widziałaś...

– Kurwa, ale się upaliłam. Normalnie że nie wiem. I naćpałam. Jak myślisz, można się jednocześnie naćpać i upalić na dwa różne sposoby?

– Pewnie tak – odparłam, zdejmując papierową serpentynę, która przykleiła się do jej spoconego ramienia. – Słuchaj, Nicky...

– No? – Otworzyła szeroko oczy i wywróciła nimi nieco, tak że jeszcze

bardziej niż zwykle przypominała lalkę.

– Nieważne.

– Szukasz Robin?

– Tak. Widziałaś ją?

– Tak myślałam. Nigdy nie przychodzisz, kiedy cię gdzieś zapraszam.

– Nicky...

– W porządku, rozumiem. Spoko.

Westchnęłam i posłałam jej wymuszony uśmiech, zaciskając szczęki z wysiłku.

– Przyszłam tu, bo mnie zaprosiłaś. Naprawdę. – Zamilkłam i odczekałam, aż przestanie chwiać się na nogach. – Jestem tu, żeby spędzić z tobą wieczór. Po prostu się zastanawiałam, czy gdzieś jej nie zauważyłaś.

– Pewnie siedzi z Andym. – Znów przewróciła oczami. – Jaki on jest obleśny. Co ona w nim w ogóle widzi?

– Nie mam pojęć...

– Emily chyba też nie miała oczu. Biali faceci z dreadami są...

– Zaraz, co?

– Hm?

– Powiedziałaś coś o Emily Frost.

Oczy Nicky otworzyły się jeszcze szerzej, usta złożyły w idealnie okrągłe maleńkie „o”.

– To ty nie wiesz?

– Czego nie wiem? – spytałam głucho.

– Andy był chłopakiem Emily, kiedy zginęła. Tylko przez jakiś tydzień, ale jednak... Zaczął się spotykać z Robin natychmiast po jej zniknięciu. – Nicky przygryzła wargę. – Oficjalna wersja jest taka, że połączyła ich żałoba czy jakoś tak. Ale... No, Robin trochę dzirowato się zachowała.

Wlepiłam w nią zdumione spojrzenie.

– Tylko ona?

– Boże, nie, oczywiście jestem feministką, więc on też, wiadomo. Ale sama rozumiesz... To było trochę dziwne. Słyszałam... – Przerwała i rozejrzała się

dookoła z niemal komicznym niepokojem w oczach. – Słyszałam, że on wpadł Robin w oko na długo przed tym, jak zaczął chodzić z Emily. I mówię tu o kilku miesiącach.

Potałam kciukiem czarny strup na łokciu, zdrapując sztywną łupinę. Miałam ochotę wetknąć brudne palce w ranę, żeby zaczęła ropieć.

– Dziwne – powiedziałam w końcu.

– Strasznie dziwne.

Nicky zakołysała się lekko. Barczysty chłopak objął ją w talii od tyłu. Zachichotała piskliwie i pozwoliła zaciągnąć się do pokoju, machając mi na pożegnanie. Drugi chłopak nadal mi się przyglądał, szczerząc zęby. Pewnie chciał wyglądać uwodzicielsko albo nonszalancko. Odwróciłam się obojętnie i ruszyłam w głąb korytarza, ku migoczącym światłom.

W porównaniu z gorącą duchotą korytarza w pokoju Andy’ego panował chłód. Okna były otwarte szeroko, kołysały się na lekkim wietrze. Dym unosił się leniwie nad grupką studentów siedzących na polówce, krzesłach, workach i kocach rozłożonych na podłodze. Powietrze było ciężkie od dymu i kwaśnego zapachu niemytego, stęchłego potu, właściwego chłopięcym ciałom. Rozejrzałam się po twarzach, szukając Robin, ale w pokoju znajdowały się tylko dwie dziewczyny o identycznych jaskraworóżowych włosach – siedziały w odległym kącie, pochłonięte rozmową.

Zajęłam miejsce wśród zebranych, na chwilę poczułam na sobie spojrzenie Andy’ego. Przerwał w pół zdania i patrzył, jak siadam na ziemi, a mnie przeszedł krótki, nerwowy dreszcz. Zależało mi, żeby Andy mnie zauważył. Musiałam się dowiedzieć, gdzie ona jest. Odwróciłam głowę i popatrzyłam w bok, na jednego z chłopaków. Ściągnęłam nieco wargi, naśladując Emily – na zdjęciach, które widziałam w domu Robin, nigdy nie patrzyła prosto w obiektyw (choć zawsze miałam wrażenie, że jest świadoma bycia obserwowaną. Jakby wyczuwała wolę osoby po drugiej stronie aparatu).

– Kiedy człowiek traci przyjaciela tak jak ja, w niespodziewanej tragedii – zaczął Andy i wziął długi łyk z wgniecionej puszki; jabłko Adama

podskakiwało mu rytmicznie – to naprawdę uświadamia sobie, co to znaczy być żywym. Zaczyna mieć głębsze pojmowanie, co jest w życiu naprawdę ważne.

Chłopak obok trącił mnie łokciem i wyszczerzył zęby.

– Chodzi mu o seks – powiedział, oblizując wargi. Popatrzyłam na niego bez słów, aż uśmiech spelzł mu z warg. – Suka – mruknął i dźwignął się z podłogi. Otarł się szorstko o moje ramię, a potem odszedł.

Andy kontynuował niezrażony.

– Nie chodzi o to, że wcześniej nie myślałem o takich rzeczach. Wiecie, zawsze ciągnęło mnie dość mocno do takich głębszych rozmyślań. Na ważne tematy. Mimo że to trudne. Ale kiedy widzę, jak ktoś taki, taki dobry facet, jeden z najlepszych, został wyrwany z życia w kwiecie wieku... Wiecie co, to naprawdę pojebane. Pojebane.

Kilkoro zebranych pokiwało z powagą głowami, inni wpatrywali się nieobecny wzrokiem w jakiś blask, który lśnił im tuż za oczami. Jakiś chłopak z kapturem naciągniętym na pokrytą czerwonymi plamami twarz uniósł butelkę z jakimś tropikalnym drinkiem.

– Za Toma – wybełkotał, a reszta w odpowiedzi wzniosła toast. Tylko Andy nie wypił. Zamiast tego gapił się na mnie z otwartymi luźno ustami. Odwzajemniłam jego spojrzenie. Serce zadudniło mi w piersi na dźwięk tego imienia.

Podłoga zadygotała. Do pokoju wpadła nagle drużyna rugbyistów. Nicky siedziała wysoko na czyichś ramionach, przybiła piątkę innej dziewczynie, której but spadł z nogi i potoczył się po parkiecie. Dziewczyna straciła równowagę, zamachała rękami i chwyciła się łańcucha lampek, rozpiętego na ścianie. Wszystko poleciało z grzechotem na podłogę i pokój połknęła ciemność.

– Ej, cwelu – ryknął jeden z chłopaków, potykając się nade mną. Ruszył w stronę Andy'ego. – Masz zioło?

Andy nie ruszył się z miejsca. Popatrzył na niego w mroku martwymi oczyma.

– Wynocha stąd – powiedział zimno.

– Nie wyjdziemy, dopóki nam czegoś nie dasz – odparł rugbysta z szerokim uśmiechem.

Gdy oczy zaczęły przyzwyczajać się do ciemności, zauważyłam, że chłopakowi brakuje jednego zęba. Miał mięsistą dolną wargę, a górna niemal od razu przechodziła w nos, sterczący jak świński ryj. Miał maleńkie zaczerwienione oczy, jakby ktoś nakłuł mokrą skórę szpilką. To był jeden z tych chłopców, którzy zachowują się jak małpy, by „charakterem” maskować swoją brzydotę. Jakimś cudem to działało: oblizał wargi i zrobił minę do dziewczyny stojącej za mną, a ona zachichotała histerycznie.

– Wypierdalać z mojego pokoju – powtórzył Andy. Napięcie zawisło w powietrzu. Wszyscy zaczęli wstawać z miejsc, przeczuwając, co się za chwilę wydarzy.

Nicky chwyciła mnie z góry za ramię.

– Chodźmy stąd.

Podniosłam głowę.

– E, nie – odparłam. – Ja zostanę.

Przeszedł mnie dziwny dreszcz, wrażenie ostrzących się zębów. Ręka Nicky oderwała się od mojego ramienia, gdy chłopak zrobił krok w tył, bulgocząc coś niezrozumiałego. Odwróciłam głowę i zobaczyłam, jak jego kolega uderza Andy’ego twardym, zamaszystym ciosem. Roześmiałam się, kiedy Andy rzucił się na przeciwnika i ugryzł go mocno w biceps. Chłopcy ryknęli i zawyli, ludzie zaczęli wylewać się z pokoju na korytarz, a ściany zatrzęśły się od tupotu ich stóp.

Cofnęłam się do kąta i patrzyłam, jak się biją. Rzucali się na siebie, cali ze ścięgien i mięsa, jak zwierzęta – było w tym coś dziwnego i smutnego zarazem. Kiedy dziewczyny się ranią, przynajmniej są w tym inteligentne, pomyślałam ponuro.

To było nieuniknione: ten zwalisty wygrał tylko dzięki swojej sile, choć trzeba przyznać, że Andy dzielnie walczył zębami i pazurami. Kiedy bijatyka dobiegła końca, chłopak podszedł chwiejnym krokiem do szafki nocnej,

charcząc jak dzik, i wyszarpnął szufladę. Kiedy znalazł to, czego szukał, zniknął w korytarzu przy akompaniamencie wrzasków i pisków: powitanie bohatera. Andy leżał na łóżku, nie ruszał się. Chyba nawet nie wiedział, że jestem w pokoju.

Powoli podparł się na łokciu, jęknął i znów opadł na materac.

– Czyli żyjesz? – spytałam. Skrzywił się i wyciągnął szyję, żeby na mnie spojrzeć.

– A, to ty – mruknął, kładąc głowę na pościeli.

Zrobiłam kilka kroków w przód, włączyłam światło. Syknął boleśnie; znów zgasiłam.

– Chcesz chusteczkę albo coś? Może plaster? Karetkę?

– Spierdalaj – stęknął. – Nic mi nie jest.

Nachyliłam się nad łóżkiem. Twarz Andy’ego była śliska od krwi, jedno oko spuchło, rozdęty siniak zachodził pulsującym błękitem.

– Nie wyglądasz, jakby nic ci nie było.

– Ale nie jest.

– W porządku. Widziałeś Robin?

– Aaaa, to po to tu przyszłaś. Mogłem się domyślić. Przecież nie po to, żeby przynieść mi chwilę ulgi w tej chwili... – Przetoczył się do pozycji siedzącej, chwycił za materac, by nie upaść. – W tej chwili potrzeby.

– Proponowałam, ale nie chciałeś.

– Nie wiedziałem, że proponujesz coś takiego.

Wzdrygnęłam się.

– Zapewniam, że nie o to mi chodziło. Ale mogę ci podać szklankę wody, jeśli chcesz.

– W takich sytuacjach jedno prowadzi do drugiego... Poproszę, jeśli to nie kłopot.

Opłukałam szklankę w umywalce w kącie pokoju. Kran zacharczał, plując mętną wodą.

– Dzięki – mruknął Andy i splunął do środka; gęsta, flegmatyczna gula krwi zawirowała w wodzie, zostawiając za sobą cienkie smugi.

– To jak... Widziałeś ją?

– Ostatni raz parę dni temu. – Wzruszył ramionami. – Dwa. Może trzy. Nie wiem.

– Mówiła, że się rozstaliście.

– Taa? – Jego głos był kwaśny, obojętny. – Nie żeby mnie to zaskoczyło. Niezła z niej pizda ostatnio. – Nachylił się i sięgnął z głośnym jękiem pod łóżko. Wyciągnął tacę zasypaną bletkami, młynkami do marihuany i pustymi woreczkami.

Poczułam ukłucie nienawiści. Jak śmiesz, pomyślałam z obrzydzeniem. Jak śmiesz ją tak nazywać? Zarumieniłam się, przypominając sobie, gdzie jestem.

– No – przytaknęłam w końcu. – To prawda.

– Oho – zaśmiał się, chwytając w dwa palce kilka kłaczek tytoniu. – Tylko żartowałem. Ale to zabrzmiało, jakbyś mówiła na poważnie.

– Jak sobie chcesz. – Przewróciłam oczami.

– Wiesz, ona wszystko mi o tobie opowiedziała – oznajmił i polizał powoli bibułkę, nie odrywając ode mnie wzroku. – Znam wszystkie twoje sekrety.

W jego manierze było coś, co doprowadzało mnie do białej gorączki (dopiero gdy go poznałam, pojęłam dokładnie znaczenie tego zwrotu). Miał protekcyjny ton chłopca z prywatnej szkoły (wielu nigdy z tego nie wyrasta i już zawsze mówi z nutą zarozumiałego przekonania o własnej wyższości, uważając to za swoje niezbywalne prawo – to wybitnie męska cecha). Patrzyłam na jego bladą skórę i ciężkie dredy, widząc już, jak będzie wyglądał za kilka dekad – rekinozęby menadżer jakiegoś funduszu powierniczego z „kreatywnym” zacięciem, prześladowany tęsknotą za studenckimi czasami, zmieniony przez lata „pomagania” lokalnym społecznościom w jakimś kraju trzeciego świata. Znać ten typ. Zobaczyłam go na aukcjach sztuki, gdzie będzie kupował pornograficzne obrazy, których treści nigdy nie zdoła pojąć. Już prawie słyszałam, jak opowiada o swoich kolekcjach szklistookim kobietom o ptasiej urodzie, które będzie spotykał na wystawach, a potem zabierał na kolację. Wiedziałam, że w restauracjach będzie zamawiać za nie ich posiłek, a potem zacznie niekończący się, śmiertelnie nudny monolog

o sobie.

– Wątpię – odparłam.

– Przy okazji... Nieźle wyglądasz – dodał. Przy każdym słowie dym gęstniał w powietrzu. – Schudłaś?

Dopiero po chwili zorientowałam się, w jaką stronę zmierza ta rozmowa; wychwyciłam drapieżny ton w jego głosie. Popatrzyłam na niego pustym wzrokiem.

– Nie umiesz przyjmować komplementów, co?

– Daj zapalić – odparłam, próbując zmienić temat.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak ona manipuluje ludźmi – powiedział, jakby pochwycił moją myśl. – Po prostu ich wykorzystuje. Emily. Mnie. A jak tak na mnie teraz patrzysz, to domyślam się, że z tobą też właśnie skończyła.

– Co?

– „Oo, Violet” – zaintonował szyderczo. – „Ona mnie uwielbia. Jakie to żałosne”.

– Nie powiedziała tego.

– Uwierz, powiedziała. Jak to szło? „Z takimi przyjaciółmi...”

Zaczął zwijać kolejnego jointa. Ten, którego trzymałam w palcach, był ledwo napoczęty. Zaciągnęłam się, dym drapał mnie w bolące gardło. Nie zrobiłaby czegoś takiego, pomyślałam, choć przecież wiedziałam, że to nieprawda. Oczywiście, że tak. Właśnie w ten sposób mówiła o wszystkich innych. Tak opisywała ich w rozmowach ze mną. Jej ostry głos dzwonił mi w uszach: pogardliwy ton, jakby była ponad to wszystko.

Wcale jej na mnie nie zależy, uświadomiłam sobie. Przekonała mnie, że jest inaczej, a teraz mnie zostawiła. Wszystkie mnie zostawiły, żebym wzięła na siebie całą winę zamiast nich.

Przysiadłam na skraju łóżka i podciągnęłam nogi pod siebie. Andy oparł się o ścianę, zapalił jointa. Przyglądaliśmy się sobie przez chwilę – dwójka porzuconych.

– Nienawidzę cię – powiedziałam w końcu, patrząc mu prosto w twarz.

Zaciągnął się głęboko, w zamyśleniu. Podrapał się po brodzie i skrzywił,

kiedy zahaczył palcami o rosnącego siniaka.

– Ale to nie zmienia sytuacji, prawda? – Puścił do mnie oko. – Zostaliśmy tylko my dwoje, mała.

Popatrzyłam na zamknięte drzwi i pomyślałam o Tomie, o jego dłoniach na moim ciele. Od samego wspomnienia zjeżyły mi się włoski na przedramionach, strużka gorącego potu spłynęła po karku. A potem pomyślałam o Robin: jak ona mogła kochać takiego chłopaka? Przecież musiał ją ranić jego okrutny, beztroski ton. A potem uświadomiłam sobie, jak bardzo zabolęło mnie to, co ona mi zrobiła. „Seks, miłość, zemsta i śmierć”, powiedziała, gdy jechałyśmy windą na szczyt wieży po tej pierwszej nocy na cmentarzu. „O tym są te zajęcia. Wszystkim chodzi o to samo”.

– Andy – odezwałam się po chwili.

Nie otworzył oczu. Odchylił głowę w tył. Spojrzałam na zarys jego czaszki.

– Mmmmm?

Nachyliłam się do przodu, przetoczyłam na kolana. On otworzył jedno oko (a może oboje, ale przez opuchliznę nie dałoby się tego stwierdzić) i się uśmiechnął. Nienawiść do niego rozchodziła mi się tępym bólem po kościach. Ale w tamtej chwili nienawidziłam Robin jeszcze bardziej.

Wstrzymałam oddech i popatrzyłam na jego tłustą skórę, na śmierzdzące kołtuny włosów; na zakrwawiony nos, pękniętą wargę. Na żyłę pulsującą mu na skroni, wijącą się po czaszce jak strumień. Zbliżyłam się i go pocałowałam. W jego nieświeżym oddechu czuć było drożdżowy zapach piwa i lepki dym. Jego język wcisnął mi się między zęby zaborczym, pulsującym ruchem. Jęknęłam, siadając mu okrakiem na kolanach. Nienawidzę cię, myślałam, kiedy przycisnął brudne kciuki do mojego ciała, kiedy poczułam w sobie jego suche, czarne paznokcie. Przełknęłam falę mdłości i wbiłam mu palce w plecy, rozdrapując ropiejące pryszczki. Krzyknął z bólu, a ja znów jęknęłam, udając, że jest mi dobrze. Dałam wspaniale odrażający, głośny pokaz.

Kiedy skończyliśmy – kiedy on skończył – wytarłam się sztywną, gnijącą koszulką, którą znalazłam przy łóżku, i wciągnęłam dzinsy na uda. Ramiona bolały mnie z wysiłku. Czułam się spaskudzona, zepsuta, oszołomiona

brakiem przyjemności w tym głupim zwycięstwie, brudna od zdrady, której może nigdy nie uda mi się zmyć.

– Muszę iść – oznajmiłam.

On przekręcił się na bok, obrzydliwie bezwstydnym w swojej nagości. Jego plamista, trupia skóra napinała się na wystających kościach. Wymamrotał coś na pożegnanie i zamknął oczy, rozsmarowując krew z twarzy na poduszce.

Gdy wymknęłam się na korytarz, zauważyłam, że Nicky przygląda mi się nad ramieniem jakiegoś barczystego, byczkowatego sportowca. Otworzyła szeroko oczy, odprowadzając mnie spojrzeniem. Zakołysałam biodrami, kiedy ją mijałam, żeby wiedziała, co zrobiłam.

Szłam przez puste ulice. Słońce wisiało nisko nad drzewami rzucającymi długie cienie w popołudniowym świetle. Paliły mnie ramiona, uda lepiły mi się pod spódnicą. Całe miasto dyszało otumanione upałem. Powietrze było tak gęste, jakby wszystko zatoneło w bursztynie. Ciastowaci mężczyźni leżeli na słońcu w trupim bezruchu, powoli różowiejąc, budząc się do życia tylko po to, by raz na jakiś czas podnieść puszkę do zionących pustką, bezzębnych ust. Wszędzie cuchnęło rozgrzanym asfaltem i przypalonym mięsem. Zasłoniłam oczy ciemnymi okularami w kształcie serc, wargi miałam lepkie od słodkiego błyszczycy. Od imprezy w akademiku minęły trzy dni, a dziewczyny nadal się do mnie nie odezwały.

Dopiero kiedy była kilka metrów ode mnie, uświadomiłam sobie, że to ona: chuda, o utlenionych włosach, ze skórą nierówno poparzoną słońcem.

– Chodź – powiedziała Robin, chwytając mnie za ramię. Pociągnęła mnie za sobą w przeciwną stronę.

– Kurwa, co ty...

– Chodź, nie pierdol.

Pobiegłam za nią rozgrzаныmi ulicami, przeskakując nad pękniętymi płytkami chodnikowymi. Minęłyśmy dziwnie dodające otuchy graffiti nad mostem: „Wszystko będzie dobrze”. Robin zatrzymała się w cieniu i oparła o ścianę. Ściągnęła w jej szyi dygotały. Przeczesała splątany kołtun włosów

palcami.

Zwolniłam, zatrzymałam się. Dudniło mi w piersi.

– Co się stało? – spytałam, kiedy wreszcie złapałam oddech.

Ona tylko objęła się ramionami, jakby było jej zimno. Most zadygotał nam nad głowami. Synkopowy hurgot przetaczał się w nieskończoność nad naszymi głowami, po czym zgasł równie nagle, jak się zaczął. Przez kilka sekund stałyśmy w ciszy, patrząc na siebie.

– Co zrobiłaś z włosami?

Robin uniosła brew.

– Poważnie? To cię w tej chwili najbardziej interesuje?

– Dobrze wygląda. – Wzruszyłam ramionami.

– Dzięki. – Włożyła ręce do kieszeni, wygrzebała listek gumy. Rozdarła go na dwa kawałki, podała mi pudrowy kwadracik.

– Gdzie... Gdzie ty byłaś? – spytałam w końcu.

– Dostałam taki szlaban, że bardziej się nie da. – Przewróciła oczami. – Wielkie dzięki, debilko.

– A co ja zrobiłam?

Podsunęła mi pod nos pogniecioną bibułkę pokrytą białym proszkiem. Natychmiast ją rozpoznałam: to ta, którą zgubiłam na jarmarku.

– Wygląda znajomo?

Popatrzyłam na nią zaskoczona.

– Skąd to masz?

– Mama znalazła. W swoim pudełku z drobiazgami. – Robin prychnęła. – Ja też grzebię w rzeczach twojej rodziny, ale przynajmniej nie zostawiam po sobie śladów.

– Jezu, i co się stało?

– Nie martw się. Nie powiedziałam jej, że to twoje. Nie żeby mi uwierzyła, ale... No, nieważne. Mam absolutnie, nieodwracalnie przejebane. Dzięki, Vivi.

Zaczerwieniłam się.

– Kurwa. Strasznie cię przepraszam. – Pomyślałam o Andym

i zadygotałam instynktownie. A potem przypomniała mi się Nicky. Ona wiedziała, co zrobiłam.

Robin wzruszyła ramionami.

– Spoko. Cały dzień próbowałam się do ciebie dodzwonić. Gadałaś z Alex?

– Nie.

– Ja pierdołę, gdzie ty się podziewałaś?

– Byłam chora – odparłam słabo. – Miałam... grypę albo coś w tym rodzaju.

– Fuj. – Robin cofnęła się i zrobiła znak krzyża dwoma palcami. – Tylko mnie nie zaraż.

– Już mi przeszło. Co się dzieje z Alex?

– Nic. Ojcu Grace odwaliło. To znaczy bardziej niż zwykle. Dopiero co wyszła ze szpitala.

– Jezu Chryste.

– No. Mieszka na razie u Alex. Mama wypuściła mnie tylko dlatego, że idę ją odwiedzić. – Robin rozejrzała się wokół, jakby sądziła, że ktoś ją obserwuje. – Dobrze się czujesz? Wyglądasz na nieźle przerażoną.

– N-nie. Nic mi nie jest. – Wzięłam kilka oddechów na uspokojenie. – Mogę iść z tobą?

– A jak myślisz? Wszędzie cię szukałam. Chodź.

Robin złapała mnie za ramię i wyszliśmy na słońce. Łagodnie potarła gęsią skórę na moim ramieniu, ale krew i tak zamarzała mi w żyłach.

W domu panowała śmiertelna cisza, powietrze było gęste i zatechłe. Pachniało rozkładającym się jedzeniem, dymem z papierosów.

– Na ile twoja mama wyjechała tym razem? – spytałam Alex, kiedy weszłam do kuchni.

– Na kilka tygodni – odparła, zgarniając butelki i pudełka po jedzeniu na wynos do czarnego worka na śmieci.

Robin zaczęła grzebać przy starym gramofonie. Wszystkie trzy podskoczyliśmy, kiedy nagle z głośnika ryknęła pogodna piosenka. Znałam

ten głos, tę melodię: Nina Simone. Mama uwielbiała jej słuchać, kiedy jeszcze śpiewała razem z radiem i tańczyła z Anną w ramionach. Odkręcałam kran, pozornie po to, żeby pozmywać brudne naczynia, piętzące się na każdej wolnej powierzchni (choć tak naprawdę szukałam po prostu jakiegoś zajęcia, które pozwoliłoby mi uciec przed koniecznością rozmowy. Bo co mogłam powiedzieć? Co którakolwiek z nas mogłaby teraz powiedzieć?).

– Zostaw – skarciła mnie Alex, odwracając się gwałtownie w moją stronę.
– Jeszcze trochę jej nie będzie.

Poszłam potulnie do salonu. Światło sączyło się przez zaciągnięte zasłony. Po kolei oglądałam grzbiety ciężkich książek, mosiężne rzeźby, maski i ozdoby ustawione na półkach pod ścianami. Dawniej obco brzmiące imiona teraz tworzyły siatkę skojarzeń. Historie wielkich kobiet, bogiń i śmiertelniczek; opowieści o kapłankach i wyniszczonych przez życie czarownicach, uwiecznione w brązie pokrytym mgiełką patyny. Czaszki, wysuszone części martwych zwierząt. Brałam do rąk swoje ulubione przedmioty: dziecko przebite żelaznymi prętami; wizerunek Dagola, skowyczącej bestii; komplet zębów spiłowanych w ostre szpice; porcelanową dłoń obrysowaną czarnym tuszem, oferującą przyszłość bez żadnych obietnic.

Usiadłyśmy w takiej samej formacji jak tej pierwszej nocy w domu Alex, kiedy wszystko wydawało się możliwe, a nasza przyjaźń była lekka i rozmigotana. Teraz słuchałam rozmów i śmiechu przyjaciółek, popijających słodkiego szampana, którego Alex znalazła w piwnicy („Ojciec go uwielbia”, powiedziała, machając dwoma butelkami w każdej dłoni), i czułam, że przygniata mnie ciężar naszej wspólnej przeszłości. Wszystkie te rzeczy, które zrobiłyśmy razem – które ja im zrobiłam – spletały się w gęstą sieć, z której nie umiałam się uwolnić.

Wcześniej wydawało się nam, że to tylko zabawa – gdy z chichotem przywoływałyśmy nocą bestie, w które nie do końca wierzyłyśmy (a raczej nie wierzyłyśmy, że mamy dostateczną władzę, by je wezwać). Od tamtej pory jednak wiele się zmieniło. Wszystkie upadłyśmy, ale ja najniżej. Sądziłam, że mnie zdradziły, więc odpłacałam zdradą. A teraz nie było dla mnie odwrotu.

– Nie mogę uwierzyć, że nie wspomniałaś o tym wcześniej – mówiła akurat Robin, kiedy znów skierowałam uwagę na toczącą się rozmowę.

Alex delikatnie położyła Grace dłoń na ramieniu i wychyliła się nad nią, by sięgnąć po butelkę. Wyszepiała kilka słów, których nie udało mi się pochwycić. Makijaż Grace zakrywał grubą warstwą siniaka, którego wszystkie próbowałyśmy ignorować.

– Dopiero kilka dni temu wszystko ustaliłyśmy. Zresztą na pewno macie już własne plany, prawda?

– Nie jestem wkurzona, bo liczyłam na zaproszenie, chociaż skoro już o tym mowa, to chuj ci w oko – odparła Robin. Pociągnęła długi łyk szampana i zerknęła na mnie kątem oka. – Ale czy nie wydaje ci się, że to będzie wyglądać trochę podejrzanie?

Na twarzy Alex odmalowało się teatralne zaskoczenie.

– O co ci chodzi?

– Gdybyśmy wszystkie zniknęły zaraz po... No wiesz.

Alex się roześmiała.

– No tak, oczywiście. Wyjazd na wakacje latem. Klasyczna zagrywka maniakalnego mordercy. Bardzo się cieszę, że o tym pomyślałaś. – Podniosła kieliszek do warg i westchnęła. – Zresztą, nikt się nami nie interesuje. Policja znalazła kasetę w jego biurze, więc pod tym względem jesteśmy kryte, a...

– Dokąd jedziecie? – spytałam oszołomiona szampanem. Cała trójka odwróciła się ku mnie, jakby zapomniały, że też tu jestem.

– Do Europy – odparła sucho Alex. – Mama wybiera się na wyjazd naukowy. Będzie miała wolną kanapę, no i... Powiedziała, że możemy się przyłączyć.

– Do Europy – powtórzyła Robin, przedrzeźniając Alex. – Zajebicie, naprawdę.

– Tylko odpowiedziałam na pytanie! Co niby miałyśmy zrobić? Odmówić i siedzieć tu z tobą, kiedy zachowujesz się jak...

– Wiesz co, Alex, pierdol się. Nie chcę...

Spojrzałam na Grace, która wydała z siebie długie, płytkie westchnienie.

– Dziewczyny, możemy... trochę wyluzować?

Alex uśmiechnęła się pojednawczo. Widziałam, że liczy na moje wsparcie.

– To tylko sześć tygodni. Nawet się nie obejrzycie, kiedy będziemy z powrotem. A potem we wrześniu będziemy musiały... No, zdać maturę.

Zaczerwieniłam się na samą myśl o swoich ocenach, które po egzaminach na koniec roku jeszcze się pogorszyły. Oczywiście byłam traktowana wyjątkowo pobłaźliwie, bo wszyscy uważali mnie za kolejną ofiarę dziekana (nawet nie musiałam nic nikomu mówić – ta idea wykluła się samoistnie w moim otoczeniu, choć nikt nie wypowiedział swoich lęków na głos). Jeśli jednak chciałam ukończyć szkołę razem z resztą, musiałam zacząć nadrabiać zaległości.

– Alex ma rację – bąknęłam.

Robin w odpowiedzi tylko przewróciła oczami. Wstałam, pragnąc opuścić nie tylko tę rozmowę, ale także ten dom, miasto, całe to bagno, w którym się znalazłyśmy. Jeśli Alex i Grace chciały wyjechać, nie mogłam mieć do nich o to pretensji. Miałam ochotę zrobić to samo.

– Nie przejmujemy się tym teraz. Pójdę po wino – zaproponowałam i wyszłam na korytarz. Serce tłukło mi się ciężko, boleśnie o żebra.

W kuchni zamknęłam na chwilę oczy i wyobraziłam sobie, że jestem wolna; wbiłam paznokcie w bliznę rozcinającą mi dłoń i wróciłam uśmiechnięta do salonu, po kolei rozlewając krwiście czerwone wino do uniesionych kieliszków.

Rozdział 16

Wbrew wszystkiemu, co wydarzyło się później, wspomnienie o ostatnim dniu roku szkolnego nadal wypełnia mnie dziwną radością, słodko-gorzka melancholia. Czuć ją było na korytarzach wypełnionych gęstą mgiełką podekscytowanego oczekiwania maturzystek, stojących już na skraju dorosłości i nowych przygód. Pamiętam to ukłucie smutku, pierwszą jaskółkę nostalgii. Starannie wybrane piosenki pop sączyły się z głośników na korytarzach, kiedy uczennice przedostatni raz wychodziły ze szkoły – do domu, by przebrać się na letni bal.

Po raz pierwszy w historii uczennicom pozwolono wybrać tegoroczny motyw przewodni balu drogą głosowania – zapewne po to, by odciągnąć uwagę od wszechobecnego cienia dziekana i mrocznych plotek, które zawisły nad Elm Hollow pod koniec semestru. Każda sekcja komitetu organizacyjnego prowadziła na kampusie własną kampanię, korzystając przy tym z rozmaitych dekadенckich rekwizytów i pomocy wizualnych. Jedna z dziewcząt chodziła po kampusie na szrudłach, krzycząc: „Karnawał!”, a grupka uczennic w gorsetach prowadziła kampanię na rzecz Moulin Rouge (zgorszeni nauczyciele przed każdą lekcją dawali im koce, żeby mogły się zakryć). Flapperki tańczyły do jazzowych piosenek, zachęcając do głosowania na bal w stylu Gatsby’ego, a skromna grupka ubranych na czarno gotek nadrabiała niedobory liczebne entuzjazmem i szczyrzyła sztuczne kły z zakątka stołówki. Kiedy wychodziły nagle zza rogu na korytarzu, serce zawsze podchodziło mi do gardła. Po sekundzie organicznego przerażenia śmiałam się ponuro, by odpędzić falę mdłości, lecz po każdym takim spotkaniu te prawdziwe, niewidzialne postacie Furii stawały się nieskończenie bardziej przerażające.

Ostatecznie jednak niewiele dziewcząt zagłosowało – większość elektoratu stanowią kampanierki wspierające swój własny pomysł. W końcu doszło do remisu między balem maskowym i tematem nazwanym po prostu „biel”.

Dyrektor, wykończony tym rokiem szkolnym i pochłonięty ważniejszymi sprawami (choć domyślał się pewnie, że ciało uczniowskie mogłoby mieć na ten temat inne zdanie), powiedział dziewczętom, żeby same się dogadały. I tak skończyło się na połączeniu dwóch motywów: ustalono, że odbędzie się biały bal maskowy.

Teraz wydaje mi się absurdem, że coś tak dziecinnego mogło urosnąć do takiej rangi – jako dorosła krzywię się nieco z zażenowania, gdy o tym opowiadam. Wszystkie jednak wychowałyśmy się na licealnych filmach o królach i królowych balu, o pocałunkach pod złotymi lampionami, o muzyce, tańcu i wszechobecnej nostalgii wchodzenia w dorosłość. Żadna z nas nie była na to zupełnie odporna. Nawet nasza czwórka dała się wciągnąć w drobiazgowo przygotowania masek i sukienek – chyba po prostu potrzebowałyśmy jakiejś odskoczni od zgrozy, która wydawała się otaczać nas ze wszystkich stron. A czasami wydawało mi się, że ten mrok bierze się z nas samych, ze środka.

Annabel, trzymając się tematu, wróciła na ostatnich zajęciach w roku do zagadnienia tragedii. Martwookie teatralne maski wyczerały z ciemnych kąców, zwisały z lamp i stały oparte o sterty książek, kołysały się na nitkach pod belkami, trącane skrzydłami ptaków i nietoperzy. Nauczycielka chodziła tam i z powrotem po pomieszczeniu. Na jej nagim ramieniu odcisnął się biały ślad, paznokcie miała pokryte cienkimi strupkami zaschniętej bieli. Zastanawiałam się, nad czym pracowała przed zajęciami, jaki gipsowy kształt tworzyła z dala od naszych oczu.

– To wieczna opowieść o zazdrości – powiedziała, wskazując na książki leżące między nami na stole. – Zawieść stanowi naszą siłę napędową. Śmiertelny grzech, którym jest obciążony cały ród Adama i Ewy. Grzech pierworodny naszej matki, znak kobiecej słabości, rzuca długi cień na naszą kulturę, sięga aż do dzisiejszych czasów, jak jakiś prymitywny popęd: wściekle odsłonięte zęby, mroczny zarys szczęki, puste spojrzenie. „Mam być tułaczem i zbiegiem na ziemi”, mówi Kain. W ogrodzie Tuileries można oglądać kamiennego Kaina, który idzie chwiejnym krokiem, z twarzą ukrytą

w dłoni. W ogrodzie botanicznym znajduje się inna rzeźba tej postaci, tym razem w pozycji siedzącej, zatytułowana *Moja kara jest cięższa, niż mogę znieść*. A więc zarówno Biblia, jak i wszystkie późniejsze teksty potwierdzają tę prawdę: zawiść, zło wymierzone przeciwko własnemu gatunkowi, stanowi nasienie wszelkiego zła.

Popatrzyła na każdą z nas po kolei. Robin wychyliła się do przodu, jakby chciała zbliżyć się do blasku Annabel.

– Ale tak jak wszystko inne, to też starożytni robili lepiej od nas. Nie, to starożytne kobiety robiły to lepiej. Chrześcijańscy malarze renesansu zafiksowali się na opowieściach o mężczyznach, których zemsta zawsze była szlachetna, potężna, pełna rozsądku. A mimo to żaden mężczyzna nie przebije w sztuce wymierzania zemsty Medei, do której chyba już zawsze będzie mi pisane powracać – dodała z uśmiechem. – To właśnie Medea jest widmem, które nawiedza obraz męskości, to ona podniosła zakrwawiony miecz na porządek patriarchatu. Jako jedyna przeżyła masakrę. Wyszła z Aten we krwi własnych dzieci i, przynajmniej ja tak to sobie wyobrażam, ze śmiechem. Śmiała się, bo dokonało się najgorsze, a ona osiągnęła tym samym boskość.

Annabel zamilkła.

– Czy na tym polega macierzyństwo? – spytała po chwili. Na sekundę nasze oczy się spotkały. – Medea w *Metamorfozach* odwiedza Hekate, boginię czarodziejstwa, a u Eurypidesa ją ucieleśnia. Zagląda w istotę samej siebie i wyłania się przemieniona: cień stanowi przecież nieuniknioną konsekwencję światła. – Nauczycielka westchnęła. – Metamorfoza i przejście na drugą stronę własnego ja, przez wrzask, cierpienie, zgrozę i strach, stanowią, przynajmniej dla wielu starożytnych Greków, ścieżkę ku macierzyństwu. Dla Medei jednak to droga prowadząca ku ucieczce. I tak staje się wieczną istotą, o włosach na zawsze zlepionych krwią swoich dzieci.

Stała za fotelem i położyła łokcie na oparciu. Zapadła między nami gęsta cisza: cztery uczennice i nauczycielka, której każde słowo tyle dla nas znaczyło (do dziś na samo wspomnienie przechodzi mnie dreszcz: Annabel swoimi słowami potrafiła na chwilę poruszyć zasłonę, za którą kryła się

wieczność).

– Oto więc podstawowy fakt tragedii: jesteśmy skazane na krzywdzenie tych, których kochamy. Wszystkie skazy rozdymają się od przelotnej myśli od potwornej zbrodni. Grzechy śmiertelne właśnie tak działają: nasze furie odwracają los, który następnie prowadzi do wściekłości zrodzonej z naszego upadku. Jedno jest cieniem drugiego. A nad tym wszystkim lśni księżyc, boginie spoglądają z nieba: Hekate i jej kapłanka Medea.

Dzwony zabiły nad naszymi głowami, a z zewnątrz dobiegły pokrzykiwania, niosące się echem z głównego budynku szkoły. Nasza czwórka siedziała w milczeniu, powietrze lekko drżało. Annabel uśmiechnęła się i wszystkie wstałyśmy, a ona kolejno objęła każdą z nas na pożegnanie. Gdy brała nas w krótki uścisk, jej palce wydawały się zapuszczać korzenie wokół naszych odkrytych ramion. Czułyśmy, że to rozstanie na zawsze, choć po wyjściu nauczycielki powtarzałyśmy sobie, że przecież zobaczymy się po wakacjach. Jak niewiele wtedy wiedziałyśmy. Już za kilka godzin te ulotne chwile radości miały zostać nieodwracalnie stracone.

Pierwsze uczennice zaczęły wracać na kampus, a dekoratorzy opuścili Wielką Salę. Nasza czwórka nadal siedziała w wieży zegarowej, której kamienne ściany zapewniały zbawienny chłód w suchym upale na zewnątrz. Daleko w dole sznury teatralnych masek kołysały się rozpięte między drzewami, w ich pustych oczodołach migotały złote światełka, a niebo nabierało miedzianej barwy. Każdy budynek wokół głównego placu wydawał się lśnić własnym blaskiem, a światła z potężnych, łukowato sklepionych okien wylewały się złotymi strumieniami na trawnik. Była w tym jakaś magia, słodycz, której nie zauważałam od miesiący – może to był tylko zapach letnich kwiatów, choć nadal żywiłam w głębi duszy nadzieję, że zdołamy się jakoś uwolnić od tego horroru, który się za nami ciągnął.

– Jaki ładny wieczór – powiedziała Grace, stając obok mnie przy oknie. Podała mi kieliszek wina. Robin wreszcie zdołała włamać się do barku (po kilku miesiącach prób i dziesiątkach powyginanych wsuwek i spinaczy do papieru).

Wszystkie cztery zawarłyśmy niepisany rozejm, przynajmniej na ten jeden wieczór. Nasze białe sukienki (uszyte przez Grace na podstawie wzoru znalezionej w jakimś magazynie) wisały przez cały tydzień na regałach stojących po obu stronach łóżka Alex. Były proste, eleganckie, skromne – nie miały nic wspólnego z ohydą dekadencją oblepionych błyskotkami potworności z kół i gorsetów, które inne dziewczęta pokazywały sobie w sekrecie na polaroidowych zdjęciach z przebieralni. Przesunęłam dłońmi po gładkim białym materiale spływającym mi po skórze i dołączyłam do reszty.

– Rany, posłuchajcie tego – odezwała się Robin, kartkując księgę pamiątkową. – „Kiedy pada deszcz, rozejrzyj się za tęczę. Gdy robi się ciemno, szukaj gwiazd”.

– Koszmarne – stęknęła Alex.

– I jeszcze to. – Robin prychnęła pogardliwie, wskazując na podpis pod innym zdjęciem. – „Będę czekać, wieczna jak słońce”. Czy to nie jest czasem cytata z piosenki?

– A twój nie? – spytałam, siadając obok Robin. Alex parsknęła. – Też wybrałaś piosenkę.

– Tak, ale dobrą. Wyobraź sobie, że chcesz uwiecznić swoje wspomnienia z liceum słowami wielkiej poetki, Sporty Spice.

– Wątpię, żeby one same pisały swoje piosenki – wtrąciła Alex, wyjmując Robin książkę z rąk. – Zresztą cytaty nie są najlepsze. Uwielbiam część *Zapamiętaj mnie*. „Najbardziej chciałabym być zapamiętana za...” – powiedziała, idealnie przedrzeźniając ton nastoletniej miss.

– Za zamordowanie nauczyciela w jego własnym domu – dokończyła ze śmiechem Robin. – Pewnie nie przeszłoby przez...

Przerwała w połowie zdania. Alex i Grace popatrzyły w jakiś punkt za naszymi plecami. Usta miały rozchylone, twarze nagle poszarzałe. Drzwi do maleńkiej kuchni były lekko uchylone.

– Czy wy też... – odezwała się Grace, spoglądając na Alex. – Też coś słyszałyście?

Alex pokiwała głową. Robin popatrzyła na drzwi, potem na mnie.

– Macie paranoję – powiedziała, ale jej słowa zabrzmiały głucho, jakby sama w to nie wierzyła. – Nic tam nie ma.

– Ja też nic nie słyszałam – dodałam nerwowo. – Może to ptak.

– Albo nietoperz – podchwyciła Robin.

– Ćśśś. – Alex wstała powoli i ruszyła w stronę drzwi, a Grace dwa kroki za nią. Położyła dłoń na klamce i szarpnęła gwałtownie. Mosiądz uderzył o regał, porcelanowa lalka spadła z trzaskiem na podłogę.

– Co ty...

– Przepraszam, naprawdę nie chciałam... – Nicky, ubrana w sukienkę na bal, przywarła plecami do najdalszej ściany w kuchni.

Alex ze złością popatrzyła na Robin i znów odwróciła się do Nicky.

– Jak tu włązaś?

– Nic nie... – zaczęła Nicky drżącym głosem.

– Nicky, jak tu się...

– Drzwi... Nie były dziś zamknięte. Chciałam tylko zobaczyć...

– Co?

Nicky westchnęła; zamknęła na chwilę oczy, próbując się opanować.

– Co tu robicie. Wiem, że przychodzicie tu od początku roku.

– Wścibska mała suka – rzuciła Robin. – Kurwa, wiedziałam, że ty...

– Robin – przerwała jej zimno Alex. – Uspokój się. – Przeniosła uwagę na Nicky. – Podśluchiwałaś?

Nicky potrząsnęła głową.

– Nic nie słyszałam.

Alex i Grace popatrzyły po sobie.

– Przysięgam – zapewniła Nicky. – Tylko czekałam, aż wyjdziecie, żebym mogła sobie stąd pójść.

– Kłamie. Oczywiście, że słysza...

– Robin – powtórzyła Alex. – Możesz choć raz się zamknąć?

Robin przewróciła oczami i odeszła najeżona pod wschodnią tarczę zegara. Popatrzyłam na Nicky. Policzki miała czerwone, pot perlił się w zagłębieniach

obojczyków.

– Powinnaś stąd iść – powiedziałam cicho, chwytając okazję. Jeśli będę dla niej miła, może nie powie Robin, co widziała; sekret za sekret. – Gdyby Annabel cię tu zobaczyła, to...

– Dobra – ucięła Nicky, chwytając swoją maskę (białe pióra, diamentowe szkiełka, srebrna wstążka) i ruszyła ku wyjściu. – I tak niedługo zaczyna się bal. – Posłała mi pojednawczy uśmiech. – Zobaczymy się na dole?

Odprowadziłam ją na próg.

– Tak, zaraz przyjdziemy.

Stałyśmy w milczeniu, nasłuchując terkotu windy. Żadna z nas się nie odezwała, dopóki nie rozległ się trzask metalowej kratki na samym dole. Zamknęłam drzwi.

– Słyszała nas – stwierdziłam.

– Jesteś pewna? – spytała Alex.

Pokiwałam głową.

– Nie wyszłyby tak szybko, gdyby nie zdążyła się czegoś dowiedzieć.

– Kurwa. – Alex trzasnęła otwartymi dłońmi o biurko. – Kurwa, kurwa, kurwa.

– Może nikomu nie powie – wtrąciła Grace. Jej słowa brzmiały prawie jak pytanie.

– Nie miałyby nic do powiedzenia, gdyby Robin nie... – zaczęła wściekle Alex.

Robin odwróciła się na pięcie i posłała jej nienawistne spojrzenie.

– Och, spierdalaj, Alex. Zawsze musi być moja wina, co?

– Oczywiście musiałaś zacząć gadać o dziekanie. Ty i te twoje durne...

– Ja pierdolę. Skąd miałam wiedzieć, że się tu schowała? Myślałam, że jesteście tu same!

– Nawet jeśli, to nie było śmieszne. Kurwa, ty zawsze...

– Dziewczyny – przerwałam im. Serce łomotało mi w piersi. – Proszę. To w niczym nam nie pomoże.

– Ona ma rację – zawtórowała mi Grace. – Powinnyśmy tam zejść

i sprawdzić, co ona robi.

– A potem co? – Głos Robin nieco drżał. Opanowała się. – Nie możemy jej pozwolić... nikomu o tym powiedzieć.

– Nie, nie możemy – przytaknęła Alex. Spojrzała na Robin. – Gdzie jest książka?

– Alex – zaprotestowałam. – Nie...

– Gdzie ona jest?

Robin wstała, podeszła do biurka i przykucnęła. Sięgnęła pod blat. Książka spadła na podłogę z głuchym łupnięciem.

Alex spojrzała na mnie.

– Cały czas tu była?

– Nie wiedziałam. – Wzruszyłam ramionami.

– No to co robimy? – Robin otworzyła książkę na biurku i zaczęła przewracać strony. Światło odbijało się od złotych krawędzi kartek, rzucając na ściany ostre błyski.

– Tego już próbowaliśmy – starałam się jakoś je powstrzymać. – Nie podziałało.

– Pewnie coś źle zrobiliście – odparła Alex. – Zresztą do większości rytuałów potrzeba czterech osób.

– Ale ona nie jest... Nie możemy...

– Violet, posłuchaj. Wiem, że ją lubisz. Myślisz, że to twoja „koleżanka” – powiedziała, robiąc palcami w powietrzu znak cudzysłowu – ale to jest niebezpieczne. Ona wie, co zrobiliśmy. Sama tak powiedziałaś.

– Wiem, ale...

– A poza tym kto zostawił drzwi otwarte? Cały dzień mnie tu nie było. Grace, wchodziłaś dziś na górę?

Grace pokręciła głową. Robin też.

Zbielałam. Byłam w wieży na chwilę między lekcjami, bo zapomniałam podręcznika.

– Może Annabel... – zaczęłam, ale nawet nie dokończyłam. Annabel była zbyt ostrożna. Nigdy nie zostawiłaby drzwi otwartych. Nie dało się

zaprzeczyć. To wszystko była moja wina. Usiadłam i wzięłam kilka głębokich oddechów, a dziewczyny zebrały się wokół książki, szeptem wymieniając uwagi. Co jakiś czas odczytywały niektóre fragmenty na głos.

– Ten – zdecydowała w końcu Alex. – Robimy to. Zbierzcie wszystkie rzeczy.

Robin przyniosła z kuchni zapalniczkę, a Grace wyciągnęła z szuflady cztery cienkie czerwone świece. Podała mi jedną, gdy przechodziła obok.

– Chodź – powiedziała, ściskając mnie za rękę. – Wszystko będzie dobrze.

Stałam przy stole. Nasze maski leżały obok siebie, zahaczając się rogami. Cały rok leżały na półkach jak ozdoby. Kiedy jednak Robin ściągnęła jedną dla żartu, okazało się, że z tyłu jest przyczepiona długa biała wstążka. Trzy pozostałe były takie same: stare maski skradzione z innych czasów. Długie, ostre twarze były zimne i spękane. Tylko Alex nie chciała, żebyśmy włożyły je na bal, ale została przegłosowana przez naszą trójkę.

– Będziemy jak Flidais – oznajmiła Grace. – Celtycka bogini lasu. Władczyni dzikich bestii.

– No, to by się zgadzało. – Robin się roześmiała, przewlekając wstążkę przez włosy. Maski ześlizgnęły się jej z twarzy. – Bestie, demony, wiedźmy... I my.

Stanęłyśmy po czterech stronach stołu. Książka leżała otwarta przodem do Alex, która podpaliła wieniec z zaszuszonych kwiatów i wrzuciła go do szklanej misy na środku blatu. Robin zapaliła świeczkę, a my przytknęłyśmy swoje do jej płomienia. Zobaczyłam, że włoski na przedramieniu przyjaciółki podnoszą się gwałtownie. Moje też się zjeżyły. Nie chcę tego robić, pomyślałam, choć głęboko w żołądku już czułam tępy ból, cichą tęsknotę, która znów budziła się do życia.

– Gotowe? – spytała Alex, spoglądając na każdą z nas po kolei.

Skinęłam głową. Kropla wosku zaczęła spływać po świeczce. Przygotowałam się na palące ukłucie, kiedy wreszcie dosięgnie mojej skóry.

Alex wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy.

– Usłysz nas, bogini. W tę letnią noc składamy ci nasze dusze w ofierze.

Przychodzimy do ciebie z otwartą duszą i z chłodnym, czystym sercem. – Wieniec zaczął trzeszczeć, powietrze przesycił usypiający, słodko-gorzki zapach. – Prosimy, byś pomogła nam zachować twoje sekrety i nasze, uciszając tych, którzy chcieliby je zdradzić.

Zerknęłam na Robin. Wpatrywała się w płomień świeczki. Poczułam, jak gorący czerwony wosk pełźnie mi po kciuku.

– Dziękujemy ci, bogini, za tve Furie i ich pracę, a teraz wysyłamy je do...
– Przerwała, zakaszłała. Z wieńca uniósł się czarny dym.

Podniosła wzrok. W progu stała Annabel. Nauczycielka popatrzyła na maski rozłożone na biurku, na kopczą misę. Zamknęła oczy, jakby szukała w sobie jakichś ukrytych pokładów cierpliwości.

– Nie mówcie mi, że robicie to, co myślę.

– Wcale nie...

Podniosła rękę.

– Robin, nie. Nic nie mów. Proszę zgasić te świece. – Annabel pokręciła głową. – Myślałam, że jesteście mądrzejsze, dziewczęta. Naprawdę.

– Ale... – zaczęła nerwowo Grace. – Nicky się dowiedziała. Przyszła tutaj. Annabel posłała jej zimne, mroczne spojrzenie.

– Więc postanowiłyście zrobić coś takiego? Nawet sobie nie wyobrażam, dlaczego przyszło wam do głowy...

– Nie tylko o pokoju – wtrąciła Alex. Słowa więzły jej w gardle. – Dowiedziała się, co zrobiłyśmy. Dziekanowi.

Ona wie? Zerknęłam na Alex. Na sekundę zapłonęła we mnie zawiść. Wyobraziłam sobie ich rozmowy. To uczucie jednak zgasło, gdy zobaczyłam oczy przyjaciółki. Dostrzegłam w nich nadzieję przemieszana z desperacją. Błagały Annabel, by pokazała, że rozumie, co zrobiłyśmy. Że od początku o wszystkim wiedziała.

Nauczycielka znów zamknęła oczy, jak gdyby dobierała słowa. Wzięła oddech, powstrzymała się. Jeszcze raz wciągnęła powietrze w płuca, powoli i głęboko. Wszystko ucichło: wiatr chłostający tarcze zegara, szelest kruków i nietoperzy wysoko nad naszymi głowami. Po pokoju rozlała się

nieskończona, bolesna cisza. Prawda o tym, co zrobiliśmy, zawisła w powietrzu.

Annabel westchnęła.

– Wiecie co? Idźcie stąd.

– Ale... – zaczęła Robin.

– Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Od żadnej z was. Proszę wyjść.

W milczeniu ruszyliśmy przez plac. Bezmyślnie deptaliśmy kwiaty, nasze maski rzucały długie, smukłe cienie na trawę. Ręka Robin otarła się o moją. Pozwoliłam, by grzbiety naszych dłoni dotykały się lekko, łagodnie, w drodze do Wielkiej Sali. Słońce zachodziło na posiniaczonym niebie. Pola za terenem szkoły złociły się, jakby na złość nadchodzącej ciemności. Kampus był równie piękny jak zawsze. Minęliśmy stary wiąz. Emily nadal uśmiechała się znad wyblakłych kartek i drobiazgów. Po raz ostatni zapalono znicze. Na apelu na zakończenie roku szkolnego dyrektor ogłosił, że w wakacje drzewo zostanie w końcu usunięte. Jeśli ktoś chciał jeszcze uczcić pamięć Emily, należało to zrobić przed zamknięciem szkoły na lato.

Dziewczęta w białych sukienkach snuły się przed salą, pozowały do zdjęć, pudrowały lepkie od potu czoła i policzki. Przyszli też chłopcy, ściągnięci na tę okazję z najbliższej szkoły. Wszyscy zostali surowo poinstruowani o zasadach obowiązujących na terenie Elm Hollow. Rozglądali się oszołomieni po kampusie. Popatrzyli na nas szeroko otwartymi oczyma. Minęliśmy ich, nie oglądając się za siebie.

Weszliśmy do recepcji przy akompaniamencie szmerów i szeptów. Gdy przechodziłyśmy, rozmowy cichły i gasły. Nigdy nie czerpałam aż takiej przyjemności z bycia w centrum uwagi – wydawało mi się, że znalazłam się w centrum wszechświata. Wzięłam Robin za rękę, otworzyliśmy drzwi do sali balowej i weszliśmy do środka parami. Reflektory pod kopułą zalewały łukowate sklepienia kremowym światłem. Lampy zwisające z sufitu kołysały się łagodnie; wielkie płachty gazy zdobiły każdą ścianę, a posągi aniołów i demonów spoglądały na nas z góry. Miałam wrażenie, że wszyscy obecni

odwrócili się w naszą stronę w tym samym momencie. Na chwilę wlepili w nas wzrok. Powoli przeszliśmy przez salę i stanęliśmy pod ścianą. Towarzystwo na parkiecie znów zaczęło tańczyć. Rytmiczne postukiwanie kroków i powolny puls basów wibrowały nam w zębach.

Zespół zaintonował ponuro sentymentalną piosenkę – miałam wrażenie, że słowa ograniczają się tylko do wariacji zwrotu „kocham cię”, powtarzanego *ad nauseam*. Dziewczeta i chłopcy dobrali się w pary i zaczęli kołysać łagodnie do rytmu.

– Jakie to obciachowe – rozległ się stłumiony głos Robin zza maski.

– Nie jest aż tak źle – odparłam.

Popatrzyłam na wirującą plataninę ciał na środku pomieszczenia pod girlandami białego materiału. Dziesiątki stóp wzbijały niskie kłęby kurzu i sztucznego dymu. Transformacja całego pomieszczenia sprawiła, że freski na suficie nabrały życia. Obraz Mojr, wątpliwej jakości pastisz paneli wewnątrz Kaplicy Sykstyńskiej, teraz wydawał się tętnić żywym pięknem. Złoty półmrok oczyścił go z wad, których nie dawało się przeoczyć w świetle dziennym. Nić Kloto, cała ze złotych płatków, łączyła się ze złoconymi krawędziami paneli. Pochylona nad nicią Lachesis oglądała ją uważnie spod zmrużonych powiek, by zdecydować o przeznaczeniu oglądającego, a Atropos stała z uniesionymi wysoko nożycami, gotowa przeciąć cienką nitkę życia tuż nad naszymi głowami.

– Widzicie ją gdzieś? – wyszeptała Grace, podnosząc maskę w nadziei, że to pomoże jej dostrzec Nicky w gęstniejącym tłumie.

Pokręciłam głową. Robin chwyciła mnie pod ramię.

– Chodź, napijemy się ponczu.

– Przydałoby mi się coś mocniejszego – odparłam. Mój głos odbijał się echem wewnątrz maski.

Przeszliśmy pod ścianami. Grace i Alex trzymały się kilka kroków z tyłu, pochylone ku sobie, zajęte jakąś prywatną rozmową.

– Naprawdę myślisz, że komuś o tym powie? – spytała Robin, zerkając na mnie spod cienkiej kości.

– Nie wiem. Gdybyśmy mogli z nią porozmawiać... Może udałoby się nam ją przekonać, że to był tylko żart...

– Bardzo śmieszny, co? – prychnęła.

– Szalenie. Ale wszyscy wiedzą, że masz chore poczucie humoru, więc...

Uderzyła mnie w ramię, zostawiając na skórze ślad paznokci.

– Przynajmniej w ogóle mam jakieś poczucie humoru.

Przewróciłam oczami, ale zorientowałam się, że i tak tego nie zobaczy.

– Mów sobie, co chcesz – mruknęłam, sięgając po lepką chochlę opartą o brzeg misy. Nalałam nam po kubku ponczu.

Robin wzięła jeden i uniosła do toastu. Wolną ręką zsunęła sobie maskę z twarzy.

– Mam nadzieję, że jest z prądem.

– Nadzieję możesz mieć – odparłam, biorąc łyk. Napój był ciepły i obrzydliwie słodki.

Alex podeszła do nas. Zdjęła maskę.

– Będziemy się zbierać – oznajmiła zimno.

– Przecież dopiero co przyszliśmy. – Robin podała jej kubek. – Przynajmniej się napij.

– Nie. – Alex odepchnęła jej dłoń. – Nie mam ochoty. Dzięki.

– Alex, no weź. – Popatrzyłam na Grace w nadziei, że mnie wesprze. – Nie pozwól, żeby Nicky...

Nagle z parkietu dobiegł głośny wrzask. Odwróciłyśmy się, a nauczyciele sumiennie zerwali się z miejsc.

– Postaw mnie! – piszczała Melanie Barker, wijąc się w ramionach chłopaka, którego smoking poróżnowiał od ponczu. – Odstaw mnie, już!

Popatrzyłam na dziewczyny.

– Proszę, nie idźcie. Zostańcie jeszcze chwilę. Proszę.

– Przecież nie musicie też wychodzić – odparła Grace ze słabym uśmiechem. – Bawcie się dobrze. I tak musimy jutro wstąpić. Nawet gdybyśmy zostały, to słabe z nas towarzystwo.

– Dobra – mruknęła Robin. – Idźcie. Jak sobie chcecie.

Posłałam Alex i Grace przepraszające spojrzenie. Objęłyśmy się niezdarnie. Grace skrzywiła się, gdy niechcący zahaczyłam o siniaka, który rozkwitał jej na karku.

– Miłych wakacji – powiedziała, ściskając mnie mocno za obie dłonie. – Będziemy za wami tęsknić.

Znów włożyły maski i odeszły, a tłum rozstał się przed nimi. Po chwili widziałam już tylko rogi, kołyszące się nad morzem głów. Łagodnie trąciłam Robin łokciem.

– Chodź. Zabawmy się trochę.

Robin westchnęła.

– No, jeśli mamy iść jutro do więzienia, to chyba powinniśmy się nacieszyć tym wieczorem.

– I tak trzymać.

A zatem wbrew wszystkiemu – koszarnej muzyce, spojrzeniom koleżanek, Nicky i całej jej wiedzy (albo niewiedzy, wmawiałam sobie, jakbym w ten sposób mogła wpłynąć na rzeczywistość); pomimo Annabel, Alex i Grace – tańczyłyśmy. Tańczyłyśmy na czubkach palców, jakbyśmy mogły pochwycić muzykę gołymi rękami, wirowałyśmy dziko, nie przejmując się urażonymi spojrzeniami dziewcząt, które spychałyśmy z drogi. Tańczyłyśmy, aż rozbolały nas stopy, powietrze zgęstniało od potu i wszystkie światła się zapaliły. A potem tańczyłyśmy dalej, podczas gdy reszta wylewała się na zewnątrz i zapalała lampiony, płynące przez ciemność, migoczące za przeszkloną kopułą Wielkiej Sali.

– Dziewczęta – odezwał się profesor Malcolm. – Czas wracać do domu.

– Ale ja jeszcze nie chcę wychodzić – jęknęła marudnie Robin.

Nauczyciel się uśmiechnął.

– Już, już. Do widzenia. Zobaczymy się we wrześniu.

– Nie chcę iść – powtórzyła Robin, siadając z głośnym łupnięciem na schodach. Przed szkołą czekały autobusy. Gromadki dziewcząt szły ku nim drobnymi kroczkami, chwiejąc się na szpilkach. Wszystkie twarze były mokre

od przesadnie dramatycznych łez.

– Ja też nie. A na pewno nie z nimi.

– Mogłybyśmy iść do wieży. – Robin odchyliła się do tyłu i oparła na łokciach. – Schować się tam na całe lato.

Popatrzyłam na nią z góry. Zalały nas światła pierwszego autobusu szykującego się do odjazdu.

– W wieży jest wino. – Zadygotałam. Pot stygł mi na nagich ramionach. – I mój płaszcz.

– Kochana, jesteś genialna. – Robin wyciągnęła ręce w moją stronę.

Pomogłam jej wstać i poszłyśmy do campanili, przemykając w cieniu, z dala od ruszających autobusów. Wreszcie zapadła ciemność, księżyc skrył się za chmurami. Powietrze było chłodne i rześkie od zapachu skoszonej trawy, rozbrzęczone od nawoływań owadów. Szłyśmy ręka w rękę. Milczałyśmy; tylko nasze buty postukiwały na kamieniach.

– Nie mogę uwierzyć, że potrzebny ci płaszcz – powiedziała Robin, otwierając drzwiczki. Wślizgnęłyśmy się do środka. – Jest cudowna noc.

– Pasuje mi do sukienki.

– Jak sobie chcesz. Francuski piesek. – Przewróciła oczami.

Chwyciłam za klamkę do pokoju na szczycie i puściłam Robin przodem, kłaniając się uprzejmie. Ona jednak zamarła w progu i popatrzyła na mnie ze zgrozą. Podążyłam za jej spojrzeniem. W środku panował chaos. Pusta butelka po winie bez kieliszka, brudny ślad obcasa na krawędzi biurka; papiery rozrzucone wściekle po podłodze, jakby przez tarczę zegara wpadła nagła burza i wywróciła wszystko do góry nogami. Przeszłam wśród notatek i ilustracji wyrwanych z książek. Zobaczyłam cienką żyłkę atramentu, skapującą powoli z biurka na skórzane obicie krzesła. List o przypalonych krawędziach, a obok sterta wypalonych zapalek. Podniosłam kartkę, wilgotną od płynu do zapalniczki, zastanawiając się, dlaczego płomień nie chwycił. Jeszcze bardziej zdumiał mnie brak tekstu na papierze.

– Co... Co tu się stało? – wykrztusiłam w końcu.

– Nie mam pojęcia. – Robin wzięła do ręki pękniętą lupę i podniosła ją do

światła. – Ja pierdolę, aż mnie ciarki przeszły. Bierzmy wino i chodźmy stąd.

Zniknęła w kuchni, a ja chwyciłam swoje futro, nadal przerzucone przez oparcie krzesła, gdzie zostawiłam je pewnego wiosennego ranka i nigdy nie pamiętałam, żeby zabrać do domu.

– Gotowa? – spytała Robin, machając trzema butelkami wina. Podała mi jedną. – Spadamy stąd.

Leżałyśmy w ciszy i gapiłyśmy się na gwiazdy. U stóp wzgórza rozległ się silnik samochodu ostatniego nauczyciela. Auto przejechało powoli przez bramę, odprowadzane nocnym szmerem świerszczy, ptaków, wiatru szeleszczącego w koronach drzew, odległym porykiwaniem morskich fal. Usłyszałam znajomy trzask gazowej zapalniczki Robin. Koniuszek jointa zalśnił w ciemności, złoty jak klejnot, czerwony jak krew. Zaciągnęła się głęboko i podała mi skręta. Nasze palce dotknęły się na chwilę.

– Masz w tym kieszenie? – spytała.

– Mhm.

Podała mi foliówkę z tytoniem w słoiczku, bibułki i zapalniczkę.

– W takim razie ty to nosisz.

Poczułam znajome ciepło, gęste jak syrop, otulające mnie miękko niczym kokon. Skórę miałam rozgrzaną jak w gorączce, łatwopalną.

– Naprawdę myślisz, że...

– Ćśśś. – Robin przysunęła się bliżej, oparła mi głowę na ramieniu. – Teraz chwila bez myślenia.

Odlepiłam od warg jej blond włos.

– Wcześniej aż tak nie liniałaś.

– Wiem. Obrzydliwe.

Wiatr się wzmógł, liście na drzewach zaszeleściły sucho. Odwróciłam głowę, osłaniając oczy przed słonym powietrzem.

– To co teraz zrobimy? – spytałam po chwili. – Nie możemy tu zostać na zawsze.

Robin usiadła. Jej ciało zostawiło na ziemi płytki odcisk, szczupłą sylwetkę

odrysowaną w zgniecionej trawie. Gdzieś daleko zaszczekał lis, ptaki zerwały się z drzew.

– Powinnyśmy uciec – oznajmiła, patrząc prosto na mnie. Jej oczy migotały w świetle księżyca.

– O, jasne. Nic prostsze.

Robin zmrużyła powieki.

– Mówię poważnie. Masz pieniądze, nie?

– Co?

– Przecież jesteś nadziana?

– Wcale nie – zaprotestowałam niespokojnie. – Dostaję tylko rentę.

– Dobra, ale twoja mama nawet by nie zauważyła, gdybyś... No wiesz. – Zadygotała, odwróciła wzrok.

Wiedziałam, że to moja szansa na zmianę tematu.

– Zimno ci.

– Odwal się. Nie.

Roześmiałam się i zsunęłam płaszcz z ramion.

– Masz. Włóż go na trochę, ja się rozgrzałam.

Przyjęła futro bez słowa, otuliła się ciasno.

– Dziękuję, Violet – powiedziałam.

– Dziękuję, Violet – spapugowała Robin, odkręcając wino. – Chcesz trochę?

Pokręciłam głową.

– Naprawdę uważasz, że powinnyśmy uciec?

– A masz lepszy pomysł? Przecież Nicky w końcu się komuś wygada, jeśli już tego nie zrobiła. No i Annabel nas nienawidzi, więc to...

– Wcale nie.

– Nie widziałaś, jak na nas spojrzała? Będę zdziwiona, jeśli w przyszłym roku nie spróbuje nas wywalić. – Pociągnęła łyk, wetknęła butelkę w trawę. – W życiu nie widziałam jej tak wściekłej. Nigdy.

– Przejdzie jej.

Robin wzruszyła ramionami.

– I chyba zdajesz sobie sprawę, że Alex i Grace już nie wrócą. Jeśli coś się sypnie, to już ich nie zobaczymy.

– Wrócą.

– Nie. Założę się, że właśnie odwołują rezerwacje na bilety powrotne.

Sięgnęłam po wino.

– Dobra. Niech ci będzie. Możemy jechać, dokąd tylko chcesz. Może do Paryża? – zaproponowałam. Robin wzniosła oczy do nieba. – Mówię poważnie. Zabierzesz gitarę, założymy wędrowny zespół. Nie umiem śpiewać, ale mogę chodzić po występach z kapeluszem.

– *La Vie Bohème* – roześmiała się Robin. – Aż w końcu odkryje nas właściciel jakiegoś niszowego klubu jazzowego. Nauczysz się grać na saksofonie i zamieszkamy w eleganckim małym mieszkanku na piętrze.

– Zgoda.

Nie wierzyłam w to, ona chyba też nie. Bawiłyśmy się tylko, uciekałyśmy jak dzieci w świat wyobraźni. Wiedziałyśmy, że w świetle dnia znajdziemy jakąś drogę ucieczki. Teraz jednak leżałyśmy w świetle księżyca i wdychałyśmy słodki zapach wilgotnej trawy. Na razie wystarczała nam ta fantazja.

– Chodź – odezwała się Robin, wstając. Jej gołe nogi pod sukienką były chude, same ścięgna i kości. Wyciągnęłam rękę i strzepnęłam martwe źdźbła, które przykleiły się jej do łydek i odgniotły nierówne krzyżyki na skórze. – Nacieszmy się tym zadupiem, zanim stąd wyjedziemy.

Pobiegła na plac zabaw. Światło księżyca spływało po grubych łańcuchach huśtawki. Ruszyłam za nią, zawirowałyśmy w czarnej jak smoła nocy, śmiejąc się z całego świata. Tarcze zegara na wieży zgasły i czas przestał dla nas istnieć.

LATO

Rozdział 17

Sowie skrzydła klasnęły mi nad głową jak wystrzał, w ziemi pode mną klębiło się robactwo lawirujące między korzeniami. Otworzyłam oczy. Mokry księżyc napuchł od rosy, gwiazdy rozsypały się jak popiół po niebie barwy miąższu brzoskwini. Bolała mnie głowa. Przyłożyłam zimne, wilgotne dłonie do twarzy. Czułam zapach potu, szczęki miałam przemarznięte i sztywno zakleszczone. Wspomnienia z zeszłej nocy wracały do mnie w rozmytych smugach, przysłonięte ciężką mgłą – suche pigułki, na wpół zapamiętane zaklęcia wygłaszane w gęstej letniej burzy.

Wyciągnęłam rękę na bok, szukając Robin, ale natrafiłam tylko na trawę. Usiadłam, a świat się zakołysał, rozplątnął.

– Robin? – odezwałam się, głos miałam ochrypły, zaschnięta ślina i resztki dymu grzechotały mi w gardle.

Odkaszlnęłam, splunęłam na trawę, czując metaliczny posmak w ustach. Zgniotłam w palcach stokrotkę, zawołałam jeszcze raz.

– Robin?

Pierwsza nitka słońca prześlizgnęła się między drzewami, samolot rozciął niebo białą smugą. Ptaki świergotały i kłaskały nad budynkami szkoły, chłodne poranne światło zaostrzało krawędzie każdej cegły. Wstałam powoli, nogi ugięły się pode mną. Kości miałam z pęczków słomy, w mięśniach wodę. Odwróciłam się. Zobaczyłam postać kołyszącą się lekko na wietrze, dłonie zaciśnięte na łańcuchach, nogi skrzyżowane w kostkach. Jeden biały but opadł na asfalt, odsłaniając bosą stopę o paznokciach pomalowanych na turkusową zieleń.

– Robin. Robin? – Niesamowite, ile razy powtórzyłam jej imię. Możliwe, że to jedyne słowo, jakie padło z moich ust tamtego dnia, wymawiane w nieskończoność: Robin, Robin, Robin. Podeszłam do niej, czując chrupot zeszywniałych chrząstek, odrętwiałe łydki oblażł mi mrowiący dreszcz,

wilgotne źdźbła oblizywały mi kostki. Mój płaszcz leżał na ziemi. Podniosłam go i położyłam sobie na kolanach, siadając na huśtawce obok niej.

– Robin – powiedziałam. Jej głowa była nieco odwrócona, powieki spuszczone, rzęsy ciężkie od porannej rosy.

– Robin. – Położyłam dłoń na jej ramieniu. Było zimne jak plastikowa ręka lalki, pokryte aksamitnym puszkciem. Ścisnęłam ją, uszczypnęłam, uderzyłam nagą skórę, wbiłam palce głęboko w jej udo. Odciski paznokci zostawiły rząd białych półksiężyców.

– Robin – powtórzyłam po raz ostatni, widząc, że moje słowa są bezużyteczne, jej imię wyschło, skruszało. Zrobiłam krok w tył, jeszcze raz nachyliłam się nad nią i złapałam za ramiona, uklękłam u jej stóp i podniosłam niedopałek jointa spod odłamka szkła. Nagle pojęłam, co zrobiłam.

Włożyłam rękę do kieszeni, ostre szkło ugryzło mnie w palce. Zacisnęłam pięść wokół odłamka, krew spłynęła mi po skórze. Znów spojrzałam na białą twarz Robin, na jej spękane wargi, błękit rozlewający się pod skórą, szarość zapadniętych policzków, i wyciągnęłam z porwanej przezroczystej foliówki odłamki słoiczka z liśćmi pokrzyku, jeden po drugim. Liście kleiły mi się do krwawiącej dłoni. Zrozumiałam, że to ja ją zabiłam. To moją truciznę wzięła w palce, zwinęła w bibułkę, wypaliła złotym żarem w gęstej ciemności nocy.

Mogłam zrobić wiele rzeczy. Wezwać karetkę, jej rodziców, policję. Mogłam zadzwonić do Alex, Grace, Annabel, poprosić je o pomoc. Mogłam wszystko wyznać, opowiedzieć potworną prawdę o dziewczynie na huśtawce.

Nic nie zrobiłam.

Usiadłam u jej stóp, zapatrzyłam się w jej twarz, błagałam o choć jeden oddech.

Wstałam, znów wymamrotałam jej imię, chwytając się resztek, szczegółów. Spojrzałam na błękitny cień pod jej paznokciami. Jej mętne, zaszklone oczy. Chłodną, wilgotną jamę ust, wciąż miękki język, ślad zębów na obgryzionym kciuku.

Zastanawiałam się, kiedy i jak ją znajdą. Nie mogłam znieść myśli, że miałyby spaść na ziemię, że jej ciało wygięłoby się w jakiejś bluźnierczo

groteskowej pozie. Rozpięłam jej bransoletkę i oplotałam wokół lewego łańcucha, który trzymała nieco słabiej. Następnie zdjęłam własną i przywiązałam łańcuszkiem jej prawą rękę do huśtawki. Błagałam w duchu, by się utrzymała w takiej pozie: na zawsze piękna.

A potem poszłam do domu. Wsiadłam do tego samego rozklekotanego autobusu co zawsze, przeszłam tymi samymi ulicami. Zapaliłam papierosa pod syreną, kupiłam nową paczkę w sklepiku. Pomachałam do pani Mitchell i jej ujadającego pieska. Ruszyłam dalej, kiedy trzasnęła drzwiami. Weszłam do środka, zrobiłam sobie herbatę, minęłam mamę wzdychającą przez sen. Wspięłam się po schodach na piętro, zamknęłam drzwi, przekręciłam klucz.

Położyłam się na łóżku i wbiłam wzrok w sufit. Kiedy mrugałam, widziałam ją w smugach cienia. Nie chciałam zamknąć oczu, kiedy zobaczę, jak ona otwiera swoje, błyszczące białkami, o źrenicach zagubionych w czaszce. Wiedziałam, że nadchodzi nieuniknione: szokujące informacje w wiadomościach, niekończąca się litania reportaży w telewizji. Pukanie do drzwi, policjanci zadający pytania, na które już znają odpowiedź. Byłam ostatnią osobą, która widziała ją żywą. Gdzie byłam o tej godzinie, a gdzie o tamtej? O której się pożegnałyśmy? Czy była wtedy żywa, a może już martwa?

Zbadają jej krew i znajdą ślady belladonny, której okruchy nadal znajdowałam w kieszeniach. Paliły mi skórę, gdy dotykałam ich koniuszkami palców, kłuły jadowicie pod paznokciami. Spytają mnie, gdzie to znalazłam – a może sami się domyślą po rozmowie z Alex, która im powie (oczywiście, wszystko im powie), że liście zostały ukradzione, wyciągnięte ze swojego miejsca, kiedy ona spała. Robin i ja byliśmy jedynymi podejrzanymi. Tylko ja zostałam przy życiu: nic więcej nie trzeba było dodawać.

Zobaczyłam to wszystko, od początku do końca, całą złotą nić przeznaczenia, i nic nie zrobiłam. Patrzyłam na pełznące powoli wskazówki zegara, na rozwijające się powoli kolory dnia: złoto, czerwień, szarość, błękit i wreszcie czerni, aż w końcu rozległo się nieuniknione pukanie do drzwi

mojego pokoju.

– Violet? – odezwała się cicho mama. Przekręciła klamkę i zobaczyła, że drzwi są zamknięte. – Mogę z tobą porozmawiać?

– Już śpię – odparłam, a serce podeszło mi do gardła.

– Tylko na chwilkę. Potem będziesz mogła się znowu położyć.

Wyciągnęłam rękę i otworzyłam drzwi. Mama wyglądała starzej, skórę miała spękaną i poszarzałą, jakby strumienie łez wyłobiły w niej własne koryta.

– Kochanie, powinnaś zobaczyć, o czym mówią w wiadomościach.

Zamknęłam oczy, oddech utknął mi w gardle. Wiedziałam, co się dzieje, ale nadal liczyłam, że mama nie dostrzeże związku. Czy mówiłam jej kiedyś o Robin? Wspomniałam przy niej jej imię? A może uznała, że sprawa mnie zainteresuje po prostu dlatego, że dotyczy dziewczyny z mojej szkoły, że sprawa rozegrała się na moim własnym kampusie?

– Chodź. – Położyła mi kościstą dłoń na ramieniu. Żyłki wiły się pod cienką skórą jak niebieskie wstążki. – Trudno mi to wytłumaczyć.

Spróbowałam powstrzymać drzenie rąk, odpędzić mdłości, modliłam się o chwilę ulgi, na którą przecież nie zasługiwałam. Usiadłam w opuszczonym fotelu taty, objęłam kolana ramionami. Mama zmieniła kanał na wiadomości. Podniosłam wzrok nad telewizor, zapatrzyłam się na popękany regał z płyty pilśniowej, złożony tył na przód. Taśma izolacyjna odłaziła, oblepiona kurzem. Wzięłam głęboki wdech i skupiłam uwagę na ekranie.

„DRUGIE MORDERSTWO W NADMORSKIM MIASTECZKU”, głosił napis na pasku. Kobieta o twarzy lalki ruszała bezgłośnie ustami do kamery, za jej plecami rozlewał się jaskrawy błękit telewizyjnego studia. Serce łomotało mi w piersi, znów czułam ten dawny mdlący dreszcz. Byłam jak zahipnotyzowana. Czy zobaczę ją na ekranie? Pokażą, co zrobiłam?

Obraz przeskoczył na mężczyzn w białych uniformach wysiadających z policyjnego vana. Przetrzęsali żywopłoty, przykucnięci nisko przy ziemi. Chwilę później na ekranie pojawiły się przebitki na miasto, barwniejsze niż w rzeczywistości, doskonale jak na pocztówkach sprzedawanych nad morzem.

– A teraz reportaż na żywo z miejsca zdarzenia – oznajmił donośny głos, kiedy wreszcie zaskoczył dźwięk. Zamknęłam oczy.

– Violet – upomniała mnie matka, więc podniosłam powieki i zacisnęłam pięści. Kamera zrobiła zbliżenie na drzwi wejściowe domu Grace. Okno było wybite. Policjant wyszedł ze środka, na jego poszarzałej twarzy malowała się źle ukrywana zgroza. Nachyliłam się nad kolanami, gardło zacisnęło mi się tak mocno, jakby ktoś mnie dusił.

Reporterka mówiła prosto do kamery, patrzyła mi prosto w oczy. Była ubrana na czarno, oczy miała otwarte szeroko z podekscytowania, włosy gładkie, nierealnie lśniące.

– Ofiara została znaleziona ze śmiertelnymi obrażeniami dziś rano w swoim domu. Sąsiedzi zadzwonili po policję, narzekając na odgłosy wycia psów dobiegające ponoć z domu, co zakłócało spokój na cichej podmiejskiej uliczce.

Odwrociłam głowę.

– Ona nie... – Słowa nie chciały przejść mi przez gardło.

Siniaki Grace, ciemne ślady pod pudrem. Wszystkie wiedziałyśmy, że może być gorzej, że będzie gorzej – a jednak łatwiej było nam to ignorować. Wmawiałyśmy sobie, że wypada uszanować jej prywatność. Pozwolić, by sama sobie z tym poradziła, tak jak uzna to za stosowne. Wszystkie byłyśmy winne.

– Policja opisała scenę zastaną w środku jako „wstrząsającą” – ciągnęła reporterka. – Ofiara została rozczłonkowana, co stanowi jedno z najbrutalniejszych morderstw, jakie kiedykolwiek miały miejsce w miasteczku, lepiej znanym ze swojej historii... – przerwała, spojrzała w bok. Na ekranie pojawił się blady policjant w średnim wieku, skórę miał lekko poszarzałą, śliską od potu.

Mężczyzna odkaslnął. Rozległo się pstrykanie fleszy, mikrofony stłoczyły mu się przed twarzą.

– Dziś rano, około godziny piątej, oddział policji został wezwany z prośbą o interwencję w sprawie zakłócania ciszy nocnej. Funkcjonariusze, którzy

dokonali inspekcji, zastali na miejscu scenę krwawej zbrodni, która bez wątpienia wstrząśnie całą lokalną społecznością. – Policjant poklepał czoło spraną chusteczką. – Prosimy wszystkich mieszkańców o zachowanie spokoju. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by schwytać sprawcę, i nie pominiemy żadnej możliwej ścieżki dochodzenia.

Wziął głęboki oddech, pierś zadygotała mu lekko.

– Możemy potwierdzić, że ofiarą jest pięćdziesięcioletni Martin Holloway, właściciel posesji...

Odchyliłam się w fotelu, przełknęłam gorącą falę kwaśnych wymiocin. Znów zamknęłam oczy, krawędź oparcia wbijała mi się w podstawę czaszki. Próbowalam zrozumieć te słowa.

– Wprawdzie na tak wczesnym etapie dochodzenia nie możemy niczego potwierdzić, ale zbrodnia sprawia wrażenie mordu rytualnego. Poszukujemy córki pana Hollowaya, siedemnastoletniej Grace, którą ostatni raz widziano wczoraj wieczorem. Nie wykluczamy porwania i będziemy działać zgodnie z tym założeniem do czasu, aż młoda kobieta zostanie odnaleziona. Grace, jeśli to oglądasz, prosimy cię o natychmiastowy kontakt z najbliższym komisariatem policji.

Wiedziałam, że nikt jej nie porwał. Oczywiście, że nie.

– Nigdy nie udałoby im się uciec – powiedziała kiedyś w cichej rozmowie z Alex, kiedy myślały, że śpię.

– Udałoby. Tylko musiałyby wybrać odpowiedni moment – odparła Alex, jakby wyobrażały sobie, że są postaciami w sztuce rozgrywającymi jakiś absurdalny scenariusz. Okazało się, że to prawda. Uświadomiłam sobie ze wstydem, że ja zrobiłam to samo.

Minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, zanim znaleźli Robin.

Nadal siedziała na huśtawce, włosy miała wilgotne od rosy, palce zeszywniały jej na łańcuchach huśtawki. Zauważył ją dozorca, który wrócił po zapomniane klucze. Gdyby nie przyjechał, może zostałaby tak na całe lato, aż skóra odlepiłaby się od zapadniętego ciała, a kości popękały. Nawet teraz

często się nad tym zastanawiam: czy chociaż tego upokorzenia bym jej oszczędziła? Chciałabym w to wierzyć, ale wiem, że to wątpliwe.

Rozległ się dzwonek telefonu. Aparat nadal leżał na szczycie schodów. Ignorowałam go przez dłuższą chwilę, aż w końcu nie mogłam dłużej znieść hałasu. Odebrałam.

– Co? – rzuciłam do słuchawki.

– Violet Taylor? – odezwał się głos po drugiej stronie. Znów ten reporter.

– Co? – powtórzyłam.

– Mówi Daniel Mitchell, „The Evening News”. Już kiedyś rozmawialiśmy. Zastanawiałem się: czy chciałaby pani porozmawiać z nami o pani przyjaciółce, Robin Adams?

Nagle rozpoznałam to nazwisko, skojarzyłam fakty. Połączyłam głos z oczami zerkającymi zza białej firanki, z plakatami na ścianie.

– Zaraz, jak pan się nazywa?

– Daniel Mitchell z „The Evening...”

– Zaraz, Danny Mitchell? Ten z domu obok?

Zająknął się, przyłapany z zaskoczenia.

– Wydaje mi się, że moja babcia mieszka obok pani. Ja już się wyprowadziłem.

– Wydaje ci się? Danny, co ty pierdolisz?

– Jestem reporterem. W „The Evening...”.

– Tak, słyszałam, w „The Evening News”. Ale... Jezu, przecież ty masz ze dwanaście lat?

– Osiemnaście. To... Jestem na praktykach.

Zaśmiałam się zimno, uświadamiając sobie swój błąd. Oczywiście, że wiedział o moim ojcu. Przecież mieszkaliśmy tuż za płotem.

– Daniel – poprawił mnie sucho. – Powiedzieli, że jeśli się sprawdzę, to dostanę etat.

– No to powodzenia. Nie dzwoń do mnie więcej. – Trzasnęłam słuchawką, wyszarpnęłam kabel ze ściany. Wróciłam do łóżka, rozdygotana i trawiona gorączką.

Media prędko podchwyciły temat. W każdej gazecie widziałam szkic jej sylwetki, jej twarz spoglądała na mnie z pierwszych stron gazet, uśmiech ze szparą na przedzie błyskał w wieczornych wiadomościach. „Młoda uczennica ginie w tragicznych okolicznościach”, głosił jeden nagłówek. „Druga ofiara w prestiżowej szkole dla dziewcząt”, krzyczał inny. „Tajemnicza śmierć dziewczyny na huśtawce”, napisali w jakiejś gazecie. A ja siedziałam i czekałam, aż rozstrzygnie się mój los.

Policja jednak była zbyt oszołomiona nagłą zagadką nie jednej, lecz dwóch tajemniczych śmierci, w połączeniu z nadal nierozwiązaną sprawą morderstwa Emily Frost, i ostatecznie przeprowadziła tylko najbardziej podstawowe dochodzenie w sprawie śmierci Robin. Lokalny oddział był niedoświadczony w takich sprawach i nieprzyzwyczajony do pracy pod tak wielką presją, więc nie potrafili sobie z tym poradzić. Wysłali próbki do najprostszych testów toksykologicznych. We krwi Robin znaleziono ślady narkotyków, choć nie w ilości zagrażającej życiu. To jednak wystarczyło, by media znów zmieniły narrację o jej śmierci, tylko troszeczkę: w opowieść o młodej dziewczynie skazanej na tragedię. Nie była już obiecującą, utalentowaną uczennicą i artystką, przed którą świat stał otworem. Stała się „trudnym dzieckiem”, które nie umiało skoncentrować się na pracy i uciekało w używki. Nicky spoglądała na mnie smutno z telewizora i opowiadała światu, jak próbowała uratować przyjaciółkę, jak prosiła, by poszukała pomocy, by „wybrała inną ścieżkę”. Robin, tragiczna Robin: śmierć, której dałoby się uniknąć, gorzka nauczka.

„Robin Adams, uczennica prestiżowego prywatnego liceum Elm Hollow, regularnie zażywała i rozprowadzała miękkie narkotyki pomimo wielokrotnych interwencji ze strony rodziny i przyjaciół”. Ta informacja stała się jej mottem, prosty nagłówek pozwolił policji zbagatelizować sprawę, przepchnąć ją przez biurokratyczną maszynę i zarchiwizować pod najbardziej oczywistym wytłumaczeniem przyczyny śmierci. Funkcjonariusze stali w blasku fleszy, zapewniali, że sprawdzą każdą możliwość, wygłaszali ambitne oświadczenia dla reporterów, którzy przyjechali aż z Londynu

i jeszcze dalszych miejsc. Ale kiedy zainteresowanie opadło – a zawsze w końcu opada – ich „niestrudzona” praca dobiegła końca, a śmierć Robin została uznana za nieszczęśliwy wypadek o nieustalonej przyczynie. Przynajmniej w tej jednej kwestii się nie pomylili.

Zamiast tego policja skupiła się na morderstwie Hollowaya. Rzecznicy podsuwali prasie złowróżbne sugestie, że na ulicach miasteczka grasuje psychotyczny członek jakiegoś kultu. Tę tezę jednak równie szybko zweryfikowano, kiedy okazało się, że Holloway często brał udział w barowych bójkach i był winien znaczne sumy różnym wierzycielom w mieście. Jego śmierć też stała się wytłumaczalna; zniknięcie Grace uznano nie za porwanie, lecz za ucieczkę. Wyrwała się z koszmaru rodzinnego domu (Nicky i jej przyjaciółki potwierdziły makabryczne szczegóły wizyt w szpitalu i siniaków dostrzeżonych na nadgarstkach koleżanki). Uznano, że wolała bezpieczeństwo anonimowości od patologicznej miłości złego ojca. Matka Alex wypowiedała się w imieniu Grace i potwierdziła, że policja wielokrotnie ignorowała sytuację, włącznie z dniem, kiedy spotkałyśmy się z nimi w domu Alex i pozwoliłyśmy, by nasza furia wzięła górę. Kobieta nie pozwoliła nikomu porozmawiać z dziewczynami. Pomogła im zniknąć, uciec przed gorączką mediów i bałaganem, jakiego narobiły.

Ale ja wiedziałam. Znałam każdy szczegół, jeszcze zanim został przekazany mediom (lokalna policja miała żenującą słabość do plotek i nie dbała o detale – co chwila do uradowanej prasy przeciekały nowe makabryczne szczegóły zbrodni).

Mężczyzna został wielokrotnie dźgnięty nożem w pierś i w szyję, kiedy spał na kanapie. Pierwszy cios zadano w tętnicę szyjną, dobrze mi znaną z ilustracji w szkicowniku Robin, podpisanych dziewczęcym charakterem pisma. Zobaczyłam Alex, trzymającą nóż wysoko, pewną ręką. Ostrze bezlitośnie rozcięło skórę, uwalniając szeroki strumień krwi. Rozpoznałam strach w jego szeroko otwartych oczach. Tym razem jednak moje przyjaciółki posunęły się o krok dalej. W książce była jedna strona, na którą niemal bałyśmy się patrzeć: ofiara z człowieka.

Przeciągnęły go po podłodze, a on miotał się i szarpał (rozbryzgi krwi na kafelkach potwierdzały, że pierwszy cios nie był śmiertelny, przynajmniej nie od razu). Związały mu ręce i nadgarstki. Stała mi przed oczami Grace, dygocząca na widok pięści, które tyle razy ją pobiły, a teraz leżały spętane struną od fortepianu, wrzynającą się głęboko w skórę. Niemal widziałam Alex, jak uśmiecha się, by dodać jej otuchy, jak wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

„Tortura”, napisały o morderstwie gazety: skóra poparzona wrzątkiem, pęcherze głęboko ponacinane ostrzem cienkim jak igła. Odcięły mu palce jeden po drugim i owinęły pokaleczone dłonie ręcznikami, żeby spowolnić krwotok i wydłużyć cierpienie. Ponacinały mu skórę i zrywały kawałek po kawałku. Wyobraziłam sobie delikatne dłonie Grace z mięsem pod paznokciami. Wiedziała dokładnie, co zrobić, tak samo jak Alex.

Nic nikomu nie powiedziałam. Bo niby komu? Kto by mnie wysłuchał? Dwie nastolatki mordujące wielkiego, tłustego bydlaka? Niewyobrażalne. Niemożliwe. W niektóre rzeczy po prostu nie da się uwierzyć. Nawet kiedy wiemy, że to prawda.

JESIEN

Rozdział 18

Deszcz bębni o deski mola. Stoję oparta wilgotnymi łokciami o lodowatą poręcz. Omszałe stopnie znikają w przepaści zielononiebieskiej wody. Patrzę na łódki, kołyszące się niespokojnie na wietrze. Jest dość wcześnie, bym mogła nacieszyć się chwilą samotności. Dźwięk kościelnych dzwonów zwołuje ze wzgórza na niedzielne nabożeństwo. Powietrze rozcina zapach martwych ryb.

W całym miasteczku jest gęsto od duchów – a ja nigdy nie zdołam opuścić tego małego końca świata. Jestem teraz starsza, ale nadal ze wszech miar młoda. Skórę nadal mam bez zmarszczek i porów, dłonie ciepłe i miękkie, choć moje paznokcie są poobgryzane do zaczerwienionych strzępów, poczerniałe od tuszu i brudu. W takie poranki jak ten często wyobrażam sobie, że schodzę po mokrych schodach, aż połknie mnie ciemność, a cały świat zniknie mi nad głową. Że zstępuję do świata podziemi z własnej woli, jak Persefona, jednocześnie oddalając się od przedmiotu swej miłości i zbliżając do niego, choć przecież ona tak samo jak my wszystkie wie, że popełnia błąd.

Ale tego też nie potrafię zrobić, tak jak tylu innych rzeczy. Nie jestem w stanie. Odwieczny lokaj Eliota prycha z pogardą. Owszem, boję się.

„W salonie – panie, pań, paniami, paniom.

Konwersacja. Temat: Michał Anioł” [\[16\]](#).

Spluwam do wody, odwracam się i odchodzę.

Kiedy przyszła jesień, niosąc ze sobą zapach rozkładu i choroby, wróciłam do Elm Hollow; tam gdzie ją zostawiłam, by w samotności powitała jeszcze dwa wschody słońca, zanim ją znaleziono. Przysiadłam na trawiastym zboczu. Korzenie wiązu zostawiły długie ślady na trawniku pośrodku placu, ciągnęły się od jednego końca do drugiego. Dyrektor nigdy by się nie domyślił, że sięgają tak głęboko. Gdy wreszcie je wykopano, ziemia rozpękła się jak

poszarpane zwłoki, przeżarte na wszystkie strony. Tarcze zegara pozostały ciemne. Ani dyrektor, ani nikt z pracowników szkoły nie zdołał otworzyć drzwi u stóp campanili. Pociągnęłam łyk kawy, zapaliłam papierosa. Kątem oka dostrzegłam parę nóg, spojrzałam wyżej. Nicky.

– Hej – powiedziała bez uśmiechu.

– Hej – odparłam takim samym tonem.

Usiadła obok mnie, wbiła obcas w ziemię.

– Przykro mi z powodu Robin.

Popatrzyłam na nią zaskoczona.

– Naprawdę – dodała. – Ona była... spoko.

– Na pewno by to doceniła.

Przez chwilę siedziałyśmy w napiętej ciszy, patrząc, jak ogrodnicy wkopują sadzonki w ziemię. Stare drzewa za nimi już gubiły pierwsze liście.

– Nikomu nie powiedziałaś – odezwałam się wreszcie. – Po balu. Nikomu o nas nie powiedziałaś.

Spojrzała na mnie zimno.

– Powiedziałam. Ale mi nie uwierzyli. Uważali, że podnoszę fałszywy alarm.

Nie zdołała do końca ukryć rozzalenia w głosie. Udałam, że tego nie słyszę – po wszystkim, przez co przeszła, zasługiwała na ten drobny akt życzliwości.

– Komu powiedziałaś?

– Pani Goldsmith. Zabrała mnie do dyrektora. – Nicky westchnęła. – Przegapiłam bal.

Wtedy zrozumiałam, że już nie spotkam Annabel. Wyobraziłam sobie, że doszło do czegoś w rodzaju handlu wymiennego. Należało złożyć ofiarę.

– Nie możemy pozwolić na takie plotki – oznajmił zapewne dyrektor i popatrzył na nią świńskimi oczkami, szklistymi z zadowolenia. Wąsy podrygiwały mu z satysfakcji, że wreszcie może się jej pozbyć. – Obawiam się, że nie wolno mi patrzeć przez palce na takie zajęcia. Musi pani z tym skończyć.

Ona pewnie tylko pokiwała głową; jej milczenie było wymowniejsze niż

słowa. Niemal widziałam, jak zbiera swoje rzeczy, rozpętuje wściekłą burzę w wieży i opuszcza Elm Hollow, nie oglądając się za siebie.

– Przykro mi – powiedziałam odrętwiale.

Nicky nie odpowiedziała. Podniosła głowę i spojrzała na ciemne, nieoświetlone tarcze zegara. Zastanawiałam się, czy ona też próbowała wejść na górę i odkryła, że w drzwiach wymieniono zamki.

– Mnie też – odparła słabo. – Nie chciałam, żeby to wszystko się tak potoczyło.

Popatrzyłam na nią z zaskoczeniem. Spomiędzy budynków wyrwał się biały promień słońca.

– O co ci chodzi?

– To moja wina. To, co się stało z Emily. Chciałam też chodzić na zajęcia dla zaawansowanych. Moja mama była w tej grupie, razem z mamą Alex... i z Annabel. Mówiła, że jeśli się nie dostanę, to nigdy nie odkryję swojego potencjału. – Przewróciła oczami. – Więc poprosiłam Annabel o przyjęcie, ale ona powiedziała, że nie ma wolnych miejsc.

Gapiałam się na nią oszołomiona, próbując posklejać fragmenty informacji w całość.

– Nicky, o czym ty...

– Więc poszłam na strych i znalazłam w rzeczach mamy książkę. Z zaklęciami. I... Odprawiłam jeden rytuał. Podziałał. Emily zniknęła, więc w stowarzyszeniu zwolniło się miejsce. Ale wtedy ty... – Westchnęła i zmięła w palcach rąbek szkolnej spódniczki. – No, nieważne. Kiedy patrzę, co się stało, to chyba lepiej, że nie miałam z tym nic wspólnego.

– A co... Które zaklęcie wybrałaś?

– To z laleczką. Zakopałam ją pod więzem. – Zamilkła, spojrzała na dziurę po drzewie i wzięła głęboki wdech. – Teraz pewnie już jej tam nie ma. – Podniosła się na nogi, otrzepała grudki ziemi z ud. – Więc chyba jedziemy na jednym wózku. Przykro mi. Mam nadzieję, że z czasem zrobi się nam trochę lżej.

Nie odpowiedziałam. Odprowadziłam ją wzrokiem. Przeszła przez kampus,

zalanym jasnym, czystym światłem. Czerwone i złote liście tańczyły w promieniach słońca. Nowe uczennice zbijały się w onieśmiałe grupki, które już niedługo miały popękać i się rozpaść, tak jak to było z nami, by stworzyć nowe przyjaźnie, nowe kliki i świeże zdrady. Nigdy nie sądziłam, że jeden rok może tak długo trwać.

A potem nadeszły kolejne lata, a każdy rok okazywał się nieco dłuższy niż poprzedni.

Skończyłam studia na lokalnym uniwersytecie. Czasami, gdy z rzadka dawałam się zaprosić na imprezę do akademika, widziałam na ścianach długie cienie Toma i Andy'ego. Zdałam egzaminy, odebrałam dyplom, złożyłam podanie o pracę do Elm Hollow. Zaproponowałam, że będę pracować za darmo, jeśli nie mają żadnych wolnych etatów. I pracowałam – przez dwa lata, aż wreszcie zwolniła się posada. Pracowałam, uczyłam, chodziłam na wywiady z rodzicami, zazdrościłam im wszystkim. Zostałam dziekanką. Czasami widziałam jego ciało, leżące bezwładnie za każdymi drzwiami, które przez chwilę nie chciały się otworzyć.

To jednak nie był jedyny duch, który mnie nawiedzał. Wszędzie słyszałam głos Robin, widziałam ją w szczelinach, w pustych przestrzeniach między nowymi uczennicami, tak pełnymi nowego życia. Czytałam podręczniki do chemii, przedzierałam się przez nużące artykuły o toksycznych substancjach, przeglądałam książki opisujące słynne zatrucia. Teraz, kiedy internet jest wszechobecny, co wieczór szukam nowych informacji, które choć najpobieżniej poruszałyby zagadnienie belladony i jej szkodliwości. Ponieważ prawdziwy horror pokrzyku polega na efekcie oczyszczającym, a ilość przyjęta przez Robin – w dodatku wypalona, a nie spożyta – była zbyt mała, żeby spowodować śmierć. Jej serce po prostu stanęło, bez żadnych innych efektów ubocznych. Umarła niemożliwie doskonale.

W końcu zdołałam przekonać samą siebie – jak każdy po osiągnięciu dorosłości, kiedy wyobrażenia blednie, a życie toczy się w zgodzie z rzeczywistością – że może to nie wydarzyło się tak, jak mi się zdawało.

Nigdy nie zdołałam się otrząsnąć po morderstwie dziekana, ale uszło mi to na sucho (na tyle, na ile to w ogóle możliwe – przecież koszmary i cienie już zawsze będą się czaić w zasięgu wzroku). Tyle jednak mogłam zostawić za sobą. A reszta – czy to mógł być zbieg okoliczności? Może to tylko zrządzenie losu, że Tom zginął akurat tej nocy, kiedy odprawiliśmy rytuał. Serce Robin mogło nie wytrzymać nadmiaru używek i po prostu opadło z sił – owszem, tragedia, ale nie mogłabym zrobić nic, żeby jej zapobiec. Nawet opowieść Nicky o klątwie rzuconej na Emily Frost wydaje mi się straszliwie naiwna. Widywałam ją później, kiedy sama została matką. Jest grubą rybą w jakimś internetowym przedsiębiorstwie, którego założeń nie byłam w stanie zrozumieć. Nie mogłaby zrobić czegoś takiego. To niemożliwe, dziecinne wyobrażenie – absurd.

Zabawne, jak dorosłość pozwala, żeby takie kłamstwa stały się prawdą – cóż za akrobatyczny popis giętkości umysłu. Ale przecież wiara jest łatwiejsza, prawda?

Usiadłam w swoim gabinecie – w myślach nadal nazywałam go gabinetem dziekana – i wyjrzałam na świeżo skoszoną trawę. Uczennice siedziały w słońcu, śmiały się, czytały, pisały wiadomości. Rozległo się pukanie do drzwi. Sekretarka wetknęła głowę do środka, popatrzyła na mnie z tą samą niechętną miną co zawsze. Nigdy mi nie wybaczyła, choć nawet nie wiem czego właściwie – może jakiejś nieuprzejmości z czasów, kiedy sama byłam uczennicą. Jakiegoś westchnienia, stęknienia, przewrócenia oczami.

– Telefon – powiedziała bez zbędnych wstępów.

– Proszę przełączyć.

– System się zepsuł – odparła, już odwracając się do wyjścia. – Może pani odebrać w sekretariacie, jeśli pani chce.

Weszłam do przeszklonego biura. Staroświecka drukarka grzechotała i pobzykiwała w tle, obok charczał wiatrak.

– Halo? – odezwałam się, przyciskając słuchawkę mocno do ucha.

Już od jakiegoś czasu spodziewałam się tego telefonu. Moja matka nie żyła. Upadek ze schodów, złamany kark. Zaskoczył mnie tylko sposób, w jaki

umarła – przygotowałam się już na bardziej prawdopodobny scenariusz długiej i bolesnej śmierci, na marskość wątroby, może jakiegoś raka. Szybko postępującego, gdyby miała szczęście. Dwa dni później spotkałam się z prawnikiem. Był przysadzystym, łysym mężczyzną, a na rękawie jego marynarki dostrzegłam postrzępioną nitkę, która z jakiegoś powodu irytowała mnie przez całą rozmowę. Przekazał mi klucze do domu, który opuściłam po ukończeniu szkoły i odwiedzałam rzadko, na krótko, wyłącznie z grzeczności.

W środku zastałam cmentarzysko. Mama spędziła ostatnie dwie dekady na życiu wśród skruszałych ruin swojego małżeństwa, nigdy nie dotykając przedmiotów zostawionych przez mojego ojca, siostrę ani – odkryłam to z dziwnym wzruszeniem – przeze mnie.

Przez jakiś czas siedziałam w swoim starym pokoju, wpatrując się w pożółkłe plakaty, odłóżając tapetę, czarną smugę zapleśniałej wilgoci w kącie. Neonowe bransoletki zwisające z ceramicznej dłoni; porzucone notatki z liceum. Karteczka zostawiona przez Robin: „Zobaczymy się w szkole. Kocham cię”. Powybrzuszana polaroidowa fotografia naszej czwórki, spłowieła od słońca. Wargi Alex na czole Grace, dłoni Robin ściskająca mnie za rękę. Obie zanosimy się śmiechem, pijane życiem.

Zgasiałam światło i zamknęłam za sobą drzwi. Wyobraziłam sobie, że zniknę. Czarne worki na śmieci w kuchni, wszystkie wspomnienia zniszczone.

Zajrzałam na chwilę do pokoju matki – tak jak się spodziewałam, w środku panował bałagan. Puste butelki, wymiętoszone ubrania na podłodze, smród pościeli niezmiętej od miesięcy, jeśli nie od lat, kwaśny zapach w powietrzu. Na korytarzu wisiało zdjęcie w ramce: stoimy wszyscy czworo, roześmiani przed kolejką górską w jakimś dawno zamkniętym parku rozrywki. Wszyscy mamy na głowach sombrera. Moja siostra mruży oczy od słońca i ściska w dłoni lizaka w kształcie Myszki Miki. Jej pokój, pomyślałam. Będę musiała posprzątać jej pokój.

Przez kilkanaście minut stałam przed drzwiami, zanim odważyłam się wejść do środka. Co chwila kompulsywnie zerkałam na komórkę, jakbym

spodziewała się telefonu (choć nie pamiętałam nawet, kiedy ostatni raz ktoś do mnie zadzwonił. Smartfon sygnalizował jedynie nowe publikacje odpowiadające ustawionym przeze mnie słowom kluczom – takim jak „morderstwo w Elm Hollow”, „toksyczność belladony” i inne nierozwiązane fragmenty zagadki).

Zapach był nie do zniesienia: odrażający, zgniły smród, jak ze stawu przeżartego rozkładem. Wzdrygnęłam się, podbiegłam do okna i otworzyłam je szeroko, gwałtownie wciągając świeże powietrze. Wychyliłam się przez parapet i przez chwilę oddychałam głęboko, dopóki pokój trochę się nie przewietrzył. Gruba warstwa kurzu pokrywała wszystkie powierzchnie, spod warstwy szarości przebijał róż. Śmiałam się z tego w dniu jej śmierci. „Różowy jest dla małych dzieci”, dokuczałam jej, kiedy wsiadałyśmy do samochodu. To ostatnie słowa, jakie ode mnie usłyszała.

Źródło fetoru znajdowało się przy łóżku: pokryte glonami resztki akwarium. Pamiętałam te rybki, choć ich imiona już dawno zdążyłam zapomnieć. Jedna była złota, druga czarna. Z jaką sumiennością ona je codziennie karmiła. Zawsze czujnie obserwowała tatę, kiedy czyścił akwarium, przyglądała mu się szeroko otwartymi oczyma, jakby bała się o ich bezpieczeństwo. Zbierała mnóstwo drobiazgów i ozdób: niektóre musiały stać suche obok akwarium, żeby zostawić miejsce dla rybek. Karuzela, zjeżdżalnia, wiejska chatka o okienkach lśniących przytulnym złotym blaskiem.

Nachyliłam się i zajrzałam do szarej wody, gęstej od rozkładu, cuchnącej śmiercią. Woda poruszyła się lekko. W środku coś leżało. W pierwszej chwili nie mogłam rozpoznać tego kształtu, ale po chwili moim oczom ukazała się Sindy, posadzona na huśtawce. Jej włosy unosiły się w wodzie. Spod oblepiających je zielonych alg przebijał dawny blond. Zrobiłam krok w tył. Nagle poczułam na dłoni jakąś nitkę: okazało się, że kiedy dotknęłam krawędzi akwarium, do ręki przylepił mi się długi włos, czerwony od farby. Włos Robin, który dwadzieścia lat temu zahaczył się o lalkę. Wyobraziłam sobie, jak go zgubiła, kiedy z uśmiechem wrzucała Sindy do wody, myśląc, że zanurza Nicky: że topi ją w biały dzień.

Pot skropił mi się na karku, w załamaniach dłoni. Zwymiotowałam do kosza przy łóżku kwaśną, gorącą falą.

Po wizycie na molo wracam do Elm Hollow. Wreszcie podjęłam decyzję.

Podnoszę kamień u stóp campanili i wyciągam klucz do wieży, tak jak pokazała mi Robin. Winda nie działa, więc wspinam się powoli po schodach, przeklinając swoje słabe stawy i kilogramy nagromadzone po jej śmierci i przez wszystkie kolejne lata. Moje ciało znów przybrało dawną formę, jego miękkość daje mi poczucie bezpieczeństwa. Otwieram drzwi. Pomieszczenie jest w nienaruszonym stanie, jeśli nie liczyć śladów życia natury. Dywan jest zasłany skorupkami jajek, strzępami gniazd, kurzem, poczerniały od odchodów. Dwie dekady brudu. Zwierzęta przejęły władzę nad tym miejscem, powgryzały się w książki, zostawiły wilgotne ślady na meblach. Powietrze grzechocze od robactwa, nad belkami trzepoczą niespokojne skrzydła.

Udało mi się namierzyć Annabel. Jej nazwisko pojawiało się przy różnych szkołach z internatem w Szwajcarii, Francji, w Rzymie, choć starała się być tak niewidzialna, jak to tylko możliwe w świecie, który istnieje niemal wyłącznie online. Na stronach z biogramami nauczycieli zawsze używa tego samego zdjęcia, na którym stoi pod złowrogimi łukami Elm Hollow. Wyobrażam ją sobie teraz taką samą, jaka była zawsze. Zastanawiam się, czy się postarzała, tak jak ja. Czy też czuje się starsza.

Znalazłam też dziewczyny, choć na pewno by sobie tego nie życzyły. Obie posługują się pseudonimami, które niezupełnie do nich pasują. Alex jest prawniczką, Grace została pisarką. Rozpoznaję je na zdjęciach, które udało mi się odszukać w internecie. Nadal mają takie same oczy. Żadna nigdy nie zadzwoniła ani nie napisała, choć domyślam się, że też obserwują mnie z oddali. Ciekawe, czy na widok mojej twarzy też czują takie zmęczenie i ucisk w piersi; ten sam smutek na myśl, kim byłyśmy i co – być może – zrobiłyśmy.

Myślę o nich, gdy zamiatam podłogi, ścieram kurz z tarczy zegara, pozbywam się mdlącego, słodkawego zapachu rozkładu. Rozpalam ogień

i przyglądam się pająkom, które w panicznym pośpiechu rozbiegają się spomiędzy szczelin w drewnie. Nietoperze kiwają się leniwie pod sufitem. Ich porośnięte futerkiem pyszczki rozchylają się w uśmiechach pełnych ostrych zębów, równie enigmatycznych co ten, który widywałam na twarzy Robin. Przeganiem gołębia z fotela, siadam, zamykam oczy i wyobrażam sobie, że one są tu ze mną.

Jutro wybiorę swoją czwórkę: następną po nas. Zrobię to w imię Robin – i wszystkich kobiet przed nami.

Nauczę je wszystkiego, co wiem i co wiedziały moje poprzedniczki. Opowiem im o potędze rozwścieczonych kobiet, o nici przeznaczenia, którą trzymamy w dłoniach, i o furiach, które w nas drzemią. Pozwolę im rozłożyć skrzydła i wydrapać oczy tym, którzy będą je wytykać palcami. Rozniecę w nich ogień sprawiedliwości i pokażę, jak poprowadzić świat przez płomienie, by wyciągnął z tego naukę. Opowiem im o pięknie, zemście, obłędzie i śmierci, a jeśli one postanowią spalić to wszystko i zacząć od nowa, tym lepiej. Bo to znaczy, że staną się nieulekłe, tak jak chciała tego dla mnie Annabel. Nasza czwórka się rozpadła, ale złota nić przeznaczenia nadal unosi się między nami.

– Nieważne, co się stanie – szepnęła mi do ucha Robin tej ostatniej nocy, w zaśpiewie chłodnego wiatru, gdy tańczyłyśmy w smugach bieli – zawsze będziemy razem.

Blizna na dłoni znów mnie pali. Wyglądam przez tarczę zegara. Na huśtawce kołysze się blady cień.

– A kiedy przyjdzie koniec świata, będziemy tu czekać – powiedziała w tańcu.

Uśmiecham się. Już wiem, że miała rację.

Podziękowania

Tak wielu ludzi zasługuje na podziękowania za pomoc w doprowadzeniu tej książki do jej obecnego kształtu.

Moja niesamowita agentka Juliet Mushens, której wiara w te cztery podłe dziewczęta tchnęła w nie życie i sprawiła, że stały się rzeczywiste.

Moja redaktorka – i, jak mam szczęście ją nazywać, przyjaciółka – Natasha Bardon, której wizja i miłość do tej książki nasączyły ją większą magią, niż kiedykolwiek zdołałabym to zrobić w pojedynkę.

Cały zespół wydawnictwa HarperFiction, a zwłaszcza Jack, Jaime, Fleur, Hannah i Fionnuala, a także moja redaktorka Verity i korektorka Linda. Wasze zaangażowanie i pasja do pracy są godne najwyższego podziwu.

Micaela Alcaino, która stworzyła oryginalną okładkę. To czyste piękno. Chcę wierzyć, że słowa, które się pod nią kryją, będą na to zasługiwać.

Autorzy i badacze, których prace wykorzystałam – w różnym stopniu – do stworzenia „syllabusa” tej książki. Wiele informacji znalazłam w różnych miejscach w internecie, często bez podanego źródła, więc dziękuję też tym anonimowym: za Waszą szczodrość w dzieleniu się wiedzą. Mam nadzieję, że dobrze ją wykorzystałam.

I oczywiście nauczycielki, które zainspirowały mnie do napisania tej książki – same oceńcie, czy to dobrze, czy źle.

Wspaniałe, silne kobiety, które miałam zaszczyt poznać i mogę nazywać swoimi przyjaciółkami: Caroline Magennis, Natalie Houlding, Mallory Brand, Laura Bligh i Emma Maisey. Bez Was mniej bym się śmiała i ponosiła o wiele więcej porażek. Dziewczęta w tej książce należą do Was.

Przypadkowi mecenasi i mecenaski sztuki w Mash, zespół moich współpracowników i przyjaciół zarazem: Chris Wareham, Phil Edelston, Davinia Day, Lynn Booth, Jennie Tubbritt i cała reszta, zarówno w biurze, jak i na froncie.

Moja rodzina.

Jim Lowe, z którym mogłabym przez resztę życia rozmawiać codziennie do bladego świtu. Twoje nieustrudzone wsparcie, entuzjazm i pokłady inspiracji pomogły tej książce stać się tym, czym jest. Bez Ciebie nie zostałabym pisarką.

Catherine Lowe, której codziennie na nowo dziękuję za jej miłość i siłę. To ona ukształtowała mnie jako kobietę, którą dziś jestem. Bez Ciebie nie zostałabym czytelniczką.

Moja siostra Becky. Jestem dumna, że Cię znam, i wdzięczna za muzykę i śmiech, które wnosisz do mojego życia.

I wreszcie – dziewczęta. Wszystkie, wszędzie. Macie większą władzę, niż myślicie.

Przypisy

1. Przeł. Aga Zano (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)
2. Walter Pater, Renesans. Rozważania o sztuce i poezji, przeł. Piotr Kopszak. [\[wróć\]](#)
3. William Blake, Zaślubiny Nieba i Piekła, przeł. Wiesław Juszcak. [\[wróć\]](#)
4. Geoffrey Chaucer, Opowieści kanterberyjskie, przeł. Witold Chwalewik. [\[wróć\]](#)
5. Richey Edwards z zespołu Manic Street Preachers zaginął bez wieści 1 lutego 1995 roku i nigdy nie został odnaleziony. [\[wróć\]](#)
6. Przeł. Aga Zano. [\[wróć\]](#)
7. Nawiązanie do Przemineło z wiatrem. [\[wróć\]](#)
8. Eurypides, Medea, przeł. Jan Kasprowicz. [\[wróć\]](#)
9. A Companion to Tragedy, red. R. W. Bushnell. [\[wróć\]](#)
10. Przeł. Aga Zano. [\[wróć\]](#)
11. Przeł. Aga Zano. [\[wróć\]](#)
12. William Szekspir, Tytus Andronikus, przeł. Leon Ulrich. [\[wróć\]](#)
13. Dante Alighieri, Boska komedia, przeł. Edward Porębowicz. [\[wróć\]](#)
14. Dante Alighieri, Boska komedia, przeł. Edward Porębowicz. [\[wróć\]](#)
15. Denis Diderot, Salon 1767, przeł. Jan Kott. [\[wróć\]](#)
16. T.S. Eliot, Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka, przeł. Stanisław Barańczak. [\[wróć\]](#)